

TRZYMAJ SIĘ Z DAŁA OD

HAZEL

WOOD

MELISSA ALBERT

Media Rodzina



MELISSA ALBERT

HAZEL  
WOOD

TEUMACZYŁ  
KRZYSZTOF PUŁAWSKI

**Media Rodzina**

Tytuł oryginału  
THE HAZEL WOOD

Copyright © 2018 by Melissa Albert  
All rights reserved  
Cover photograph © Evannovostro/Shutterstock  
Cover design © Penguin Books

Illustrations by Jim Tierney  
Copyright © 2019 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-637-1

**Media Rodzina Sp. z o.o.**  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 60  
mediarodzina@mediarodzina.pl  
www.mediarodzina.pl  
Konwersja: eLitera s.c.

*Z miłością i wdzięcznością dla moich Rodziców, którzy nigdy nie wyjmowali mi książki  
z ręki.*

*Schowalem się w cień leszczyny,  
by mi ogień palił głowę.*

W.B. Yeats, *Piosenka Aengusa wędrowca*  
(W.B. Yeats, *Wiersze wybrane*,  
tłum. Ewa Życieńska, Ossolineum 1997)



*Althea Proserpine wychowuje córkę na bajkach. Dawno, dawno temu była dziewczyną, która nazywała się Anna Parks, jedną z legionu marzycielek, które w połowie wieku przyjechały na Manhattan z poutykanymi w walizkach marzeniami. Następnie zniknęła. Potem powróciła i zyskała dziwną sławę, połyskującą pod pewnymi kątami, ale ciemną, gdy się na nią patrzyło pod innymi. Teraz znowu jej nie ma. Wyjechała do domu z wieżą, gdzie mieszka z córką i mężem, prawdziwym członkiem rodziny królewskiej – po prostu trudno jej się wyrzec bajek. Gdy z nią rozmawiam przez telefon, głos ma tak kuszący jak jej najsłynniejsze zdjęcie, to z pierścionkiem i papierosem. Pytam, czy mogę z nią porozmawiać osobiście, a jej śmiech jest niczym ognista whiskey z lodem. „Zgubisz się, próbując mnie znaleźć” – mówi. „Będziesz potrzebować okruszków albo nici”.*

*Królowa Uroczyśka, „Vanity Fair”, 1987 r.*

Moja matka wychowała się na bajkach, ale ja wychowałam się w drodze. Moje pierwsze wspomnienia to zapach rozgrzanego chodnika i widok nieba przez szyberdach, przesuwanego się jak niebieska rzeka. Mama mówi, że to niemożliwe, bo w naszym aucie nie ma szyberdachu. Ale kiedy zamykam oczy, nadal to widzę, więc trzymam się tego wspomnienia.

Od czasu, kiedy wsadziłam dziecięcą pomadkę do wylotu ogrzewania, setki razy przemierzyliśmy kraj w naszym zdezelowanym wozie, który czuć frytkami, stęchłą kawą i plastikowymi truskawkami. Zatrzymywałyśmy się w tylu miejscach, gdzie było tylu ludzi, że nigdy nie nauczyłam się bać obcych.

Dlatego właśnie gdy miałam sześć lat, wsiadłam do starego niebieskiego buicka z jakimś nieznanym rudzielcem i pozwoliłam się wieźć przez czternaście godzin, z dwiema przerwami na toaletę i jedną na naleśniki, aż zatrzymała nas policja, poinformowana przez kelnerkę, która rozpoznała mnie na podstawie opisu z radia.

Do tego czasu domyśliłam się już, że ten mężczyzna wcale nie jest przyjacielem mojej babki Althei i wcale mnie do niej nie wiezie. Althea zamknęła się już wtedy w swoim wielkim domu i nigdy jej nie poznałam. Nie miała przyjaciół, tylko fanów, i mama wyjaśniła mi, że ten rudzielec był wła-

śnie jej fanem, który chciał mnie wykorzystać, by się z nią spotkać.

Kiedy okazało się, że mnie nie skrzywdził – a mężczyzna okazał się włóczęgą, który ukradł samochód parę mil od miejsca, gdzie zatrzymałyśmy się w Utah – mama zdecydowała się nie mówić więcej o całej sprawie. Nie chciała mnie słuchać, kiedy jej mówiłam, że był miły, opowiadał mi różne historyjki i śmiał się ciepło, co sprawiło, że zaczęłam wierzyć, że to mój ojciec, który po mnie przyjechał. Mama zobaczyła tego rudzielca przez weneckie lustro na policji i przysięgła, że nigdy wcześniej go nie widziała.

Przez kilka lat wierzyłam, że to mój tata. Kiedy wyjechałyśmy z Utah, by na parę miesięcy zamieszkać w enklawie artystów na obrzeżach Tempe, bałam się, że mnie nie znajdzie.

Nigdy też tego nie zrobił. Kiedy skończyłam dziewięć lat, uznałam, zgodnie z prawdą, że była to jedynie dziecięca fantazja. Odsunęłam ją od siebie jak to wszystko, czego już nie potrzebowałam: stare zabawki, wieczorne rytuały, za małe ubranka. Żyliśmy z mamą jak włóczędzy, zatrzymywaliśmy się u przyjaciół, aż mieli nas dość, przysiadaliśmy w jakichś przypadkowych miejscach. A potem jechaliśmy dalej, by nie popadać w nostalgię. Nie miałyśmy też szans na stabilizację. Aż wreszcie skończyłam siedemnaście lat, a w Hazel Wood zmarła Althea.

Kiedy Ella, moja matka, dostała list, nagły dreszcz przebiegł przez jej ciało. To zdarzyło się, jeszcze zanim go otworzyła. List był w kremowozielonej kopercie z wydrukowanym jej imieniem i nazwiskiem oraz adresem miejsca, gdzie się wówczas zatrzymałyśmy. Przyjechałyśmy tam poprzedniego wieczoru i zastanawiałam się, jak to się stało, że ten list do nas dotarł.

Mama wyjęła kościany nóż do otwierania listów z szuflady obok, bo miałyśmy się zaopiekować domem ludzi, którzy trzymali na pokaz szczątki zamordowanych słoni. Drżącymi rękami niewprawnie rozcięła kopertę. Jej paznokcie były tak czerwone, że wyglądało to tak, jakby się skaleczyła.

Kiedy wytrząsnęła list, na który padło światło, mogłam dostrzec widoczne od tyłu rzędy czarnych liter, ale nie potrafiłam ich odcyfrować.

Ella wydała nieznany mi odgłos, pełne bólu westchnienie, które sprawiło, że zaparło mi dech w piersi. Trzymała list tak blisko twarzy, że zabarwił skórę delikatną selerową zielenią, i poruszała ustami, czytając go raz za razem. Następnie zgmiotła go i wrzuciła do kosza.

Miałyśmy nie palić w tym zagraconym mieszkaniu w nowojorskiej Upper West Side, pachnącym francuskim mydłem i mokrymi miniaturowymi terierami. Jednak Ella wyjęła papierosa i zapaliła go zabytkową zapalniczką z kryształu. Wciągnęła dym, jakby to był mleczny shake, postukując palcami o ciężki zielony kamień, który miała na szyi.

– Moja matka nie żyje – powiedziała, wydychając dym, a potem zakaszła.

Ból wybuchł we mnie niczym wewnętrzna mina, rozchodził się falami od żołądka. Ale od czasu, kiedy wyobrażałam sobie, jak może być u Althei, minęło już wiele lat. W ogóle nie powinnam nic czuć.

Ella przykucnęła przede mną i położyła dłonie na moich kolanach. Oczy jej lśniły, ale były suche.

– To nie... przepraszam cię, to nie jest taka zła wiadomość. Naprawdę. Może zmienić nasze życie, może... – Głos jej się załamał. Położyła głowę na moich kolanach i zaszlochała. Był to pojedynczy dźwięk z innego świata, tego ciemnych dróg i zapachów uschniętych liści, a nie z jasnego pokoju, położonego w środku głośnego, jasnego miasta.

Kiedy pocałowałam czubek jej głowy, poczułam zapach kawy z baru i papierosowego dymu. Wciągnęła powietrze, wypuściła je i uniosła głowę, by na mnie spojrzeć.

– Czy wiesz, co to dla nas znaczy?

Popatrzyłam na nią, a potem rozejrzałam się po pokoju – zagraconym, drogim i nie naszym.

– Zaraz. Czy to znaczy, że Hazel Wood należy do nas?

Widziałam posiadłość babki tylko na zdjęciach, ale miałam wrażenie, że znam ją z jakiegoś równoległego wyobrazonego dzieciństwa, kiedy to jeździłam konno i wyjeżdżałam na wakacyjne obozy. Były to marzenia, w których się zatapiałam, kiedy potrzebowałam wytchnienia od niekończącego się kręgu autostrad, nowych szkół i zapachu nieznanymi domów. Po prostu wklejałam siebie do tego odległego świata fontann i żywopłotów, koktajli i basenu, który lśnił tak mocno, że trzeba było mrużyć oczy.

Ale matka chwyciła mnie kościstą dłonią i zaczęła wyciągać z tego świata w technikolorze.

– Nie, nigdy. To znaczy, że jesteśmy wolne.

– Wolne od czego? – spytałam głupio, ale nie odpowiedziała.

Wstała, wrzuciła wypalonego do połowy papierosa do kosza wprost na list i wyszła wyprostowana z pokoju, jakby miała coś do zrobienia.

Kiedy wyszła, zalałam zimną kawą kosz i wyciągnęłam z niego mokry list. Jego część była spopielona, ale wygładziłam na kolanach to, co zostało. Czcionka była pogrubiona i miał on dziwne spacje, jakby w staromodnym telegramie.

List nie wydawał się nowy. Nawet pachniał tak, jakby go wysłano z przeszłości. Mogłam sobie wyobrazić, jak ktoś pisze go na elektrycznej maszynie IBM, jak na pocztówkach Françoise Sagan, które wieszałam nad łóżkiem tam, gdzie się zatrzymywałyśmy. Czytałam to, co zostało z tekstu, wdychając zapach jakiegoś perfumowanego talku. Było tego niewiele: „przesyłamy kondolencje” i „zapraszamy w najbliższym dogodnym”.

I jedno ocalone słowo w pozodze papieru: „Alice”. Moje imię. Nie mogłam przeczytać niczego przed ani po. Nie widziałam też dalszych wzmianek o sobie. Wrzuciłam więc zniszczony list do kosza.





## • 2 •

Do czasu, kiedy Althea Proserpine (urodzona jako Anna Parks) zmarła samotnie w wielkim majątku, który nazwała Hazel Wood, życiem moim i mojej matki rządził pech. Przeprowadzałyśmy się co najmniej dwa razy w roku, czasami częściej, ale pech i tak nas dopadał.

W Providence, gdzie mama prowadziła zajęcia plastyczne dla seniorów, cały wynajmowany przez nas parter w bezdeszczowy sierpniowy wieczór zalala woda. W Tacomie do naszej przyczepy zakradł się dziki kot, który oznaczył wszystkie nasze rzeczy i zjadł resztki mojego urodzinowego tortu.

Próbowaliśmy przeczekać cały rok szkolny w Los Angeles, gdzie Ella wynajęła mieszkanie od uczciwej hipiski z funduszem powierniczym, ale po czterech miesiącach u męża tej kobiety pojawiły się oznaki zespołu chronicznego zmęczenia. Po tym, jak Ella przeprowadziła się do głównego mieszkania, żeby jej pomóc, w sypialni zawalił się sufit, a hipiska w lunatycznym transie weszła do basenu. Nie chciałyśmy zaczynać liczenia trupów, więc pojechałyśmy dalej.

Kiedy jechałyśmy, obserwowałam bacznie samochody za nami, jakby pech mógł przybrać postać minivana. Okazał się on jednak jeszcze sprytniejszy. Trudno go było przechytrzyć, można tylko było jechać dalej, kiedy się pojawiał.

Po śmierci Althei przestałyśmy jeździć. Ku mojemu zaskoczeniu Ella pokazała mi klucz do mieszkania na Brooklynie, gdzie przeprowadziłyśmy się z naszymi nędznymi bagażami. Mijały tygodnie, potem miesiące. Wciąż byłam czujna, ale walizki leżały pod łóżkiem. W naszym mieszkaniu miałyśmy światło we wszystkich kolorach metalu: od oślepiającej platyny, po złoto po południu i brąz ulicznych latarni w nocy. Mogłam godzinami śledzić to, jak zmienia się światło na ścianach. To był mój widok.

Wciąż jednak widziałam cienie pecha: kobieta, która szła za mną przez antykwariat, szepnęła mi do ucha coś nieprzyzwoitego, wyjmując jednocześnie komórkę z mojej kieszeni. Światła uliczne migały jedno po drugim, kiedy szłam ulicą po północy. Ten sam uliczny grajek pojawiał się przez tydzień we wszystkich pociągach metra, którymi jeździłam, i śpiewał upiornym tenorem *Zapytaj Alice*.

– Phi – mruknęła Ella. – To żaden pech, tylko Nowy Jork.

Zmieniła się po śmierci matki. Mniej paliła, przybrała na wadze. Kupiła kilka T-shirtów w innym kolorze niż czarny.

A potem, kiedy wróciłyśmy wieczorem do mieszkania, okazało się, że ktoś się do niego włamał. Ella zacisnęła wargi i popatrzyła na mnie. Czekałam na sygnał do wymarszu, ale ona potrząsnęła głową.

– To Nowy Jork – powiedziała bez cienia wątpliwości. – Nie ściga nas już pech, Alice. Słyszysz? Już się skończył.

Poszłam więc do szkoły państwowej. Wieszałam gwiazdkowe światełka na gipsowym gzymsie nad naszym łóżkiem i zaczęłam pracować w kafejce, która po zachodzie stawiała się barem. Ella zaczęła mówić o rzeczach, o których wcześniej nigdy nie wspominała: malowaniu ścian, nowej kanapie. Podaniu o przyjęcie na studia.

Kłopoty pojawiły się z powodu tej ostatniej rzeczy. To było marzenie Elli o normalnym życiu dla mnie, o mojej przyszłości. Bo kiedy przez całe życie uciekasz, jak możesz nagle się zatrzymać? Jak znaleźć sposób na to, by nasza chatka ze słomy stała się nagle murowana?

Ella zrobiła to według wzorów zaczerpniętych ze wszystkich tych czarno-białych łże-filmów z AMC, które oglądałyśmy w motelach, wynajętych domkach, przerobionych na mieszkalne altanach, hostelach czy nawet raz w akademiku.

Wyszła za mąż.

Ostre październikowe słońce zaświeciło mi prosto w oczy, kiedy pociąg wjechał na most prowadzący na Brooklyn. Miałam głowę nabitą rozpadającym się małżeństwem matki i czymś, co wydawało się pięcioma ukruszonymi zębami. Przez całe życie miałam problemy z gniewem, które Ella leczyła za pomocą nagrań medytacyjnych, taniej terapii reiki, której nauczyła się z książki, i ochraniacza na zęby, którego nie znosiłam. W ciągu dnia zagryzałam zęby przy każdej złej myśli o ojczyźnie. W nocy wyjmowałam to z ust.

Facet, za którego wyszła niecałe cztery miesiące po tym, jak go poznała na imprezie, gdzie zajmowała się podawaniem koktajli, mieszkał na przedostatnim piętrze budynku przy Piątej Alei. Miał na imię Harold, był bogaty jak krezus i wydawało mu się, że Lorrie Moore to marka farby. Nic więcej nie trzeba o nim wiedzieć.

Jechałam do kawiarni Salty Dog, gdzie mieściła się moja pierwsza praca, którą mogłam podjąć dzięki temu, że mieszkałam dłużej w jednym miejscu. Jej właścicielami było małżeństwo z Reykjavíku, które zafundowało mi sześciogodzinny kurs profesjonalnego parzenia kawy, zanim w ogóle pozwolono mi wyczyścić ekspres. To była praca w sam raz dla mnie, mogłam się jej poświęcać tyle, ile chciałam. Mogłam się starać robić świetną kawę i być miłą dla wszystkich klientów. Albo mogłam wszystko robić automatycznie i z nikim nie rozmawiać, a napiwki prawie się nie zmieniały.

Tego dnia zagubiłam się w niosącym pociechę rytmie, robiąc espresso albo dripy, podając rozki srebrnymi szczypcami i wdychając zapach palonego karmelu zmielonych ziaren.

– Nie patrz, ale jest tu ten Facet w Kapeluszu. – Poczulałam w uchu gorący oddech mojej koleżanki Lany. Była ona na drugim roku ceramiki w Pratt Institute, a wyglądała jak jeszcze bardziej seksowna siostra Davida Bowiego i nosiła okropne ubrania, które i tak dobrze na niej wyglądały. Tego dnia miała na sobie workowaty, pomarańczowy kombinezon w stylu Sojuszu Rebeliantów. Pachniała tak, jak musiał pachnieć Michał Anioł: gipsowym pyłem i potem. Jednak to też do niej pasowało.

Facet w Kapeluszu należał do najmniej lubianych przez nas klientów. Lana udawała, że zajęła się czyszczeniem spieniacza do mleka, więc oczywiście to ja musiałam się nim zająć.

– Cześć, Alice – powiedział, odczytując moje imię z plakietki, chociaż przychodził tu codziennie. Zakotłosał głową w takt muzyki T. Rex z komórki Lany. – Fajna muza. Czy to Stone Roses?

– O Boże – dobiegł do mnie sceniczny szept Lany.

Przez dobre dwie minuty wpatrywał się w menu i bębnił palcami o kontuar. Poczulałam gniew, gdy tak czekałam, włoski na skórze zaczęły mi się jeżyć. W końcu zamówił to, co zwykle. Włożyłam jego biscotti do torby, podałam mu butelkę wody Pellegrino i przesłałam za kasę, żeby nie mógł

mnie zmusić do skomplikowanego przywitania, którego uczył mnie w czasie paru poprzednich wizyt.

Ruszył do wyjścia. Patrzyłam z niechęcią na jego krótką szyję, blond włoski na ramionach i to, jak nerwowo strzelał palcami, starając się oddać rytm muzyki. Aż skoczyło mi ciśnienie, kiedy otarł się o siedzącą kobietę, a potem położył dłoń na jej barku, przepaszając ją w ten przyciężkawy sposób.

– Boże, co za palant – powiedziała głośno Lana, patrząc, jak Facet w Kapeluszu mocuje się z drzwiami. Szturchnęła mnie biodrem. – Alice, wyluzuj. Wyglądasz, jakbyś chciała go udusić. Daj spokój, to ten jego kapelusz.

Gniew opadł, pozostało zawstydzenie.

– Nie, ja nic... – zaczęłam, ale Lana mi przerwała. Zawsze świetnie jej to wychodziło.

– Mówiłam ci, że widziałam gołego Christiana? – Oparła brodę o dłoń.

Christian był naszym szefem. Miał piękną, filigranową żonę i wielkie dziecko z czerwoną twarzą, które wyglądało jak demon z książki z drzeworytami. Szukałam jakiegoś niewinnego wyjaśnienia tego, o czym mi powiedziała, ale nie mogłam znaleźć.

– Czy to... Czy uprawiałaś z nim seks?

Zaśmiała się, jakby miała do czynienia z wieśniaczką, co było prawdą, ale niech się wali.

– Wyobrażasz to sobie? Luisa poszczuła by mnie swoim straszliwym dzieckiem. Nie, zamówił u mnie rzeźbę całej rodziny.

– Nago?

– Tak – odparła, tracąc zainteresowanie całą historią.

– O, czy on... Czy to było obrzydliwe?

Wzruszyła ramionami, wpatrując się w ekran swojej komórki.

Kiedy Ella zaczęła chodzić z Haroldem, wpadłam na pomysł, by zaprzyjaźnić się z Laną, żeby mieć kogoś dla siebie, ale wyszło zupełnie inaczej. Lana potrzebowała raczej publiczności niż kumpelki.

Chwyciłam szmatę i ruszyłam, żeby powycierać stoliki – niech teraz ona podaje kawę. Kiedy tak mijałam stoliki, ciarki zaczęły mi przechodzić po plecach, bo poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Nie jestem Laną, zwykle nikt nie zwraca na mnie uwagi, dlatego poruszyłam się niezręcznie, straciłam filiżankę, zakląłam głośno i zaczęłam sprzątać. W trakcie przyglądałam się klientom.

Przy jednym stoliku siedziały same panie z lśniącymi pierścionkami zaręczynowymi. Piły zieloną herbatę i jadły jednego kokosowego donuta czterema widelczykami. Dwóch facetów z identycznym zarostem w plisowanych koszulkach siedziało pochylonych przy oddzielnych stolikach nad podobnymi laptopami, przy czym jeden nie zdawał sobie sprawy z istnienia drugiego. Kobieta, która próbowała czytać *Jane Eyre*, zerknęła na okratkowaną matkę i dziecko, które waliło łyżką w blat sąsiedniego stolika. I na faceta w kurtce firmy Carhartt i w okularach przeciwsłonecznych, siedzącego przy drzwiach. Mimo zaduchu miał on na głowie czapkę i trzymał w dłoniach szklankę wody.

Następnie wydarzyły się trzy rzeczy: Lana upuściła talerzyk, który rozbił się z trzaskiem na terakocie w szachownicę, facet w kurtce spojrzął znad okularów, nagły dreszcz przebiegł po moim ciele i cała zaczęłam drzeć, kiedy go poznałam.

Patrzyliśmy na siebie, on i ja, i dotarło do niego, że go sobie przypominam. Kiedy popatrzyliśmy sobie w oczy, wróciło do mnie to, co już zapomniałam: że dziesięć lat temu jego samochód pachniał świątecznymi choinkami. Że zamówił naleśniki i jajka, kiedy zatrzymaliśmy się na śniadanie. Że miałam na sobie sztruksowy pulower, założony na T-shirt w paski, rajstopy i białe buciki ze srebrnymi klamerkami, z których byłam szczególnie dumna. Że opowiadał mi historie i że niektóre znałam. Później nie mogłam sobie przypomnieć, o czym były, ale pamiętałam, co czułam, gdy ich słuchałam – to, co czuje się przy dobrej poezji, naprawdę dobrej, kiedy włoski stają nam na szyi i łzy pojawiają w oczach.

To właśnie ten mężczyzna porwał mnie swoim niebieskim buickiem, to był ten, którego uznałam za ojca. Włosy miał schowane pod czapką, ale poznałam jego oczy. Byłam wtedy mała i wiedziałam tylko, że jest dorosły. Teraz zrozumiałam, że musiał być młody – sądząc po wyglądzie, miał dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Minęło dziesięć, ale nic się nie zmienił i był niemożliwie młody. To w ogóle było niemożliwe. Ale wiedziałam z całą pewnością, że to on i że przyszedł tutaj z moje-

go powodu.

Kiedy to wszystko do mnie dotarło, on już wstawał, brał swoją książkę i wychodził z kawiarni. Skoczyłam do drzwi, zanim jeszcze umilkł ich dzwonek. Po drodze potknęłam się o kabel od czyjeś laptopa i niemal go zwałam, a kiedy skończyłam przeproszać i otworzyłam drzwi, faceta w kurtce już nie było. Szukałam po jednej i po drugiej stronie cichej ulicy, a ręce mnie świerzbiły, żeby wziąć papierosa – rzuciłyśmy z mamą palenie, kiedy przeniosłyśmy się do Harolda.

Nigdzie go jednak nie znalazłam, więc po paru minutach wróciłam do środka.

Na jego stoliku znalazłam pustą filiżankę. Zmiętą w kulę serwetkę. A także pióro, grzebień i kość. Pióro było ciemnozłote z koronkowym końcem w kolorze szklanej zieleni. Grzebień był z czerwonego plastiku. Kość musiała pochodzić z kurczaka, ale kształtem przypominała kość z ludzkiego palca. Poza tym była wybielona do czysta. Te trzy rzeczy ułożył jak hieroglif, mniej więcej w kształcie litery pi, która odcisnęła się na moim mózgu, kiedy zgarnęłam to wszystko do kieszeni fartuszka.

– Dobra, co to było? – Nigdy wcześniej Lana nie interesowała się mną do tego stopnia. – Hej, masz... masz zupełnie białe usta. Czy on ci coś zrobił?

Porwał mnie, gdy miałam sześć lat, i wydaje mi się, że może być Władcą Czasu.

– Nie, to nikt ważny. Naprawdę nikt. Coś mi się pomyliło. Wydawało mi się, że go poznałam.

– Nie. Nie mówisz prawdy. Ale dobrze, usiądź tu sobie, a ja ci przyniosę coś do jedzenia. Nie wrócisz do pracy, dopóki będziesz tak wyglądać. Tyle że muszę wyjść za dwadzieścia minut, więc mam nadzieję, że zaraz ci przejdzie.

Usiadłam ciężko, bo nogi się pode mną ugięły. Jedna z kobiet z pierścionkami zaręczynowymi popatrzyła na mnie i postukała w filiżankę, jakby można u nas było dostać darmową dolewkę. „No, spróbuj jeszcze” – pomyślałam, ale byłam zbyt słaba, żeby się na nią wściec.

Zbyt przerażona. Nazywaj rzeczy po imieniu, Alice. Może zdołałabym siebie przekonać do tego, w co bardzo chciałam wierzyć – że nigdy wcześniej nie widziałam tego faceta i że tylko trochę przypomina on kogoś sprzed dziesięciu lat. I może w ogóle zdołałabym o nim zapomnieć, gdyby nie książka, którą dostrzegłam w jego dłoniach, kiedy pospiesznie wychodził.

Od lat jej nie widziałam, ale poznałam ją natychmiast, jak tylko zobaczyłam zieloną okładkę.

Czytał oczywiście *Opowieści z Uroczyska*. To przecież jasne.



### 3

Miałam dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tę książkę. Była na tyle mała, że można ją było włożyć do kieszeni, w twardej zielonej oprawie ze złotymi tłoczeniami. Pod dziwnym tytułem widniało wypisane drukowanymi literami nazwisko mojej babki.

Byłam już takim dzieckiem, które z zamkniętymi oczami ostukiwało ścianki mebli w poszukiwaniu ukrytych drzwi, i myślałam życzenie, odnajdując drugą gwiazdę po prawej, jeśli je było widać. Dlatego poczułam dreszcz podniecenia, kiedy odkryłam zielono-złotą książkę z bajkowym imieniem i nazwiskiem w zupełnie zwyczajnej komodzie. Myszkowałam wtedy na poddaszu domu rodziny, u której się wówczas zatrzymałyśmy. Byli oni bogaci, mieli dwuletniego syna i uznali, że mogą zatrudnić nianię z własnym dzieckiem. Zajmowałyśmy wolny pokój przez całe pierwsze półroczcie mojej piątej klasy i wszystko szło zadziwiająco dobrze, aż pan domu zaczął się starać za bardzo zaprzyjaźnić z Ellą, co ją zmusiło do rezygnacji.

Usiadłam po turecku na szmacianym dywaniku na poddaszu i z namaszczeniem otworzyłam książkę, przesuwając palcem po spisie treści. Oczywiście wiedziałam, że babka jest pisarką, ale do tego momentu jakoś mnie to nie ciekawiło. Nic mi o niej nie mówiono i założyłam, że pisała rzeczy dla dorosłych, których i tak nie chciałabym czytać. Ale najwyraźniej miałam przed sobą historie, i to najlepsze z możliwych, czyli bajki. Było ich dwanaście.

*Drzwi, których nie było*

*Hansa Podróżniczka*

*Mechaniczna panna młoda*

*Jenny i Kobiety Nocy*

*Panna ze skóry obdarta*

*Alice-Trzykrotka*

*Dom pod schodami*

*Ilsa czeka*

*Morska piwnica*

*Matka i sztylet*



*Katherine-Dwukrotnie-Zabita*  
*Śmierć i Drzewnica*

Ponieważ mam na imię Alice, oczywiście natychmiast przeskoczyłam do *Alice-Trzykrotki*. Strony marszczyły się, jakby kiedyś były mokre, i pachniały starymi cukierkami fiołkowymi, które moja mama uwielbiała, a których ja nie znosiłam. Wciąż pamiętałam pierwsze zdanie tej opowieści, bo tylko tyle zdołałam przeczytać, zanim przyszła, wiedzioną macierzyńskim instynktem Ella, i wydarła mi książkę z rąk.

„Kiedy Alice się urodziła, jej oczy były czarne od jednego końca do drugiego, a położna wyszła pospiesznie i jej nie obmyła”.

Było to tak straszne, że serce mi się ścisnęło i ucieszyłam się, widząc Ellę. Nie rozumiałam, dlaczego tak błyszczą jej oczy i tak ciężko oddycha. „To nie jest książka dla dzieci” – rzuciła ostro.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mama nigdy nie mówiła, że jestem na coś za mała. Kiedy spytałam ją, skąd się biorą dzieci, odpowiedziała mi ze szczegółami. Kiedy jej przyjaciele próbowali zmienić temat, gdy wchodziłam do pokoju, Ella machała ręką, żeby się mną nie przejmowali. „Alice doskonale wie, co to znaczy przedawkować” – mówiła. „Nie doceniacie jej inteligencji”. A potem najczęściej stuknęła w kieliszek i pokazywała wzrokiem kuchnię, gdzie karnie przygotowywałam jej doskonałe martini.

To, że po raz pierwszy zagrała kartą mojego wieku, sprawiło, że obudziła się we mnie straszna, dojmująca ciekawość. Musiałam przeczytać tę książkę. Musiałam. Nigdy więcej nie zobaczyłam już tego egzemplarza z poddasza, ale zapamiętałam jego tytuł i czekałam. Szukałam tej książki w bibliotekach i księgarniach oraz na półkach w tych domach, w których się zatrzymywałyśmy, ale nigdy jej nie znalazłam. Raz pokazała się na eBayu – włączyłam dla niej funkcję Google alert – ale jej cena wkrótce przekroczyła moje możliwości.

Dlatego próbowałam dowiedzieć się więcej o jej autorce. Właśnie w ten sposób zaczęła się moja obsesja związana z Altheą Proserpine.

Lana skończyła pracę i zastąpił ją chłopak o imieniu Norm. Przez kolejne trzy godziny mówił o spotkaniu z Laną, które mogło, ale nie musiało być randką – nie żeby się tym przejmował, ale co ja o tym sądzę i czy Lana o tym wspominała?

Udzielałam mu niezobowiązujących odpowiedzi, aż w końcu się załamalam.

– Boże, Norm, musisz w końcu ruszyć ze swoim życiem. – Wykonałam ruchy przypominające pociąg, który zaczyna bieg. – Tak lepiej? Nigdy nie słyszałam, żeby Lana choć o tobie wspomniała.

Jego pełna urazy mina dała mi mroczną satysfakcję.

– Wiesz, Alice, to niezbyt miłe.

Zdjął kapelusz, zagiął rondo tak, by wyglądało bardziej pretensjonalnie, i włożył ponownie na głowę.

Jego milcząca obecność przez resztę wieczoru dała mi czas na myślenie – czas, by ustosunkować się do tego, co widziałam. Kiedy skończyła się moja zmiana, wyszłam na zewnątrz, czując się tak, jakbym była pozbawiona skóry. Był wieczór, ściemniło się, a mijane domy wydawały się opuszczone i zbite w kupki, jak te, które się omija na Halloween. Aż się cofnęłam, kiedy jakiś mężczyzna niemal się o mnie otarł, przechodząc. Jego skóra pachniała spalenizną, a oczy wydawały się zbyt jasne w ciemności.

Szedł dalej, prawie nie zwracając na mnie uwagi. To ja popadałam w paranoję. Wszędzie wypatrywałam czapki, niebieskich oczu. I nic.

Parę osób czekało na pociąg linii Q. Stałam na tyle blisko kobiety z wózkiem, że mogło się wydawać, iż jesteśmy razem. Nie spojrzała na mnie, ale zauważyłam, że stężała. Kiedy przyjechał pociąg metra, wsiadłam, a następnie wyskoczyłam w ostatnim możliwym momencie, tak jak w kinie.

Peron był jeszcze bardziej pusty. Włożyłam słuchawki i puściłam szumy, które Ella wgrała do mojego telefonu i których kazała mi słuchać, kiedy byłam podminowana.

Gdy przyjechał następny pociąg, od razu do niego wskoczyłam. Scena z kawiarni przesuwiała się przed moimi oczami niczym film: trzask talerzyka, błękit jego oczu i to, jak zniknął za drzwiami z książką w dłoni. Ale powoli zaczęły się zacierać szczegóły. Czulałam, jak ten obraz powoli niszczy się w mojej pamięci.

Bolała mnie szyja, bo trzymałam ją sztywno i wciąż obserwowałam wszystko dokoła. Ciągła uwaga sprawiała, że czułam pulsowanie w głowie. Kiedy facet z saksofonowym futerałem otworzył drzwi między wagonami, poczułam, jak panika wybucha w mojej piersi.

A jeśli można wytłumaczyć to, że ma niepoznaczoną zmarszczkami twarz i to poczucie, że wcale się nie postarzał? Botoks, jakiś francuski krem nawilżający, gra świateł. Mój własny, przypominający czarną dziurę umysł, który zapisywał w teraźniejszości obraz z przeszłości.

Tak czy siak, wciąż miał książkę, której mnie nie udało się zdobyć. Kto dziesięć lat temu powiedział mi, że zna moją babkę i ma mnie do niej zabrać? A jeśli tak było w istocie? Jeśli Ella myliła się i tak naprawdę nie był obcy?

Albo jeśli kłamała?

Po wielu latach, gdy myślałam, że już o wszystkim zapomniałam, powróciły do mnie dawne obsesje. Kiedy pociąg w końcu wyjechał z podziemia na most, wyszukałam artykuł o Althei na komórecie. Był to kiedyś mój ulubiony tekst, najdłuższy, jaki mogłam znaleźć na jej temat. Miałam nawet papierowy egzemplarz tego pisma, na który natknęłam się jakimś cudem w antykwariacie w Salem. „Vanity Fair” z września 1987, gdzie w środkowej części można było znaleźć sześciostronicowy artykuł o mojej babce i jej nowej posiadłości – Hazel Wood. Na zdjęciach jest właśnie ona, tak smukła jak papieros, który paliła, ma na sobie kuse spodenki, usta pomalowane na czerwono i spojrzenie, które może się przebić przez szkło. Mama jest ciemnowłosym kleksem u jej kolan, drżącym cieniem przy migoczącej wodzie w basenie.

Zaczyna się tak: „Althea Proserpine wychowuje córkę na bajkach...”. Dziwny to początek, zważywszy na to, że dalej prawie nie ma mowy o Elli, ale pewnie dziennikarce spodobały się zawarte w nim znaczenia. Mama wychowała się, słuchając bajek, jak wszyscy, ale też wychowała się dzięki pieniądзом z bajek. Również Hazel Wood Althea kupiła za te pieniądze.

Przed napisaniem tomiku, który ją rozślawił, babka pisywała do pism kobiecych, kiedy to jeszcze rzadko wspominało się o „dwudziestu seksownych sposobach wykorzystania kostek lodu”, a częściej o tym, „jak wywabić płamę z koszuli męża”.

I tak do podróży z 1966 roku. Althea nie podaje nazwisk, ale nie unika też gorących tematów: pojechała ze starszym mężczyzną, żonatym wydawcą miesięcznika dla panów, zatrzymując się to tu, to tam na starym kontynencie z grupą innych znudzonych Amerykanów. Po dziewięciu dniach picia ciepłych drinków (nie mogli ufać kostkom lodu) i pisania listów do przyjaciół coś się popsuło między nią a tym mężczyzną. Althea wyjechała sama. I wtedy coś się stało.

Nie wiemy, co dokładnie. „Pobiegłam za nowym rodzajem historii przez bardzo stare drzwi” – powiedziała Althea. „I później potrzebowałam dużo czasu, by znaleźć drogę powrotną”. Poza tym nie ma tam żadnych informacji na temat tego, co robiła między 1966 a 1969 rokiem, choć w tym czasie wyschły jej kwiatki, wyczerpała się praca, a nowojorskie życie pokryła patyna, która kazała o nim zapomnieć.

Kiedy wróciła do Stanów, nikt już jej nie pamiętał. Czuli się wtedy, jak sama powiedziała: „Jak duch, który przemierza mauzoleum mojego własnego życia”. (Mówiła, jakby znała lepiej książki niż ludzi). Znalazła jednak przyjaciółkę, z którą chodziła na studia. To w jej wolnym pokoju napisała na maszynie dwanaście historii. Weszły one w skład książki *Opowieści z Uroczyska*, którą opublikowało malutkie, niezależne wydawnictwo z Greenwich Village, specjalizujące się w prozie przez nikogo nieczytanych autorek.

Ale babkę jakoś czytano. Zapewne dopomogła w tym jej śliczna twarz z tyłu okładki: spokojne oczy, normalnie niebieskie, ale jasnoszare na czarno-białej fotografii. Brew ma wygiętą, usta podkreślone i lekko rozchylone. Ma na sobie białą męską koszulę rozpiętą o jeden guzik za dużo i pierścionek z dużym onyksem na palcu wskazującym prawej ręki. Trzyma też oczywiście papierosa.

Książka miała kilka recenzji w pomniejszych pismach i stała się sensacją, o której wszyscy mówili. Następnie pewien francuski reżyser, który miał nakręcić pierwszy film w Stanach, wybrał ją do opracowania.

Tworzenie filmu obrosło złą sławą, w trakcie wciąż wybuchały miłosne skandale, toczyły się profesjonalne potyczki, a w dwóch niezależnych zdarzeniach zniknęło gdzieś dwoje członków ekipy. Ale on sam stał się artystycznym przebojem. W scenariuszu przerobiono książkę na dramat psycho-

logiczny o kobiecie, która budzi się w lesie, nie pamiętając nic ze swojego życia, a historie babki wykorzystano jako sekwencje snu albo fragmenty wspomnień. Według tych recenzji, które znalazłam, film w ogóle nie przypominał materiału wyjściowego.

Sukces filmu, częściowo podsycany przez skandale, spowodował, że tekst parokrotnie wystawiono w teatrze, ale z marnym sukcesem, miał on stać się podstawą miniseriale, którego nigdy nie zrealizowano, a także dał asumpt do tego, że Althea próbowała bez powodzenia zostać konsultantką telewizyjną w Los Angeles. Po powrocie do Nowego Jorku kupiła za bezcen Hazel Wood, po tym, jak ostatni właściciel zginął w niejasnych okolicznościach w czasie pożaru, który zniszczył część posiadłości.

Po drodze miała paru mężów. Pierwszym był aktor, którego poznała na planie filmowym. Porzucił on żonę, a zabił go jakiś ćpun w ich mieszkaniu w Greenwich Village, po tym, jak Althea zaszła w ciążę. Drugiego męża, wysiedlonego potomka królewskiego rodu z Grecji, poznała w Los Angeles i zabrała do Hazel Wood.

Tak więc można powiedzieć, że moja mama częściowo wychowała się na bajkach. Ale śmierć też miała w tym swój udział. I pieniądze. Pieniądze nieżyjącego męża, pieniądze z bajek. Wystarczająco dużo musiało trafić do kieszeni mojej matki, bo jakoś sobie radziłyśmy, mimo że prawie w ogóle nie pracowała, a my ciągle coś wynajmowałyśmy. Nieustający ruch był częścią nas samych, tak jak ostry śmiech matki czy mój gniew. Pech, który słabł z każdą przeprowadzką, wydawał się wtedy czerwonym pyłem, który można było strzepnąć z butów.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo nam było źle, zawsze miałyśmy Hazel Wood za plecami. Ella nigdy by tam nie wróciła. Opiekowała się mną, a ja nią – żyłyśmy w siostrzanej symbiozie, która wygląda ładnie w telewizji, ale jest cholernie irytująca, kiedy musisz się przeprowadzać trzeci raz w ciągu roku i nie masz nawet drzwi, którymi można by trzasnąć.

Kiedy po raz enty przeglądałam artykuł, wydał mi się jakoś inny. Wyobrażałam sobie kiedyś Altheę jako odległą, ale życzliwą gwiazdę, wróżkę z *Kopciuszka*, która obserwowała mnie z daleka. Mój rozgorączkowany dziecięcy umysł tworzył własne bajki, a ja nigdy nie przyznałam się do tego, że dręczy mnie postać mojej babki i tajemnica mężczyzny, który sprawił, że stałam się przesądna. Kiedy patrzyłam w lustro, w tajemnicy wierzyłam, że Althea mnie widzi. Kiedy jakiś mężczyzna zbyt długo przyglądał mi się przez szybę samochodu czy wystawy, nie widziałam w nim zбочeńca czy zwiastuna pecha, ale posłańca mojej babki. Obserwowała mnie, kochała i któregoś dnia miała mi się objawić.

Teraz jednak czytałam jej historię nowymi oczami. Nie była fascynującą wróżką, ale arogancką fantastką. Która w dodatku od mojego niemowlęctwa do swojej śmierci nie próbowała skontaktować się z Ellą. Ellą, która urodziła mnie, gdy miała dziewiętnaście lat, i od tego czasu mogła liczyć tylko na moje wsparcie.

Bo o tym właśnie nie mówi artykuł. Parę miesięcy po tym, jak się ukazał, drugi mąż Althei popełnił samobójstwo w Hazel Wood. Po jego śmierci Althea zamknęła granicę posiadłości. Żyły tam z Ellą w odosobnieniu, na bajkach i Bóg wie czym jeszcze, nie kontaktując się z nikim poza sobą. Matka naprawdę nie chce mówić o tych czternastu latach, które spędziła w odciętych od świata miejscu. Nie chodziła nawet do szkoły. To, kim jest mój ojciec i jak go poznała, pozostaje najgłębszą tajemnicą, tak głęboką, że przestałam nawet o nią wypytywać.

W głowie mi szumiało, kiedy dotarłam do mieszkania.

Zaraz. Mieszkanie to za mało. Może... posiadłość? To niedokładnie ten obraz, ale bliższy rzeczywistości.

Mieszkanie Harolda pachniało delikatnie środkami czystości, perfumami mojej siostry przyrodniej, Audrey, i jedzeniem, które Ella zamówiła akurat tego wieczoru. Harold chyba liczył na to, że Ella będzie gotować, korzystając choćby z przepisów zgromadzonych w blaszanej puszcze z wgnieceniami, którą odziedziczył po matce. Rozczarował się jednak – my obie mogłyśmy jeść tygodniami tylko musli i popcorn oraz soję.

Już w holu usłyszałam szmer podniesionych głosów i poszłam za nim do zamkniętych drzwi ich sypialni.

– To nie ja powinienem się wstydzić z powodu dzisiejszego wieczoru, tylko ty sama.

Harold zakończył syknieniem. Wykorzystałam te głosy, by umiejscowić postaci w sypialni: Harold znajdował się po mojej lewej stronie, a delikatny szelest wskazywał, że Ella leży na łóżku.

Oparłam się plecami o ścianę obok. Jeśli tylko się do niej zbliży.

– Możesz wyglądać jak śmieć, kiedy jesteś beze mnie, ale dzisiaj występowałaś jako moja żona.

Słowo „żona” paliło jeszcze bardziej niż „śmieć”, ale się nie ruszyłam, czując w ustach zimny, metaliczny smak wściekłości. Ella powtarzała mi raz za razem, żebym jej zaufała. Że poradzi sobie z Haroldem. Że go kocha. Że ta próba stabilizacji nie jest tylko dla mnie.

Jej cisza była głośniejsza niż głos Harolda. To jej największa broń, choć nigdy nie wykorzystywała jej w stosunku do mnie. Patrzy tylko, kiedy ktoś stara się pozbierać myśli i jakoś do niej dotrzeć, ale nigdy sama nie próbuje wyciągnąć ręki do tej osoby. Widziałam, jak w ten sposób wydobywa z ludzi różne rzeczy: sekrety, wyznania, zapewnienia, że możemy zostać jeszcze miesiąc. Wystarczyło milczenie. Korzysta z niego niczym z broni.

– Ello – rzucił zdesperowany Harold. Poczulałam nieproszoną litość. – Powiedz coś, do cholery! – Usłyszałam przyspieszony szelest jego ubrania, kiedy ruszył w kierunku łóżka.

Uderzenie serca, oddech i złapałam za klamkę.

Drzwi były zamknięte.

– Mamo! Co się dzieje?

– Boże, to znowu twoja córka?

– Mamo. – Zaczęłam walić otwartą dłonią w drzwi.

Cisza, skrzypnięcie i usłyszałam obok głos Elli.

– Nic takiego, kochanie. Idź spać.

– Otwórz drzwi.

– Nic mi nie jest, Alice. Po prostu chcemy porozmawiać. Najlepiej idź spać.

Wściekłość bulgotała w mojej krwi.

– Nazwał cię śmieciem. Otwieraj!

To Harold je otworzył, a ja się cofnęłam. Był potargany i częściowo rozebrany. Ogolona głowa była pociemniała, oczy nabiegły mu krwią. Miał oczy Kapitana Haka: pełne żalu, błękitne z czerwonym połyskiem, kiedy wpadał w gniew.

Stojąca obok w obcisłej sukience bez ramiączek i z potarganymi włosami Ella prezentowała się jak czarny mak. Suknia wyglądała na zaprojektowaną tak, by zwracać powszechną uwagę na tatuaż, który zaczynał się na ramieniu, a kończył niemal na szyi Elli. Był to psychodeliczny kwiat na wątlej łodydze, który mógł być przedstawicielem marsjańskiej flory. Miałam bliźniaczy w lustrzanym odbiciu – był to niefortunny prezent na Dzień Matki, który Ella zniechęciła, czym niemile mnie zaskoczyła.

W półcieniach przedpokoju wyglądała jak drapieżnik, a Harold jak ofiara. Złość ze mnie wyparowała.

– Nie powiedziałem, że jest śmieciem, tylko... – Przeciągnął dłonią po oklapłej głowie. – Te kolacje są ważne. Przychodzą na nie potencjalni klienci i mogą zaważyć... Na miłość boską, po co ja w ogóle z tobą rozmawiam?

Ella oparła się o framugę i patrzyła na niego chłodno.

– Miałam to na sobie, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz?

– Tak, kiedy byłaś kelnerką od robienia koktajli! Nieważne, nie mam zamiaru się przed wami tłumaczyć. – Harold spojrzął na mnie złym wzrokiem. – Nie jestem potworem, Alice. Dlaczego ciągle patrzysz na mnie tak, jakbym był potworem? – Obrócił się na pięcie i poszedł do znajdującej się obok sypialni łazienki.

– Mamo.

Ella zerknęła na mnie, zaintrygowana moim tonem, przez chwilę patrzyła, jakby chciała o coś zapytać. W końcu wydała tylko długie ciężkie westchnienie.

– Idź spać, Alice. Porozmawiamy rano, dobrze?

Dotknęła łagodnie mego czoła swoim, a potem zamknęła drzwi.

W uszach miałam gęstą ciszę. Był to dźwięk mieszkania odgradzonego od reszty miasta kokonem bogactwa.

Weszłam do kuchni, czując się jak złodziejka, i bez światła zaczęłam przeszukiwać szafki.

– Czy to jakaś wiewiórka szuka orzeszków?

Popatrzyłam na torebkę fistaszków, którą miałam w dłoni, i odłożyłam ją na półkę. Audrey liczyła i komentowała to, co wszyscy jedli, głos miała twardy i niezycliwy, jakby sama tego nie robiła. Siedziała w ciemnym salonie i widziałam tylko nad kanapą burzę jej związanych w kok ciemnych włosów. Nie obróciła się w moją stronę, kiedy do niej podeszłam, ale stężała.

Moja przyrodnia siostra była seksowna, kształtna i wygadana. Czułam się przy niej jak ktoś gorzki. Siedziała rozparta w spodenkach trzy czwarte i topie, zawsze trochę za bardzo odsłonięta, nawet w domu. Widziałam przez jej ramię, jak klika na kolejne drogie ubrania, zamawiając rzeczy, których niemal nie poznawała, gdy w końcu docierały do domu. Miałam wrażenie, że widzę kogoś przy automacie w kasynie.

– Znowu bawisz się w superbohaterkę? – spytała zbyt radosnym głosem. – Udało ci się ocalić matkę przed moim złym ojcem?

Opadłam na fotel naprzeciwko niej.

– Harold nie jest na tyle interesujący, by być zły. Po prostu nie jest dostatecznie dobry.

To sprawiło, że podniosła wzrok. Z powodu jasnego światła laptopa oczy miała zupełnie bez wyrazu.

– Chcesz powiedzieć, że tata nie jest dostatecznie dobry dla twojej matki? – Dwa ostatnie słowa wypowiedziała tak, jakby to były wulgaryzmy. – Gdyby nie on, wciąż byś mieszkała w tym swoim wozie. I nosiła dzinsy z Walmartu.

Przyjęłam z podziwem to, że słyszała o Walmarcie, i byłam też zła na siebie, że powiedziałam jej prawdę.

– Nie, zdarzało nam się też mieszkać w ruderach. Albo przyczepach kempingowych. I raz w garażu.

Popatrzyła na mnie.

– Kiedyś tak długo czekałam na burgera z truflami, że zupełnie wystygł – mruknęła. – Tak więc doskonale cię rozumiem.

– Kiedyś stłukła nam się szyba w wozie i Ella zakleiła dziurę plastikowymi sankami i taśmą.

Audrey uśmiechnęła się blado, a jej dłoń zastygła na klawiaturze.

– Kiedyś tata kupił mi łódź i nazwał ją *Audrey*, ale zapomniał o sali balowej, więc zatonąła.

– Kiedyś... – Powrócił do mnie potłuczony, szybki obraz, trzyklatkowy obraz pecha, który wypędził nas z Chicago. Zamknęłam oczy, żeby go odpędzić, a potem gwałtownie wstałam. – Wygrałaś.

Wyraz zaciekawienia zniknął z jej twarzy, spojrzała z pełnym wyższości uśmiechem na laptopa.

– Dobranoc, siostrzyczko – mruknęła, kiedy ją mijalam.

– Dobranoc, Audrey – odparłam zbyt cicho, by mogła mnie słyszeć.

W sypialni Harolda i Elli panowała cisza, kiedy przechodziłam obok. Próbowałam coś z niej wyczytać, ale było trudno przez rzeźbione dębowe drzwi. Skierowałam się do pokoju gościnnego, bo Harold tylko w niewielkim stopniu mnie adoptował.

Co rano zostawiałam kredkę do oczu na umywalce w przylegającej do mojego pokoju łazience. Zostawiałam otwarte książki na łóżku, skarpetki w pościeli, zgniecione w harmonijkę spodnie na podłodze. Wieczorem jednak te rzeczy znikwały i mogłam je znaleźć w szafkach, koszu na pranie czy na półce. Kolejne przebudzenia w mieszkaniu Harolda przypominały mi *Dzień świstaka*. Cokolwiek robiłam, nie mogłam nic zmienić.

Przy myciu zębów unikałam patrzenia sobie w oczy, a następnie wspięłam się na łóżko ze *Ślepym zabójcą*, bo jak nie masz książki, którą lubisz, to lubisz tę, którą masz. Nie mogłam się jednak skupić na słowach i po jakimś czasie wstałam i wyjęłam z kieszeni brudnego fartuszka pióro, grzebień i kość. Trzymałam je przez chwilę na dłoni, a następnie wytrząsnęłam do woreczka z aksamitu, w którym kiedyś trzymałam płytki od scrabble'a. Następnie włożyłam go do torby.

Położyłam się przekonana, że będę tak półśnieć przez dłuższy czas, ale obudziłam się z głębokiego snu, kiedy jeszcze było ciemno. Zanim otworzyłam oczy, wyczułam obecność matki w moim pokoju. Położyła się cichutko obok, a ja przestałam ścisnąć kołdrę, by mogła z niej też skorzystać. Leżałam spokojnie, kiedy pocałowała mnie w policzek. Miała suche usta i pachniała bursztynem.



Jej srebrne westchnienie łaskotało mnie w ucho. Wstrzymywałam oddech, póki udało mi się wytrzymać, a potem obróciłam się w jej stronę.

– Dlaczego on?

Zastygła, jakby spodziewała się ciosu. Nie uderzyłam jej, od kiedy skończyłam dziesięć lat, ale na widok jej reakcji wcisnęłam pięści między kolana. Spodziewałam się, że się wykpi, wykręci, powie, żebym zaczekała, aż będzie widno. Ona jednak nie odpowiedziała.

Obróciła się tylko w moją stronę – jej oczy lśniły słabo, ale znajomo.

– Myślałam, że go kocham – szepnęła. – Naprawdę.

– A teraz?

Położyła się na plecach, długimi palcami skubała kołdrę.

– Dobrze trochę odpocząć, prawda? Po prostu odpocząć.

Cały ten ryk, który we mnie narastał – ten mężczyzna w kawiarni, jego książka, pióro, grzebień, kość – przycichł nagle. Bo przecież Elli należało się trochę spokoju, prawda? Spokoju w mieście tak gęstym i jasnym, że jego światła zjadają pecha, tak jak ciemność.

Niewypowiedziane słowa zakwitły w moim gardle, a potem obumarły. I zdecydowałam, że dam jej jeszcze jeden dzień. Jeszcze trochę odpoczynku przed wiadomością, że dopadła nas stara klątwa w formie, którą nie do końca rozumiem.

Leżałyśmy cicho w ciemności przez jakiś czas, a potem obie zapadłyśmy w sen.



## 4

Na powierzchnię snu wypchnęło mnie pragnienie dobrej kawy. Kiedy otworzyłam oczy, Elli nie było obok.

Najlepszym powodem, by się obudzić pierwszemu u Harolda, było to, by móc skorzystać z pustej kuchni. Wciąż czułam się u niego gościem, więc wolałam się przekradać z miejsca na miejsce. Parę minut po tym, jak nalałam sobie kawy, do której dodałam mleka i miodu, w kuchni pojawił się Harold w nienagannie pozapinanym trzyczęściowym garniturze, jakby chciał w ten sposób nadrobić to, że widziałam go wczoraj w negliżu. Podniósł wymownym gestem mleko z blatu i schował je do lodówki.

– Korzystam z niego – powiedziałam, opierając się o wyspę kuchenną i uspokajając furię haustem kawy.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Kawa hamuje wzrost – mruknął w końcu. – Chcesz przez całe życie wyglądać jak dwunastolatka?

Trzasnęłam kubkiem w blat, ale on już wychodził z kuchni. Miałam ochotę rzucić w niego kubkiem, ale dopiłam tylko jednym łykiem gorącą kawę. Potrzebowałam tego. Rudzielec powrócił do mnie w snach, widziałam jego twarz przez zaparowane okno, słyszałam głos w słuchawce telefonu. Sny połączyły się z tym, co widziałam w Salty Dog, aż wszystko to wydało mi się zupełnie nierealne. Z pewnością pozostały mi tylko pióro, grzebień i kość.

Kiedy usłyszałam ostry głos zbliżającej się Audrey, chwyciłam baton granola z mojej półki w spiżarni Harolda i wymknęłam się z kuchni. Wystarczyła mi jej obecność w drodze do szkoły – trudno wtedy było przewidzieć, z jaką Audrey będę miała do czynienia. Może będzie mnie ignorować, może będzie bez przerwy gadać o jakiejś złotej zasadzie dziewczynskiego kodeksu, którą złamała jedna z jej przyjaciółek. A może zechce mnie ukarać za wczorajszy wieczór i za niedokończony odwrócony rytuał tworzenia siostrzanych więzi.

Ja wychodziłam wcześniej, co było starym nawykiem palaczki. Audrey pojawiała się o ósmej trzydziści pięć i obie wsiadałyśmy do czarnego wozu Harolda.

– Tata wziął dziś wolne – powiedziała do swojej komórki, w którą wklepywała tekst długości biblijnego passusu. – Wiesz, co to znaczy?

– Tak?

– To znaczy – powiedziała, zniżając głos do szeptu – już wkrótce rozwód.

Głowa opadła mi na skórzane oparcie w samochodzie i czekałam, aż poczuję smak zwycięstwa. To jednak się nie pojawiło. Miałam natomiast ochotę się spierać.

– Przecież dopiero się pobrali. I co ma do tego jego urlop? Czyżby rozwodzili się już teraz?

Westchnęła ciężko i z niechęcią, jakby nie miała ochoty na kontakty ze mną.

– Dzisiaj dzwoni do doradcy małżeńskiego. Zawsze tak robi, żeby mieć przekonanie, że się starał. Jeśli historia rzeczywiście lubi się powtarzać, to za pół roku zostawi twoją matkę choćby dla tej doradczyni. Zresztą to nieważne. Albo Ella zrezygnuje pierwsza, albo on znajdzie sobie kogoś, bo jest od tego uzależniony. Jest przewidywalny jak pieprzona książka. Więc nie zachowuj się tak, jakbym gadała bzdury. – Oddychała ciężko i patrzyła na swoją komórkę, jakby chciała ją zabić.

Przez chwilę myślałam, a potem wysunęłam rękę z uniesionym małym palcem.

– Nie przejmuj się, Audrey. Zawsze będziemy siostrami. Przysięgam.

Zaśmiała się przez nos i nie odwzajemniła mego gestu.

– Jasne! Będziemy się ciągle widywać. Pomogę ci usuwać pluskwy z nowego mieszkania.

– Myślisz, że lęgną się w kartonowych pudłach?

– Dobre pytanie.

Jej telefon się odezwał, więc zaczęła odpisywać. A ja zanurzyłam się w mdłościach, związanych z rozwodem mamy.

Doskonale wiedziałam, że to małżeństwo nie ma przyszłości. Harold zupełnie nie nadawał się na jej męża. Te jego książki, brak elastyczności, obsesja na punkcie tego, co inni mogą powiedzieć – wszystko to stanowiło zaprzeczenie Elli.

Ale czasami na początku ich małżeństwa przyjeżdżałam do domu i zastawałam ich objętych na kanapie. On nie miał krawata, ona była boso. Kiedy całował ją w czoło, ona odwracała do niego brodę niczym słonecznik. Gdy to widziałam, było mi jednocześnie gorąco i zimno, jakbym się pociła w zimowej kurtce. Teraz między nimi panowało napięcie, ale co jakiś czas ustępowało przed czymś osobistym, co szybko się wypalało. Chociaż od początku było jasne, że ten związek nie przetrwa, Harold był kimś, kogo Ella potrzebowała. Nie tyle dla mnie, dla siebie.

Zwaliło się na mnie poczucie winy, ale strząsnęłam je z barków.

Telefon Audrey znowu się odezwał niecierpliwie, a to, co wyczytała z pełnego błędów i emotek tekstu, sprawiło, że głos jej stwardniał:

– Żebyś wiedziała, że tata nigdy nie był żonaty krócej niż rok, więc twoja matka musiała tu wykazać dużą pazerność.

Spojrzałam na nią stanowczo. Moje poczucie winy przekształciło się w wystudiowaną wściekłość. Poczula zmianę i jej dłonie zatrzymały się gwałtownie na ekranie komórki.

Kiedys pewnie użyłabym słów, których ostrze weszłoby w nią bez przeszkód tam, gdzie była najślabsza: w miejsce, gdzie kończył się jej podkład, a zaczynał trądzik, w bezceremonialne uwagi jej ojca o za ciasnych džinsach, w uczucia związane z jej własną, nieobecną matką, która jednak wciąż kasowała co miesiąc Harolda, a potem bym ją wypatroszyła.

Ale nie mogłam tego zrobić bez głosu Elli w uszach, ciężaru jej ciepłych rąk na moich barkach. Weź oddech pełen światła, Alice. Wyrzuć z siebie gniew.

Nie znosiłam tych hipisowskich głupot.

– Żebyś wiedziała – zaczęłam miłszym głosem, niż pragnęłam. – Ella nigdy wcześniej nie chodziła z facetem, który miałby coś więcej niż motor. Dlatego ta pazerność nie wychodzi jej przy pierwszej próbie.

Audrey zrobiła taką minę, jakby moja głupia odpowiedź była do zaakceptowania, a następnie zajęła się swoją komórką, używając jej jak lusterka.

Oto związek mojej mamy i ojca Audrey w trzech aktach.

Akt I. Harold zauważa Ellę w odległej części pokoju na przyjęciu. „Myślałem, że jest jedną z nas” – powtarzał dobrotliwie. „Nie myślałem, że to kelnerka”. Właśnie na tyle był czarujący.

Kiedy morze ludzi między nimi się rozstało, zauważył, że ma na sobie czarny strój osoby z obsługi i że na poziomie talii trzyma tacę. Powiedziała, że jeśli trzyma się ją wyżej, wówczas mężczyźni mają pretekst, by zajrzeć w jej biust.

Harold zjadł ciasto szpinakowe i poprosił, żeby zapisała swój numer na serwetce. Ella go posłuchała. To jest ten fragment pierwszego aktu, którego wciąż nie rozumiem. Czy spodobał jej się jego akcent z New Jersey? Może włosy z torsu, widoczne przy rozpiętej koszuli? Zwykle wydaje mi się, że raczej drogi zegarek, lśniący na jego ręce, a jeśli jestem mniej złośliwa – to jego oczy. Miały głęboke, melancholijny odcień błękitu, obiecujący coś ciekawego, nawet jeśli ta obietnica miała się nigdy nie spełnić.

Akt II. Pierwsza randka. Ella wyszła z naszego mieszkania o ósmej, żeby wypić z Haroldem drinka, i okazało się, że na dole czekał na nią samochód. Drink zamienił się w kolację, a ta w więcej drinków i pijacki telefon o drugiej nad ranem, że wróci dopiero rano. Takiej Elli nie znałam, od kiedy skończyłam dziewięć lat, kiedy to bosa wjechała pewnej spokojnej sierpniowej nocy motocyklem swego chłopaka prosto do błotnistego stawu. To ją naprawdę wystraszyło – zaczęła mieć obsesję „a gdyby Alice siedziała z tyłu”, o której powiedziała mi dopiero później. Przysięgła więc sobie, że będzie wracać do domu mniej więcej trzeźwa i przed północą.

Z randki z Haroldem wróciła prawie dobę po tym, jak wyszła, w dodatku bosa, co zawsze stanowiło zły znak, i w męskim płaszczu narzuconym na sukienkę. Powąchałam go, kiedy nie patrzyła. Czuć go było pijanymi biznesmenami, którzy za mocno przyciskali się do mnie w metrze, kiedy jeździłam nim o niewłaściwych porach. Potrząsnęłam głową. Biedny Harold. Ella połknie go żywcem.

Akt III. Huraganowy podryw. Wspaniałe piętnastodaniowe menu. Weekendy w Hampton. Dziwna popołudniowa herbatka ze mną i Audrey. I oczywiście brzemienna w skutki randka w operze, która zaczęła się od tego, że przysłał jej suknię.

– Jest tak tandetna, że chce mi się rzygać – powiedziałam.

– Będziemy mogły ją zastawić, jeśli mi nie wyjdzie – odparła, wygładzając materiał na biodrach. W jej oczach pojawiły się zabawne błyski, kiedy przeglądała się w lustrze. Pomyślałam o tym później, kiedy wróciła do domu, a na jej palcu pojawił się drugi błysk – pierścionka z klejnotem tak wielkim jak Ritz.

Moje wspomnienie tego wieczoru jest poszarpane, a ekran pamięci cały w strzępach. Błysk pierścionka utkwiał w moich oczach niczym odłamek diabelskiego kamienia i gniew wziął górę. Pamiętam bladą twarz Elli, kiedy zatrzasnęła mi przed nosem drzwi do łazienki, i drzazgi z taniego drewna, gdy w nie kopnęłam. Następnego dnia czułam miodową whisky w gardle, podrażnionym narastającym krzykiem, w oczach zaś zapaliło mi się mętne światło, kiedy zauważyłam, że nie zdjęła pierścionka.

Osoba, która wyszła za Harolda półtora miesiąca później, nie była moją matką. A kobieta, która teraz sprawiała, że czułam się fatalnie? To właśnie znana mi Ella, która budziła się z głębokiego uspienia.

Kierowca Harolda zatrzymał się przed Whitechapel, a mój żołądek rozpoczął swoją zwykłą jazdę. Audrey wsunęła swój telefon do torby, wysiadając z samochodu tak szybko, że została wchłonięta przez bogate dziewczyny w chwili, kiedy moje stopy dotknęły chodnika.

Całe moje życie spędziłam jako nowe dziecko, przy matce. Nie miało znaczenia, czy zaczynasz naukę w siódmej klasie gdzieś w Podunk, czy w szkole podstawowej w Whitechapel, na Upper East Side, za którą zapłacił mi Harold. Uczniowie wszędzie byli tacy sami: koteryjni, łatwo osądzający, niechętni, by zrobić coś samodzielnie.

Mój poniedziałkowy poranny spleen barwiło jeszcze coś w rodzaju strachu. Myślałam, że spotkam rudzielca. Przerwał on zasłonę, która oddzielała mnie od tamtego dnia z dzieciństwa, przypominającego sen. Teraz, gdy się już pokazał, może być każdym – choćby tym mężczyzną, który udaje, że patrzy na swoją komórkę na rogu Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Albo biegaczem z kubkiem ze Starbucksa. Może kiedy wejdę do sali, on będzie udawać, że akurat ma zastępstwo, i zacznie nam czytać ze swojej zielonej książki. Przesunęłam rękami po spódnicy od mundurka i odetchnęłam.

W pierwszej części dnia miałam zajęcia komputerowe, literaturę średniowieczną, matematykę,

a potem lunch. Jeśli idzie o te zajęcia, to byłam w nich po kolei: dobra, świetna, słaba i okropna. Po lunchu miałam zajęcia teatralne z Audrey i jej szajką przyszłych Prawdziwych Żon. Ona sama nigdy nie opuszczała tych zajęć, co miało związek z osobą prowadzącego – byłego aktora telewizyjnego z niesfornymi włosami, który chciał, żeby zwracać się do niego po imieniu: Toby.

Tym razem jednak jej nie było. Dzięki temu przynajmniej raz mieliśmy odpowiednią liczbę osób, by móc w parach przećwiczyć zakończenie.

A kiedy Toby zaczął wymachiwać ramionami w sztruksie, chcąc przemieszać pary, miałam przecucie, że trafię na Ellery'ego Fincha.





## 5

Wszyscy w Whitechapel byli bogaci, ale nikt nie mógł się równać z Finchem. Dawniej, kiedy Audrey jeszcze się wydawało, że może na mnie zrobić wrażenie, pokazała mi w Google’u najlepszych i najinteligentniejszych, czyli najbogatszych uczniów szkoły. Znalazła zdjęcie młodszego, bardziej sztywniackiego Fincha na jakiejś wyszukanej imprezie, wciśniętego między dziewczyny: jedną o wyglądzie srebrnego lisa oraz drugą piękną, ciemnoskórą, z naszyjnikiem, który wyglądał jak łańcuch z gwiazd ninja i na pewno bardzo spodobałby się Elli.

Finch był niemal tak niski jak ja i chudy, otoczony aurą elektryzującej energii. Włosy rosły mu we wszystkich możliwych kierunkach, miał kofeinowe, szybkie oczy w odcieniu brązu o parę tonów jaśniejszym niż jego karnacja. Ubierał się trochę jak Bob Dylan na starych zdjęciach: robocze buty, spodnie z wysokim stanem. Nie miałam pojęcia, skąd wytrzasnął aż tak wydłużone spodnie od mundurka.

Nic z tego nie miałyby dla mnie znaczenia, gdyby nie jedna rzecz – Finch wiedział, kim jestem. Większość ludzi nie wie, a gdyby nawet wiedzieli, to mieliby to gdzieś. To, że byłam zapomnianą wnuczką pomniejszej, choć niegdyś znanej autorki niewiele znaczyło, zwłaszcza w szkole, w której za odpowiednią opłatą można się było zapisać na lekcje nauki gry na gitarze z gwiazdą popu, ojcem któregoś z uczniów. Takie już miałam szczęście, że jeden z nielicznych zagorzałych fanów Althei Proserpine chodził właśnie do Whitechapel i zdołał jakoś dokopać się do informacji na mój temat. Finch dopadł mnie przy szafce, zaraz po tym jak zaczęłam szkołę.

– Jesteś Alice Proserpine, prawda?

– Kto ci powiedział?

Finch się rozpromienił. Widziałam go wcześniej i chociaż był dość fajny, w tym momencie chciałam zrobić coś, żeby się przestał uśmiechać.

– Audrey. No, może niekoniecznie powiedziała. – Wykonał przy tym gest, który miał znaczyć, że mikry wzrost i wygląd Dylana powodują, że Audrey prędzej zrobi zakupy w JCPenny, niż pozwoli, by ktoś ją przytępał na rozmowie z nim. Miał rację.

– Nazywam się Alice Crewe – rzekłam cicho, patrząc przez jego ramię.

Ponieważ nazwisko Proserpine było śmieszne i w dodatku wymyślone przez babkę, mama pozwoliła mi wybrać dowolne, jakie mi się spodoba. Zrobiłam to w wieku lat ośmiu, po przeczytaniu *Małej księżniczki*.

Skinął głową.

– Rozumiem. Proserpine to za dużo, powinienem się domyślić. Sam nazywam się tak naprawdę Ellery Oliver Djan-Nelson-Abrams-Finch. – Zauważył moją przerażoną minę. – Powaga. Wszyscy pytają, co się dzieje, kiedy pobierają się ludzie z podwójnymi nazwiskami. Ano właśnie to. Wszyscy mówią do mnie Finch.

Mijający nas uczniowie kiwali Finchowi głową i jednocześnie patrzyli taksująco na nową, czyli na mnie. Powinam się do tego przyzwyczaić, ale się nie przyzwyczaiłam.

– Fajna historia, Finch – powiedziałam bardziej zjadliwie, niż zamierzałam.

Zamrugął, ale nie odszedł.

– Książka twojej babki jest naprawdę wyjątkowa – powiedział ciszej. Znałam ten ton prawdziwego wyznawcy Althei.

Poczułam się nieswojo. Poczułam też coś jeszcze, ukłucie zazdrości, któremu nie chciałam się bliżej przyjrzeć.

– Nigdy jej nie widziałam – wyrzuciłam z siebie, zamykając z trzaskiem szafkę. – Wiesz o niej pewnie więcej niż ja.

Nie miałam pojęcia, czy tak rzeczywiście było. Najgorsze, że najprawdopodobniej wiedzieliśmy mniej więcej tyle samo i to z tych samych źródeł – pomijając to, że on przeczytał książkę. Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, przepchnęłam się przez tłum i ruszyłam dalej.

To powinna być nasza ostatnia rozmowa, ale Finch miał tę właściwość, że ciągle się gdzieś pojawiał.

Najpierw zobaczyłam go w parku, jak biegł w sztruksowej kurtce. Zaczęłam się zastanawiać, czy ucieka przed napastnikiem, ale zaraz dostrzegłam żenujące białe adidasy i zrozumiałam, że dzinsy i ta kurtka to jego strój sportowy.

– Alice! – ryknął, mijając mnie. Głos miał szczęśliwy, a jego włosy eksplodowały spod słuchawek.

Tydzień później natknęłam się na niego w księgarni przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Przypominało to zły film: wyciągnęłam z półki gruby, wytarty egzemplarz Yeatsa i nagle okazało się, że mam przed sobą kawałek Fincha w tej szparze. Gryzł paznokiec kciuka, czytając Patti Smith.

Po raz trzeci zobaczyłam go przecnicę od Harolda, pod daszkiem restauracji z otwartymi długimi oknami, by wpuścić lato do środka, i mnóstwem bogaczy siedzących przy stolikach z marmurowymi blatami. Był z ojcem – jak wiedziałam z Internetu – oraz wychudzoną kobietą ze ściętymi na pazia blond włosami, która kroїła nożem do mięsa *crème brûlée*. Złapał mój wzrok, zanim zdążyłam go odwrócić. Dopadł mnie w trzech susach i zaczęliśmy iść razem.

– Uratowałaś mnie – powiedział. – Zaczynałem już tam lewitować. Zaczynałem się zastanawiać, co jeśli przez resztę życia będę musiał patrzeć, jak moja macocha przez czternaście minut je jeden kęs deseru, a wszystkie moje wcześniejsze wspomnienia świata są tylko matriksem. Cześć, Alice.

– Cześć – rzuciłam podenerwowana. Wracalam właśnie z pracy, miałam okruszki na koszuli, a włosy posklejane potem.

– Pachniesz kawą – zauważył, kiedy dotarliśmy na róg ulicy. – Wspaniale. – Popatrzył z takim żalem w stronę restauracji, że zachciało mi się śmiać. – Dobra, powinienem wracać.

– Do dziobania w deserze?

Na moment uśmiechnęły mu się również oczy. Pojedyncze lśnienie pośród ciemnych wód. Potem obrócił się i ruszył z powrotem.

Po tym zdarzeniu czekał przy mojej szafce z jedną stopą podniesioną, jak na filmach z lat osiemdziesiątych.

– Crewe – mówił, kiwając głową, a potem czekał, aż przewalę książki. Kiedy kończyłam, brał tę z góry mojego stosu, odprowadzał mnie do klasy i wręczał mi ją, jakby to był jego prywatny żart. Jego akceptacja stała się zbroją. Nie byłam już dziwaczną siostrą przyrodnią Audrey, ale... kimś Fincha. Podopieczną?

Przyjaciółką?

Nie chodziło o to pierwsze, ale coś w rodzaju. Mało rozmawiałam z ludźmi ze szkoły. Nie znaczy to, że nie próbowali – zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce adoptować nową. Jestem niska, mam blond włosy i ciemne oczy, które wydają się zdziwione, póki nie wpadnę w złość.

– Ładna z ciebie koteczka – powiedział do mnie raz nauczyciel tak cicho, że nikt tego nie słyszał.

To był mój pierwszy tydzień w pierwszej klasie w Nashville. Te słowa i sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawiły, że zadrżałam, a one weszły niczym trucizna pod moją skórę. Jedyнным sposobem, by je wytrawić, było wylanie gorącej kawy z termosu na klawiaturę jego komputera. Nigdy mi tego nie udowodniono, a ja nigdy nie przestałam nienawidzić dysonansu między tymi słowami a tym, co widziałam w lustrze, i związanymi z tym moimi doznaniem.

Ale z Ellerym Finchem wyglądało to inaczej. Za bardzo nasiąknęłam bajkami i pechem, który pojawiał się tak regularnie, by wierzyć w przypadki. Coś... łączyło mnie z Finchem. Nigdy nie docieklam, co to może być, ale przywarły do niego jakieś znaczenia. Może chodziło o Altheę albo o to, jak ciągle przecinały się nasze ścieżki, jakbyśmy byli łyżwiarzami, którzy wciąż wykonują ósemkę. A może chodziło o to, by znowu zobaczyć światło w jego oczach. Ta możliwość sprawiała, że robiło mi się gorąco.

W sali okazało się, że miejsce Audrey jest wolne. Było to dziwne, zawsze chodziła na zajęcia teatralne, ale przyjąłam to jako dar od wszechświata. Audrey potrafiła odnajdywać słabe punkty ludzi i wtykać w nie swoje pazurki. Lubiła patrzeć na mnie i Fincha, jakby to był program telewizyjny.

Moje złe przeczucie się sprawdziło – Toby znalazł dla mnie parę, a potem mrugnął do mnie, tak że aż mi się zrobiło gorąco ze wstydu, za siebie, ale też za niego. Nauczyciele, którzy śledzili sympatie uczniów i próbowali ich swatać, byli równie żałośni jak ci, którzy dawali się manewrować mocno umalowanym nastolatkom.

Chcąc ochłonąć, udawałam, że szukam czegoś w torbie, a potem podeszłam do Fincha. Patrzył na mnie, zginając okładkę *Szklanej menażerii*.

– Hej, Crewe.

– Cześć – odparłam.

– Chcesz czytać Laurę czy ja mam to zrobić?

Nie znosiłam Laury Tennessee Williama. Za bardzo przypominała mi postać z bajki. Nie z takiej jak mojej babki – jej kobiety były żądne krwi. Nie, Laura była najgorszym typem piękności z bajek braci Grimm: odgradzoną od świata, cichą, czekającą na faceta, który ją ocali. Pewnie nawet wyglądała tak jak ja.

– Czytaj Laurę – rzuciłam.

Przez następny kwadrans czytaliśmy razem. Był w tym zadziwiająco dobry. Większość z nas się nie starała, a ci, którzy to robili, starali się za bardzo, mówiąc sztucznym scenicznym głosem. Brało się to ze szkolnych mitów na temat tego, że Toby jest ukrytym poszukiwaczem talentów. Warto było choćby usłyszeć Audrey, jak odgrywała rolę Maggie the Cat.

Kiedy odezwał się dzwonek, Finch uniósł rękę w przesadnym geście, jakby sam z siebie żartował. To było w jego stylu. Wszystko, co robił, było podszyte ironią. Jakby chciał zacząć śmiać się z siebie, zanim ktokolwiek inny to zrobi. To, że wszędzie byłam nowa, sprawiło, że stałam się antropolożką ze specjalizacją „Nastolatki w USA”, więc widziałam już takie typy. Widziałam wszystkie możliwe typy.

Zawahałam się, ale potrząsnęłam głową.

– Powinniśmy się kiedyś umówić – powiedział, próbując jeszcze czegoś. – To znaczy, poza szkołą. Co ty na to?

Cofnęłam się, a mój umysł przypominał akwarium wypełnione powodami, by odmówić. Ella mnie potrzebowała. I tak miałyśmy wkrótce stąd wyjechać. I ten pech. Może Elli wydawało się, że zasnęła, ale po wczorajszym wieczorze jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Jednak Finch wyglądał na zdenerwowanego. W jego głosie słychać było drżenie, coś, co sprawiało, że ostatnie słowo miało jakby wydłużoną sylabę. Jego przyjaciele patrzyli na niego od drzwi: chudy jak tyczka chłopak, którego imienia nie mogłam zapamiętać, bo było jednym z niewielu normalnych w szkole – Mike? Mark? – oraz Astrid, która patrzyła na mnie z wyraźnym żalem.

– Tak – powiedziałam. – Dobrze.

Uśmiechnął się i cofnął parę kroków z dłońmi wbitymi w kieszenie spodni. Obrócił się, kiedy jedna z przyjaciółek Audrey przeszła obok, śmiejąc się tak, bym wiedziała, że wszystko słyszała. Zignorowałam ją i pokazałam Finchowi głową, że powinien się zbierać, a potem sama zmieszana zaczęłam niezgrabnie zbierać swoje rzeczy.

Czy to już wszystko? Ta myśl przyfrunęła do mnie jako fragment piosenki. Coś między nami, poczucie, że nie jest to oczywiste, ale połyskuje gdzieś na peryferiach mojego pola widzenia, coś w rodzaju tajemnicy. Czyżbym się zadurzyła? Czy mogło to być coś równie głupiego? Czy pójdziemy teraz na kawę? Czy weźmie mnie za rękę?

Przemyślałam krótką historię naszej znajomości – to, że byłam chamska, a on zabawny, nasze ciche spacerowanie korytarzem – i nagle zaczęła się na mnie zaciskać niczym spocone palce myśl, że może chcieć ode mnie czegoś więcej, czego nie byłam gotowa mu dać.

Słyszałam jednak o Finchu coś, jeszcze zanim się poznaliśmy, coś, co w szkołach takich jak Whitechapel przechodzi do obiegu poprzez osmozę. Dlatego przestałam próbować go odstraszać, zanim pojawili się inni, lepsi. Chodziło o ojca Fincha i jego nową żonę. O matkę Fincha, jakieś proszki, wannę. Jego matka była trochę sławna w pewnym środowisku, dlatego mówiło się o jej śmierci.

Myślałam wtedy o tym, jak jego oczy gasły niemal całkowicie, kiedy się nie uśmiechał czy nie śmiał, i o tym, że prawie nikt nie uśmiechał się i nie śmiał tyle, co on. Wtedy zastanawiałam się, czy nie jesteśmy troszkę do siebie podobni. Czy nie zachowujemy się tak, jak musimy, by przetrwać, ukrywając coś, co stanowiło tajemnicę nawet dla nas samych.



## 6

Po szkole snułam się po chodniku, czekając na Audrey. Nie przyszła, nie pojawił się też samochód. Sprawdziłam komórkę, wpisałam pół tekstu i go wykasowałam. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej straszliwie możliwe, że za moment ze szkoły wyjdzie Finch i mnie zobaczy. W końcu ugięłam się przed tą obawą i ruszyłam przed siebie.

Najpierw usłyszałam silnik, który brzmiał jak zepsuty wiatraczek, a potem zobaczyłam rozklekotaną żółtą taksówkę, jadącą wolno obok mnie. Miała wielki zderzak, co przywodziło na myśl samochody ze starych gangsterskich filmów. A przy jej lusterku wisiała prawdziwa pluszowa kostka.

Serce zabiło mi mocniej, ale kierowca miał ciemne, a nie rude włosy. Był to niewiele ode mnie starszy chłopak, który sięgnął, by otworzyć szybę po stronie pasażera.

– Podwieźć cię? – Spojrzał na mnie spod daszka czegoś, co można jedynie nazwać taksówkarską czapką.

Nowojorscy taksówkarze nigdy nie zaczynali w ten sposób rozmowy. Pytali raczej mechanicznym głosem: „Gdzie idziesz?”, a jak nie spodobała im się odpowiedź, kręcili tylko głową i odjeżdżali.

– Nie, dzięki – odparłam.

– Jesteś pewna? – Spojrzał na mnie cwanyimi brązowymi oczami. – Twój wóz chyba nie przyjedzie.

Sposób, w jaki to powiedział, uruchomił dzwonki alarmowe w zapuszczonej części mojego mózgu. Tej, która każe nam zawrócić, kiedy idziemy w nocy jakąś ulicą, albo się przesiąść w metrze, gdy widzimy jakiegoś świra.

– Nie czekałam na wóz – skłamałam.

– Ale może jednak skorzystasz z mojego?

Spojrzałam wprost na niego, na jego ciemną, pociągłą twarz i kpiące oczy i poczułam zawroty głowy, które spłynęły po moim ciele w dół aż do stóp. Nigdy wcześniej go nie spotkałam, ale go znałam. Nie wiedziałam tylko, skąd i dlaczego. Mówił do mnie tak, jakbyśmy się znali, i powrócili do jakiejś przerwanej rozmowy.

Cofnęłam się. A potem jeszcze i jeszcze, aż zaczęłam biec ulicą z torbą, która objęła się o moje

nogi. Stara kobieta w futrze i z perłową szminką na ustach próbowała się skrzywić na mój widok, ale botoks odebrał temu siłę wyrazu. Minęłam wianuszek turystów, którzy chcieli sfotografować wielkie ciastko, które miało przedstawiać Ciasteczkowego Potwora. Dotarłam do rogu ulicy i chciałam biec dalej, ale tuż obok przejechał piętus – tak blisko, że rozwiął mi włosy. Żołądek mi się ścisnął, a chłopak w autobusie pokazał mi faka. Jeszcze chwila, a byłby ze mnie naleśnik.

Przeszłam przecnicę na nogach jak z waty. Czulałam się jak wtedy, kiedy furgonetka potrąciła mój rower, a ja wylądowałam na zaparkowanych samochodach. Ella rzuciła wtedy papierosa, wskoczyła na leżący rower i wrzeszcząc z całych sił, pojechała za furgonetką. Krwawiąc w trzech miejscach, patrzyłam na nią, zadowolona, że wie, iż wolę odwet niż pociechę.

Złapałam oddech, ale usta miałam potwornie suche. Kupiłam wodę w kiosku i zaczęłam czytać nagłówki, kiedy sprzedawca wydawał mi resztę. „Senator w ogniu pytań po skandalu finansowym”. „Powiązania między zabójstwami na północy stanu”.

Sprzedawca plasnął opaloną łapą po gazetach.

– Nie kupujesz, nie czytasz.

Przewróciłam oczami, wzięłam wodę i ruszyłam w stronę parku. Nagle zapragnęłam być w domu z Ellą. Musiałam jej opowiedzieć o tym taksówkarzu, autobusie, rudzielcu. Powinnam porozmawiać z nią wczoraj wieczorem. Niecierpliwość sprawiła, że przebiegłam ostatnią przecnicę, a to wszystko, co miałam jej do powiedzenia, nabrzmiewało niczym hel w mojej piersi.

Zewnętrzne drzwi apartamentowca Harolda były lekko uchylone, a strażnik gdzieś się oddalił. To połączenie sprawiło, że się zawahałam, co było głupie, bo dookoła było chyba milion kamer skierowanych na chodnik i wnętrze, a do prywatnej windy, która wiozła wprost do mieszkania Harolda, można było wejść tylko ze specjalnie zakodowaną kartą.

Czulałam mrowienie na skórze, byłam zdenerwowana. I coś jeszcze – czulałam ciężar pecha – tak znajomego, jak zapach Elli – który znowu zaczynał naciskać. Pomyślmy o dłoni na naszym ramieniu, która sprawia, że wszystkie włoski na nim stają dęba. O tym, że każde pomieszczenie, do którego wchodzimy, wygląda na właśnie przed chwilą opuszczone.

Może Ella już zaczęła pakować nasze rzeczy. Wyobraziłam sobie jej powalaną farbą walizkę otwartą na wielkim łóżku Harolda. Może do wieczora nie będzie nas już w Nowym Jorku i to wszystko: Audrey, Harold, Finch i Salty Dog z biscotti oraz życie w apartamencie, który pachnie jak dom towarowy, stopi się niczym kolory na palecie w jedną szarość. Zapamiętam to uczucie, które towarzyszy otwieraniu kawiarni o szóstej, jedzenie zamówionej chińszczyzny w łóżku na Brooklynie i czytanie *Tam Lin* w Prospect Parku. Autostrada pochłonie wszystko inne.

Drzwi windy otworzyły się i weszłam do przedpokoju apartamentu Harolda.

Najpierw uderzył mnie zapach. Wilgotny, niemal zgniły, z czymś dzikim i zielonym w tle. Poczulałam go wyraźnie, to on sprawił, że serce zaczęło mi walić jak młotem.

– Halo? – Apartament był opresyjnie cichy, cisza napierała na moje bębenki uszne. Mój głos pograżył się w niej niczym w czarnej wodzie. Przeszłam parę kroków korytarzem ze ścianami w kremowych kolorach i posadzką z marmuru. Ani jednej plamki.

Ale ten smród. Skąd pochodził? Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do mamy. Natychmiast włączyła się poczta głosowa. Zadzwoniłam do Harolda – to samo. Po minucie niechętnie wybrałam numer Audrey.

Ciszę przeszył jakiś cukierkowy popowy utwór. Dzwonek Audrey. Ale przecież nigdy nie widziałam jej bez telefonu. A potem przypomniałam sobie, że w ogóle jej nie widziałam od rana. W mojej głowie zaczęły się pojawiać kolejne straszne możliwości – czyżby nie żyła? Czy stąd brał się ten smród? Czyżby pech dotarł w końcu tu, na trzydzieste piąte piętro? Poczulałam w członkach stare obawy.

Przeszłam ostrożnie przez apartament, jakby to mogło mnie ocalić przed czymś, co już tam było. W pomieszczeniach wyczuwało się czyjaś upiorną niedawną obecność, która przywodziła mi na myśl nasze dawne mieszkanie, do którego się włamano. Intruz pozdejmował z półek wszystkie książki, a na ich miejsce powstawał jedzenie z lodówki. Nawrzucał do łóżka zeschniętych liści i stłukł lustro. Nie zabrał niczego cennego, ale przybił nad łóżkiem futro, jakby to było martwe zwierzę, i przebił je nożem.

Nasza gospodyni powtarzała jasnym, fałszywym głosem, w którego szczerość nikt nie wierzył, że ma prawdziwe szczęście, iż nic nie zginęło. Najgorsze było to, że zaczęłam patrzeć na dom oczami kogoś, kto nie powinien w nim być. Wyobrażałam sobie, jak intruz mógł się czuć w obcej przestrzeni, próbując tych wszystkich dziwnych rzeczy. Sprawiało to, że zaczynałam być głodna. Nie panowałam jeszcze wtedy nad sobą tak dobrze.

Tu jednak wszystko było na swoim miejscu. Żadnego mięsa z kropelkami potu na półce, żadnego futra na ścianie.

Poza tym, że dostrzegłam leżący na boku kieliszek na kuchennej wyspie. Podeszłam na tyle blisko, żeby zauważyć na szkle szminkę Elli. Przez straszną chwilę sądziłam, że znajdę ją leżącą na terakocie, ale była tam tylko plama z wina. Kuchnia była utrzymana w neurotycznej bieli, za którą przepadał Harold, więc wino przywodziło na myśl rzeź.

Pobiegłam do swojego pokoju, a potem do pokoju Harolda. Do tego drugiego niechętnie, nie chciałam patrzeć na wielkie zabytkowe łóżko z Ellą.

Byłam tak pewna, że ją tam znajdę, że potrzebowałam chwili, żeby zorientować się, że jest puste. Na szafce Harolda leżały porządnie poukładane egzemplarze „The Economist” i kindle z – jak sprawdziłam – tasiemcami science-fiction. Po stronie Elli leżał sweter i spodenki, niby ubranie żałobne. Pochyliłam się, żeby sprawdzić poniżej. Nic.

Pokój Audrey wyglądał, jakby Sephora pobiła się z Barneyem, ale było to normalne. Przy komódce z jej bielizną nie przykucnął żaden psychopata, żadnych śladów gnicia, a sok BluePrint stanowił wytłumaczenie przykrego zapachu. Jej różowa komórka leżała na łóżku, a ekran aż pęczniał od sms-ów i nieodebranych połączeń. „Dzie jesteś suko?”

Na koniec poszłam do siebie. Tu smród był najgorszy, zapach zgnilizny i zieleni, jakby ktoś chciał ze wstydem zasłonić rękami mój mózg. Opadłam czujnie na podłogę, gotowa wyskoczyć przez okno, gdybym zobaczyła kogoś pod łóżkiem, ale leżał tam jedynie odkurzony dywan. Szafa była otwarta, a w niej, dzięki Bogu, nie dostrzegłam nic gorszego niż suknia z pierwiosnkami, którą jako druhna włożyłam na ślub Elli i Harolda.

I dopiero wtedy zauważyłam to. Na mojej poduszce leżała koperta. Podeszłam do niej małymi krokami, aż zobaczyłam, co jest na niej napisane wydłużonymi literami: *Alice Proserpine*. Żadnego adresu.

Mój żołądek rozerwał się na kawałki i rozsypał niczym kalejdoskop. Zobaczyłam niewyraźnie, jak moja dłoń unosi list i kieruje go do nosa. Tani atrament, stary papier. Zrobiło mi się gorąco, ale miałam gęsią skórę na ramionach. Rozerwałam kopertę.

Kartka w środku była miękka i wysłużona, złożona na pół. Kiedy ją otworzyłam, miałam dojmujące poczucie *déjà vu*.

To była strona tytułowa, którą wcześniej widziałam tylko raz. Grubymi literami wypisano: *Alice-Trzykrotka*. Wokół znajdował się wzorek, który przywodził na myśl lód. Jedna strona kartki, ta, którą wydarto z książki, była postrzępiona.





Trzymałam kartkę tak mocno, że ją rozdarłam. Usiadłam ostrożnie na łóżku.

*Alice-Trzykrotka*, historia, której nigdy nie skończyłam. Brzmiało to jak dziecięca wyliczanka, jak coś, co przy zgaszonym świetle mówią do lustra dziewczynki na wieczornym spotkaniu. Lata temu, kiedy pierwszy i jedyny raz trzymałam w dłoniach książkę babki, miałam nadzieję, że noszę imię tej Alice, że ma to jakiś związek ze mną. Teraz modliłam się, by było inaczej.

Usta miałam wyschnięte na wiór. Ten rudzielec musiał tu być – to on przyniósł tę kopertę. Miał egzemplarz książki. Bóg jeden wie, skąd przyjechał, żeby mnie odnaleźć.

Musiałam wyjść z mieszkania. Jego ściany były zbyt blisko i powoli się na mnie nasuwały. We-  
tknęłam kartkę do torby i pobiegłam do windy.

Ochroniarza nadal nie było na dole, więc nie mogłam spytać, czy widział, żeby Ella wychodziła. Zwykle patrzył na mnie tak, jakbym kiedyś przywiozła tu pizzę i już została, więc mogłam go w ogóle nie pytać.

Chodziłam w kółko po holu, wciąż zerkając na ulicę. Ella nie odebrała żadnego z moich trzech kolejnych telefonów. Przeklełam się w duchu za to, że nie mam telefonu nikogo, z kim mogłaby być – jej koleżanek z firmy cateringowej, choć chyba przestały się widywać – i zadzwoniłam raz jeszcze, bezowocnie, do Harolda.

W dzieciństwie miałam obsesję, że mama się przeprowadzi i mnie zostawi. Kiedy strach mi doskwierał tak, że nie mogłam spać, zapinałam się na siedzeniu naszego wozu, żeby musiała mnie ze sobą zabrać w razie nagłej przeprowadzki. Teraz poczułam, że muszę sprawdzić, czy nasz samochód wciąż jest na miejscu parkingowym Harolda.

Harold nie dał Elli kluczy do windy na poziom parkingu – pewnie podobnie jak ja bał się, że ucieknie – ale miał go ochroniarz. Zajrzałam za jego biurko z nadzieją, że go znajdę.

Wielkie koło z masą kluczy leżało obok pojemnika z niedojedzonym sushi. Obróciłam się szybko, spodziewając się, że zaraz wróci z pałeczkami w rękę, ale hol nadal był pusty. Przycisnęłam klucze do koszuli, żeby nie dzwoniły, i na palcach podeszłam do windy na parking.

Spodziewałam się, że ten parking będzie wyłożony marmurem i terakotą, ale przypominał tylko

inne, które widziałam wcześniej: wszędzie niosący echo beton i ulotny zapach spalin. Już z otwartej windy zauważyłam nasz wóz, wciśnięty między mercedesy i bmw. Jakiś pieprzony bogaty dzieciak napisał HUUJ na brudnej tylnej szybie.

Patrzyłam wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że samochód jest na miejscu, by wyostrzyły się cienie w kątach garażu i by poczuć smak kurzu i metalu – co oznaczało pecha. Wróciłam do windy i wciskałam guzik parteru tak długo, aż jej drzwi się zamknęły.

Kiedy wyszłam przed budynek, była prawie piąta i zaczynał się cudowny nowojorski wieczór, który jest jakością samą w sobie. Zapomina się wtedy o śmieciach, kanapkach za dwadzieścia doliców i o tym, jak jakiś facet pokazał ci fiuta w metrze. Wystarczy tylko ta złota poświata na horyzoncie i zapach cukrowanych orzeszków, kiedy ktoś, kto przypomina Leonarda DiCaprio, siedzi, mrużąc coś do iPhone'a. Taka tania zagrywka.

Dzisiaj to na mnie nie podziałało, bo aż buzowałam od adrenaliny, a mój mózg dokonywał wiwisekcji rąbka nowego dziwnego świata, który trudno mi było sobie wyobrazić. Takiego, w którym nie ma mojej matki. Chyba zwariowałam. Od mojego powrotu minęła dopiero godzina. Ale ta dziwna koperta i przerażenie, które we mnie narastało, wskazywały, że mam rację.

Tytułowa strona książki. Czy była ostrzeżeniem? Zaproszeniem? Tropem? Osoba, która ją zostawiła, weszła do mojego pokoju. Jej ręka zawisała nad moją poduszką.

Może to była taka drwina: *Widzę cię i nic, ani zamknięte drzwi czy karty do windy, nie zdoła mnie zatrzymać*. Ale jeśli to był trop, jeśli w tym opowiadaniu była jakaś wskazówka czy wiadomość, musiałam je przeczytać. A było tylko jedno miejsce, gdzie, jak wiedziałam, znajdę egzemplarz *Opowieści z Uroczyska*.

Pobiegłam, zamiast jechać taksówką, bo to było tylko osiem przecznic, a chciałam się pozbyć z członków tej kłującej energii. Wiedziałam, gdzie szukać Fincha, bo jego ojcem był niebiańsko bogaty Jonathan Abrams-Finch, nasz dom przy jego wyglądał jak przytułek, a poza tym dwukrotnie pisano o nim w sekcji lifestylowej „New York Timesa”. Nie żebym miała nawyk czytania o życiu bogaczy, ale Audrey tak, a każda wzmianka o Abramsie-Finchu sprawiała, że zaczynała narzekać, jak to bogactwo marnuje się u takich nieciekawych typków.

Ochrońiarz trochę przypominał naszego, ale był starszy. Na mój widok skrzywił się, stosząc eleganckie siwe wąsy.

– Przyszłam do Ellery'ego Fincha – powiedziałam.

Zmarszczył brwi.

– Do kogo?

Westchnęłam.

– Ellery'ego Djana, ee, coś tam Abramsa-Fincha?

Mężczyzna westchnął, jakbym wbrew jego oczekiwaniom zdała test.

– Czyje nazwisko podać?

– Alice Crewe. Nie, zaraz... Alice Proserpine. Proszę powiedzieć, że to Alice Proserpine.

Mężczyzna podniósł słuchawkę starego telefonu wewnętrznego i wcisnął guzik, a potem przysięgam, że zaczął mówić udawanym brytyjskim akcentem. Przeprosił za to, że przyszłam i istnieję, a kiedy osoba po drugiej stronie powiedziała, że zaraz zejdzie, aż mu wąs obwisł z rozczarowania.

Patrzyłam na windę w stylu art deco, tak piękną, że chętnie pocięłabym ją na bransoletki. Zdążyłam zapomnieć o zajęciach teatralnych, ale teraz powróciły podstępnie: pytanie Fincha. Moja odpowiedź. Dziwaczne podniecenie i równie dziwny związany z tym wstyd. Co sobie pomyśli, gdy mnie tu zobaczy?

Starłam się usunąć wszelki wyraz z twarzy, ale kiedy drzwi windy się otworzyły, wzrok mi się zamglilił z powodu łez. Znajoma twarz Fincha była niczym wyspa dla tonącego rozbitka.

Oczy mu się rozszerzyły i wykonał gest w moją stronę, chcąc być może mnie objąć. Zmroziłam go wzrokiem i weszłam do windy, zanim zdążył to zrobić.

– Dzięki za ee... Mogę na górę?

– Tak – odparł. – Oczywiście, Alice.

Zauważyłam, że lubi używać imion i nazwisk. Tego lub tego albo obu naraz. Być może w prawdziwym życiu było to miłe, ale w bajkach imiona i nazwiska były niebezpieczne. Zastanawiałam

się, czy właśnie dlatego Althea zmieniła swoje na tak bardzo obce. Taka wieś potiomkinowska, na tyle ładna, że nikt nie zechce zajrzeć za jej fasadę.

Zamrugalam, żeby pozbyć się tych bajkowych pajęczyn. To nie książka, a życie. Muszę wziąć się w garść. Drzwi windy zamknęły się, a my znaleźliśmy się zamknięci w jej małym, wykwintnym wnętrzu. Przy ścianie stała ławeczka, wyglądająca na Ludwika XV, a nad naszymi głowami wisiał żyrandol. Żyrandol. W windzie. Finch zauważył, że na niego patrzę, i zaśmiał się, zanim sama mogłam to zrobić.

Moja macocha święcie wierzy w to, że „nie można być zbyt bogatym, zbyt chudym czy za bardzo pokrytym brzydkimi brylantami”. Tak się mówi, prawda? A jeśli nie, to sama to wymyśliła.

Znowu wydawał się zdenerwowany. Widziałam to pomimo strachu i uzalania się nad sobą i dzięki temu poczułam się odrobinę lepiej.

Pomogło też, że nie zapytał od razu, dlaczego stoję chmurna tu w jego stylowej windzie. Tyle razy w życiu przyjeżdżałam gdzieś niezapowiedziana – z uśmiechniętą sztucznie Ellą i walizkami ukrytymi bezpiecznie gdzieś z tyłu – by domyślać się, kiedy ktoś nie życzy sobie mnie widzieć.

Apartament Harolda był najładniejszy z tych wszystkich, które widziałam do tej pory, ale tutaj było zupełnie inaczej. Przypominało to wiejską posiadłość prosto z angielskiego żurnala, w którym pisano też o sezonie na bażanty i kandydatach na małżonków. Można się było niemal spodziewać, że za chwilę pojawi się tu nadąsany pan Darcy.

– W domu nie ma nikogo poza naszą gospodynią – powiedział Finch. – Macocha poszła na rower albo coś takiego, a ojca właściwie nigdy nie ma. Wiesz, nie tak łatwo prowadzić samemu imperium oparte na wyzysku. Spłoszyłam się, ale on nawet się nie obejrzał przy tych słowach. Poszłam za nim po dywanicę ze stylowymi meblami, na widok których Harold zapłakałby z zazdrości. Finch był chyba przyzwyczajony do oprowadzania ludzi po domu, gdyż zaprowadził mnie prosto do widokowego okna. Poczułam się zdezorientowana tym, że nie mam przed sobą deszczowego wrzosowiska, a wczesny wieczór w Central Parku. To sprawiło, że zapomniałam jego nieprzyjemną wypowiedź.

Finch dał mi przez chwilę popatrzeć, a potem się uśmiechał. Znowu był podenerwowany.

– Więc jesteś.

– Jestem.

– Przyszłaś specjalnie... żeby się ze mną zobaczyć?

Przypomniało mi to rozmowę, kiedy chciał się ze mną umówić.

– Nie! Po prostu...

– Przepraszam, żartowałem. Wiem, że nie jestem w tym najlepszy, ale trudno mi się powstrzymać.

Czekał z uwagą, aż zacznę mówić, a ja nagle zapragnęłam, żeby wszystko przebiegało wolniej. Miałam pod ręką komórkę z aktywowanym alarmem, ale apartament Harolda z tajemniczą kopertą wydawał się bardzo daleki. Muszę czekać na telefon Elli, żeby wiedzieć, co dalej. A jeśli dostanę to, po co tu przyszłam, będę musiała działać.

– Mogę prosić o wodę? – rzuciłam.

W jego oczach pojawiła się na moment ciekawość, a potem już zwykły luz. Ten, który dla nas obojga był zbroją.

– Jasne. Może jesteś głodna?

– Tak, potwornie – odpowiedziałam, choć nie była to do końca prawda.

Zaprowadził mnie do kuchni. Jego gospodyni Anna wyglądała jak emerytowana dziewczyna Bonda, a mówiła jak nieemerytowany bondowski czarny charakter. Miała koło sześćdziesiątki i uwijała się niczym kura wokół Fincha, robiąc nam niekończące się cukrowane naleśniczki, które podawała z cierpkim czerwonym dżemem. Nie mówiliśmy zbyt wiele, a przyjemne skwierczenie mieszało się ze słowami, które Anna półgłosem – tak, by nie brzmiało to dziwnie – kierowała do ciasta. Kiedy mieliśmy dosyć, a nasze palce kleiły się od dżemu, przyniosła miseczki do ich obmycia, co wydawało mi się przesadą przy takim improwizowanym posiłku po szkole. Do siódmej oddzieliła nas oboje i wypucowała kuchnię. Pocałowała Fincha w czoło, złapała swoją wielką torbę Mary Poppins i wyszła.

W mieszkaniu rozbrzmiewał szum różnego rodzaju urządzeń i bogactwa.

– Więc – zaczęłam – pewnie zastanawiasz się, dlaczego przyszłam.  
– Więc jednak nie na naleśniki, co? Prawdę mówiąc, bardziej ciekawi mnie nazwisko, które podałaś ochroniarzowi. Proserpine.

– Tak, cóż, mam nadzieję, że pomożesz mi w jednej sprawie.

Głos mi drgnął, a on to zauważył i w milczeniu wbił we mnie wzrok.

– Muszę przeczytać książkę babki i mam nadzieję, że ją u ciebie znajdę.

Zmrużył oczy, lekko zawiedziony.

– Zaraz. Więc nigdy jej nie czytałaś?

– Nie. Próbowałam. Trudno ją zdobyć.

– To prawda, dostałam ją tylko dlatego, że... tylko z powodu jednej rodzinnej sprawy. To była jedyna rzecz, o jaką prosiłem ojca na Chanukę. Chyba posłał po nią jakiegoś stażystę do samej Grecji.

Poczułam taką ulgę, że aż zapiekły mnie oczy.

– Więc masz egzemplarz?

– Miałem. Ktoś go ukradł.

Te wszystkie naleśniczki nagle zamieniły się w kwas w moim żołądku.

– Co? Z tego domu?

– Nie. Prosto z rąk. Mam znajomego, który prowadzi antykwariat z rzadkimi książkami i nigdy nie widział egzemplarza *Uroczyśka*. Nie jestem idiotą, wiem, że to droga książka, więc jadę do niego taksówką, a nie metrem.

„Jesteś też zbyt bogaty na metro” – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Wkładam ją do wolnej od kwasu, plastikowej torby, a w antykwariacie cały czas stoję przy tym znajomym. To bardzo miły starszy facet, poznałem go, kiedy miałem jazdę na pierwsze wydania, ale pewnych rzeczy nie zostawia się bez nadzoru. Więc on wkłada bawełniane rękawiczki i zaczyna przewracać strony, jak na *Indianie Jonesie*, jakby miał z niej wyskoczyć jakiś demon czy co. Robi to cicho jak to kolekcjonerzy, a groza narasta. Nagle drzwi do antykwariatu się otwierają i do środka wbiega jakiś chłopak. Może mieć osiem, dziewięć lat, jest dosyć mały. Chwytam książkę, tak na wszelki wypadek, bo nie myślę, że ten dzieciak mógłby ją zabrać, pewnie w ogóle nie wie, co to jest. Ale ten gówniarz podbiegł do mnie, psiknął mi czymś w oczy – nie gazem, raczej jakimś środkiem czyszczącym – i złapał książkę. Byłem tak zdziwiony, że rozluźniłem uścisk. Pobiegłem za nim, ale było za późno. Chłopak wskoczył do taksówki, która na niego czekała, i uciekł.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Bzdura.

– Niestety nie.

– Dlaczego ukradł akurat tę książkę? Dlaczego taki malec w ogóle wszedł do antykwariatu?

– Myślę, że ktoś mu za to zapłacił. – Przez moment zastanawiałem się, czy mój znajomy z antykwariatu nie maczał w tym palców, ale to przyjaciel – to już by była paranoja. Pomyślałem, że widocznie ktoś śledził nasze maile w tej sprawie. Może w ogóle te wszystkie, w których wspomniano *Opowieści z Uroczyśka*.

– A to nie jest paranoja?

– Racja. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że w to nie wierzę. To... ta książka. Wiele książek wyszło z obiegu, ale można je znaleźć. *Opowieści z Uroczyśka* powinny być we wszystkich bibliotekach, w antykwariatach, na e-Bayu, ale nigdzie ich nie ma. Albo ktoś gromadzi wszystkie egzemplarze, albo... – Znacząco wzruszył ramionami. – Albo coś innego. Nie można nawet znaleźć skanów tej książki w necie.

Miał rację. Powinno coś być – jakieś dodruki, skany, edycje fanów, ale niczego takiego nie można było znaleźć.

Prawie niczego. Miałam czternaście lat, kiedy znalazłam część książki w Internecie, fragment jednej historii.

Mieszkałyśmy w Iowa City, a moje zainteresowanie Altheą było moją największą tajemnicą, jedyną tajemnicą. Przez cztery lata szukałam jej książki w antykwariatach i w necie, przez cztery lata pogardzałam tym, co podsuwała mi Ella, i pochłaniałam tylko bajki. Najpierw te klasyczne, potem

inne. Bardziej dziwaczne, mroczne. Opowieści z całego świata. Wciąż zastanawiałam się, jak bardzo zbliża mnie to do Althei.

Ale też w Iowa moja tajemnica zaowocowała zdradą – w Iowa zaczęłam kontaktować się z fanami Althei.

Fani – to było słowo, które Ella wypluwała niczym pestkę wiśni. Miało to sens – ci, których poznałam: moja nauczycielka angielskiego z szóstej klasy, pokręcony student, który zaczepił nas w Fairwayu w czasie naszego pierwszego pobytu w Nowym Jorku, biograf, który wysledził Ellę i próbował dotrzeć do niej przeze mnie, co było najgorszym możliwym posunięciem – to wszystko były komiksowe postaci, popaprańcy z nieświeżym oddechem i bez własnego życia.

W necie było inaczej. Zetknęłam się tam z fanami, którzy myśleli jak ja – z ludźmi, którzy uwielbiali książkę, albo nie mogli jej nigdzie znaleźć, ale byli zafascynowani Altheą. Jej idea migiała jak ogon komety i zaraz przepadała. Wstawałam z przekrwionymi oczami i głodna, pogrążona tak głęboko w internetowej króliczej norze, kiedy Ella pracowała w barze na deptaku. Wracowała wieczorami, śmierzząc tanim piwem i płynem do zapalniczek, a ja zatrzaśniałam jej laptopa, udając znużenie.

Wierzyła mi, bo byłyśmy ze sobą szczerze. Kiedy nie kłamałyśmy.

Moje wspomnienia z Iowa są tak płaskie jak ten stan – szara wiosna, domy dla mężczyzn, fragmenty dziewczęcości rozrzucone po śmietnikach: błyszczące pantofelki, opaski, niegdysiejsze różowe szorty frotté. Ale jeden wieczór był szczególny, bo skakałam od jednych wiadomości do drugich, z bloga na blog, aż w końcu wylądowałam na stronie DeviantArt z fragmentami książki Althei iluminowanymi niczym Biblia.

Przeciągnęłam palcami po ich pikselach. Były piękne i w większej ilości, niż kiedykolwiek mogłam zobaczyć, pomijając tamto poddasze. Serce biło mi mocno, kiedy kliknęłam, żeby powiększyć długą stronę *Morskiej piwnicy*.

Zaczęłam czytać. Byłam lekko pijana kiepskim jabłkowym winem, które robił ówczesny chłopak Elli w tłoczni na tyłach domu. Takie samotne picie było smutne i obrzydliwe, a ta historia wydawała się jakimś towarzystwem – jakbym po raz tysięczny wyciągała rękę do Althei, tyle że tym razem z pewnym powodzeniem.

Historia zaczynała się od tego, że panna młoda jechała długo do domu swojego męża, a po przybyciu okazywało się, że dom jest cały oświetlony, ale pusty. Przeczytałam parę akapitów – o pannie młodej, podróży, eleganckim, pustym domu – kiedy włączyło się światelko kamery przy moim laptopie.

Patrzyłam w to zielone oko przez dwie sekundy, a potem zatrzasnęłam laptop.

W domu było cicho, w uchu miałam ostrzegawczy szum. Spojrzałam na ślepe tafle okien, poczułam czyjś wzrok na szyi i zastygłam przygwożdżona chropawym strachem.

Otworzyłam laptop na tyle, by zasłonić kciukiem kamerę, a potem już do końca. Zielone światelko zgasło, przeglądarka była zamknięta, a historia przeglądania wyczyszczona. Pobiegłam do kuchni, aby zakleić kamerę czarną taśmą, zasłoniłam okna i położyłam się, nie gasząc światel. Tak czekałam na powrót Elli.

Byłam już wtedy wystarczająco duża, by wiedzieć, że Althea tak naprawdę mnie nie obserwuje. Zaczęłam się jednak zastanawiać, czy nie robi tego ktoś inny.

Ella nie spytała o czarną taśmę, ale tydzień później zasnęłam przed stroną na temat zastosowania przez Altheę numerologii. Obudził mnie głośny wdech Elli, miałam przed oczami jej czarne włosy, kiedy pochyliła się, żeby pięścią zatrzasnąć komputer.

– Co to. Kurwa. Alice.

Ella nie zwracała się do mnie w ten sposób. Mówiła tak do pijanych studentów, którzy domagali się obsługi, albo do swoich wkurzonych naszym wyjazdem chłopaków. I do gospodarzy, którzy za często do nas zaglądali, zwłaszcza kiedy jedna z nas była tylko w ręczniku.

„Nie mówiłaś, że nie mogę tego robić” – to była pierwsza głupia odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy. Ale nie musiała. To tabu wżarło się we mnie. Było we wszystkim, czego nie mówiła, we wzruszeniu ramion i tym, jak pochyliła głowę niczym bokser, kiedy ktoś pytał ją o Altheę.

W tym momencie nienawidziłam jej, więc powiedziałam coś znacznie gorszego.

– Dlaczego jesteś sama? – To pytanie dręczyło mnie od lat. Nie sądziłam, że odważę się je zadać, aż to zrobiłam. – Dlaczego jesteśmy same, skoro nie musimy?

Ella otworzyła usta, zaskoczona i bezradna. Usiadła wolno, jakby bolały ją kości. I wtedy po raz pierwszy i ostatni w moim życiu była dla mnie okrutna.

– Myślisz, że chce być twoją babką? – spytała nieswoim głosem. – Patrzysz na jej wielki dom w magazynach, o których, jak ci się zdaje, nie wiem, i myślisz: och, gdyby mnie tam zaprosiła! – Potrząsnęła głową. – Nawet o tym nie myśl. Althea wcale ciebie nie chce. Więc przestań się dręczyć tym, co mogłoby być. W tym życiu jesteś tylko ty. – Wskazała palcem, a następnie dźgnęła nim w swoją pierś. – I ja. Jasne?

Poczułam się tak, jakby zdarła ze mnie całe ubranie. W tej chwili nie pomogła mi nawet rtęć gniewu, której słupek unosił się we mnie. Po długiej, pełnej napięcia chwili wyciągnęła do mnie rękę, już płacząc, ale wysliznęłam się z jej uścisku i uciekłam do łazienki. Było to teatralne i głupie, wysłałam sobie wannę ręcznikami papierowymi, żeby tylko nie otwierać drzwi. Ale następnego dnia rano stwierdziłam, że ma rację. Miałam dosyć admiringu nieznanej osoby.

– Przestaję. – Tylko tyle powiedziałam Elli, a ona nie odpowiedziała: „obiecaj” albo „jak mogę ci teraz zaufać?” czy coś w tym rodzaju. Uwierzyła mi, a ja tym razem nie kłamałam. Odstawiłam Altheę jak narkotyk i nie wracałam do niej aż do dnia, kiedy w kawiarni pojawił się mój porywacz z jej książką w dłoni.

– Alice?

Drgnęłam i spojrzałam na Fincha.

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Pytałem, czy słyszałaś, co się stało z filmem nakręconym na podstawie tej książki.

– Tylko tyle, co napisali w „Vanity Fair”. Kolejne śmierci i tak dalej.

– Tak, a wiesz, że reżyser zginął krótko po zrobieniu tego filmu?

– Finch, wiesz więcej niż ja. Po prostu mów.

Wyglądał na onieśmiałego.

– Przepraszam, trochę daję się ponieść. Więc zginął w wypadku z udziałem jednego samochodu jakoś tak w latach siedemdziesiątych. Jego rzeczy zlicytowano, łącznie z oryginalnymi rolkami *Opowieści z Uroczyiska*. Kupił je bogaty kolekcjoner, który pokazywał film tylko na prywatnych pokazach. A zanim ona zmarła, zapisała swoje kopie Amerykańskiemu Instytutowi Filmowemu, ale film nigdy tam nie dotarł.

– To znaczy?

– No nigdy go nie dostali. Rolki zginęły po drodze, a może uległy zniszczeniu, a może gniją gdzieś w jakichś zbiorach, ale nikt nie wie, co się z nimi stało. To jeden z naprawdę utraconych filmów tego dziesięciolecia.

– Wracając do książki... – rzuciłam. – Może masz jej kopię? Fotografie stron?

– Myślałem o tym. Jasne. Ale miałem wrażenie, że nie byłoby to w porządku. Że coś bym w ten sposób naruszył?

– Co? A może kogo? Altheę?

– Te historie – powiedział. – Między tymi, co je czytali, panowało... przymierze. Albo ktoś zdobył je sam i był ich godny, albo nie.

Miał tak poważną i uduchowioną twarz, że chciałam w nią uderzyć.

– Albo kupił ci je bogaty ojciec, więc nie musiałeś się tym przejmować – dodałam.

To go wkurzyło – widziałam, jak zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Ale zaśmiał się i powiedział lekkim tonem:

– Posłuchaj, rozstanie z tą książką było najgorszym, jakiego w życiu doświadczyłem. Ale przynajmniej przeczytałem te opowieści z milion razy, kiedy wciąż ją miałem.

– Więc pamiętasz ich treść?

– Oczywiście. Po tej kradzieży już w domu zapisałem tytuły wszystkich historii, żeby nigdy ich nie zapomnieć. Opowiedzieć ci o nich?

– *Alice-Trzykrotka* – rzuciłam automatycznie. – Co to znaczy? O czym to jest?

– Oo, coś upiornego – powiedział i zmarszczył brwi. – Zaraz, czy twoja mama nie dała ci imienia

z tej historii?

Popatrzyłam na leżący na stole ekranem do góry, milczący telefon. Nie dzwoniła ani ona, ani nikt inny.

– Myślałam, że nie, ale teraz nie jestem pewna.

Znowu się czegoś zawstydził.

– Mogę ci coś pokazać? Chciałem to już, hm, chciałem to zrobić jakiś czas temu, ale...

– Ale zachowywałam się chamsko, kiedy zaczynałeś mówić o Althei?

Finch uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył.

– Chcesz zobaczyć? Chodzi właśnie o nią.

– Tak, oczywiście.

– To jest na górze, w moim pokoju.

Weszliśmy po kręconych schodach aż na trzeci poziom, który w całości należał do Ellery'ego. Dywan był tu niebieski jak Grover i na tyle puszysty, że czułam to przez skarpetki, a wszystko pachniało znacznie lepiej niż w typowym pokoju chłopaka z moich wyobrażeń. Prawdę mówiąc, nie był to pokój chłopaka, ale apartament. W pierwszym pokoju był bilard i zestaw kina domowego, ozdobiony podświetlanymi reklamami piwa, co, mogłam się założyć o milion dolców, było pomysłem jakiegoś dekoratora wnętrz, który tak właśnie wyobrażał sobie pokój chłopaka ze szkoły średniej, a nie Fincha.

– Nie przejmuj się tą kaplicą budweisera – powiedział i niemal przepchnął mnie dalej.

Kolejny pokój był już zupełnie w jego stylu. Pomieszczenie z wysokimi półkami, światłem sączącym się z sufitu i szerokimi oknami na jednej ze ścian. W środku stało piękne olbrzymie biurko, na którym leżały książki i stał laptop, a także lampka z zielonym abażurem, jakby żywcem przeniesiona z salonu bilardowego. Poza tym pokój był prawie pusty i mógłby się wydawać niemal mnisi, gdyby nie to, że na trzech ścianach bez okien znajdowały się regały z książkami.

– Nie wszystkie są moje – powiedział. – Ten pokój był taką niesamowitą fałszywą biblioteką z książkami oprawionymi w skórę i kupionymi na metry, ale od dłuższego czasu wymieniam je na prawdziwe.

Chciałam go stąd wypchnąć, zamknąć drzwi na klucz i mieszkać tu przez miesiąc.

– Kupionymi na metry – powtórzyłam. – Bardzo dziwne.

– Tak, wiem. To takie wyprzedaże dla bogaczy, którzy chcą mieć książki, ale nie zamierzają ich czytać. Nie żeby mój stary wziął do rąk jakąś pieprzoną książkę. – Urwał i dotknął ust palcami. – Głównie są tu almanachy i stare spisy powszechnie, ale czasami trafi się coś ciekawego. I właśnie coś takiego chciałem ci pokazać.

W odległej części pokoju zauważyłam otwarte na parę centymetrów drzwi. Mogłam się założyć, że prowadzą do jego sypialni, i poczułam się niemal rozczarowana, że jej nie zobaczę. „Jest tam stylowy plakat z My Bloody Valentine, rozesłane łóżko i maszyna do pisania marki Underwood” – powiedziałam sobie. „No i co tu oglądać?”

Finch wyciągnął ostrożnie książkę z półki na ścianie. Na widok zielonej okładki moje serce zabiło mocniej. Ale była większa niż *Opowieści z Uroczyska*, miała skórzaną, atrakcyjnie marszczoną okładkę. Finch położył ją ostrożnie na biurku.

Na okładce słały się omdlałe zawijasy tytułu: *Moja historia z Hollywood*.

– Popatrz na ten szmatławiec – powiedział Finch, wskazując stronę tytułową.

Patrzył na nas facet w typie Rudolfa Valentino, który gapił się na nas z czarno-białego zdjęcia. Użył więcej kredki do oczu niż Audrey na spotkanie ze swoim ulubionym nauczycielem.

– To Vincent Callais – wyjaśnił Finch. – Francuski aktor, który w latach czterdziestych grywał w amerykańskich filmach, grał kiedyś złego chłopaka Myrny Loy, więc jest w porządku. Pisze niezwykłą, okropną angielszczyznę, ale uwielbiam historię kina, więc przez to przebrnąłem. – Otworzył książkę na zdjęciach w środku. – Więc tutaj jest ten biedny Vincent. Stoi dość blisko Anity Ekberg na przyjęciu... o, tu widać siatkę z jego peruczki... ale popatrz – sprawdź sama.

Pochyliłam się nad książką. Podstarzały Vincent z tym swoim uśmiezkiem siedział przy stoliku w restauracji. Wyglądał na oślizgłego i za bardzo wyeksponowanego. Po jego jednej stronie siedziała uśmiechnięta do aparatu blondynka z wielkimi rzęsami i cyckami. A obok – moja babka, któ-



ra wyglądała tak, jakby pochodziła z zupełnie innego zdjęcia.

Popatrzyłam na napis u dołu. Od lewej do prawej: Nieznana kobieta, Callais, Teddy Sharpe, Althea Proserpine, 1972 rok.

Babka miała wtedy dwadzieścia osiem lat. Napisała swoją książkę rok wcześniej. Popatrzyłam znowu na jej twarz. Był w niej płynny urok, który niósł tajemnicę – wciąż się do niego wracało, by ją odkryć. Wygięta brew, blizna na ustach, jakby w dzieciństwie miała wypadek na wrotkach. Miała na sobie top bez rękawków, we wzory, a włosy związała w beładny węzeł z ciemnymi szczesanymi z czoła pasmami. Palcem prawej ręki dotykała w roztargnieniu podbródka. Na palcu wskazującym, tak jak na zdjęciu w książce, miała pierścionek z onyksem. Na tym obok małego zwiniętego węza z metalu.

– Wygląda jak ty – zauważył Finch.

W najmniejszym stopniu. Jeśli ja byłam kotką, to ona prawdziwą tygrysią.

– Mam bliznę na brodzie, a nie na wardze – powiedziałam, dotykając białego miejsca, które mi zostało po szczególnie pechowym zdarzeniu.

– Wiesz, o co mi chodzi. Wydaje mi się, że to z powodu oczu. Wyglądasz tak, jakbyś myślała o mnóstwie różnych rzeczy, tylko tego nie mówisz.

Nie znoszę niechcianych komplementów, jeśli to w ogóle był komplement, więc wciąż wpatrywałam się w Altheę.

– Czy w tej książce jest coś na jej temat?

– Nic. Właśnie tak ją odkryłem, przez to zdjęcie. Przeczytałem cały fragment, poświęcony latom siedemdziesiątym z nadzieją, że coś o niej znajdę. – Podrapał z namysłem brodę wnętrzem dłoni. – Chodziło... wiesz, o jej twarz. Wyglądała jak ktoś, kogo powinienem znać. I to nazwisko. Tak dużo mówi. W końcu ją wygooglowałem, od czego powinienem zresztą zacząć, i dowiedziałem się o jej książce. Nigdzie nie mogłem jej znaleźć, nawet reprintów, tylko jakieś artykuły i rozproszone informacje. Wszystkie krótkie, pomijając artykuł w „Vanity Fair”. Zacząłem mieć obsesję na punkcie tej książki, chciałem ją przeczytać, głównie dlatego, że była tak niedostępna.

– Jest dobra?

– Książka? – Zastanawiał się przez chwilę. – To nie jest najlepsze słowo. Sprawia, że trafiasz do dziwnej wyobrazonej przestrzeni. Kiedy ją dostałem, zajmowałem się jakimiś rodzinnymi rzeczami i wszystko mi się pokiełbało. I właśnie tej książki wtedy potrzebowałem. Miałem wrażenie, jakby... – Urwał i spojrzał na mnie, mrużąc oczy. – Tylko się nie śmieję. Jak kiedy słuchasz miłosnej piosenki, czując, że się zakochujesz. Tyle że w popieprzony sposób, bo miałem mętlik w głowie. Te historie są bardzo mroczne. Nie pamiętam już, ile z tego mroku pochodziło ze mnie, a ile z książki. Tak czy tak ją uwielbiałem. Strasznie mi żal, że nie mogę jej przeczytać raz jeszcze.

– Też bym chciała.

Zapewne wyczuł w moim głosie, że mam problem, bo jego ton też się zmienił, nabrał powagi.

– Dlaczego właśnie teraz? Nie wydawało się... że masz ochotę o niej mówić. To znaczy, o babce. Co się zmieniło?

Otworzyłam usta i nagle przygniotło mnie okropne pomieszczenie wszystkiego. Rudzielec, nieprzyjemny zapach, pusty apartament.

– Wróciłam dziś ze szkoły – zaczęłam.

Finch czekał. Patrzyliśmy na siebie w ciepłym świetle gabinetu. Oczy miał brązowe i szczere.

– I okazało się, że ktoś wcześniej był w mieszkaniu... Ktoś się tam włamał. Był tam dziwny nieprzyjemny zapach, czułam go wyraźnie.

– Zapach? I... i to wszystko?

– Nie, nie wszystko. Włamywacz zostawił też coś dla mnie. Na moim łóżku.

Aż się cofnął na dźwięk słowa łóżko.

– Boże. Co to było?

Wyciągnęłam kopertę i położyłam stronę tytułową z książki na biurku. Finch znieruchomiał, a potem wyciągnął dłoń w jej stronę. Dotknął jej tak, jakby to była relikwia.

– Niemożliwe – westchnął.

– A mama... – Coś we mnie zabraniało wymówienia tych słów, jakby strach, że staną się przez to

prawdziwe. – Nie mogę się do niej dodzwonić. Do nikogo. Nie wiem, co robić. Poza tym dzieją się jakieś dziwne rzeczy, które wydadzą się śmieszne, kiedy o nich powiem...

Finch wpatrywał się w kartkę na biurku. Wyglądał tak, jakby chciał ją przemielić na proszek i wciągnąć do nosa.

– Finch?

Spojrzał na mnie i znowu, jak mi się zdaje, z otumanionego fana stał się kolegą.

– Zaraz, zaraz. – Złapał mnie łagodnie za rękę. Nie był dużo wyższy ode mnie, nasze oczy były mniej więcej na tym samym poziomie. – Ktoś włamał się do twojego mieszkania i zostawił coś rzadkiego i, w tych okolicznościach, niesamowitego, a teraz nie możesz skontaktować się z matką. A jeśli ona właśnie zgłasza to policji? Przykro mi, że to ci się przytrafiło, ale nie powinnaś wpadać w panikę. Nie myślałaś o tym, żeby skontaktować się z babką? Tak na wszelki wypadek?

Wyrwałam mu rękę.

– Nie mogę. Nie żyje.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nie. Przecież coś bym słyszał.

– Niby dlaczego to ty miałbyś słyszeć?

– Bo mam Internet, a ona jest sławna. Czy była. Każdy ma swój nekrolog. Niemożliwe, żeby umarła.

Poczułam ból w piersi.

– Nie możesz mi mówić, że moja martwa babka żyje, Finch. To drugi albo trzeci najgorszy z możliwych tematów sprzeczki.

– Cholera. Racja, to głupio z mojej strony. To wszystko jest bardzo dziwne. – Patrzył na mnie przez jakiś czas, jakby się nad czymś zastanawiał. – Okej, dobrze, twojej mamie nic się nie stało. Jestem pewny, że da się to jakoś logicznie wyjaśnić.

– Wcale nie jesteś.

– Cóż, niezależnie od tego, gdzie są, nie powinnaś iść tam sama. Chodźmy razem – może już wrócili. A może zauważę coś, co ci umknęło.

I proszę. Za fasadą troski pojawiła się ciekawość. Głód. Obietnica złożona Elli sprawiała, że trzymałam się z daleka od dosyć rzadkich fanów Althei, ale to nie znaczyło, że oni trzymali się z daleka ode mnie.

– Nic z tego – rzuciłam i wstałam gwałtownie. Zaczęłam się cofać od biurka, przytrzymując niezgrabnie torbę.

– Co się stało?

– Nie rozmawiam z fanami.

Myślałam, że to go zmrozi albo powie mi, żebym się odczepiła i że tylko próbuje mi pomóc. Ale on jedynie popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Dlaczego?

Otworzyłam usta. Zamknęłam je. Jeśli mówienie o fanach było zdradą, to właśnie ją popełniłam. Nie mogłam się już wycofać.

– Nie wiem – odparłam słabym głosem.

– Więc może czas to zmienić? Nie sądzę, żebyś mogła z tym pójść do kogoś innego – powiedział łagodnym tonem, ale mnie i tak zrobiło się wstyd.

– Nie, mogę się nawet zatrzymać u Lany, mojej przyjaciółki. – To była prawda, ale Lana już mieszkała z dwiema innymi rzeźbiarkami i połową klezmerskiej kapeli w zatłoczonym mieszkaniu w Gowanus na Brooklynie. A nazywanie jej „przyjaciółką” było przesadą z mojej strony.

– Ale nie poszłaś do Lany – zauważył. – Tylko do mnie.

W tamtej chwili zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek tak długo patrzyłam komuś w oczy. Komuś poza Ellą. Tak bardzo chciałam obejść się bez niego, ale myśl o tym, że mogłabym wracać sama, sprawiała, że poczułam zimny podmuch osamotnienia. Apartament Harolda był dla mnie obcy – coś się tam wydarzyło, coś, co nie powinno się stać. Nie powinnam tam wracać sama z tym przeświadczeniem.

Nie podobało mi się, że potrzebuję czegoś od kogoś, choć sama nie mam nic do dania. Chociaż ze

względu na to, jak się wychowywałam, można by się spodziewać, że powinnam się z tym przynajmniej oswoić.

– W porządku – rzuciłam, czując przyływ ulgi. – Przepraszam, że to tak w tygodniu, ze szkołą...

Finch popatrzył na mnie tak, jakbym powiedziała coś wyjątkowo głupiego – co zresztą było pewnie prawdą, przed którą wciąż uciekałam – a potem podbiegł do drzwi swojej sypialni. Wśliznął się tam, jakby nie chciał, żebym zajrzała do środka, co sprawiło, że musiałam zmienić swoje początkowe przypuszczenia. Lale w bikini na maskach ferrari, mnóstwo podejrzanych, zwiniętych w kłębek skarpetek?

Zaraz. To był pokój chłopaka z jakiejś komedii o nastolatkach, a nie młodego krezusa z Nowego Jorku z wytatuowanym na ramieniu cytatem z Vonneguta.

Muszę przyznać, że bardzo mi się podobał ten tatuaż.

Parę minut później wyszedł w niebieskiej bluzie i z nieco sfatygowaną skórzaną torbą, którą znałam ze szkoły.

– Gotowa?

Nie podobało mi się, że jest tak podekscytowany, więc mu o tym powiedziałam.

– Mówię takim tonem?

– Właśnie. – Policzyłam do trzech i wyrzuciłam z siebie z wydechem gniew, a wciągnęłam z wdchem pokój, jak kazała mi Ella od czasu, kiedy połamałam pałkę na głowie koleżanki w przedszkolu. Trochę pomogło.

– To nie jest przygoda, jasne? Ani opowieść Althei Proserpine. Możliwe, że gdzieś zginęła moja mama.

– Och! – Spojrzał w dół. – Naprawdę nie jestem podekscytowany. Cieszę się, że mogę z tobą gdzieś pójść.

Chciałam zapytać, czy mówi to poważnie, ale instynkt samozachowawczy kazał mi milczeć. Nie mogłam panować nad wszystkim.

Powróciliśmy po moich śladach do bloku Harolda, gdzie w dyżurce nadal nikogo nie było.

– I jeszcze jedno, nie widziałam naszego ochroniarza od rana. Dziwne, prawda?

– Bardzo dziwne – odparł Finch, omiatając wzrokiem hol.

Kiedy weszliśmy do budynku, zaczął chodzić przede mną z wyciągniętą do tyłu jedną ręką, jakby ktoś miał strzelać do nas z łuku.

– Pozwolisz... no nic, muszę otworzyć windę.

Cofnął się nieśmiało, a ja otworzyłam windę. Nie mogłam nie zauważyć, że winda Harolda była zwykła, nawet kiepska w porównaniu z tą Fincha.

Jechaliśmy w kłującej ciszy. Kiedy drzwi się otworzyły, zeszywniałam i rozejrzałam się dookoła. Byłam gotowa krzyknąć, westchnąć czy wyskoczyć z pretensjami do Elli za to, że się o nią martwiłam. Ale korytarz był pusty.

– Boże, ten smród – szepnął Finch.

I nagle zauważyłam coś, co sprowadziło mnie na ziemię – na stoliku przy wejściu leżała teczka Harolda.

Zaraz też poczułam ulgę i zakręciło mi się w głowie, a jednocześnie zrobiło mi się głupio, że przyprowaodziłam tu Fincha.

– Hej! – zawołałam. – Mamo? Haroldzie?

Cisza, a potem gwałtowne odgłosy zbliżających się stóp. Zza rogu wyłonił się pochylony Harold. Z poczerwieniałą ogoloną głową. Nigdy nie sądziłam, że ucieszę się na jego widok.

– Harold, gdzie ma...?

Słowa zamarły mi w gardle. Harold miał w dłoni pistolet, tak toporny i oczywisty, że wydawał się zabawką, i mierzył wprost w moją pierś. Finch wydał zgłuszony odgłos, złapał mnie mocno i wypchnął za siebie.

– O co chodzi? – sapnęłam. – To ja!

– Tak, wiem – powiedział.

Mówił podniesionym głosem i usta miał tak spięte, że widziałam wokół nich białą obwódkę. Czulałam zapach jego wody kolońskiej połączony z mdlącym potem.

Moje serce zabiło mocno, niespokojnie, jak psujący się silnik.

– Harold, gdzie jest mama?

– Patrzyłaś na mnie, jakbym był potworem – powiedział.

– Co? – W ustach zrobiło mi się tak sucho, że słyszałam własny język.

– Czy to była prawda? Czy Ella naprawdę...? – Urwał, jakby się dusił.

Cały pech, jaki nas prześladował, skupił się teraz w ciemnym wylocie lufy.

– Powiedz... powiedz, co jej zrobiłeś? Gdzie ona jest?

– Zrobiłem?! Wszystko, żeby była szczęśliwa. A ty traktowałaś mnie tak, że czułem się obco we własnym domu, jakbym w ogóle nie powinien jej dotykać. – Opuszczał broń, jakby ręka mu wędła. „Bo nie powinieneś” – pomyślałam. Ale tylko cicho, potajemnie. Trzymał broń na wysokości talii. Gdyby wystrzelił, trafiłby w moje kolana.

– A teraz to – powiedział. – To przez ciebie ktoś mógł zabić moją córkę.

– Zabić? – Przypomniałam sobie telefon Audrey na jej łóżku. – Coś im się stało? Elli i Audrey?

– Chcesz, żebym uwierzył, że rzeczywiście się przejmujesz? – Podszedł do mnie i brutalnie chwycił za ramię. W drugiej ręce wciąż miał pistolet. Zamarłam. Harold nie dotknął mnie od uścisku na ich ślubie, kiedy chcieliśmy, żeby Ella poczuła się szczęśliwa. Zauważyłam, jak Finch stężał, kiedy Harold patrzył na mnie z przyganą swymi niebieskimi oczami pirata. Potrząsnął mną, jakby chciał sprawdzić, czy nie przeciekam.

– Nie dotykaj mnie – sapnęłam, wyszarpując się, a Finch chwycił go za drugie ramię.

– Zostaw ją – warknął przez zaciśnięte zęby.

Harold jęknął boleśnie i unióśł pistolet. Cofnęliśmy się oboje z Finchem.

– Kochałem ją. Tak bardzo ją kochałem. A ona codziennie mi kłamała.

– Proszę pana – zaczął Finch równym, pewnym głosem. – Niech pan skieruje lufę w dół. Za chwilę oboje wyjdziemy. Proszę tylko opuścić lufę.

– Nigdzie nie pójdziemy – powiedziałam głosem ostrym jak piła. – Musi mi powiedzieć, gdzie ona jest.

Usłyszeliśmy odgłosy butów na wysokim obcasie na terakocie i za ojcem pojawiła się Audrey. Przciskała do piersi torbę i była blada za maską z makijażu.

– Tato – zaczęła. W jej głosie nie było śmiechu i bzdurnego blichtru. Słysząc w nim było wielkie zmęczenie. – Odlóż broń.

Przez sekundę wydawało się, że jej nie słyszy. A potem rzucił pistolet na stół z trzaskiem tak głośnym, że aż mnie zabolęły zęby.

– Twojej matki nie ma. – Audrey wciąż mówiła tym samym martwym głosem. – Zabrali nas, ale potem mnie i tatę wypuścili. Wróciliśmy po trochę rzeczy i jedziemy, więc możesz im to powiedzieć, jakby pytali.

– Kto ją zabrał? Kto?

Zauważyłam, że źrenice Audrey były rozszerzone, zapewne z powodu szoku czy traumy.

– Ci z Uroczyska – odparła. – Powiedzieli, że są z Uroczyska.

Myślałam, że upadnę na terakotę. Powoli przestawała działać adrenalina związana z pistoletem, członki miałam lepkie i błyszczące. I to słowo: Uroczysko. Znowu Althea.

– Jak wyglądali?

Harold położył dłoń na broni.

– Wypierdalaj stąd!

Nie sądziłam, żeby naprawdę do mnie strzelił.

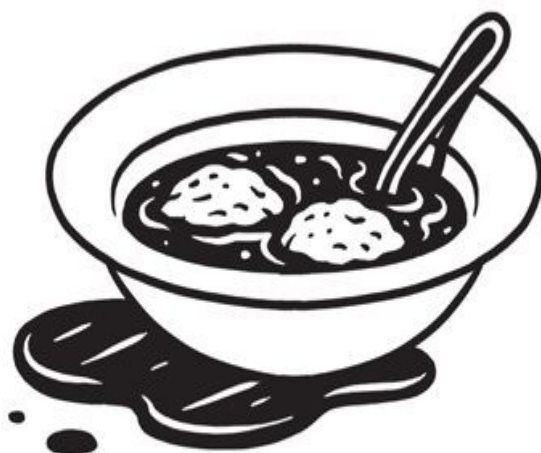
– Powiedz mi tylko, dokąd ją zabrali, i zaraz pójdę. Proszę.

Finch chwycił mnie już za ramię i objął w pasie, a teraz poprowadził w stronę windy. Czekala na nas i otworzyła się z chłodnym brzękiem.

– Wrócimy z policją, jeśli będziemy musieli – powiedział cicho. – Albo którymś z ochroniarzy mojego taty.

Patrzyłam na Harolda, kiedy drzwi się zamykały.

– Nie, nie wrócimy. Nigdy już tu nie wrócę.



Finch mógł mnie zostawić na zawsze, jak tylko wyszliśmy z budynku. Mógł mnie wsadzić do tak-sówki, nie przejmując się tym, że nie miałam dokąd jechać, o czym doskonale wiedział. Mógł skorzystać ze swojego konta bez dna, żeby zapłacić mi za noc w hotelu, gdyby chciał załatwić całą sprawę.

Nic takiego jednak nie zrobił. I gdzieś pod warstwą wdzięczności i strachu kielkowało we mnie pytanie, dlaczego.

– Musimy wezwać policję. Przecież mógł ci zrobić coś złego.

Spojrzałam na mój głupi, milczący telefon i przycisnęłam dłonie do piersi. Miałam wrażenie, że jest jak pokój, który zaczyna się zaciskać.

– Mamo – rzuciłam żałośnie na wiatr.

Finch znowu mnie objął i pomógł usiąść na murku.

– Hej, oddychaj. Słyszysz? Oddychaj.

Łapałam ustami drobne porcje powietrza. Nigdy nie miałam ataku paniki, ale zdarzały się one Elli. Myślała, że potrafi je przede mną ukryć, lecz ja wiedziałam.

Finch przykucnął przede mną.

– Wszystko w porządku. W porządku. Tylko oddychaj.

Te słowa mnie rozdrażniły, ciało opanował ogień. Odepchnęłam go i skoczyłam na równe nogi. Zaciskałam i rozprostowywałam palce, chroniąc nimi niewidocznego papierosa. Widziałam Ellę we wczorajszej sukience, w której serwowała koktajle, Ellę leżącą na łóżku w półcieniu mojego pokoju. Ellę, która prowadziła, śmiała się, jej spokojne brązowe oczy wpatrzony w moje.

Od kiedy dostatecznie podrosłam, to ja byłam czujna, zawsze wyglądałam pecha, ona zaś robiła wszystko, by tymczasowe kwatery czy kąty u kogoś stały się dla nas domem. Ale pozwoliłam sobie na chwilę nieuwagi. Pozwoliłam, by pech przybrał nierozpoznawalną postać i by ją zabrał.

– Audrey mówiła o Uroczysku. Co to może znaczyć?

Finch potrząsnął przeproszająco głową.

– Nie mam pojęcia.

Ulica przed budynkiem Harolda wydawała się inna. Zrobiło się ciemno. Zewsząd napierały cienie, czuć było stary dym, słyszeć szelest pólnagich drzew. Czułam chłupot przerażenia, które mogło mnie wciągnąć pod powierzchnię. Powstrzymywałam je ruchem, narastającym gniewem, magicznym myśleniem: „Jeśli światła zamienią się na zielone, kiedy policzę do trzech, mama wyjdzie z tego rogu”. Zmieniły się, ale ona nie wyszła.

Finch też stał, starając się zachować dystans, gdy tak krążyłam.

– A jeśli... – urwał, czekając na moją reakcję.

– No wyduś.

– To ci się nie spodoba.

– Tu nie ma nic do podobania. Powiedz po prostu. – Mówienie dobrze mi robiło. Zakorzeniało mnie w terażniejszości, tu pod światłami, z Finchem, nie kazało gnać w dziką, czarną galaktykę, w której nie mogłam wyczuć mamy.

– Może jeśli mówiła o Uroczysku, chodziło jej o Uroczysko?

– Błagam, mów z sensem.

– Uroczysko. To miejsce, w którym łączą się wszystkie historie z książki. To ono jest tłem tych opowieści.

Nabrał „uczzonego” tonu i to też mi pomogło. Piers przestała mi się zaciskać jak przy zapaleniu oskrzeli.

– Wszystkie bajki dzieją się za górami, za lasami...

– Ale nie te Althei Proserpine. Według pewnej teorii...

Westchnęłam. Dawniej znalazłam kilka sennych miejsc, gdzie fani Althei i domorośli uczeni pisali o jej książce. Można by pomyśleć, że jest zbyt niejasna, żeby mieć internetowych zwolenników, ale wieloznaczność stanowiła zapewne część jej uroku.

– Boże, więc naprawdę jesteś jej zagorzałym fanem. Znasz nawet teorie?

Tym razem przebiłam się przez jego optymizm.

– Tak, jestem zagorzałym fanem – rzucił ostro. – I tak się składa, że właśnie tego potrzebujesz. Mam mówić czy nie?

Trochę mnie odrzuciło, ale jednocześnie zyskał mój szacunek. Skinęłam głową, żeby kontynuował.

– Jest więc teoria – powiedział z naciskiem na ostatnie słowo – dotycząca zniknięcia Althei w latach sześćdziesiątych. Że wyjechała gdzieś, żeby zebrać swoje historie, tak jak robił to Alan Lomax z amerykańską muzyką folkową. Że Uroczysko to nazwa konkretnego miejsca, gdzieś na wsi na północy kraju.

Znałam tę teorię. Wydawała się sensowna i pewnie dlatego tak mnie denerwowała.

– Więc może to jest to Uroczysko, o którym mówiła Audrey? – ciągnął. – Może Althea przejęła tę historię od kogoś, kto się wkurzył i teraz chce odzyskać swoje prawa do niej, i...

– I nęka jej rodzinę czterdzieści lat później? – zakończyłam. – Jakiś, czy ja wiem, norweski pastuch w końcu dotarł do Nowego Jorku, żeby się zemścić?

Nagle oczami duszy zobaczyłam na chwilę rudzielca. Powinnam powiedzieć o nim Finchowi, ale myślałam o końcówce cytatu z Nelsona Algrena: „Nigdy nie sypiaj z kobietą, która ma większe problemy niż ty”. Nie miałam najmniejszego zamiaru sypiać z Finchem, ale zwałałam na jego barki swoje problemy. Nie chciałam, żeby było ich jeszcze więcej.

Finch wzruszył ramionami.

– To tylko teoria. Nie musi nic znaczyć. Ale zostawili ci stronę z książki. Może to jest jakaś wskazówka.

– Tak, musisz mi opowiedzieć *Alice-Trzykrotkę*, bo coś może w tym być. Choćby znak, co mam robić dalej.

– Dobra. Ale chodźmy gdzieś, gdzie będzie więcej prywatności. – Zobaczył moją minę i uśmiechnął się sztucznie. – Tak, żeby nie słyszał nas tata czy moja macocha. Teraz już któreś może być w domu.

Poszliśmy do baru przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, takiego, gdzie nawet zupa z klopsikami kosztuje dwanaście dolców. Właśnie to zamówił Finch, a także tost i korniszony. Ja wzięłam na-

leśniki z syropem z czarnych jagód, bo to właśnie jadłam w barze z rudzielcem. Syrop szybko jednak zgęstniał i nie powróciły do mnie dawne wspomnienia, na co liczyłam.

Telefon położyłam na stoliku, a moje serce ścisnęło się za każdym razem coraz bardziej, kiedy patrzyłam na jego niemy, czarny ekran. Cały świat owijał się wokół nieobecności mojej mamy, jakby światło odbijało się rykoszetem od czegoś zbyt ciemnego, by to oświetlić. Zobaczyłam swoją twarz w dodatkowej łyżce, którą kelnerka przyniosła wraz z zupą. Zamiast oczu miałam dwie pełne strachu dziury.

Finch zjadł jednego ogórka, drugiego położył na brzegu mojego talerzyka, a trzeciego przekroił na cztery części i poutykał w toście.

– Dobrze – powiedział. – Oto, co pamiętam z *Alice--Trzykrotki*.

Jego opowieść była dokładniejsza, niżbym pragnęła, choć czasami musiał się poprawiać i mieszał tę historię z innymi. Ale brzmiała mniej więcej tak.





Pewnego zimnego dnia w odległym królestwie królowej i królowi urodziła się córka. Oczy miała całe czarne i lśniące, a położna szybko przekazała ją królowej i uciekła. Królowa spojrzała w lśniące oczy, ciemne jak chitynowe pancerze żuków, i od razu zaczęła nią pogardzać.

Dziewczynka była mała i w ogóle nie wydała głosu, nawet nie zapłakała, kiedy się urodziła. Z pewnością nie miała żyć, skoro królowa jej nie nazwała.

Z początku jej proroctwo wydawało się sprawdzać – mijały miesiące, a dziecko nie rosło. Ale też nie umarło. Przekwitły dwa lata, a ona wciąż była tak mała i milcząca jak w chwili narodzin, a żywiła się mlekiem owiec, bo królowa w ogóle nie chciała się nią zajmować.

Pewnego ranka, kiedy pojawiła się mamka, by ją nakarmić, okazało się, że dziewczynka urosła w ciągu nocy. Była teraz tak duża jak siedmioletnie dziecko. Kończyny miała cienkie jak u żaby, ale oczy dalej buntowniczo czarne. Wtedy właśnie się zdecydowało, że będzie żyć. Król naciskał na żonę, by dała dziecku imię, a ona wybrała takie, które było małe i pozbawione mocy, źle wróżące księżniczce. Królowa nadała jej imię Alice.

Alice w końcu zaczęła mówić, zawsze pełnymi zdaniami. Mówiła tylko do innych dzieci, głównie po to, żeby zaczęły płakać. I raz jeszcze przestała rosnąć. Mijały lata, a wszyscy na dworze zaczęli wierzyć, że już na zawsze będzie dzieckiem, które robi psikusy rodzeństwu i straszy damy dworu swymi czarnymi, czarnymi oczami.

Aż pewnego ranka, tak mroźnego, że oddech zamarzał na wargach, jeśli ktoś odważył się wyjść na zewnątrz, niania, która przyszła, by obudzić Alice, znalazła w łóżku dwunastoletnią dziewczynę. Cała składała się z ostrych zakończeń i kątów i była jak żebak, który z trudem utrzymuje się na nogach. Służący zaczęli szeptać, że to odmieniec, ale oczy miała tak samo czarne jak zwykle i taki sam charakter – nie mówiła za dużo i pojawiała się tam, gdzie nie powinna. Z zamku zaczęła się zwalniać służba, a dwórki królowej szeptały, że to z powodu Alice.

Niania, którą obarczono obowiązkiem zajmowania się księżniczką, zaczęła obawiać się dnia, kiedy znowu znajdzie ją odmienioną. Rankiem, kiedy zastała w komnacie Alice czarnoooką siedemnastoletnią dziewczynę, wyszeptała przekleństwo i opuściła zamek na dobre.

Księżniczka była młoda, ale stała się piękna i przynajmniej wyglądała na swoje lata. Król, który rzadko zwracał się do niej bezpośrednio, teraz spoglądał na nią zachłannie. Dawał jej prezenty nieprzeznaczone dla córki. Zapinkę do peleryny w kształcie ważki. Kwiat z dmuchanego szkła, który wyglądał jak atakujący skorpion. Królowa podjęła więc decyzję, że Alice powinna wyjść za mąż.

Ponieważ była córką króla w świecie, gdzie praktykuje się takie rzeczy, dziewczynka wyznaczyła zadanie dla swoich zalotników. Zgodziła się poślubić tego, kto napełni jej jedwabną sakiewkę lodem z odległych jaskiń lodowych królestwa i przyniesie ją w darze. Ci, którym się to nie uda, mieli zginąć. Oczywiście większość zalotników nie wyróżniała się zbyt lotnym umysłem. Jechali dniem i nocą, żeby przywieźć jej lód, a ten topniał im zupełnie po drodze. Przywozili lód z zamrożonego strumienia położonego milę od pałacu, a ona odkrywała ich oszustwo, gdyż był nędznej jakości. Albo przywozili brylanty, licząc na to, że lód to tylko metafora, i tracili życie.

Rozwiązanie problemu znaleźli dwaj bracia, których karnacja była niemal tak blada, jak przywieziony przez nich lód. Zapakowali go w trociny i pocięli na kawałki przed wejściem do sali tronowej.

Kiedy starszy brat pokazał jej, że mają lód, królowa zmarła. Krew zupełnie odpłynęła z jej twarzy, a on na ten widok się uśmiechnął.

– Ale którego z was poślubi? – zapytał król.

Brat znowu się uśmiechnął. Wszyscy wokół zrozumieli, że ten uśmiech nie oznacza niczego miłego.

– Nie potrzebujemy żony – powiedział. – Chcemy mieć służącą. Żeby piekła dla nas chleb, sprzątała dom i rodziła dzieci, które będą nam służyć po jej śmierci.

Dziewczyna nic nie powiedziała. Wzięła tylko swoją sakiewkę z lodem i wrzuciła go wprost do gardła. Szron błyskawicznie zakwitł na jej ramionach. Skóra zsiniała, oczy zaszklily się lodem, a ona cała zamarzała. Ojciec krzyknął, matka wrzasnęła, a bracia zaczęli się kłócić, lecz w końcu postanowili ją wziąć i po drodze zdecydować, co dalej.

Wyruszyli konno jeszcze tego wieczoru, wioząc ją przywiązaną do konia, którego ojciec dał jej w posagu. Matka patrzyła za nią i miała wrażenie, że rozpuścił się odłamek lodu, który utknął w jej sercu w dniu narodzin córki.

Bracia jechali, aż gwiazdy zaczęły blednąć, a potem zatrzymali się, by rozbić obóz. Rozścielili koce na ziemi, a swoją sztywną narzeczoną położyli pod drzewem. Potem zasnęli.

Młodszy miał straszne sny o lisie z dziurami zamiast oczu i dziecku, które ze śmiechem topiło się w lodowatym stawie. Kiedy słońce rozlało się krwiscie na horyzoncie, obudził się i stwierdził, że starszy brat nie żyje. Na jego skórze jeżył się szron, a usta miał otwarte z przerażenia. Dziewczyna pozostawała zupełnie nieruchoma. Nie zareagowała nawet, gdy młodszy brat mocno ją kopnął.

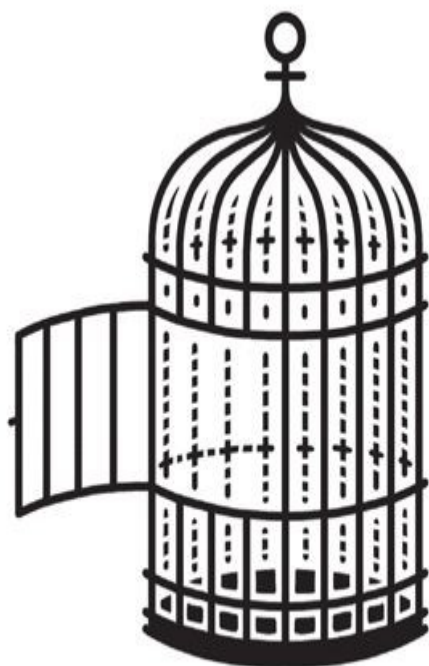
Chłopak zamyślił się. Zostawił brata na miejscu, spakował rzeczy i na wszelki wypadek związał mocno skamieniałe ręce i nogi dziewczyny. Zostawił ją z zamrożonym bratem i odjechał, jakby go diabeł gonił.

Kiedy tak jechał, słyszał w gałęziach jakby świst wiatru i odgłosy śniegu, opadającego w nocy z drzew. Dał koniowi ostrogę. A kiedy ten pokrył się pianą, a on był zbyt głodny i wyczerpany, by jechać dalej, zatrzymał się i rozbił obóz. Siedział cała noc, trzymając nóż przy piersi, wciąż podsycając ogieniek. W nocy nic się nie zdarzyło i poczuł się głupio.

Aż w końcu weszło słońce, a on spojrzał na swego konia. Zwierzę było martwe, oczy miał pokryte warstwą szronu, który także wpił się kryształkami w jego grzywę. Młodszy brat ruszył dalej pieszo. Szedł przez las tak gęsty, że słońce niemal nie mogło się przez niego przebić, i nie spotkał nikogo po drodze. Wdychane powietrze smakowało mrozem i mroziło oczy, aż zaczęły go boleć, choć wokół panowała wiosenna odwilż. Zaczęło się ściemniać, kiedy położył się, by odpocząć. Był tak zmęczony, że nie miał siły się bać. Kiedy oczy mu się zamknęły, zza drzewa pokrytego powojem wyszła dziewczyna. Położyła dłonie na jego barkach i pocałowała go. Kiedy wyzionął ducha, wyprostowała się cała. Wciąż miała w sobie lód, a jej oczy wirowały jak cirrusy.

Obróciła się. W powietrzu unosiła się woń zimnego bzu – dawnego szronu na wczesnym kwiecie. To był zapach perfum jej matki. Czarnooka księżniczka wyczuła odległy zamek jak bicie serca zwierzęcia, które chciała zabić. Powoli ruszyła w jego stronę.





## 10

Finch skończył opowiadanie. Wokół rozbrzmiewały barowe dźwięki: pobrzękiwanie łyżeczek, talerze stawiane z rozmachem na stolikach. Poczułam ostre ukłucie i spojrzałam w dół. Ze skóry na moim palcu wskazującym pozostały krwawe strzępki.

– To wszystko? – spytałam w końcu.

Finch wbił pełne niepokoju oczy w przestrzeń nad moim barkiem.

– Nie, to tylko... – Niemal wstał, potem opadł na krzesło. – Myślałem, że... Nieważne.

– Co takiego? – W głowie mi pulsowało od kawy o trzeciej nad ranem, a moje zęby zadzwoniły dwa razy, zanim zacisnęłam usta. Obejrzałam się przez jedno i przez drugie ramię, ale nie zobaczyłam nic niezwykłego: trzy młodsze od nas dziewczyny w ciemnych okularach piły o tej porze kawę, paru starszych facetów w kombinezonach, ciemnowłosą kobietę z kostką cukru między zębami.

– Co widziałeś? – szepnęłam.

Przeciągnął ręką po włosach, więc nabrały objętości.

– Nic. Chyba jestem podminowany.

Rozejrzałam się po raz ostatni. Nikt nie zareagował.

– Dużo pamiętasz – zauważyłam.

Włożył kolejny kawałek grzanki do ust i zaczął odruchowo przeżuwać, wciąż rozglądając się na boki.

– Jak lubię książkę – mruknął, żując – to czytam parę razy.

– Jakie jest zakończenie tej historii?

Ale Finch nie miał już ochoty na opowiadanie i wciąż co parę sekund patrzył mi przez bark.

– Oczywiście krwawa zemsta.

– Zemsta za co?

– Za to, co zwykle. Matka, która zaniedbuje dziecko, ojciec kryminalista. Są tam nawiązania do *Wieloskórki*, jeśli nie powiedziałem tego dostatecznie jasno.

– Kawy? – Podskoczyliśmy z Finchem, kiedy kelnerka postawiła przed nami dzbanek.

– Jesteś jeszcze bardziej podminowany – powiedziałam, gdy poszła. – To ta historia.

– Nigdy nie opowiadałem tych historii na głos. To tak, jakbym... to wszystko widział.

Głowa mu drgnęła, kiedy obrócił się, żeby sprawdzić stolik za nami. Siedział tam chłopak po dwudziestce i jakaś czterdziestoletnia kobieta, oboje milczeli.

Moje nerwy też były napięte jak postronki, niemal zdarte. Nie mogłam pozwolić, żeby Finch również się załamał.

– Dobrze, koniec opowiadania. Tylko... dlaczego myślisz, że mama dała mi imię z tej historii?

– Może nie. Może ten, kto zostawił tę stronę, chce ci namieszać w głowie. Może dała ci to imię ze względu na Alicję z Krainy Czarów. A może po prostu bez żadnych odniesień.

Wypił łyk kawy, pokręcił szyją. Powoli znowu stawał się spokojnym, zrelaksowanym Finchem, powracał do własnej skóry. Trochę męczyło mnie to, że widział mnie załamaną, a jednocześnie prezentował mi tę samą cukierkową powłokę co wszystkim.

– A może jednak – powiedziałam, pozwalając, by mój umysł znowu poczuł rytm tej historii. Była ona inna, niż sądziłam. Niedokończona grzechotała w mojej czaszce. Sądziłam, że opowiadanie Althei będzie miało silny feministyczny przekaz, alegoryczny odcień, że stworzy wyrazisty łuk. Spodziewałam się w najlepszym przypadku czegoś w rodzaju Angeli Carter, a w najgorszym *Folwarku zwierzęcego* z księżniczką. Ale ta historia nie wiązała się z niczym. Była pokręcona i straszna, jednak wcale nie taka krwawa. Nie było w niej bohaterów, ślubów. Żadnego przekazu.

– Wiesz, kim jest mój ojciec, prawda? – Finch wkruszył chipsy z ostrygi do zupy.

– No tak. Mniej więcej. – Oczywiście doskonale to wiedziałam.

– Więc moje nazwisko, pełne nazwisko brzmi Ellery Oliver Djan-Nelson-Abrams-Finch.

– I nie masz problemów z formularzami?

– Co takiego?

– Nieważne. – Oczywiście w tych swoich troskliwych szkołach nie musiał wypełniać formularzy czy testów wielokrotnego wyboru.

– Dziadek miał na imię Ellery, ale zgadnij, skąd wzięli Olivera?

– Od Olivera Twista?

– Nie.

– Olivera Wendella Holmesa?

– Fajnie by było, ale nie.

– Olivera... Hardy'ego?

– Moi starzy nie są tacy fajni.

– Dobra, poddaję się.

– Od brata mamy. Mieszkał w Stanach parę lat przed moim urodzeniem, kiedy mama wciąż pracowała jako modelka. Potem, gdy byłem mały, przeprowadził się do Ghany. Moja macocha nigdy nie mówi do mnie Ellery, tylko zawsze Oliver. Lubi udawać, że wcale nie jestem spokrewniony z ojcem, bo nie wyglądam jak on, tylko jak mama. Jak mój wuj. Przez takie chore sugestie próbuje przekonać wszystkich, że nie jestem synem taty. Tylko wuja.

Mój żołądek szarpnął się jak przestraszony królik.

– Jesteś pewny, że o to jej chodzi? To przecież chore?

– Ona sama jest chora. Próbuje zająć w ciążę, a ma czterdzieści pięć lat. Jakby to była jakaś pieprzona bajka – któregoś dnia będzie chciała przekonać ojca, że nie jestem jego synem i to jej dziecko odziedziczy cały majątek. Jakbym go bardzo pragnął. Jakbym chciał być kimś takim jak mój ojciec.

Finch nagle zgubił cały swój dystans i uśmiech. Minę miał pełną goryczy. Tak ścisnął kubek z kawą, że bałam się, że pęknie. Zanim pomyślałam, wyciągnęłam rękę i położyłam moją dłoń na jego.

Wyprostował się i znowu na mnie spojrzał. Spokojny uśmiech zaczął powracać na jego twarz, ale teraz, gdy zajrzałam za tę fasadę, wiedziałam, że nie do końca do niego pasuje.

– Mama pozwalała mi się kąpać w fontannach – powiedziałam, odchylając się na krześle i cofając rękę. Wspomnienie pojawiło się znikąd. Od lat w ogóle o tym nie myślałam. – Zawsze chciałam skoczyć na głowę do każdego zbiornika z wodą większego od kałuży, a większość matek by na to nie pozwoliła, prawda? Z powodu ochroniarzy i zarazków, które czają się w wodzie czy czegoś in-

nego. Ale Ella zakładała ciemne okulary i siadała nieco dalej, kiedy ja skakałam do fontanny, krzyczałam i bawiłam się, aż ktoś zwrócił na to uwagę. Potem musiała udawać, że się na mnie złości, ale nigdy nie kazała mi sama wyjść, zawsze pod naciskiem. W centrach handlowych, na placach, w parkach. To było wspaniałe.

– Moja mama raz uderzyła pięścią w brzuch moją macochę.

Aż zadławiłam się wodą.

– Co? Na weselu?

– Boże, tak byłoby nawet fajniej. Następnym razem tak właśnie opowiem tę historię. Ale nie, po tym, jak się dowiedziała o tym romansie. Zupełny banał, macocha była asystentką ojca. Więc mama pojechała do jego biura, a macocha wita się z nią: „Dzień dobry, pani Djan-Nelson-Abrams-Finch”, no bo jest bardzo ą i ę, a mama jak nie zajedzie ją prosto w żołądek.

– Nieźle. Podała ją do sądu za napaść?

– Nie. Według partnera ojca udawała, że to się w ogóle nie zdarzyło. Kiedy już oczywiście zdołała złapać oddech. To straszna wazeliniara.

– No, a twoja mama ma jaja.

Zająknęłam się i umilkłam, kiedy dotarło do mnie, że pokręciłam czasy. Zaczęłam się zastanawiać, czy on wie, że ja wiem, że nie żyje. Ale zanim zdążyłam się kiepsko poczuć, dostrzegłam nad barkiem Fincha coś, co sprawiło, że zapomniałam o wszystkim.

To był chłopak z taksówki, który proponował mi podwiezienie po szkole. W wirze tych dziwnych wydarzeń zupełnie o nim zapomniałam. Stał oparty o winylowe siedzenie na tyłach baru w tej swojej szczerzej czapeczce i trzymał kubek z kawą. Jego zachowanie wskazywało, że mnie nie widzi i na moment przestałam ufać bijącemu mocno sercu.

A potem poruszył się, mrugnął do mnie i zwrócił się z czymś do kelnerki.

– Idziemy, Finch – powiedziałam cicho. – I to już.

Spojrzał na mnie i skinął głową. Wyciągnął parę banknotów i rzucił je na stolik. Kelnerka dolewała właśnie chłopakowi w czapce kawy, kiedy wyślizgnęliśmy się z łóży i znowu wyszliśmy na Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę.

– Jest tam facet, który chyba mnie śledzi – powiedziałam, nie przejmując się tym, że brzmi to jak wariactwo. Skręciliśmy ostro i ruszyliśmy ulicą, omijając grupki turystów. Przynajmniej raz ucieszyłam się, że tu są i dają nam osłonę.

– Jak wygląda?

– Po dwudziestce, ale ma w sobie coś staroświeckiego... Sama nie wiem. Jak przystojny taksówkarz z czasów prohibicji.

– Przystojny?

To głupie pytanie zawisło w powietrzu. Tak często oglądałam się przez ramię, że potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że idziemy w kierunku jego apartamentu. Gdzie miałam – co? Spędzić noc? Poczulałam niechęć do samej siebie. Znowu naciągam chłopaka, którego prawie nie znam. Chłopaka, którego oczy miały czujny, lśniący kolor prześwieczonej słońcem kuli z ładunkiem energii, który sprawiał, że wyglądał tak, jakby nigdy nie spał.

Kiedy dotarliśmy do jego budynku, zaczęłam poważnie zastanawiać się, czy nie iść do Lany. Albo do kawiarni Salty Dog, do której miałam klucz. Mogłabym się przespać na dwóch zestawionych stolikach i wymknąć się stamtąd przed otwarciem.

– Posłuchaj, nie muszę wcale iść do twojego...

– Przestań – powiedział na tyle szorstko, że go posłuchałam. Ale on nie patrzył na mnie. Złapał mnie za bluzę i pociągnął w stronę niskiego murku przy Central Parku, trochę dalej od wejścia do jego apartamentu.

– Kucnij – syknął. Wpatrywał się w postać, stojącą tuż poza smugą światła spod daszka przy wejściu.

Zobaczyłam najpierw ubraną na czarno dziewczynę – miała na sobie czarną sukienkę, czarne buty, a między nimi widać było pasek bladego ciała. Moje oczy przywykły do mroku i zaczęłam zauważać szczegóły. Miała szopę ciemnych włosów z białym pasemkiem niczym z komiksu pośrodku. Jej oczy były tak jasne, że mogłam je zobaczyć ze swego miejsca – i tak błyszczały. Poruszały

się tam i tu, zajęte obserwacją chodnika. Kiedy pomyślałam, że mogłyby spocząć na mnie, dostałam gęziej skórki. Gdy poruszyła się w cieniu, dostrzegłam paskudną bliznę, która przebiegała od jej prawej skroni i jak dłoń obejmowała jej podbródek.

– Skaczemy – szepnął chrapliwie Finch i pociągnął mnie w stronę parku. Przyczailiśmy się w cieniu za jałowcem. Poczułam na języku żywiczne powietrze.

– Widzisz tę dziewczynę? – spytał, patrząc na mnie błyszczącymi dziwnie oczyma. – To Katherine-Dwukrotnie-Zabita.

Potrzebowałam chwili, by pojąć znaczenie tych słów. Był to tytuł jednego z opowiadań z *Uroczyska*.

– Chcesz powiedzieć, że tak wygląda?

– Nie, to ona. Ta dziewczyna to Katherine-Dwukrotnie-Zabita. – Popatrzył na mnie rozżarzonymi niczym u ulicznego kaznodziei oczami.

– Co, że niby widziałeś ją wcześniej? Jesteśmy przecież w Nowym Jorku, a ona ubrała się jak miliony modnych dziewczyn.

– Mówisz tak, bo nie czytałaś książki. Popatrz na jej bliznę. I włosy. I... o Boże, widzisz, co ma w ręce?

Zmrużyłam oczy, chcąc zobaczyć to, co trzymała przy piersi, ale nie mogłam.

– To klatka dla ptaków. To właśnie nosi Katherine-Dwukrotnie-Zabita – syknął. – To jest Uroczysko!

Chciałam mu odpowiedzieć, ale dziewczyna zrobiła coś tak dziwnego i straszego, że oboje umilkliśmy na dłuższy czas.

W jej stronę szedł mężczyzna w grubej, szarej jesionce. Palił papierosa i jednocześnie rozmawiał przez komórkę. Kiedy ją mijał, spojrzał na nią, być może z powodu blizny. Ale zanim zdołał się oddalić, dziewczyna otworzyła klatkę.

Wyleciał z niej ptak, który miał kształt kanarka, ale kanarkiem nie był. Był mały i szybki i wyglądał tak, jakby się powiększał z cienia, rozpościerał coraz bardziej skrzydła, aż były jak u jastrzębia.

Następnie zaatakował mężczyznę. Złapaliśmy się z Finchem za ręce i skuliliśmy jak tchórze, a on wpił się w jego szyję. Mężczyzna upadł bez dźwięku, a ptak skoczył na jego pierś. Rozpostarł skrzydła, więc nie widzieliśmy dokładnie, co robi. Popatrzyłam na dziewczynę, zdusiłam krzyk i ścisnęłam mocniej dłoń Fincha.

Jej czarno-białe włosy oblały się czerwienią, skóra nabrała pomarańczowego koloru i nawet bliźna gdzieś zniknęła. Ale najgorszy był wyraz jej twarzy. Było to coś w rodzaju... samolubnej ekstazy.

Ptak uniósł się, złożył w małą ciemną zmorę i pofrunął do klatki. Dziewczyna zatrzasnęła ją i cofnęła się w cień przy żywopłocie.

– Czy on nie żyje? – szepnęłam. Głos miałam jak szkielet liścia.

Mężczyzna stanął chwiejnie na nogach. Płynął w swojej jesionce i zrobił minę człowieka, który czegoś zapomniał. Włosy miał całkiem siwe. Ślaniał się niczym zombie.

– Chodu – powiedział Finch i pobiegliśmy.

Biegliśmy przez park, między kałużami światła, z martwymi liśćmi, które czepiały się naszych nóg. Powietrze pachniało srebrnie, czuło się w nim ściółkę, a zimny wiatr sprawiał, że w oczach stanęły mi łzy. Kiedy w końcu opadliśmy na ławce, poczułam pot na plecach.

– To... to niemożliwe – rzuciłam nieswoim głosem.

Finch miał powiększone źrenice, wyglądał na wycieńczonego.

– O kurwa! To właśnie Uroczysko.

Nie mogłam nic odpowiedzieć. To było moje pierwsze zetknięcie z Uroczyskiem – pierwszy dowód, że pokręcone opowieści Althei kryją w sobie coś potwornie prawdziwego. Coś, czego powinienam się domyślić.

Ale wciąż myślałam, że może jednak nie. Przez całe życie prześladował nas pech w postaci pogody, katastrof, działań Boga i złośliwych ludzi. Może więc cały czas Uroczysko maczało w tym palce.

– Co ona mu zrobiła? – spytałam. – Czy tak jest też w jej historii?



Finch odetchnął parę razy głęboko i oparł się ciężko o ławkę.

– Nie tak to sobie wyobrażałem, ale tak. Dzięki temu pozostaje młoda. A może żywa. To także jej zemsta.

– Na tych, co ją zabili?

– I robili gorsze rzeczy.

– I co teraz?

– Powinienem zadzwonić do ojca. Upewnić się, że jest w domu, a jeśli nie, to prosić, żeby nie wracał. – Ale Finch nie sięgnął po telefon.

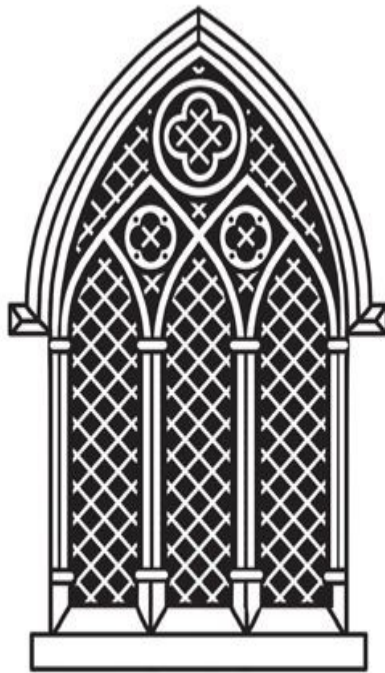
– Czy myślisz... – zaczęłam.

– Katherine nic nie zrobiła twojej mamie. – Spojrzał mi w oczy. – Atakuje tylko mężczyzn. Musimy gdzieś pójść się przespać. Potem pomyślimy, co dalej.

Jego twarz oddawała to, co sama czułam – czarną bezsilną pustkę po doznanej traumie. Kiedy wszystko się zmieniło, a zagubiony umysł błąka się między gwiazdami, wtedy włączają się cielesne potrzeby, odgradzając nas od szaleństwa.

Dotarła do mnie beznadzieja mojej sytuacji. Byłam bezdomna. Nie mogłam skontaktować się z mamą. Ścigało mnie coś, czego zakresu nie byłam w stanie zobaczyć czy pojąć. Byłam wymęczona, a bez Fincha zostałabym zupełnie sama. „Dziękuję” – to było za mało, a „przepraszam” zupełnie nie na miejscu. Aż się wzdrygnęłam.

– Dobrze, prowadź – powiedziałam.



Niewielu problemów nie da się załatwić, kiedy masz forsę jak lodu i wieloletnich bogatych przyjaciół. Finch trochę podzwonił i godzinę później pukaliśmy do drzwi domu w Brooklyn Heights. Chłopak, który nam otworzył, miał ekstrawagancką fryzurę indie rocker, a cienkie włosy opadały mu do brody. Wiedziałam, że jest naćpany, zanim jeszcze wyczułam otaczający go smród jointów.

– Ellery Finch! – powiedział, używając jednak zdecydowanie większej liczby sylab.

– Cześć, David. – Finch pochylił głowę i spojrzał na mnie. Zwykle nie uśmiecham się do obcych, ale życie w drodze nauczyło mnie tego, jak być wdzięcznym gościem.

– Bardzo mi miło. Jestem Alice. Dziękuję za zaproszenie.

Uśmiechał się do mnie przez chwilę, a potem skinął głową. Byłam pewna, że chciał coś powiedzieć, i zapomniał, że tego nie zrobił.

Cały budynek należał do rodziny Davida. Był to przerobiony na dom kościół. Wszędzie można było zobaczyć ocalałe ceglaste mury oraz okna z witrażami. Mogłabym przysiąc, że czułam od ścian zapach wosku i kadzidła.

– Cieszę się, że możesz nas przyjąć – rzucił Finch. – Starzy w Europie?

– We Francji. Młodsza siostra ma tam problemy w szkole. Jest prawdziwą królową przestępców w mundurku.

Jadł właśnie z talerza tłuste *nacho* z mikrofalówki. Uznałam to za słodkie, choć ser to był pewnie specjalny normandzki cheddar.

– W pokoju gościnnym nie ma pościeli. Ale możesz pójść ze swoją dziewczyną do pokoju Courtney. Drugie drzwi po prawej. Tylko nie przejmujcie się *Doktorem Who* i tak dalej.

Finch nie sprostował tej dziewczyny, tylko skinął głową.

– Fajnie. Wielkie dzięki, stary.

David zrobił gest, jakby związał te podziękowania w kulę i wrzucał do kosza.

– Cieszę się, że cię widzę. Chcecie *nacho*?

Podziękowaliśmy. Przez chwilę gadali o jakichś bzdurach, plotkowali o wspólnych znajomych z gimnazjum, do którego obaj chodzili, zanim rodzice Davida przeprowadzili się na Brooklyn. Ja

patrzyłam na kąty, do których nie docierało światło, i odsłonięte okna. Spodziewałam się, że lada chwila zobaczę dziewczynę z klatką albo chłopaka w czapce. Rękę trzymałam luźno na telefonie nastawionym na wibrację. Każda kolejna minuta bez wiadomości od Elli sprawiała, że ziemia coraz bardziej rozstępowała się pod moimi stopami.

Wyczuwałam zmęczenie Fincha i z trudem ukrywałam własne. Jak tylko uznał, że jest to choć trochę uprzejme, przeciągnął się i ziewnął.

– Możemy iść spać? Jutro musimy wcześniej wyjść.

– W porzo. Wyjeżdżacie z miasta?

Finch spojrział na mnie.

– Nie... Może. Zobaczymy.

– Może pojedziemy na północ – dodałam pod wpływem impulsu, a potem się zarumieniłam. To był pomysł z alternatywnego świata, w którym mama wróciła do Harolda, a ja rzeczywiście stałam się dziewczyną Fincha.

– Aaa, te tam ziele i tak dalej! Jabłka na jabłoniach. Zabawy na sianie. Wycinanie dyń. Strachy na wróble. Plastikowe zęby wampirów, co, stary?!

Finch wstał, zanim tamten dotarł na zasadzie wolnych skojarzeń do latte z dodatkami i strojów rybackich. Na koniec obaj uderzyli we własne piersi na znak przyjaźni, ja uściśniłam lekko Davida i poszliśmy na górę.

Po drodze zajrzałam do ciemnej dużej sypialni. Szerokie okno wychodziło na East River, zza której mrugały do nas światełka okien. Zaduch złożony z zapachu ziola, starych skarpetek i truskawkowego odświeżacza powietrza wskazywał miejsce, gdzie spał David, ale pokój jego siostry pachniał miło i sterylnie. Kiedy Finch po chwili zapalił światło, spojrzeliśmy na ściany, potem na siebie i wybuchliśmy śmiechem.

Mieliśmy przed sobą pokój oprychowy ze szkoły we Francji. Courtney była fanką, a cały jej pokój był wyklejony zdjęciami z pism, plakatami Harry'ego Pottera, zdjęciami jej i jej przyjaciół z jakichś barów. Wzdłuż lustra maszerowały sobie bilety z Broadwayu, przymocowane do jego zabytkowych wrzecionowatych ram, a biblioteczka od kompletu wyladowana była kolorowymi książkami w miękkiej oprawie i zestawami DVD. Obok *Firefly* stał tom *Staying Fat for Sarah Byrnes*, a *Nie z tego świata* obok *Akata Witch*. Przejrzałam biblioteczkę w poszukiwaniu *Opowieści z Uroczyska*, ale ich tam nie znalazłam. Podłoga była czyściutka, a na łóżku w kształcie sań znajdowała się przygotowana kremowa pościel, jednak ściany ze szczerzącymi się celebrytami o lśniących włosach sprawiały, że pokój wydawał się zwariowany. Ellery chyba czuł to samo, bo zgasił górne światło i zapalił lampkę. Wrzawa twarzy nagle wtopiła się w tło.

– Kto śpi w łóżku? – spytałam.

Mili faceci tacy jak Finch nie pozwalają dziewczynom z kłopotami spać na podłodze – zwykle. Ale nigdy nie wiadomo.

Posłał mi dziwne spojrzenie.

– Ty. Założę się, że pod spodem jest rozkładane łóżko. Albo przynajmniej w szafie śpiwór z *Dora poznaje świat*.

Był z *Betty Boop*, ale i tak uznałam, że miał rację. Umyłam twarz i opłukałam usta w biało-różowo-złotej łazience i przez moment zastanawiałam się nad prysznicem, ale myśl o tym, że czysta będę musiała włożyć brudne ubranie była zbyt przygnębiająca. Kiedy już umościłam się w ślicznym łóżku Courtney, zdjęłam spódniczkę od mundurka i złożyłam na poduszce obok.

– Mogę gasić światło? – spytał Finch. Leżał w ubraniu na śpiworze z rękami założonymi pod głowę.

Skinęłam twierdząco, a on wyciągnął rękę, żeby zgasić lampkę. Przez rolety wdzierały się mgliste światła latarń. Gdzieś w domu włączyło się ogrzewanie. Uczucie dostosowywania się do nieznanego domu było bardzo znajome. Zamknęłam oczy i pozwoliłam sobie przez jakiś czas poudawać, że obok na podłodze leży moja matka. Ból zaczął się rozszerzać wokół mojego serca, mocny i ognisty niczym supernowa. Przewróciłam się, żeby oddychać w pościel.

Wiedziałam, jakie odgłosy wydaje ktoś, kto próbuje powstrzymać szloch w ciemności, i wiedziałam, że właśnie to robię. Jeśli Finch będzie próbował mnie pocieszyć, uduszę go poduszką z wieżą

Eiffła.

Nie próbował. Liczyłam do dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu. Liczenie działało jak novocaina – tak jak zawsze. W końcu znowu przewróciłam się na plecy i popatrzyłam na sufit.

– Nie powiedziałam ci o jednej dziwacznej rzeczy – rzuciłam w ciszę.

Finch obrócił głowę w moją stronę.

– Ktoś jeszcze może mnie śledzić.

– Poza tym facetem z baru?

– Tak. – Przez chwilę milczałam, zastanawiając się, jak o tym powiedzieć bez przesadnego dramatyzmu. – Kiedy byłam mała, pewien facet, ee. Mnie zabrał. Porwał. Nic mi nie zrobił. Zupełnie. Ale jestem prawie pewna, że widziałam go w kawiarni, w której pracuję.

Nie byłam prawie pewna. Byłam zupełnie pewna, ale uznałam, że dobrze zrobiłam, bo Finch nagle usiadł na swoim pościu.

– Cholera! A teraz czegoś próbował?

– Nie, nic zupełnie. Nie rozmawiał ze mną, nawet się nie zbliżył, tyle że go zobaczyłam. A potem uciekł.

Wolno ułożył się znowu na śpiworze.

– Naprawdę nie... Wiesz, kiedy cię porwał...

– Nawet mnie nie dotknął. Powiedział, żebym wsiadła do jego auta, a ja go posłuchałam. Byłam mała. Opowiadał mi różne historie i kupił naleśniki.

– Jakie historie? – spytał ostro Finch.

– Nie pamiętam, choć wiem, że mi się podobały. I powiedział, że zabierze mnie do Althei, więc...

– Przypomniałam sobie rzeczy, które zostawił, a które wsadziłam głęboko do torby. Pióro, grzebień, kość.

– A jeśli on... Jak wyglądał?

– Miał rude włosy, miłą twarz. Wydawał się sprytny. Wyglądał jak angielski nauczyciel, tylko bez tweedowej marynarki. A teraz, po dziesięciu latach, wygląda dokładnie tak samo. Jakby był bez wieku.

– Uroczyśko – powiedział to słowo tak, jakby mu smakowało.

Z tego powodu zacisnęłam zęby, chciałam ukryć swoje tajemnice, nie rozstawać się z nimi.

Zrozumiałam, że jestem o niego zazdrosna. Zazdrosna o to, że może kochać Altheę jak jej fan – bez nadmiernych komplikacji. Zazdrość utknęła w mojej piersi niczym kawałek zielonego jabłka.

– Dlaczego tak bardzo ci się podoba? – spytałam. – Ta książka.

Usłyszałam, jak się przesunął na podłodze. Nie było mu tam chyba zbyt wygodnie.

– Wiesz, jak to jest z bajkami, które się opowiada i opowiada – zaczął cicho. – A one pasują do różnych kategorii i masz na przykład tuzin różnych wersji *Dwunastu tańczących księżniczek*<sup>1</sup> czy *Krzaku jałowca* lub czegoś innego.

Skinęłam głową, bo doskonale wiedziałam, o co mu chodzi. Czytałam wszystkie te bajki.

– Znajdowałem w tym pociechę. Lubilem określone wzory. Lubilem także zwroty akcji, które mogłem przewidzieć. Podobało mi się, że tata wciąż całował mamę po przyjeździe do domu i to w usta, jak w sitcomie. Lubilem to, że codziennie powtarzałem pewne rzeczy i że czytałem historie, które mogłem rozłożyć na części i nic mnie w nich nie zaskakiwało. Byłem chyba niespokojny i lubilem porządek.

Przez deski podłogi sączył się mechaniczny dialog z *Adult Swim*. Co jakiś czas wyławiałam z niego pojedyncze słowa.

– A potem rodzice się rozwiedli. Mama i terapeuta dali mi masę książek o dzieciach z rozwiedzionych rodzin i dzieciach złych na świat, ale cały ten gniew i niepewność tylko pogorszyły sprawę. I myślałem, uuhuu, mam przesrane w życiu i tak dalej. Że nie może być gorzej. Ale, haha, wszechświat pokazał, że to pierdoli, i mama zginęła. Hm. Zabiła się.

Wiedziałam, że mogę się tego spodziewać, ale jego słowa i tak wyrwały coś ze mnie. Leżałam bardzo cicho, kiedy je wypowiedział, bo nie miałam pojęcia, co innego mogłabym zrobić.

Odetchnął cicho.

---

<sup>1</sup> Polski tytuł: *Stanicowane pantofelki*.

– Przyjaciele nie wiedzieli, co mi powiedzieć, a tata, co ze mną zrobić, więc zostałem sam z książkami. Ale nie chciałem tych troskliwych tragedii, które podsuwali mi tata i terapeutka, żebym się poczuł mniej samotny. Potrzebowałem dystansu. Tego, żeby ktoś powiedział: masz tutaj swoje bebechy, swoje popierdalone życie i szczęśliwe zakończenie. Ale rzeczy w typie Andrew Langa nie mogły mi tego dać. I wtedy znalazłem książkę Althei. Była doskonała. Bez pouczania. Z cudowną magią i strasznym, brutalnym światem, takim, gdzie dzieją się kiepskie rzeczy. I to nie z jakiegoś powodu czy w seriach po trzy albo tak, żeby wyglądało to na akt sprawiedliwości. Wszystkie toczą się w miejscu, gdzie nie ma reguł, i wcale nie są one potrzebne. A głos autorki – twojej babki – jest całkowicie bezlitosny. Przypomina ona reporterkę wojenną, której nic nie obchodzi. – Wziął oddech, jakby chciał powiedzieć więcej, potem zamilkł.

– Miło ze strony twojego ojca, że dawał ci te książki – zauważyłam. – Nawet jeśli ich nie znosiłeś.

Wydał z siebie coś w rodzaju śmiechu.

– Taki jest twój wniosek?

– Nie. Po prostu... tak długo miałam obsesje związane z Altheą. Szykowałam się, by ją poznać. Czytałam wszelkie możliwe bajki, żeby zrobić na niej wrażenie. Ale nigdy nie zadzwoniła, nie przejmowała się mną, a teraz nie żyje. – Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego głośno, a teraz miałam takie poczucie, że pozbywam się trucizny z organizmu. – Jej nieobecność przy mnie definiowała jakąś część mnie samej, a teraz, po jej śmierci, ścigało mnie coś, co stworzyła.

– Naprawdę myślisz, że to stworzyła?

– No jasne. Co chcesz przez to powiedzieć?

Finch potrząsał głową, znowu siedział na śpiworze.

– Wspomniałem, że przypominała reporterkę wojenną. To nie ona stworzyła ten świat, ale go opisała. Kiedyś myślałem, że to są metafory, ale już nie, nie po tym, jak widziałem Katherine-Dwukrotnie-Zabita. – Urwał na chwilę. – Alice, czy nie wydaje ci się...

– Co?

Znowu opadł na śpiwór.

– Nieważne.

– Nic z tego. Przestań. Co chciałeś powiedzieć?

– Czy nie wydaje ci się – zaczął niemal szeptem – że nie chodzi im o twoją mamę? A jeśli to ty jesteś celem, a ona tylko przynętą?

– Ale wtedy porwaliby mnie. I to bez problemów.

– Porwali cię – doskonale wiesz, że ten facet to było Uroczysko. Może teraz jest inaczej. Jesteś dorosła i sama masz tam pójść.

– Nawet jeśli masz rację, to niczego nie zmienia – powiedziałam wolno. – Jeśli chcą, żebym coś zrobiła, to znaleźli na to sposób. Pójdę za mamą do piekła, jak będę musiała. Ona zrobiłaby to samo.

Tak właśnie. Pod urodą, wdziękiem i ciętym dowcipem była kobietą ze stali. Niczym ostrze ukryte w bukicie orchidei. Miałam nadzieję, że ten, kto ją porwał, zupełnie jej nie docenił.

Finch westchnął znacząco.

– Spróbujmy zasnąć. Długi dzień przed nami.

Czułam, jak nabrzmiewają we mnie pytania: „Dlaczego mi pomagasz? Czy myślisz, że ją odnajdę? Czy to rzeczywiście była Katherine-Dwukrotnie-Zabita?”. Ale on odsunął się ode mnie. Od czubka jego głowy poprzez plecy biegł niczym droga pas światła księżyca. Im dłużej patrzyłam, tym bardziej wydawało mi się, że rozpada się na dwie części, ukazując pod skórą coś lśniącego.

Obróciłam się na drugi bok i mocno zamknęłam oczy, ale jeszcze długo nie mogłam zasnąć.



## • 12 •

Nie śniła mi się Katherine-Dwukrotnie-Zabita, jak się obawiałam. Śniła mi się mama. Śnił mi się dzień, kiedy zrozumiałam, że nie przenosimy się dla zabawy albo dlatego, że jest niespokojnym duchem. I nie dlatego, żeby zniszczyć mi życie czy z powodu jakichś przesądów – tego, że nie spodobał jej się gest jakiejś staruszki z autobusu nad moją głową, to, że zakreśliła helisę, zanim wysiadła.

Miałam dziesięć lat i to była nasza druga przeprowadzka w ciągu ośmiu miesięcy. Tego ranka obudziłam się na rozkładanym łóżku na podłodze obok Elli, czując, że coś ściska mi głowę. Sięgnęłam i wyczułam palcami zaplecione i skręcone warkocze. Moje włosy tworzyły koronę wokół głowy. Ale przecież zasnęłam z wilgotnymi włosami, które opadały mi na ramiona.

– Mamo, dlaczego zaplotłaś mi włosy? – spytałam, macając się po koronie.

Ella przewróciła się i zamrugała zaspanymi oczami. A potem zobaczyłam w jej oczach strach i jawny gniew, który po chwili zmienił się w coś gorszego – bezsilność.

– Dzisiaj nie idziesz do szkoły – oświadczyła, a kiedy wstała, podeszła prosto do szafy, żeby wyjąć walizkę.

Wściekłość uderzyła we mnie wtedy jak piorun. Kiedy pakowała rzeczy z kuchni, pocięłam jej wszystkie dzinsy tuż przy kroczu za to, że miałyśmy wyjechać z miasta w dniu, kiedy mój nauczyciel angielskiego z piątej klasy miał przynieść rachatlukum.

Dopiero w samochodzie, kiedy opadłam na siedzenie jak wrak statku po burzy, powiedziałam jej o przysmaku, na który liczyłam.

– Wcale nie jest taki, jak myślisz – powiedziała, kiedy bungalow, w którym spędziłyśmy pół roku, małał za nami. – Rachatlukum przypomina kredę i czuć je kwiatami, na pewno by ci nie smakowało.

– Kłamiesz – rzuciłam, odwracając głowę do okna.

Ella zatrzymała samochód na środku drogi.

– Hej!

Żar w jej głosie sprawił, że obróciłam głowę w jej stronę.

– Nie kłamiemy jedna drugiej, tak?

Wzruszyłam ramionami i skinęłam głową. Wpatrywała się we mnie intensywnie, a oczy miała zaczerwienione w kącikach, jakby je potarła po krojeniu *jalapeño*.

Mój mały, samolubny świat nagle się rozszerzył – rozumiałam, że też nie chce jechać. Kupiła zasłony do tego domu i naprawiła rozchwiany wiatraczek na suficie.

Zachowałam to objawienie, by przemyśleć tę noc, obracałam wszystko w głowie niczym gładki kamyk, kiedy Ella chrapała na motelowym łóżku obok.

Przeraziło mnie to, ale też do niej zbliżyło. Znajdowałyśmy się po dwóch stronach przepaści i patrzyłyśmy na siebie. A potem rozumiałam coś, co było bardzo proste, ale wszystko zmieniło. Zmieniło cały układ i znowu znalazłam się po jej stronie. Byłyśmy my i był świat.

A pod tym wszystkim czaił się jeszcze strach, że to ja ponoszę winę za naszego pecha. Ella dawała się łatwo lubić ze swoim słodkim, chropawym głosem, który stanowił zasłonę dla jej ciętego poczucia humoru i wycucia żenady, a także z ciemnymi włosami, które spadały tak zabawnie na jej ramiona, że wydawały się je lizać jak płomień. To ja łatwo się irtowałam i wpadałam w furję, często mówiono mi też, że mam szalone oczy. Jeśli któraś z nas przyciągała pecha, to ja.

A strach sprawiał, że milczałam, że nie pytałam dlaczego. Przeraziło mnie to, że sama mogę być powodem wszystkiego, co nam się przytrafia.

Sen był niczym kolorowy film, a potem wyblakł i przekształcił się w płytką, niespokojną drzemkę. Zamknęłam oczy przy świetle księżyca, a otworzyłam w słonecznym koleżu Lina-Manuela Mirandy. Podłoga obok była pusta, podobnie jak ekran mojej komórki – żadnych wiadomości od Elli, żadnych nieodebranych połączeń.

Miałam kiedyś sen, w którym przechodziłam przez kolejne pokoje wielkiego domu, szukając mamy. W każdym pokoju odnosiłam wrażenie, że przed chwilą w nim była, we wszystkich odbijał się jej głos, ale jej samej nie mogłam znaleźć. Teraz miałam poczucie, że zamieszkałam w tym śnie.

Sprawiłam, czy na włosach i policzkach nie ma śladów śliny, i włożyłam leżącą obok spódniczkę. Bez powodzenia spróbowałam przywrócić łóżku Courtney jego szpitalną doskonałość, a potem poszłam do łazienki, by wyszorować zęby moim ręcznikiem. Włosy mi sterczały na różne strony, więc wsadziłam głowę pod kran.

Na dole Finch pisał coś na laptopie w dużej, otwartej kuchni, a David wlewał wrzątek do zaparacza do kawy.

– O, wstałaś już! – Finch brzmiał tak, jakby wziął łyk helu. – Udało mi się! Znalazłem egzemplarz *Opowieści z Uroczyska!*

Popatrzyłam na niego, mrużąc oczy.

– Znalazłeś? To znaczy, licytujesz go na e-Bayu czy coś takiego?

– Nie, jest w Nowym Jorku. Możemy po niego pojechać.

Po plecach przeszedł mi dreszcz strachu i podniecenia.

– Niemożliwe! – Opadłam na stołek obok. – Gdzie?

– Obdzwoniłem wszystkie antykwariaty z rzadkimi książkami. Nie po raz pierwszy, ale tym razem się udało!

– Mam nadzieję, że lubicie dziwaczne ekologiczne skandynawskie tosty – powiedział David, stawiając przed nami talerz z prostokątami gruboziarnistego pieczywa. – Tylko to mi zostało.

Byłam zbyt nakręcona, żeby jeść, ale za to wypiliśmy więcej kawy, niż powinnam, co mnie jeszcze bardziej pobudziło. Było mi jednak wszystko jedno, bo wreszcie miałam znaleźć książkę, która mnie prześladowała. Być może nawet dosłownie.

A kawa stanowiła dobrą odskocznnię, żeby nie myśleć o tym, że zbyt łatwo to poszło. Że ten szczęśliwy zbieg okoliczności może być pułapką.

Płukałam właśnie kubek w dużym zlewie, kiedy w okno uderzyło coś ciemnego. Cofnęłam się, gdy duży kos odskoczył, a potem rzucił się po raz drugi na szybę.

– Ho! – David pospieszył do okna. Ptak bił w szybę, machając skrzydłami. – Hej, sam sobie zrobisz coś złego, ziom! – Uderzył dłonią w szybę i odskoczył, kiedy kos jeszcze bardziej oszalał.

Miał coś w dziobie. Rozpoznałam ten kształt, miejski prostokąt, który sprawił, że ścisnął mi się żołądek.

– Cholera. – David popatrzył na nas niepewnie. – Może jest ślepy, co? Może... go wpuszczę?

– Nie – rzuciłam szybko i stanowczo. – Proszę.

David popatrzył na mnie, marszcząc brwi, ale się nie ruszył. Patrzyliśmy w milczeniu na ptaka, który resztkami sił nacierał na okno, aż zniknął nam z pola widzenia. To, co trzymał w dziobie, zaczęło się w dole ramy. Podeszłam do powalanego krwią okna, uchyliłam je i złapałam zieloną kopertę, zanim wypadła. Z tyłu pospiesznie wypisano moje imię i nazwisko.

Wewnątrz była kolejna miękka, wytarta kartka, wydarta niedawno z książki. Uniosłam ją, tak by odczytać to, co było na górze.

*Drzwi, których nie było*

*Hansa Podróżniczka*

*Mechaniczna panna młoda*

– Co u diabła? – wydyszał David nad moim barkiem. – To twoje nazwisko, tak? To do ciebie?

Kawa wydała mi się zapiaszczona i spalona. Finch próbował mi spojrzeć w oczy, ale nie mogłam unieść wzroku.

Nie rozmawialiśmy po drodze do metra. Czułam się ogłuszona i jakby odarta ze skóry z nagimi nerwami wystawionymi na zimne słońce. Nie pozwoliłam, żeby Finch zatrzymał taksówkę, bojąc się, że zobaczę kogoś znajomego za kierownicą. Antykwariat był prosto przed nami w Harlemie, ale jazda była wolna z przerwami, co sprawiało, że zaczynało się myśleć o tym, że zaczyna się dziać coś złego nawet w dni, kiedy naprawdę nie mamy powodów do takich przypuszczeń.

Sklep znajdował się na końcu rzędu sympatycznych domów z czerwonego piaskowca i stanowił ich podrozdział. Litera w jego szyldzie przypominały mi staroświecki sklep ze słodyczami. Na szyldzie wypisano zawijasami: Wm. Perks' Antiq. Books &c.

– Myślisz, że rozliczał się od pojedynczych liter?

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział Finch, od kiedy wysiedliśmy z metra, a on rzucił: „Tędy”. Uśmiechnęłam się lekko z pewnym wysiłkiem. Wciąż widziałam przed sobą puste, czarne oczy ptaka.

Finch przycisnął dzwonek przy drzwiach z kutego żelaza. Pół minuty później usłyszeliśmy, jak ktoś otwiera kolejne zamki.

Sprzedawca wyglądał nie tyle na antykwariusza, co na bukmachera. Miał krawat w krzykliwym żółtym kolorze i marynarkę w znoszonym brązie. Za kołnierzyk zatknął sobie serwetkę, na której był chyba sos barbecue.

Spojrzał podejrzliwie na Fincha z dzikimi włosami, niezapiętą kurtką i wyciągniętą prawą dłońią.

– Jesteś Ellery Finch? – zapytał kątem ust, jakby miał nam sprzedać narkotyki w parku przy Tompkins Square.

– Tak. Pan Perks? – Gość skinął głową. W końcu uściśnął dłoń Fincha i potrząsnął nią porządnie dwa razy.

Chciałam się też z nim przywitać, ale on pocałował moją dłoń. Powstrzymałam się, by nie wytrzeć jej w pogniecioną spódniczkę od mundurka.

– Chodźcie, chodźcie. Nie uwierzycie, ale dostałem tę książkę dziś rano. Wiedziałem, że kolekcjonerzy zaraz zaczną się o nią dobijać. To pierwszy egzemplarz, jaki mam u siebie, i drugi, jaki w ogóle udało mi się widzieć. Ale ta jest naprawdę wysokiej, wysokiej jakości.

Papłał jak licytator z jakiejś wiejskiej aukcji, ale przynajmniej nie traktował nas jak dzieci. Spodziewałam się schludnego antykwariatu z rzędami oprawionych w skórę woluminów, trochę jak w gabinecie Fincha, ale w środku wszędzie stały chaotycznie rozstawione pod najrozmaitszymi kątami półki, a także stosy luźnych książek. Pachniało tu klejem, papierem z nutą zwierzęcego welinu. I grillem. Perks poprowadził nas do przeszklonej biblioteczki na tyłach, w której leżały otwarte jak motyle książki. Finch zmarszczył brwi.

– Złe wpływa na grzbiety – mruknął.

– Więc najpierw umyję porządnie ręce, a potem przyniosę wam to, czego szukacie. – Perks złożył dłonie, skłonił się nam i wyszedł z pomieszczenia.

– Myślisz, że naprawdę dostał ją dziś rano? – spytałam cicho Fincha.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.



– Dziwniejsze rzeczy się działy. I to niedawno.

– Ale jeśli tak, czy nie powinno nas to zaniepokoić?

Perks wrócił, zanim Finch zdołał odpowiedzieć. Pomyślałam, że w równym stopniu zależy mu na sprzedaniu tej książki, jak nam na kupnie.

Miałam rację, ale powód był inny.

– Oto jest – powiedział, wyjmując książkę z koperty.

Na widok tłoczonych złotych liter na zielonej okładce zabrakło mi tchu w piersi. To była ta książka, wprost zapraszała do lektury i wspaniale pasowała do ręki.

Perks zauważył moją minę i się zaśmiał.

– Myślałem, że tylko mnie nabieracie, ale wygląda na to, że rzeczywiście chcecie ją kupić.

– Czy brakuje w niej jakichś stron?

Perks specjalnie zrobił przerażoną minę.

– Boże broń!

Odprężyłam się trochę.

– I naprawdę dziś ją pan dostał?

– Tak. I to niecałą godzinę przed waszym telefonem. Może wam się to wydać dziwne, ale w tym biznesie można się przyzwyczaić do takich karmicznych zbiegów okoliczności. Książki chcą, by czytali je odpowiedni ludzie. Nie ma w tym nic dziwnego, przynajmniej dla mnie.

– Kto ją panu sprzedał?

– Ktoś, kto powiedział, że kupił ją na wyprzedazy jakiegoś majątku. Ale oczywiście nie mogę sprawdzać wszystkich tych historii.

– Jak wyglądał? – spytał Ellery.

„Niech ma rude włosy” – pomyślałam.

Perks zastanawiał się chwilę.

– Był młody, prawie tak jak wy. Białe z ciemnymi włosami i takim wyrazem twarzy, jakby mógł sprzedać własną matkę. Poza tym... – Zawahał się, patrząc to na Fincha, to na mnie.

– Co takiego?

– Dziwny był z niego ptaszek. Pokrętny. I wyglądał trochę jakby z innych czasów.

– To znaczy?

W moim głosie musiało zabrzmieć ostrzeżenie, bo Perks wyrzucił w górę ręce i uśmiechnął się rozbijając.

– To tylko wygląd. Kogoś, kto jeździ bez biletu. Kogoś z Brooklynu. Dziewczętom w twoim wieku musi się podobać. – Wskazał książkę. – Chcecie zobaczyć?

Chciałam przede wszystkim wiedzieć, czy chłopak, który sprzedał mu książkę, nie był tym samym, którego widziałam przed szkołą i potem w barze. I czy jest to inny egzemplarz niż widziany przeze mnie w kawiarni w dłoniach rudzielca.

Perks włożył białe rękawiczki, w których wyglądał jak nieznana wersja Myszkki Miki.

– Oprawa jest prawie nieskazitelna. – Sprawnie przewrócił okładkę. – Papier niezniszczony, choć zdarzają się przebarwienia, co jest zupełnie naturalne.

Kiedy otworzył książkę, uniósł się z niej znajomy, nieco stęchły zapach starego druku i czegoś jeszcze – czegoś słodkiego. Pojawił się i natychmiast zniknął. Nagle wezbrało we mnie pragnienie, by były to perfumy Althei.

– Jak zapewne wiecie, pierwszy nakład był dosyć mały – zaczął Perks, a potem urwał, kiedy książka otwarła się na polaroidowym zdjęciu wetkniętym między strony. Widzieliśmy tylko jego białą stronę.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie zauważyłem tego wcześniej. Nie uwierzycie, co można znaleźć w starych książkach. To zdjęcie, więc jest duża szansa, że tak zwane artystyczne, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Więc młoda dama nie powinna raczej patrzeć.

Odwrócił zdjęcie swymi rękami Myszkki Miki i zaczął je oglądać. Spojrzał na nas, a potem znowu na zdjęcie. Pchnął je w naszą stronę.

– Co to jest, do diabła?

Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, na co patrzę. Na zdjęciu byliśmy my dwoje.

Ja i Finch obok siebie w pokoju Courtney – ja leżałam na łóżku, a on na podłodze. Sądząc z kąta i słabego światła, zrobił je ktoś wcześniej rano, stojąc u stóp łóżka. Oboje na nim spaliśmy. Ellery ułożył ramiona luźno wokół głowy, a ja wetknęłam ręce pod policzek.

Moja krew zamieniła się w lodowatą wodę. Ktoś był z nami w pokoju, patrzył, jak śpimy.

Finch pierwszy odzyskał głos.

– Proszę pana, naprawdę nie mamy pojęcia, jak...

– Nie sądzę. Więc co, wasz przyjaciel najpierw sprzedaje mi książkę, a potem wy chcecie ją odkupić? Ta sprawa śmierdzi. – Perks podniósł gwałtownie książkę. – Czy to aby na pewno prawdziwa Proserpine?

– Proszę pana – mój głos brzmiał nienaturalnie w moich uszach – nigdy w życiu nie widziałam tego zdjęcia. Przysięgam. Niech pan sprzeda nam tę książkę.

Perks potrząsnął sztywno głową.

– To zbyt dziwaczne. Albo jesteście współnikami tego, kto to sprzedał, albo dzieje się coś jeszcze. Tak czy tak, won z mojego sklepu.

– Przecież chcemy zapłacić. – Finch wyjął portfel i go otworzył. – To, co pan powiedział przez telefon i jeszcze tysiąc. Mam tu czek *in blanco*, zaczekamy, aż go pan zrealizuje.

Twarz antykwariusza nabrała niebezpiecznie czerwonego koloru.

– Przede wszystkim w ogóle nie powinienem kupować tej książki od tego podejrzanego chłopaka. Ucieszyłem się, że tak szybko się jej pozbędę, ale teraz jest mi wszystko jedno. Wiecie, co się stało z pierwszym egzemplarzem, który widziałem? – Wyciągnął palec w stronę mojej twarzy. – Spalił się. A przy okazji auto kumpla. Może spalił je ktoś taki jak wy.

– Ależ, proszę pana, my chcemy kupić tę książkę – protestował Finch.

– Lepiej spiszę ją na straty. – Perks wcisnął Finchowi zdjęcie i włożył książkę do koperty. – Wy-nocha i niech wam nawet nie przyjdzie do głowy, żeby ją wykraść. Za godzinę już jej tu nie będzie. Ktoś inny zajmie się tą przeklętą książką.

– Myśli pan, że jest przeklęta? – spytałam, a Perks spojrzał na mnie z litością.

– Wyglądasz na miłą dziewczynę – powiedział i potrząsnął głową. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego miłe dziewczyny trzymają z takimi łobuzami! – Wskazał Fincha.

Nie był zbyt wielki i przez chwilę myślałam o tym, by pchnąć go i wyrwać mu książkę. Wyrzucił nas jednak ze swojego sklepu, zanim zebrałam się na odwagę.

– Cholera! – warknął Finch, kiedy drzwi się za nami zatrzasnęły. – Mogłem ją zabrać.

– Właśnie o tym myślałam.

„Ktoś było wczoraj z nami w pokoju Courtney”.

– I kto zrobił to pieprzone zdjęcie? – Finch spojrzał na zgniecioną fotografię, którą trzymał w dłoni.

– To nie David, prawda?

„Ktoś stał nad nami, kiedyśmy spali”.

– Ledwie może włożyć spodnie. Nie posunąłby się do czegoś takiego.

Szliśmy szybko ulicą, rozglądając się uważnie dookoła i nie starając się tego ukryć.

– Włamali się do domu, zrobili nam zdjęcie, które włożyli do książki, i sprzedali temu staremu... żeby sprzedał je nam z książką. Ale dlaczego? Mogli przecież...

– Cię zbudzić? – Włosy Fincha najwyraźniej urosły parę centymetrów, wydawały się wydłużać pod wpływem stresu.

– Zabrać. Tak jak zabrali mamę. Dlaczego tego po prostu nie zrobili?

– Może... – Złożył dłonie jak Sherlock Holmes i wziął głęboki oddech. – Może to ma jakiś związek z bajką.

– To znaczy?

– Może nie wolno im ciebie tknąć. Bo jesteś wnuczką Althei! – Zaczął wpadać w podniecenie. – Bo w twoich żyłach płynie jej krew...

– Nie chcę być jakąś teorią fana Althei! Poza tym zabrali Elle, która jest bardziej Althei niż ja.

Odwrociłam gwałtownie głowę. Nie mogłam już na niego patrzeć. Dzień był wyjątkowo jasny

i tętnił czymś groźnym. Aż zamrugałam, widząc po drugiej stronie ulicy dziewczynę w długiej chłopskiej sukni z wietnamską świnią na plecionej smyczy. Po drugiej stronie szedł w naszą stronę mężczyzna w bejsbolówce z bukietem białych róż w ręku. Kiedy się zbliżył, zauważyłam lśniące na liściach fałszywe krople. Stara kobieta patrzyła na nas z okna na piętrze pobliskiego budynku, a wysunięta szczeka wskazywała, że powinniśmy się usunąć z jej trawnika. Facet z kwiatami trzymał w jednej dłoni aparat fotograficzny. Dziewczyna spojrzała na mnie, kiedy spuściła swinię ze smyczy. Mężczyzna podniósł aparat do oczu.

To było Uroczysko. Wszyscy oni byli z Uroczyska.

Moją głowę rozsadzała migrena. Kolana zrobiły się miękkie, a zęby i kłykcie zaczęły boleć. Znów poczułam stary zapach książki i wszystko wokół się zazieleniło, aż w końcu skrzydła wrony zasłoniły moje pole widzenia.



## ◀ 13 ▶

Czasami przerażało mnie to, jak mało pamiętałam. Kiedy patrzyłam na swoje życie, zlewało się w jeden zamazany kadr z deszczem na szybie. Gdy skoncentrowałam się na jednym planie, widziałam krople deszczu na szkle. A kiedy na drugim, rozciągającą się przede mną drogę. To, co mi zostało, było między miejscami (a nie samymi miejscami): autostrady, drogi gruntowe, parkingi. Motele z ciepłymi basenami pełnymi liści. Sad, w którym zatrzymałyśmy się kiedyś po drodze do Indianapolis, by zerwać jabłka, które smakowały jak banany i cukierki, i kwiaty.

Pamiętam mniej ze swojego życia niż z książek, które czytałam. W Nashville odurzałam się Francuską Lią Block. W Maine *Piotrusiem Panem*, a potem *Piotrusiem Panem w Ogrodach Kensingtonskich* oraz *Piotrusiem i łowcami gwiazd*. Ze spędzonej w Chicago zimy, gdzie Ella pracowała jako dozorczyńni i pomocnica w pracowni kostiumów w małym teatrze, pamiętałam *Wielki sen*, *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* oraz zimno tak bardzo dojmujące, że wydawało się nakierowane specjalnie na mnie.

Wszyscy powinniśmy stanowić mieszaninę natury i kultury, a nasze prawdziwe ja powinny kształtować lata przyjaźni i kłótni, relacji z rodzicami, marzeń, rzeczy, które zrobiliśmy zbyt wcześnie, tego, co podsłuchaliśmy, choć nie powinniśmy, tajemnic, które potrafililiśmy utrzymać lub nie, żalów i zwycięstw, cichych radości, całego tego rozdrobnionego materiału w jednym opakowaniu, nazwanym życiem.

Jednak za każdym razem, kiedy opuszczaliśmy jakieś miejsce, czułam się tak, jakby ktoś wycierał do czysta to, co się tam zdarzyło, aż zostawała tylko Ella, nasze kłótnie i kręte drogi. W rogach książek pisałam daty i miejsca, ale traciłam je po drodze. Może to mama szeptała mi do ucha: „Pech nie dogoni nas w następnym miejscu. Nie musisz pamiętać w ten sposób”. A może chodziło o sam radykalny akt wyjazdu i to, że nigdy nie oglądałyśmy się za siebie.

Tak mi się jednak nie wydawało. Myślę, że chodziło tylko o mnie. Mój mózg był jak stara kasetka, którą na nowo zagrywano. Przez nowe nagrania tylko czasami przebijały się nieziemskie nuty dawnej muzyki. Czasem zastanawiałam się, jak brzmiałoby oryginalne nagranie – jak wyglądał mój pierwotny kod. Obawiałam się, że jest bardziej mroczny, niżbym chciała. Bałam się, że w ogóle nie

istnieje. Byłam jak balon przywiązany do nadgarstka Elli – gdyby nie ona, jej przypomnienia, kim jestem i co znaczę, mogłabym odlecieć.

Kiedy zemdlałam, miałam wrażenie, że właśnie tak się ze mną dzieje, że unoszę się w eterze. Ustawał nawet ból głowy.

Ale grawitacja nie ustawała. Świat się o mnie upominał.

Głos docierał do mnie zwolnionymi falami. Wzrok powrócił w mozaice wzorów, a dopiero potem osadził się w czymś bardziej rzeczywistym. Ktoś przykucnął przede mną. Słońce z tyłu sprawiało, że widziałam tylko negatyw postaci. Miałam wrażenie, że moje ramię to torba z mokrą mąką, ale uniosłam je, by dotknąć aureolę włosów tej postaci. Ta zastygła, kiedy przesunęłam dłoń na jej miękką szyję.

– Mama? – wychrypiałam.

– Przykro mi, nie – powiedział cicho, ostrożnie Finch. Wraz z jego głosem wróciła mi pamięć. Opuściłam dłoń i zacisnęłam w pięść.

– Zemdlałaś – zauważył.

Opierałam się o niski murek z czerwonego piaskowca. Światło się zmieniło. Było cieplejsze, bardziej złociste. Po paru próbach udało mi się wydobyć głos:

– O co chodzi?

Patrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Jak Ella po zjedzeniu ciasteczek z marychą i wizycie w planetarium, kiedy to oczy zaokrągliły jej się z podziwu. Patrzył na mnie... jak urzeczony.

Chyba źle to zrozumiałam. Nie mogłam wyglądać tak pięknie po tym, jak zemdlałam. Popatrzyłam na niego złym wzrokiem i blask w jego oczach nieco przygasł.

– To nie trwało długo – powiedział. – I nie uderzyłaś się w głowę. Wszystko będzie dobrze. Powinnaś coś zjeść.

– Ta dziewczyna ze świnią – rzuciłam. – I ten chłopak z aparatem. Gdzie są?

Zmarszczył lekko brwi.

– Nie widziałem ich. Chyba byłem za bardzo zajęty tobą.

Ulica była pusta, ale wciąż czułam na sobie czyjeś spojrzenia.

– Trochę dziwnie cię złapałem – dodał Finch. – Uderzyłaś się w kolana.

Jednak ból był dobry. Mogłam się na nim skupić. Moje ciało nadal znajdowało się w półśnie, kiedy nie można stwierdzić, jaki to dzień, i chce się płakać. Chciałam odzyskać mamę tak, jak nigdy niczego nie pragnęłam. Było to pierwotne i dojmujące i z tego powodu poczułam się jak igła w olbrzymim stogu świata. Chciałam do mamy.

– Musimy iść. Powinam się stąd wydostać.

– Dobra. – Uniósł rękę tak, jakby zamierzał dotknąć mojej twarzy, a potem dalej, i przeciągnął dłonią po włosach.

– Pójdziemy, jak tylko będziesz mogła chodzić. Możesz?

Mogłam. Kiedy wstawalam, poczułam gwałtowne ukłucia. Świeże zadrapania bolały.

Poszliśmy. Czułam uderzenia migreny za oczami w głębi czaszki, kiedy patrzyłam na jasne od słońca powierzchnie. Finch zauważył, że się krzywię, poszperał w torbie i włożył mi na głowę znoszoną czapkę Rangersów.

Zrobił to tym zalotnym ruchem, który wykonywali faceci nawet w Whitechapel, ale łagodnie, a w jego oczach zobaczyłam znacznie bardziej skomplikowane uczucia. W cieniu pod daszkiem myśli zaczęły mi się rozjaśniać. Co takiego widziałam przed sklepem Perksa? Studenta fotografika? Dziewczynę z niezwykłym domowym zwierzakiem? To nie miało związku z Katherine-Dwukrotnie-Zabita i było czystą paranoją.

Paranoją tak szybką i gwałtowną, że zemdlałam. Ciekawe, jak wyśmiałyby mnie Audrey, gdyby to zobaczyła – w dodatku po tym, jak złapał mnie Ellery Finch?

– Audrey – rzuciłam.

– Co Audrey?

– Powstrzymała ojca. To znaczy, nie wiem, ale... byłby mnie zastrzelił, gdyby go nie powstrzymała. Może jak zadzwonię, będzie sama i zechce ze mną rozmawiać?

Machnęłam, żeby przeszedł do winiarni, przy której zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Komórkę

miałam prawie rozładowaną, ale po raz tysięczny wybrałam jeszcze numer Elli, gdy Finch odszedł, spodziewając się, że włączy się jej poczta głosowa.

Nie włączyła się. Usłyszałam za to odległe kliknięcie i serce podeszło mi do gardła. A potem miły głos z automatu powiedział mi, że ten numer nie istnieje.

Usiadłam ciężko na hydrancie i naciągnęłam daszek mocniej na twarz. Wiedziałam już, że Uroczysko może się wśliznąć do sypialni, podrzucić dziwne zdjęcie do książki czy wysłać wrony z wiadomościami, ale wyłączenie numeru mamy było tak obcesowe, tak bardzo zakorzenione w rzeczywistym świecie, że wystraszyło mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Zanim moje serce zwolniło, zadzwoniłam do Audrey, pewna, że usłyszę nagraną odpowiedź. Aż mnie zatkało, kiedy usłyszałam ją samą.

– Alice?

– Audrey. Odebrałaś.

– Boże, nie mogę uwierzyć, że tata do ciebie celował – powiedziała szybko, podniesionym głosem.

Wyobraziłam sobie jej twarz z makijażem, ale też przerażoną między pasmami lśniących, lakierowanych włosów.

– Audrey, komórka mi pada. Powiedz, co się stało z moją mamą.

– Zadzwoniłabym wczoraj wieczorem, ale tata wciąż przy mnie był. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie potrafił się też rozstać z pistoletem. Naprawdę postrzelił się w jaja.

Pokrzepiło mnie to, że znowu mówiła normalnie, ale nie miałam czasu na długie rozmowy.

– Audrey, proszę, skup się na chwilę. Moja mama.

– Och, przepraszam. Przepraszam. Ciągle jestem wystraszona. Jedziemy do nas do Hamptons... O, nie powinnam ci tego mówić. Zatrzymaliśmy się na lunch i jestem w takiej okropnej łazience. Zjadłam tylko bułkę z homarem, która ma dziewięćset kalorii. Nie wydaje ci się, że wciąż jestem w szoku?

Trzymałam telefon tak kurczowo, że czułam, jak odciska się na dłoni.

– Audrey, mama.

– Boże, przepraszam. Więc tak, pojechałam do domu na lunch, bo... bo musiałam.

Audrey nie robi kupy w szkole. Nie pytajcie, skąd wiem.

– Więc kiedy weszłam do domu, poczułam ten dziwny smród i pomyślałam, że Nadia zapomniała o śmieciach.

Wykonałam gest, który miał ją zmusić do pośpiechu, choć oczywiście nie mogła tego widzieć.

– Potem usłyszałam odgłosy kłótni. Nic wielkiego, skoro mieli się rozwodzić. Ale ona zaczęła wydawać dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Taki histeryczny bełkot. Przepraszam, ale tak to brzmiało. I powtarzała: proszę, proszę... I wtedy przyszło mi do głowy, że może rozmawiać z kimś innym.

Włoski na mojej szyi uniosły się. Objęłam jedną ręką żołądek, w którym poczułam zimno.

Audrey ciągnęła tak nietypowym dla siebie stłumionym głosem:

– Poszłam do ich pokoju. Tata stał przy drzwiach. Wyglądał strasznie, był całkiem nieobecny, jakby ktoś walnął go w głowę. A twoja mama klęczała na podłodze. I było tam, ee, tych dwoje.

– Dwoje ludzi?

Głos jej delikatnie pękał, łamał się.

– Nie, raczej nie. Nie sądzę. Wiesz, Alice, oni wyglądali jak ludzie, ale chyba nimi nie byli. Coś w nich się nie zgadzało... coś było nie tak! Facet miał tatuaże na twarzy i był całkiem niezły. Ale miał brudne, obrzydliwe białe stopy. Tak śmierdział, że myślałam, że tam zejdem. A ta kobieta, jej oczy... – Urwała. Usłyszałam trzask zapalniczki, a potem, jak mocno i gwałtownie zaciąga się papierosem. – A twoja mama... Wydaje mi się, że ich zna. Powiedzieli o niej tacie coś takiego, że ją znienawidził. Nie wiem co.

– Audrey, komórka mi pada. Gdzie ją zabrali?

Chwila, której potrzebowała na namysł, była rozdzierająca.

– Nie wiem dokładnie. Byliśmy w tym pokoju, straszili mnie, a potem nagle znalazłam się w ich samochodzie. Fajnym, z przyciemnionymi szybami. Jakbym zemdląca albo coś takiego. Ten facet

z kobietą siedzieli chyba z przodu, bo z tyłu była tylko nasza trójka. Tata tak się pocił, że myślałam, że dostanie zawału, ale twoja mama wyglądała normalnie. Naprawdę, Alice. Wydawała się silna. Przestała płakać, siedziała wyprostowana i patrzyła prosto przed siebie. Kiedy zatrzymali wóz i pozwolili mi i tacie wysiąść, w jakiejś gównianej części Bronksu, takiej, że trudno było znaleźć tak-sówkę... Próbowała się do mnie uśmiechnąć. Cholera, zostawiła dla ciebie informację. Nic z niej nie rozumiem, ale może ty coś z tego skumasz. Słuchasz mnie?

– Tak. Co powiedziała?

– Powiedziała: „Przekaż Alice, żeby trzymała się z dala od Hazel Wood”.

Przycisnęłam telefon do ucha, jakby mogło mi to pomóc w zrozumieniu tych słów.

– Powiedziała dlaczego? A może coś jeszcze? Widziałaś, dokąd pojechał ten samochód?

Mówiłam tak głośno, że facet na leżaku popatrzył na mnie podejrzliwie. W słuchawce zapanowała cisza, a potem usłyszałam trudny do podrobienia głos Harolda z akcentem z New Jersey.

– To damska łazienka, tato – pisnęła Audrey. – Rozmawiam z Olivią.

Zaczął mówić głośnie, a ja usłyszałam sygnały w słuchawce, kiedy Audrey uderzała w ekran, próbując się rozłączyć. W końcu jej się udało. Nie chciałam narobić jej kłopotów, ale nie mogłam się powstrzymać i raz jeszcze wybrałam jej numer. Od razu odezwała się poczta głosowa.

Nie płakała. Sprawiała wrażenie silnej. Audrey mówiła o Elli jak o generale, który jechał na własną egzekucję. Nawet wiadomość dla mnie brzmiała jak jej ostatnie słowa.

Usłyszałam dzwonek od strony winiarni i wyszedł z niej Finch z dwiema butelkami wody i papierową torbą. Opowiedziałam mu pobieżnie o rozmowie z Audrey, a potem pochyliłam się aż do kolan.

– Hej... hej... – Położył dłoń na mojej głowie i zostawił ją tam jak czapkę. Miałam zaciśnięte oczy i dyszałam, skupiając się na żelazistym zapachu podrapanej skóry oraz małej wyspie ciepłej dłoni Fincha na mojej głowie.

Po jakimś czasie położył drugą dłoń na moim barku i delikatnie pomógł mi wstać z plecami przy ceglastej ścianie winiarni.

– Nie jest dobrze, jak za dużo krwi napłynie ci do głowy. Po prostu oddychaj. I zjedz to.

Kanapka, którą włożył mi w dłoń, mogłaby być równie dobrze z drewna. Moje gardło wydało kilka owadzych dźwięków, kiedy próbowałam przełknąć parę kęsów.

– Zachowywała się tak, jakby moja mama nie żyła – powiedziałam w końcu. Mój głos brzmiał tak żałośnie, że omal nie zaczęłam dyszeć.

– Audrey nie jest szczególnie bystra – zauważył. – Ani delikatna.

Wyrzuciłam z siebie coś w rodzaju śmiechu.

– Musimy jechać do Hazel Wood.

Jego oczy się rozszerzyły.

– Dobrze.

– Nie wiem, co tam znajdziemy – ostrzegłam. – Nie wiem nawet, czy ten majątek wciąż należy do Althei. Może mieszkają tam jacyś bogacze. Albo coś gorszego. Nie musisz ze mną jechać.

– Muszę – stwierdził po prostu.

Wiedziałam, że tak powie.

A potem przypomniałam sobie, że nie mam pojęcia, gdzie w ogóle leży Hazel Wood.

– Hmm, jest tylko mały problem.

Pospieszne przeszukiwanie komórki potwierdziło to, co oczywiste – nie ma pewnego adresu Hazel Wood. Wiedziałam tylko, że majątek znajduje się gdzieś... na północy...

– Może to taki sprawdzian – zauważył Finch. – Tylko osoby prawe odnajdą tam drogę. To by było klasyczne rozwiązanie.

– Prawe? Chyba mam pecha.

– Mówię poważnie. Właśnie w taki sposób powinniśmy myśleć.

– Daj spokój, to przecież życie, a nie bajka.

Posłał mi spojrzenie, które powoli zaczęłam kojarzyć tylko z nim, coś, co wskazywało, że nikogo nie uda mi się nabrać.

– Już nawet sama w to nie wierzysz.

Miał rację. Bramy Hazel Wood mogły być dla mnie wejściem do krainy baśni. Gdyby mama była w miejscu, w którym mogłaby do mnie zadzwonić, na pewno by to zrobiła. A gdyby nie żyła, to wierzyłam całą głębią swego istnienia, że wiedziałabym o tym. Nie mogła umrzeć tak, żebym tego nie poczuła. Gdyby ją zabili, zaczęłabym kuleć. Ośleplabym.

Co znaczyło, że gdzieś ją trzymali i nie mogła zadzwonić albo znalazła się w jakimś miejscu, gdzie nie było mowy o komórkach. Nie wiedziałam, co gorsze.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Finch. – Chyba coś znalazłem.

Przykucnął, żeby pokazać mi blog, który znalazł w necie, zatytułowany „Podróże poprzez mniszki”. Popatrzyłam na zdjęcie blogerki o ksywce Ness i westchnęłam. Miała dwadzieścia parę lat i wyraźną obsesję na punkcie *Śmierci* Neila Gaimana. Wyglądała też podejrzanie podobnie do studentki, która zaczęła mamę jakiś czas temu w Fairway, domagając się informacji o Althei.

Usiedliśmy bliżej siebie, żeby móc to przeczytać razem. Palce Fincha były ciepłe i przesuwaly się przez moment pod moimi, bo też złapałam za komórkę. Tytuł tego postu brzmiał: „W poszukiwaniu źródła – 133 dzień”.

„Moje badania i poszukiwania domu pionierskiej feministycznej autorki i samotniczki Althei Proserpine dały – tak jak przypuszczałam – owoce dopiero 133 dnia. 1+3+3 daje 7, co jest znaczącą liczbą dla wszystkich czytelników bajek”.

Przewróciłam oczami tak bardzo, że zobaczyłam własny mózg. A potem powróciłam do lektury, bo przecież nie mieliśmy innego punktu zaczepienia.

„Od dawna wierzyłam, że Hazel Wood jest jednocześnie stanem umysłu i konkretnym miejscem. I od kiedy miałam szczęście zajmować się dziełem Althei Proserpine pod kierunkiem profesor Mirandy Deyne, stało się dla mnie jasne, że dzieło autorki czerpie ze źródła zasilanego nie tylko przez magię, ale i umysł. Nie zdziwiło mnie, że nie można znaleźć Hazel Wood na żadnej mapie i że nie można go znaleźć w Google earth, tak jak prawdziwej magii nie znajdzie się w programach uniwersyteckich – stąd zresztą posucha, jeśli idzie o badania naukowe poświęcone Althei Proserpine.

Jak pisałam w poście z 11 sierpnia, udało mi się wytropić autorkę znanego artykułu z «Vanity Fair» o Althei. I chociaż jakiś czas temu przeprowadziła się do domu starców, to nadal sprawia wrażenie bardzo bystrej osoby. Przez swoją córkę ujawniła, że nigdy nie miała dostępu do samej Althei, a jej wywiady opierały się na listach i kilku telefonach. Zaczęłam więc szukać fotografa, który miał dostęp do Hazel Wood, ale niestety okazało się, że zmarł za granicą w 1991 roku.

Pierwsze i drugie małżeństwo Althei zakończyło się śmiercią jej męża, miała ona też jedną córkę Vanellę Proserpine. O niej samej wiemy tylko, że była jedynaczką i że jej rodzice zmarli bardzo wcześnie. Vanella nie ma żadnego stałego adresu i odmówiła rozmowy o matce. Jest to wyjątkowo niefortunne, zważywszy na to, ile mogłaby wnieść do mikrogo świata studiów poświęconych Althei”.

– Pamiętam tę łaskę – rzuciłam szyderczo. – To wariatka!

– Wariatka, która mogła odwiedzić Hazel Wood. Czytaj dalej.

Wzięłam telefon i przewinęłam poboczne informacje, a także parę zawoalowanych próśb o wsparcie, i zatrzymałam się na tym:

„Wyruszyłam do Hazel Wood wyposażona jedynie w wiedzę, że dom znajduje się na północy stanu Nowy Jork i że według «Vanity Fair» od Nowego Jorku dzieli go pięć godzin drogi, że dojazd do niewymienionego z nazwy jeziora zajmuje dziesięć minut i że obok znajduje się miasteczko, które w momencie sporządzania tych informacji miało poniżej tysiąca mieszkańców. Towarzyszył mi jak zwykle Martin, mój szofer i kolega ze studiów.

W pisarstwie Althei przewijają się tematy niepokojące dla tych wszystkich, którzy wiedzą o jej domniemanym zamknięciu się w tym majątku: wysiedlenia, opuszczenia, napaści, nadprzyrodzonej kradzieży tożsamości i oczywiście wcielenia. Naczyniami tych związanych z uwięzieniem zmian są: ciało, wieża, małżeństwo, jaskinia, ale dokładna lektura kazała mi przypuszczać, że Althea prze-powiadała własne wcielenie, i to nie tylko duchowe, ale też fizyczne.

Tak, zaczęłam rozumieć, że jest nie tyle samotniczką, ile uwięzioną. Moim zdaniem przetrzymują ją w Hazel Wood wbrew jej woli. Martin zgadza się, ale traktuje to w kategoriach sensacyjnych. Jego zdaniem przetrzymują ją wierzyciele albo jakiś pisarz, któremu ukradła baśnie (z czym się nie



zgadzam). Oczywiście Martin nigdy nie przeczytał *Opowieści*, nie siadywał też u kolan profesor Mirandy Deyne, próbując dotrzeć do głębszych znaczeń tych baśni. Uważam, że opowieść Althei z «Vanity Fair» to tylko zasłona dymna i pułapka z luster, jeszcze jedna historia opowiedziana przez mistrzynię tej formy – mistrzynię, która trafiła na źródło dziwnych baśni, które wydają się tylko częścią jakiegoś większego i jeszcze dziwniejszego świata.

Moim zdaniem to właśnie siła tego świata trzyma ją w niewoli. Prawdziwym celem mojej wyprawy, którego nie chciałam wcześniej ujawniać, jest dotarcie i uratowanie Althei Proserpine z niewoli.

Wyruszyliśmy z Martinem z Nowego Jorku w środę i jechaliśmy pięć godzin na północ, a potem zaczęliśmy krążyć wokół jezior. Szukaliśmy czegoś, co wskazałoby nam dalszą drogę, bo w innym wypadku byłibyśmy skazani na szukanie małego groszku pod wielkim materacem. Oboje uważaliśmy, że Hazel Wood musi być otoczone drzewami”.

– Bo ma to przecież w nazwie! Hazel Wood to Leszczykowy Las – nie zdołałam powstrzymać głośnego okrzyku.

„Oboje uważaliśmy, że Hazel Wood musi być otoczone drzewami, i dlatego Martin kierował swoją hondę w takie właśnie odosobnione, zalesione okolice, położone koło licznych w tym miejscu jezior. W trakcie nasza honda musiała wytrzymać ataki czworonogów i muszę przyznać, że zdziwiło mnie to, jak chętnie farmerzy z północy stanu wyciągają broń na widok dwojga naukowców, którzy starają się jedynie zdobyć informacje, korzystając z grantów i darowizn. ([Kliknij tu](#), żeby czytać dalej).

Trzeciego dnia, jak się spodziewałam ze względu na wagę cyfry 3 w baśniach, dopisało nam szczęście. Zatrzymaliśmy się na śniadanie w barze, którego właścicielka słyszała o mieszkającej niedaleko autorce, choć nie znała nazwiska Althei Proserpine”.

Przewinęłam dłuższy fragment narzekań na to, jak to żadna kelnerka czy kucharka stąd do Marsa nie słyszała o mojej babce, będącej, powiedzmy sobie szczerze, autorką jednej bestsellerowej książki, której nakład szybko się wyczerpał i której nigdzie nie można było znaleźć. A potem pojawił się ten fragment:

„Instykt podpowiedział nam, by skręcić w gruntową dróżkę, przy której rosły nietypowo kwitnące o tej porze roku wiśnie. Kiedy dziesięć minut później dotarliśmy do dwuskrzydłowej metalowej zielonej bramy, zrozumieliśmy, że jesteśmy u celu, gdyż na bramie wykuto właśnie leszczykę. Poleciłam Martinowi, żeby schował gdzieś samochód, choć nie widzieliśmy kamer. Kiedy wysiedliśmy, poczuliśmy balsamiczne powietrze – moim zdaniem było tu ponad dziesięć stopni cieplej niż koło baru.

Zajrzeliśmy przez bramę, ale zobaczyliśmy tylko kępę drzew jakieś trzydzieści metrów dalej. Okrążyliśmy pieszo majątek i zauważyliśmy, że sprytnie zasadzone kępy roślinności skutecznie zasłaniają to, co jest wewnątrz. Martin próbował w paru miejscach wspiąć się na ogrodzenie, ale pokonanie go było niemożliwe.

Nie mieliśmy okruszków, by znaczyć naszą drogę przez las, a kiedy sprawdziłam mapę w komórce, pokazała, że znajdujemy się na Morzu Beringa. Komórka Martina natomiast informowała, że jesteśmy przed Graceland w Memphis. Czy był to jakiś żart, czy sygnał, że znajdujemy się na progu czegoś, co trudno nam sobie nawet wyobrazić? Miałam jednak takie wrażenie, że to Althea albo ten, kto ją więzi, śmieje nam się w nos.

Nie znaleźliśmy wejścia do środka i musieliśmy opuścić ten las. Piszę to teraz w pokoju w moim motelu, położonym czterdzieści pięć minut drogi od Hazel Wood. Jutro tak czy siak mamy zamiar dostać się do środka”.

Popatrzyliśmy z Ellerym na siebie wielkimi oczami.

– Ona śpi z tym Martinem, co? – spytałam.

– Martin może sobie pomarzyć.

Ale za tym głupim skupianiem się na sobie Ness mogła natrafić na coś prawdziwego. Na – jak to sama określiła – pradawne źródło magii i dziwności.

– Najdziwniejsze jednak – zauważyłam – że wysledziła dom babki, bo wydaje jej się, że musi ją ocalić.

– Nie, najdziwniejsze jest to, że to jej ostatni wpis na tym blogu.

Sprawdziłam datę – 17 stycznia. Dziewięć miesięcy temu, tuż przed śmiercią Althei.

– A jak często wcześniej pisała?

– Prawie codziennie.

– Hm. – Sprawdziłam życiorys Ness, żeby się więcej o niej dowiedzieć: że lubiła bajki, kolacje tematyczne i przedstawienia z wielkimi lalkami. – Pewnie napuścili na nią Katherine-Dwukrotnie-Zabitą.

To miał być żart, ale nie był.

– Nie jest w jej typie, ale wcale bym się nie zdziwił. I ty też. Co robisz?

Cofnęłam się do postu i zaczęłam pisać.

– Proszę ją o kontakt.

„Cześć, kiedyś próbowałaś porozmawiać ze mną o Althei” – wpisałam. A potem przez chwilę się zastanawiałam. „Jestem gotowa. Proszę o odpowiedź na adres...”.

Zanim zdążyłam zwrócić komórkę Ellery’emu, zaczęła odpowiadać okraszona bladą twarzą Ness:

„Czy jesteś tym, kim myślę, że jesteś?”

Serce załomotało mi w piersi.

– Szybka jest.

„Niezupełnie” – wpisałam. Nie byłam Ellą, jednak byłam najbliższą osobą, na rozmowę z którą mogła liczyć.

Minęła minuta, dwie.

„Jesteś w Nowym Jorku?”

„Tak”.

Parę sekund później pojawił się adres na Brooklynie. Starłam się go umiejscowić, kiedy zniknął.

– Cholera, zapamiętaj: czterysta siedemdziesiąt pięć Honore Street, siedem F. Tak? Czterysta siedemdziesiąt pięć Honore Street, siedem F.

Finch złapał swój telefon i wpisał go do aplikacji jakdojade.

Poczułam, że mam gęsią skórę na szyi.

– Czy ona siedziała przy tym swoim poście i czekała, aż do niej napiszę?

– Wiele na to wskazuje.

– Czy to nie dziwne?

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– W kontekście dzisiejszego dnia? Nie sądzę.

Wstał, żeby zaczekać na nasz samochód, a ja odchyliłam głowę ku słońcu, pozwalając, by ostatnie przebłyśki bólu głowy wbiły się niczym igły w mój mózg.



## • 14 •

Ness mieszkała w brzydkim szarym bloku na końcu ulicy, przy której stały budynki z czerwonego piaskowca. Nie uniosłam głowy, kiedy wspinaliśmy się do jej mieszkania. Nie chciałam napotkać oczu kobiety z potarganymi włosami, wyglądającej przez okno na siódmym piętrze. Ta wizyta i tak była dostatecznie dziwaczna.

Finch przez moment patrzył na dzwonki, a potem wcisnął ten z napisem 7F. Po chwili ktoś wybełkotał coś przez domofon.

– Co tam... Czekać...?

Popatrzyliśmy na siebie i Finch zadzwonił raz jeszcze.

Tym razem głos zabrzmiał wyraźniej, usłyszeliśmy westchnienie.

– Na co czeka Ilsa?

– Śmierć kochanka – odparł gładko Finch do głośnika.

Przerwa, a potem nosowe brzęczenie domofonu. Finch zerkał na mnie, robiąc ważną minę.

– Możesz to powiedzieć, jak chcesz – rzuciłam.

Nie widzieliśmy tu windy, a tylko brzydkie schody ze smutnym szarym chodnikiem. Wyglądało na to, że musimy wspiąć się tam o własnych siłach.

– Co takiego?

– Że wpuściła nas dzięki twojej wiedzy. Nie miałam pojęcia, na co czeka Ilsa.

Wzruszył ramionami.

– Ale jeśli masz wątpliwości, zawsze możesz zgadywać. Jeśli nie wiesz, to zwykle chodzi o śmierć, przez wielkie Ś. Tak już jest w Uroczysku.

Nie rozmawialiśmy aż do siódmego piętra, oszczędzając siły na wspinaczkę. Na ostatnim piętrze zgłębiałam się wpół i zaczęłam przeklinać. Wolałam już Whitechapel z lekcjami oddychania mindfulness i Krav Magą, a nie te dodatkowe lekcje WF-u.

– I jak tam? – Finch dotknął lekko mojego ramienia, na co odpędziłam go gestem.

Drzwi przed nami otworzyły się odrobinę, a my się cofnęliśmy. Chociaż Ness nie miała na twarzy nawet śladu makijażu, natychmiast ją poznałam. Stała wciśnięta między framugę oraz drzwi i pa-

trzyła na nas nieobecnyimi oczami.

Ubrana była w czarne dzinsy i bluzę Weasley's Wizard Wheezes, poplamioną czymś, co jak miałam nadzieję, było jedynie kawą. Oczy miała wielkie i mglistobłękitne, włosy kręcone, upięte, poprzetykane siwizną, choć wydawała się na to za młoda. Zdziwiło mnie jednak, jak staro wyglądała. Zdjęcie do bloga musiała zrobić wieki temu. Popatrzyła nieobecnym wzrokiem na Fincha i skupiła się na mnie. Zauważyłam, jak jej palce zacisnęły się na drzwiach.

– To ty do mnie pisałaś?

Skinęłam głową.

– Więc jesteś... wnuczką Althei. To ty rzuciłaś we mnie pomarańczę w Fairway?

– Tak. Mogę wejść?

– Ale tylko ty. – Odsunęła się od drzwi z miną, która wskazywała, że mam szykować się na swój pogrzeb.

Popatrzyłam przepaszająco na Fincha.

– Zaraz, chwila. – Przesunął się do drzwi. – Alice?

– W porządku, Finch.

– Na pewno? – spytał cicho.

Jego oczy, wielkie, opiekuńcze, sprawiły, że zeszytniał mi kark. Tak się dzieje, kiedy zaczynamy kogoś potrzebować – ten ktoś po prostu się do tego przyzwyczaja.

– W porządku – powtórzyłam i odepchnęłam go, żeby wejść do środka.

Szczęśliwie wyglądało to na przyjazny gest.

Wewnątrz było pełno książek, tak że antykwariat Perksa przy nich bladł. Zapach w mieszkaniu był klaustrofobiczny z nutami indyjskich perfum Nag Champa, starego zamawianego jedzenia i brudnych włosów. Pod spodem czaiła się jeszcze woń szaławii, którą znałam z oczyszczających rytuałów Elli.

Kiedy już oswoiłam się z tym smrodem, zaczęłam zwracać uwagę na szczegóły. Była to wielka kawalerka. Większą część zajmowały książki w kartonach albo stosach. Nawet stół kuchenny, łóżko i zapadnięty aksamitny fotel były nimi pokryte. Poza tym wały się tu zwinięte ubrania, pudełka po pizzy i wiele dodatków pasmanteryjnych. Miałam nadzieję, że Ness przechodzi terapię przez sztukę, bo wyglądała tak, jakby jej potrzebowała.

– Chcesz herbaty? – spytała szorstko. Popatrzyła na mnie ukosem, ale odwróciła wzrok, gdy na nią spojrzałam.

– Ni... no – odparłam, zmieniając decyzję.

Odwróciła się i poszła nastawić czajnik na swojej niewielkiej kuchence. Nie spytałam, choć nurtowało mnie to, jak długo trzymała w nim wodę.

W oczekiwaniu na wrzątek rozejrzałam się, gdzie mogłabym usiąść. Przy stole z niewinnie wyglądającymi gazetami stało tylko rozkładane krzesło, podeszłam więc, żeby przełożyć gazety na podłogę.

Zwróciłam uwagę na nagłówek pierwszej z nich: POLICJA BADA MORDERSTWA NA PÓŁNOCY STANU. Kiedy Ness wyjęła pudełko z herbatą Lipton, ja zaczęłam czytać.

„Malutka wieś Birch stała się sceną trzech niewyjaśnionych śmierci, które od siedmiu miesięcy bada policja...”

– Cytryna, śmietanka?

Uniosłam gwałtownie głowę. Ness wpatrywała się we mnie zamglonymi niebieskimi oczami.

– Ee... cukier. – Jak stara mogła być śmietanka? Jak zeschnięta cytryna? Cukier wydawał się najbezpieczniejszy.

Kiedy Ness pochyliła się nad torebką z cukrem, coś sprawiło, że wydarłam ten artykuł i wsadziłam do kieszeni spódniczki. Herbata zaparzyła się i Ness usunęła ramieniem jakieś śmieci z kuchennego stołu, a następnie strząsnęła to, co leżało na drugim składanym krześle, na podłogę i usiadła, stawiając przede mną biało-pomarańczowy kubek od Zabara.

– Więc czego chcesz? – spytała.

Wydawało się, że nie uznaje żadnych wstępów.

– Przeczytałam ostatni zapis z twojego bloga i mam nadzieję, że mi powiesz, jak dotrzeć do Hazel

Wood.

– Ha! – Odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła jak jakaś książkowa postać: – Podaj mi trzy powody, dla których miałabyś tam jechać. Trójka to dobra liczba w bajkach. Ale przecież wiesz. – Skrzywiła się i popatrzyła na mnie. To była prawdziwa wariatka.

– A może podam jeden naprawdę dobry?

W oczach Ness była pałaca pustka.

– Na ile lat wyglądam? – spytała zupełnie bez związku.

Uniosłam jedno ramię. Jeśli chciała komplementów, wybrała złą osobę.

– Trzydzieści... pięć?

– Mam dwadzieścia sześć lat.

Objęłam ciasno kubek i przyjrzałam się jej dokładnie. Te siwe pasma we włosach, zmarszczki wokół oczu... Słyszałam, że ludzie siwieją z powodu złych doświadczeń, ale to nie mieściło się w normie.

– Dostałaś się tam, prawda? – spytałam przyciszonym głosem. – Jak to możliwe?

Ness pochylała się w moją stronę, a włosy opadły jej na twarz.

– Dostaliśmy się tam, bo nas wpuścili – odparła bezbarwnym głosem. – W innym wypadku moglibyśmy szukać wejścia przez całą wieczność. Zabili Martina, ale mnie pozwolili przeżyć. W dalszym ciągu nie wiem dlaczego. – Na jej twarzy pojawiła się potrzeba zrozumienia, coś, co musiało tam kiedyś częściej gościć. – Dlaczego mnie nie zabili? Dlaczego mnie wypuścili?

– Kto zabił Martina? – wydusiłam, pochylając się tak, że róg stołu wpił się w moją klatkę piersiową. – Uroczyśko?

Popatrzyła na mnie, a jej głos nabrał pedantycznego zaśpiewu:

– Jak spędzasz czas w zaczarowanym świecie, po wyjściu z niego ten rzeczywisty jest siedem lat starszy. Ale kiedy wypuścili mnie z Hazel Wood, nic się nie zmieniło. Minęła tylko jedna noc. Samochód wciąż czekał. Z Martina... kubkiem kawy na tacy. Nawet kawę dało się pić. Ale to ja się zmieniłam. W ciągu nocy postarzałam się siedem lat. Jak mi się zdaje. – Dotknęła palcami kurzych łapek przy oczach. – Tylko popatrz na mnie.

Popatrzyłam. To wszystko, co mogłam dla niej zrobić.

– Tyle że nie pomogłabym ci tam dotrzeć, nawet gdybyś miała trzysta powodów – powiedziała gwałtownie.

– Mówiłam, że mam tylko jeden. Zabrali moją mamę i nie mam wyjścia. Wiem, że uznasz to za szaleństwo, ale muszę tam iść. Wszystko, co powiesz, może mi pomóc.

Ness potrząsnęła konwulsyjnie głową. Potem powiedziała coś cicho, śpiewnie:

– Czekaj, aż się liście zaczerwienią, i nicia świat ci zaszyją. Jeśli podróży swej nie skończysz, to bój się, kiedy wszędzie słońce.

Te słowa przewiały mnie jak zimny wiatr. Tak właśnie działały na mnie dziecięce wierszyki, nawet te niewinne. A ten wcale nie wydawał się niewinny.

– To wszystko, co mogę ci powiedzieć – rzuciła. – Przepraszam.

– Ale co powiedziałaś? Przecież to nic nie znaczy. Dlaczego w ogóle pozwoliłaś mi tu przyjść. – Coś zapłonęło w mojej piersi. – Dlaczego odpisałaś?

Wzruszyła ramionami, jej oczy znowu zmatowiały. Jej umysł przypominał błękitne niebo z chmurami, które przez nią przepływały – jasność umysłu przesłaniała mentalna mgła. Wciągnęła powietrze i powiedziała na jednym wdechu:

– Myślałam, że to coś zmieni. Jak cię zobaczę. Że znowu się obudzę, że zaczniesz mi zależeć, zacznę coś czuć. Noc w Hazel Wood była najdłuższa w moim życiu. Widziałam rzeczy, których nikt nie powinien widzieć. Mój przyjaciel stracił życie i powinnam być smutna, prawda? Ale nie jestem. Od tej nocy nic nie czuję. Jestem odrętwiała. Po części wciąż jestem tam, w pułapce wśród drzew. A druga część mnie jest w tym pokoju, w tej pułapce.

Wstała jakby ostatkiem sił i podeszła do drzwi wejściowych. Myślałam, że je otworzy i mnie wyrzuci, ale tylko oparła się o nie plecami i popatrzyła na mnie.

– Może ci się wydawać, że masz dobry powód, by tam iść, ale nic nie jest tego warte. Nic nie jest warte tego, co się tam czuje. Mam wrażenie, że jestem odmieńcem w obcej skórze. Nie pamiętam,

co lubiłam i czego pragnęłam, dlaczego pracowałam i opuściłam dom. Wszystko zniknęło. – Ściszyła głos do szeptu. – To, czym byłam, opadło ze mnie. Szkoda, że jeszcze coś zostało.

Dopiero wtedy otworzyła drzwi. Wstałam bez pewności, że nogi zechcą mi służyć.

– Powiedz nazwę miasta. Tego, w którym był twój motel. Reszty dojdę sama.

Popatrzyła na mnie jak na przedmiot. Wstrzymałam oddech, widząc jej źrenice. Były lekko owalne i przypominały oczy kozy. Czy zawsze tak wyglądały? Uśmiechnęła się tak przelotnie, że niemal tego nie zauważyłam.

– Jesteś wnuczką Althei – powiedziała. – Jedź do lasu. Jeśli zechcą, na pewno ich znajdziesz.



## • 15 •

Finch czekał na mnie pół piętra niżej, siedząc na schodach. Gdy tylko mnie zobaczył, skoczył na równe nogi.

– No? Masz ten adres?

Pytanie wydało mi się tak śmieszne, że tylko na niego patrzyłam, wciąż mając w uszach dziecięcy wierszyk, wyrecytowany przez Ness ze skrzypliwym zaśpiewem.

– Nie, nie mam.

– Cholera! To co masz?

– Kolejną przestrożę, żeby trzymać się jak najdalej od Hazel Wood. – W czasie schodzenia powiedziała mi, czego się dowiedziałam od Ness. Nie potrafiłam jednak oddać tego, co było naprawdę dziwne: wyrazu jej oczu, tej rymowanki. Doprowadzało mnie do szału, że choć miałam jej słowa na końcu języka, nie mogłam ich sobie przypomnieć.

– W mieszkaniu pełno jest gazet i kurzu, i akcesoriów malarskich. Mnóstwo nieużywanych rzeczy. – Myśl o nich nagle sprawiła, że zaczęło mi się krajać serce. Lśniący klej i sznury cekinów, by przywołać ducha kobiety, która straciła go w ciągu jednej, trwającej siedem lat nocy.

Finch nie odpowiedział. Kiedy na niego spojrzałam, zagryzał wewnątrz policzka i patrzył na swoje buty.

– Co się stało? – Nerwy sprawiły, że mój głos zabrzmiał ostro.

– Więc jednak się tam wybieramy?

Zatrzymałam się gwałtownie na parterze.

– Co?!

Nie odpowiedział, a ja z impetem weszłam w mdłe niebieskie światło popołudnia.

Ruszyłam przed siebie. Po beznadziejnym ciepłe mieszkania Ness chłodne powietrze, które czułam na skórze, dobrze mi robiło. Jej słowa mnie wystraszyły, ale też tchnęły we mnie życie. Czułam ostre październikowe powietrze w nozdrzach, żołądek skurczył mi się z głodu, resztki porannej kofeiny popłynęły szybciej we krwi. Serce ścisnął ból i wiedziałam, że nie ustąpi do chwili, gdy Ella znowu przy mnie stanie.

– No i co? – spytałam, kiedy do mnie dołączył. – Chcesz się wycofać?

– Źle mnie zrozumiałaś. Chcę sprawdzić, czy nie straciłaś odwagi. – Jego słowa zabrzmiały jak wyzwanie, oczy miał jasne. – Twoja mama nie chce, żebyś tam jechała. Ness zdaje się zagubiła się w lesie i nie wiemy, od czego zacząć. Chcę się zorientować, czy nie tego... Nie zmieniłaś zdania. – Zakołysał się na podszwach, jakby miał odfrunąć.

– A jeśli tak? – spytałam, chcąc go sprawdzić. – Jeśli uważam, że powinniśmy zrezygnować?

Moje słowa sprowadziły go na ziemię.

– Wtedy okej. Zrezygnujemy. Decyzja należy do ciebie.

Powiedział to, co trzeba, w dodatku pewnym głosem. Ale nie wierzyłam mu. Jego mina wskazywała, że nie chodzi tutaj wyłącznie o mnie. Może Finch wcale nie chciał być pomocnikiem w mojej historii. Może pragnął stworzyć własną. Chciałam mu powiedzieć: „Hazel Wood nie jest twoje”. Chciałam powiedzieć: „Ani Uroczysko”. Może powinnam. Ale znajdował się pomiędzy mną a całkowitą samotnością, więc tego nie zrobiłam.

Wóz Elli utknął na parkingu Harolda, więc Finch wynajął dla nas auto, wykorzystując biuro ojca, bo sami mieliśmy tylko po siedemnaście lat. Pojechaliśmy najpierw do Target, gdzie zaopatrzyliśmy się w batoniki granola, wodę i puszki z pistacjami. Kupiłam dodatkową bieliznę i tanie dżinsy oraz czarną bluzę i przebrałam się w łazience. Mundurek zwinęłam w kłębek i wrzuciłam do kosza. Miałam wrażenie, że na dobre skończyłam z Whitechapel.

Finch czekał przed łazienką, gdzie dał mi ciemne okulary w policyjnym stylu.

– Klasyczne na podróż – powiedział.

Włożyłam je. Zabarwiły świat dyskotekowym błękitem.

– Każesz mi też bawić się w gry samochodowe?

– Jak sobie zasłużysz.

Uśmiechnęłam się, ale nie odpowiedziałam. Zmniejszyło się już to napięcie, które czułam po wyjściu od Ness, ale wciąż byłam ostrożna. „Patrzę na ciebie” – powiedziały moje oczy, kiedy na niego spojrzałam.

„Ja na ciebie też” – odpowiedział.

Usiedliśmy w części barowej w Target i zaczęliśmy planować kolejny ruch, jedząc tłuste trójkąty grillowanego sera, maczane w keczupie.

– Anna nie przeżyłaby tego widoku – powiedział Finch, patrząc na swoje tłuste ręce, jakby były pokryte krwią.

– Przykro mi, że Jonathan Finch nie mógłby tego zaaprobować – powiedziałam odruchowo.

Na dźwięk nazwiska ojca Finch uniósł oczy, choć głowę miał pochyloną. Na chwilę, kiedy zobaczyłam w nich ten czarny błysk, dotarło do mnie, jak czują się inni, patrząc mi w oczy.

– Przepraszam – rzuciłam cicho, strzepując okruchy z moich nowych dżinsów. – Po prostu... nawet nie wiemy, gdzie teraz jechać.

– Pięć godzin na północ w okolice z miasteczkiem i jeziorami – Finch podał szczegóły z bloga. – Ness się udało.

– Z tego, co widziałam, to nie bardzo.

– Wiesz, o co mi chodzi. Po prostu jedźmy tam i poszukajmy znaków.

– Znaków z napisem „Droga do Hazel Wood”?

– Znaków takich jak zdjęcie w książce. Albo wrona z listem. Chyba że masz lepszy plan? – Uśmiechnął się na znak rozejmu.

Nie powinno to na mnie podziałać, ale jakoś podziałało. Niemal zapomniałam ten czarny błysk w jego oczach.

Tak czy owak miał rację. To był najlepszy możliwy plan.

Kiedy wyjechaliśmy na drogę, wieczór zaczynał dogasać. I kiedy tak siedziałam na miejscu pasażera i patrzyłam na rzekę czerwonych świateł pozycyjnych przede mną i mijania z naprzeciwka, poczułam się jak w innym życiu z Ellą. Nigdy nie wyjeżdżałyśmy z miasta w dogodnym do tego czasie. Były to zawsze dziwne chwile, kiedy znikwały niczym złoto w bajce szanse na pracę albo też pech za bardzo dał nam się we znaki. Przed wtorkową kolacją. W środku nocy po papierosie, który jak Ella przysięgała, zgasił, a który spowodował pożar w motelu. Dotknęłam skronią chłodnej szy-



by.

– Chcesz zagrać w grę samochodową?

Prychnęłam tylko. Grałyśmy z Ellą we wszystkie możliwe gry i same kilkanaście wymyśliłyśmy.

– Co? Dobrze, mogę cię zabawiać. Dla mnie sama jazda to takie niesamowite wakacje.

Zauważyłam, że trzyma kierownicę w zabawny sposób. Nie na dziesiątej i drugiej godzinie, ale w taki bardzo uważny sposób, jakby miał do czynienia z koszulą, która trudno się zapina.

– Dobra. W co chcesz zagrać?

Myślałam, że wybierze państwa i miasta albo grę alfabetyczną z numerami rejestracyjnymi, ale wybrał coś innego.

– Zagrajmy w pałac pamięci.

Popatrzyłam na niego.

– Sam to wymyśliłeś.

– Nie, moja mama. Zacznę, żebyś zobaczyła, o co chodzi. – Chrząknął. – Dobrze, pierwszy przedmiot w moim pałacu pamięci to... mapa Amsterdamu. W Amsterdamie straciłem, ee, dziewictwo w parku. – Zaśmiał się sam z siebie, jakby już przemyślał te przechwałki. – Więc A to Amsterdam. Teraz ty powiedz, co będzie B, i dołącz do tego obraz pamięci.

Czy zrobił to na ławce? W krzakach? A może po prostu na trawie? Mogłabym się założyć, że jednak w altanie. Wyobraziłam sobie, jak Finch uprawia seks z jakąś długonogą Holenderką, zanim dotarło do mnie, że za bardzo zwlekam.

– Dobrze, A to mapa Amsterdamu, bo tam straciłeś w-wianek – powiedziałam, robiąc pauzy, by zaznaczyć umowny cudzysłów. – A B to *Baśnie* Andersena, bo przeczytałam je, kiedy byliśmy w Vermoncie.

– Okej, A to mapa Amsterdamu, bo tam straciłem... wianek i już żałuję, że to wybrałem, B to *Baśnie* Andersena, bo czytałaś je w Vermoncie, a C, to... cienie, bo bałem się ich w dzieciństwie.

Nie śmiałam się z niego z tego powodu. Cienie potrafią być nieprzyjemne. Podałam trzy rzeczy w naszym pałacu pamięci i urwałam.

– Dobrze, D to dojazdy, bo przez całe życie gdzieś dojeżdżam.

– Nie. To musi być przedmiot. Coś materialnego.

– Dobrze – powiedziałam, nie spierając się, w jakim stopniu cienie są materialne. – Wobec tego droga, bo na niej spędziłam większą część życia.

– Droga? Bo ją pamiętasz?

– I jest materialna – dodałam.

– Jasne, jasne. – Finch podał wszystko od litery A do D, a potem się uśmiechnął. – E to eklerki, bo mama robi je, kiedy jestem chory. Robiła.

Na moment oboje wstrzymaliśmy oddech. Następnie Finch spojrział na miejsce, gdzie kończyła się bluza przy obojczyku.

– Teraz F, prawda? Może więc flora. Zawsze chciałem cię spytać o ten kwiat.

Odruchowo dotknęłam tatuażu, przypominając sobie wyraz twarzy Elli, kiedy z nim przyszłam. Wyraz zagubienia i gniewu, których nie znałam wcześniej. Poczułam wstyd, nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Nie. Może później, przy T.

Przeszłam przez F, H i J (falafel, bo Ella je lubiła, hamburger, bo ja je lubiłam, i *Jane Eyre*, bo czytałam ją w Tempe). Finch podał G, I i K (grzyby, bo jego mama robiła z nich świetne rzeczy, Idol, bo w pierwszej klasie napisał powieść fantasy o koniu, który się tak nazywał, i kit katy, którymi żywiła się przez cały dzień jego rodzina, w czasie podróży, gdy trafili na burzę śnieżną).

Znowu była moja kolej. L. Podałam wszystkie rzeczy, które mieliśmy już w pałacu pamięci, czując głupią satysfakcję, gdy mi się udało.

– L. L to będzie...

– Tylko nie jedzenie, które jadłaś, albo książka, którą czytałaś. Podaj jakieś prawdziwe wspomnienie.

Poczułam się poirytowana i jednocześnie zawstydzona.

– Chcesz powiedzieć, że oszukuję?

– Nie! Po prostu... pomyślałem, że lepiej cię w ten sposób poznam. Że pomyślisz o swojej przeszłości. Rodzinie.

Powiedział to lekkim tonem, bez nacisku, ale wiedziałam, o co mu chodzi.

– Pamiętasz, że nigdy jej nie widziałam, prawda? – rzuciłam gwałtownie. – Przenigdy. Althea w ogóle nie wiąże się z moim życiem, a moja mama nawet z nią nie rozmawiała przez szesnaście lat.

– A dzieciństwo? Gdzie dorastałaś? Co z tego pamiętasz?

Patrzył przed siebie na drogę, ale w jego głosie zabrzmiały ostre, zachłanne nuty. Jakby gromadził dane potrzebne mu do książki. I tak by mnie to wkurzyło, ale całą sprawę pogorszyła jeszcze jego pewność, że każdy ma masę wspomnień, które ot tak może z siebie wyrzucić. Połowa z tego, co mi się przydarzyło, przydarzyła się też w książkach. To samo dotyczy Elli, jak choćby w tej jej opowieści o samotnej matce, która próbuje związać koniec z końcem.

– Nie chcę już grać w tę głupią grę – powiedziałam i obróciłam się w kierunku szyby. – W dodatku skorzystałaś z niej, żeby się przechwalać seksem w parku z jakąś głupią cipą.

– Głupią cipą? Przez osiem miesięcy była moją dziewczyną. To nieładnie, jak dziewczyny same tak siebie nazywają.

– Boże, Finch, naucz się trochę życia.

W idealnym świecie miałabym słuchawki, które natychmiast bym założyła, i papierosa, którego mogłabym tu zapalić. Ale to nie był idealny świat. Usadowiłam się tak, by patrzeć przez okno, a wszystkie nagromadzone alfabetycznie wspomnienia opadły z mego umysłu jak płatki śniegu.

Cisza przeciągała się, przeciągała, aż w końcu się rozluźniła, gdy stało się jasne, że nikt jej nie przerwie. Dobrze.

Patrzyłam na jakieś krzaki przy drodze, kiedy ruch się zmniejszył. Finch jechał teraz równym tempem, w radiu nadawali coś spokojnego, kojącego, więc dostroiłam się powoli do rytmu emocjonalnie wyczerpującej, dalekiej podróży. Bez przerywników znów poczułam w kościach nieobecność Elli. W czasie jazdy strach nie dawał się tak we znaki. Za każdym razem, kiedy widziałam światła stopu, czułam panikę.

Krzaki przeszły w pojedyncze drzewa, a te z kolei w lasek. Skręciliśmy z głównej drogi na krętą dwupasmówkę. Dostrzegłam jakieś niepewne światełko przy drodze przed nami i zmrużyłam oczy. To była czołówka faceta w idiotycznych spodenkach rowerowych. Biegł w miejscu, sprawdzając puls pod brodą. Uśmiechnęłam się, bo wyglądało to głupio. Potem tuż obok pojawiła się nie wiadomo skąd kobieta o ciemnej karnacji i pochyliła się do jego szyi.

Przelecieliśmy obok, droga, biegacz i kobieta potoczyli się w ciemność za nami.

– Widziałeś? – pisnęłam.

Samochód szarpnął i skręcił na prawo.

– Co?

– Tego biegacza... i kobietę... – Sama nie wiedziałam, co przed chwilą udało mi się zobaczyć. – Czy w Uroczysku są wampiry?

Finch zacisnął dłonie na kierownicy.

– O Boże! Niedokładnie...

– Zawracaj.

Finch zwolnił i zawrócił. Kiedy jechaliśmy z powrotem, wypatrywałam światełka czołówki i dwóch postaci w półcieniu. Nic tam jednak nie było. Po pięciu minutach takiej jazdy Finch znowu zawrócił.

– Jesteś pewna, że coś widziałas? Miałem wrażenie, że przysypiasz, nie?

Popatrzyłam na niego niechętnie, choć mówił prawdę. Czyżby mój przytłoczony tym wszystkim umysł stworzył z różnych strasznych historii i ciemności coś, co mnie obudziło? Przypomniałam sobie artykuł wydarty z pisma u Ness, który zostawiłam razem z moim mundurkiem w łazience w Target.

– Zatrzymaj się, szybko.

Spojrzał na falujące w granatowych ciemnościach liście drzew.

– Zaczekaj. Podjedziemy trochę dalej.

Jechaliśmy jeszcze dziesięć minut, zostawiając daleko za sobą to miejsce, gdzie sama nie wiem, co widziałam, następnie zatrzymaliśmy się na poboczu i Finch zamknął drzwi od środka. Silnik wozu ucichł, noc zaczęła napierać na szyby.

Wpisałam do telefonu: „morderstwo w stanie nowy jork” i od razu trafiłam na artykuł, który widziałam u Ness.

POLICJA BADA MORDERSTWA NA PÓLNOCY STANU.

„Malutka wieś Birch stała się sceną trzech niewyjaśnionych śmierci...”.

– Czego szukasz?

– Birch – odparłam. – Birch w stanie Nowy Jork. Tam musimy jechać.

– Dlaczego? Co tam masz?

– „Niewyjaśniona śmierć biegacza”.

Oczy mu się rozszerzyły.

– Uroczysko?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. To się dzieje od miesięcy i coś im nawala. Tak jak z Katherine-Dwukrotnie-Zabita. – Zawahałam się, obserwując linię lasu. – Co to znaczy, że niedokładnie wampirzy?

Finch udał, że wzrusza ramionami.

– *Jenny i Kobiety Nocy.*

Przypomniałam sobie ten tytuł ze spisu treści Althei.

– O czym to jest?

– Jenny jest zepsutą córką farmera, która nie lubi, jak się jej odmawia. Spotyka w lesie dziwne dziecko, które mówi jej, jak może się odegrać na rodzicach: nakłuć im stopy, kiedy śpią, obmyć w ich krwi kamień, a następnie zakopać go pod oknem. Jenny tak robi, a wtedy do domu mogą wejść Kobiety Nocy. To oczywiście poważny błąd.

W mojej głowie pojawił się jakiś przebłysk, dawne, wyprane z barw wspomnienie, które próbowało ożyć. Przesunęłam palcem po dołku w mojej brodzie.

– A czy jest tam historia o... – Próbowałam wywołać to z pamięci, ale przypominało to łapanie ryb palcami.

Chicago. Rozdzierający krzyk Elli. Światło wokół drzwi.

– Drzwiach – zakończyłam. – Tam jest historia o drzwiach, prawda? Co to takiego?

– *Drzwi, których nie było.* Dlaczego akurat to?

– Po prostu opowiedz.

Zawahał się i pochylił głowę, by popatrzeć na czubki drzew.

– Dobrze. Opowiem tak, jak pamiętam.



Pewien bogaty kupiec żył na skraju lasu w malutkim miasteczku w Uroczysku. Przez większą część czasu podróżował, ale zaglądał do domu na tak długo, by dać żonie rok po roku dwie córki: starszą ciemnowłosą i młodszą złotowłosą.

Ojciec był im obcy, a matka była dziwna i często na wiele godzin zamykała się w swoim pokoju. Dziewczyny słyszały, jak z kimś rozmawia, kiedy przystawiały uszy do drzwi, ale tylko starsza, Anya, słyszała odpowiedzi. Ten głos był tak cichy i szeleszczący, że niemal jej się wydawało, iż są to liście pod oknem.

Którejś zimy, kiedy Anya miała szesnaście lat, matka dziewcząt zamknęła się w pokoju i już nigdy więcej nie otworzyła drzwi. Po trzech dniach wyłamali je służący, ale nic nie znaleźli w środku. Drzwi były zaryglowane, okna zamknięte. Na zewnątrz wciąż szalała zima, ale matka dziewcząt zniknęła. Pozostał po niej tylko kamienny sztylet w kałuży krwi.

Anya usłyszała, jak szepcze o nim służba, i wśliznęła się do środka, żeby samej to zobaczyć. Ta plama wywołała u niej tak wielki strach przed krwią, że zaczęła w ciemnościach prać swoją comiesięczną bieliznę.

Służba wysłała do kupca wiadomość, że jego żona nie żyje lub gdzieś zniknęła albo i co gorszego, ale bardzo długo nie było odpowiedzi. Aż do pierwszego dnia wiosny, kiedy to ojciec zajechał do domu powozem, którego dziewczęta nie widziały nigdy wcześniej.

Wewnątrz siedziała ich nowa matka. Stanęła na kamieniach podjazdu i uśmiechnęła się do nich. Była mniejsza niż Anya i miała wielką szopę jasnych włosów oraz niebieskie oczy, którymi patrzyła zimno to na jedną, to na drugą pasierbicę.

Przez następne pół roku ojciec pozostawał w domu, zadurzony w nowej żonie, pozwalał też dziewczynom na wybryki, do których przywykły, wychowując się bez rodziców.

Aż w końcu znudził się nową żoną, tak jak niegdyś znudził się starą, a córki i tak zawsze go nudziły. Ucałował więc ich macochę na pożegnanie, skinął głową dziewczętom i wyjechał.

Macocha bardzo szybko zrobiła się niecierpliwa. Warczała na dziewczęta, biła je za lada przewinę i nosiła w kieszeni nożyce, by ucinąć im włosy, kiedy ją z jakiegoś powodu zdenerwowały. Za każ-

dym razem, kiedy wychodziła z domu, zamykała je, żeby – jak mówiła – nie miały okazji do psot. Zamykała w pokoju matki, gdzie zamki w oknach pordzewiały, a na podłodze wciąż widać było wielką plamę, która straszyla Anyę niczym czarne oko. Na rozkaz ojca porąbano i spalono łóżko matki, a wszystkie ładne rzeczy, którymi się otaczała, gdzieś zamknięto. Pokój był pusty, a w nim tylko one i krwawa plama.

Na początku macocha wychodziła na parę godzin. Potem na całe dni, a potem również na noc. Kiedy po raz pierwszy trzymała je w zamknięciu przez całą noc, Anya waliła w drzwi i krzyczała, aż zaczęły ją boleć pięści i gardło, ale nikt nie przyszedł.

Kiedy macocha w końcu otworzyła drzwi, zmarszczyła nos i wskazała nocnik.

– Opróżnić go – powiedziała.

Proszek antymonowy i róż zlały się w cukierkowe wiry na jej twarzy, nie patrzyła pasierbicom w oczy.

W końcu przyszedł dzień, kiedy zamknęła je z miską jabłek i dzbanem wody i już nie wróciła. Słońce weszło i zaszło, weszło i zaszło. Trzeciego dnia Anya wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak służący jeden po drugim opuszczają dom, niosąc ich dobytek.

Dom był pusty. Jabłka zjedzone, woda od dawna wypita. Okna nie dały się otworzyć, a szyby stłuc, nawet kiedy Anya waliła w nie butem.

Tej nocy siostry leżały obok siebie na podłodze, starając się nawzajem ogrzać. A potem Anya usłyszała dźwięk, który już niemal zapomniała. Jakby wiatr poruszał liście za oknem.

Pochodził on z plamy krwi na podłodze. Zbliżyła się wolno do niego i nadstawiła uszu, wstrzymując oddech.

Była głęboka, głęboka noc, kiedy szeleszczenie zamieniło się w głos.

*Umrzecie* – powiedział jej głos.

Zła Anya znowu położyła się na podłodze.

„Wiem” – odpowiedziała gwałtownie w myślach. „I tak już jesteśmy na pół martwe”.

*Umrzecie* – powtórzył głos. – *Chyba że.*

I głos powiedział jej, jak może ocalić siebie i siostrę. Jak zmienić świat na tyle, żeby mogli żyć.

Do tego trzeba było krwi.

Rano Anya opowiedziała swojej siostrze Lisbet, czego się dowiedziała – że muszą zrobić drzwi. Ich matka nie umarła, odeszła, użyła magii, by zrobić drzwi, a te zaprowadziły ją daleko, daleko stąd. Krew ich matki przemówiła do niej i powiedziała, jak mogą zrobić własne drzwi, które do niej zaprowadzą.

– Potrzebna jest krew – powiedziała Lisbet – ale nie moja.

To było kłamstwo. Anya nie była zła z natury, tylko przerażona. Myśl o otwarciu własnych żył napełniała ją potwornym strachem, jakby spadała i spadała bez końca. Dlatego nie zwracała uwagi na gorycz, jaką poczuła w ustach z powodu tego kłamstwa.

Wyjęła kamienny sztylet z miejsca, które wskazał jej głos: zza luźnej cegły wygasłego paleniska.

– To nie może być moja krew, ponieważ jestem czarodziejką. Ty musisz poświęcić krew, a ja uczynię z niej drzwi.

Lisbet skinęła głową, ale wyraz jej oczu powiedział Anyi, że wie o kłamstwie.

To ją rozzłościło. Kiedy przeciągnęła sztylitem po nadgarstku siostry, złość sprawiła, że stała się nieostrożna i przecięła go zbyt mocno.

Lisbet nie powiedziała jednak słowa, a Anya użyła jej krwi, by wymalować drzwi. Najpierw ciągłymi liniami boki, przeciągając nadgarstkiem Lisbet po posadzce. Potem uniosła go wysoko, by wymalować nadproże. Kiedy Anya ją w końcu puściła, Lisbet była blada jak miąższ jabłka.

Anya odwróciła wzrok od poblądłej twarzy siostry i wypowiedziała słowa, które miały zamienić malunek w drzwi. Słowa, które głos powiedział jej trzy razy wprost do ucha, żeby zapamiętała. Posadzka natychmiast wchłonęła krew, a czerwone linie stały się smugami ciepłego światła. Nowe drzwi otworzyły się i poczuły ciepłe powietrze oraz zapach przywodzący na myśl czystą bawełnę. Wzięły się za ręce i patrzyły, jak drzwi się otwierają.

Następnie Lisbet jęknęła, zachwiała się i opadła na podłogę. Wyciągnęła przed siebie zimne palce, niemal dotykając drzwi.

Drzwi, których nie było, a które jednak były. Drzwi, które wypłyły jej krew.

W chwili, gdy Lisbet wydała ostatnie tchnienie, jasne światło zadrżało i zrobiło się zielone. Zielone jak zakażone rany, koszmary czy pleśń na starym chlebie. Zapach bawełny stał się duszny i utknął w gardle Anyi.

Anya rzuciła się w stronę drzwi, ale było już za późno. Otwierały się cał po calu, ale wionęło z nich stęchlizną niczym z lochu.

Nie sądziła, że znajdzie za nimi matkę, ale nie miała wyboru. Złapała Lisbet i przeniosła ją na drugą stronę.

Za drzwiami znajdował się pokój taki jak ten, który właśnie opuściła, tyle że odwrócony. Anya popatrzyła na ciemną plamę na podłodze. Była ze świeżej krwi. Przebiegła przez pokój, wciąż niosąc Lisbet, i szarpnęła drzwi.

Korytarz skręcał w lewo, a nie w prawo, na ścianach nie było też latarni, a tylko portrety ludzi, których Anya nie знаła. Mieli oni wypalone oczy, a usta wilgotne i czerwone. W pokoju migotało to samo ciężkie zielone światło.

Anya przechodziła dalej, trzymając Lisbet w ramionach. Czuła zapach węglowego mialu i krwi. We wszystkich paleniskach pełgały zielone ogniki. Na wszystkich stołach stały talerze z kawałkami gnijącego mięsa i poczerniałymi kwiatami z sinożółtym pyłkiem w środku.

Kiedy otworzyła drzwi wejściowe do domu, zauważyła, że choroba roztacza się też poza domem. Konary drzew stały się kostkami, a pył na drodze zamienił się w skrzypiący popiół.

„To przeze mnie” – powiedziała sobie. „Zabiłam siostrę – drzwi powstały z jej śmierci, a za nimi była właśnie Śmierć!”

Zajęło jej to parę godzin, ale tak długo kopała w spalonej ziemi, aż mogła pogrzebać siostrę. Następnie ruszyła w stronę miasteczka, żeby zobaczyć, czy znajdzie tam coś żywego.

W miasteczku czaiły się dziwne strachy. Nie było widać ludzi czy zwierząt i tylko ciężkie zielone niebo, które barwiło cały świat kolorem choroby oraz pozamykane drzwi domów i pomalowane na ślepy czarny kolor okna.

Anya nie spotkała nikogo. Nie potrzebowała snu, jedzenia czy picia, a kiedy przejechała kościanym nożem po własnym nadgarstku, nawet się nie drasnęła. Wspięła się po gęstych czarnych winoroślach, oplatających ścianę jednego z domów, na jego dach z rozpadających się kamiennych płytek. Skoczyła.

Ale opadła na ziemię niczym jesienny liść i nic jej się nie stało. Leżała tak, modląc się o śmierć, choć kolejne modlitwy smakowały równie gorzko jak kłamstwo, które zabiło jej siostrę. I właśnie wtedy raz jeszcze przemówił do niej znajomy głos.

Od czasu, kiedy szeptał jej do ucha sekrety w pokoju matki, minęło dużo czasu. Więcej niż jej się zdawało. Gdzieś daleko gorączka zabiła jej macochę. Jej ojciec wziął sobie nową żonę i miał z nią teraz syna.

„Możesz mnie zabrać do domu?” – spytała błagalnie Anya.

*Zadałaś złe pytanie* – odpowiedział głos.

Poprowadził ją przez miasteczko do grobu, który wykopała przed domem ojca. Wyrósł na nim czarny orzech włoski. W krainie Śmierci jego szeleszczące liście były jedyną rzeczą, która się poruszała.

„Lisbet” – szepnęła Anya i położyła dłoń na pniu.

Drzewo upuściło na jej dłoń trzy orzechy z szelestem, który zabrzmiał jak westchnienie. Anya rozłupała je jeden po drugim.

W pierwszym była zielona satynowa suknia w odcieniu skrzydeł ćmy.

W drugim pantofelki lśniące czarno jak skamieniałe drzewo.

W trzecim półprzeźroczysty kamień wielkości oka.

Kiedy Anya podniosła go do własnego, świat wokół eksplodował życiem. Dzień był jasny, drzewa zieleńiły się i rozkwitały, a na nią jechał powóz. Woźnica jej nie widział, ale zauważył ją koń i się cofnął, jego kopyta zawisły nad głową Anyi.

Kiedy upuściła kamień, na nowo znalazła się w krainie Śmierci.

Kamień był oknem do świata żywych.

*Rób z nim, co chcesz, ale nie zmarnuj siostrzanych darów* – powiedział głos.

Anya zaczekała, aż zielone światło ściemniało, co oznaczało noc w krainie Śmierci. Włożyła zieloną sukienkę i czarne pantofelki. Zaczesała do tyłu swoje gęste włosy, a potem przystawiła kamień do oka.

Zobaczyła dom z dawnych lat, w którym żyła jako dziewczynka z matką, ojcem i siostrą Lisbet. Trzymała kamień w jednym miejscu, jakby to był wizjer, przez który zaglądała za rogi domu i do jego okien.

Zobaczyła piękną kobietę, która grała na fortepianie. Posiwiąłego ojca, który pił sherry. I chłopaka trochę starszego od niej. Był wysoki i szczupły i trudno go jeszcze było uznać za mężczyznę.

Ojciec Anyi spojrział na niego z dumą i poklepał po ramieniu. Chłopak popatrzył leniwie na meble, matkę przy fortepianie, a potem na Anyę.

Wyprostował się i podszedł do okna. Anya aż się skurczyła, kiedy ojciec stanął obok niego. Chłopak wskazał Anyę, ale ojciec tylko zmarszczył brwi i spojrział gdzieś obok. W końcu zasłonił okno.

Anya czekała w ogrodzie w zielonej sukni w odcieniu błędnych ogników. Kiedy opuściła rękę, stała w rozkładającej się altanie wśród kości. Gdy uniosła kamień, zobaczyła zielen trawy i roztańczone gwiazdeczki świetlików. Zobaczyła chłopaka, który szedł w jej stronę – niepewnie, ale wciąż w nią wpatrzony.

„Możesz mi zadać jedno pytanie” – powiedziała. „Ale to musi być to właściwe”.

„Kim jesteś” – zapytał.

Anya nie odpowiedziała.

„Dlaczego oni cię nie widzą?” – zapytał.

Anya dalej milczała.

„Jesteś bardzo piękna” – powiedział w końcu i wyciągnął dłoń, by jej dotknąć. „Dlaczego trzymasz rękę tak wysoko?”

Anya uśmiechnęła się tak, jak widziała, że uśmiecha się do niego jej nowa macocha. Pozwoliła, by pochylił się do jej ust, a potem opuściła rękę i powróciła do martwego ogrodu.

Spotkali się wiele razy, zanim zadał właściwe pytanie. Miał wówczas puste z niedospania oczy i patrzył na nią z miłością, która przypominała głód.

„Jak mogę sprawić, byś tu została?” – zapytał w końcu.

Uśmiechnęła się i przysunęła usta do jego ucha.

Powiedziała mu, jak mogą być razem. Jak może przemienić świat żywych, by mogła do niego powrócić.

Potrzebna była krew.

Nauczyła go odpowiednich słów i powtórzyła je trzykrotnie, żeby zapamiętał, a potem wcisnęła do ręki kościany nóż. I patrzyła, kiedy przeciągnął krwawiącym nadgarstkiem po fasadzie domu ojca, malując drzwi. Chwiał się, wypowiadając słowa, jego twarz, która była lustrzanym odbiciem twarzy ojca, coraz bardziej bladła.

Krew stała się drzwiami, ze szczelin których sączyło się obrzydliwe zielone światło. Anya odrzuciła kamień i je otworzyła.

Chłopak zniknął, a światło stało się ciepłe, domowe. Kiedy przechodziła przez drzwi, poczuła, jak przyrodni brat, który przechodził do krainy Śmierci, otarł się o nią delikatnie.

Stała w domu ojca żywa i sama, a Śmierć nie czuła się oszukana, bo dostała w zamian życie. Anya uniosła kamień do oka na chwilę, by popatrzeć na przerażonego chłopaka, stojącego w zielonym świetle Śmierci, a potem włożyła go do kieszeni.

Poszła do kuchni, gdzie wyjadała łyżkami miód, rękami mięso i piła wino tak, że ciekło jej po brodzie.

Następnie wspięła się na piętro do sypialni ojca, w której spał wraz z żoną. Poczuła drzenie kościanego noża tuż przy piersi.

Nie poderznęła ojcu gardła. Poderznęła jego żonie i włożyła kamień do jej ręki, bo wiedziała, że ojciec go znajdzie i podniesie do oka, by zobaczyć martwy świat, który na niego czekał, i syna, który będzie go zawsze nawoływał, ale którego nigdy nie odzyska.



• 17 •

Kiedy Finch opowiadał, patrzyłam na las. Mówił cichym, usypiającym głosem, przywołując dawne potworności.

Światło zaczęło wyczyiniać sztuczki. Finch mówił o siostrach przechodzących przez wyrysowane krwią drzwi, a ja mrugałam i mrugałam, ale nie mogłam się pozbyć spod powiek cienkiej białej linii, jakby szlaku zimnych ogni, rozpiętej między drzewami. Kiedy skończył, dotknęłam szyby.

– Widzisz to?

Pochylił się, wpatrując się w widoczne za mną nikłe ślady światła.

– Kolejny biegacz? – mruknął.

Gdy przesuwałam się, żeby mógł lepiej widzieć, uderzyłam łokciem w przycisk od szyby, a ta przesunęła się parę centymetrów w dół. Poczuliśmy zapachy jakby dymu i metalu.

Jakby ognia i krwi.

Nagle doznałam *déjà vu* i zamarłam. Chicago. Krzyk Elli. Białe światełko.

– Finch, jedź! Jedź szybko!

Wrzucił bieg i wjechał z piskiem opon na drogę.

– Co się stało? O co chodzi?

Chicago. Krzyk Elli. Białe światełko i zapach śmierci. Chude dziewczęce palce chwytające brzeg drzwi.

– Nic! Sama nie wiem. Po prostu... jedź, dobra?

Przestał pytać. Przejechał parę kilometrów, a kiedy pojawiły się znaki, skręcił w kierunku stacji benzynowej. Wyszłam za nim i oparłam się o dystrybutor, kiedy nalewał benzynę, a potem poszłam za nim do ciepłego, woniącego tłuszczem McDonalda.

– Dostyc tych historii – rzucił lekko. – Najwyraźniej nam nie służą.

– Przestań gadać – powiedziałam bez emfazy, wgryzając się w cheeseburgera. Myślami byłam daleko, w mroźnym Chicago. Wspomnienia powracały coraz szybciej.

Szłam po oparciu kanapy jak po linie, aż spadłam, uderzając brodą w nasz tani stolik.

Krwawiłam. Mocno. Tak bardzo, że wydawało mi się, że coś się nie zgadza w tym wspomnieniu.



Potem wspomnienia rozpadły się na pojedyncze obrazy. Widziałam Elle, jak przyciska ręcznik do mojej brody. A potem zmywa mopem krew. Potem to światło, okropny zapach.

I krzyk. Szok, jaki poczułam na mrozie, kiedy Ella wyniosła mnie przez tylne drzwi, bez butów, z kapiącą krwią, która znaczyła linię.

Zostawiliśmy tam wszystko. Brodę trzeba było zszyć, ale w szpitalu zatrzymałyśmy się dopiero w Madison.

Od czego uciekałyśmy?

Kiedy wróciliśmy do samochodu, usiadłam na miejscu kierowcy, zanim Finch zdołał to zrobić.

Popatrzył na mnie przez szybę po stronie pasażera.

– Dasz radę prowadzić?

Posłałam mu złe spojrzenie, a on uniósł do góry rękę.

– Nie mam nic przeciwko. Prześlę się. Google maps mówi, że do Birch zostały trzy godziny drogi. Jedziemy tam i szukamy motelu?

– Dobry pomysł. Poszukam czegoś niezbyt blisko lasu.

Prowadzenie uspokoiło mnie, dało mi coś, na czym mogłam się skupić. Ale wciąż byłam wystraszona. Nasze światła połykały i wypluwały ciemności, a ja starałam się patrzeć dalej, aż za nie, jakby to, co ścigaliśmy, mogło znajdować się właśnie tam, poza zasięgiem mojego wzroku.

Koło jedenastej mieliśmy jeszcze godzinę drogi przed sobą. Finch zwinął się w nieprawdopodobny kłębek na swoim miejscu, oczy miał zamknięte. W końcu coś zobaczyłam – odległe żarzące się światła.

– Hej, pobudka.

– Nie śpię – powiedział nieco zduszonym głosem, potem uniósł głowę jak żółw i zamrugał oczami na widok drogi. – Jakiś wypadek?

– Nie mam pojęcia.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, dostrzegłam rozjaśnioną sylwetkę policjanta, który trzymał w obu rękach lampy. Podjechałam do niego i się zatrzymałam.

Policjant pochylił się i zajrzał przez okno od strony Fincha. Nosił niemal takie same okulary jak moje. W połączeniu z wąsami wydawały się przebraniem.

– Musicie zawrócić. Droga będzie przez jakiś czas zamknięta.

– Co się stało? – spytałam, patrząc przed siebie.

Dostrzegłam dwa samochody policyjne i paru policjantów. Jeden rozmawiał przez radio i trzymał je tak, jak MC trzyma mikrofon. Za nimi stała tylko w połowie na drodze biała terenówka.

– Wypadek – odrzekł krótko, tylko trochę nieuprzejmie.

Wyłączyłam światła, żeby lepiej widzieć. Wszystkie drzwi terenówki były otwarte. Obok leżało coś takiego, że na ten widok zaschło mi w gardle. Ale było to zbyt małe na człowieka. Może kurtka.

– Wóz jest chyba w porządku. Czy komuś coś się stało?

– Złotko?

Policjant żuł coś, gumę albo wnętrze swego policzka.

– Synu, powiedz swojej dziewczynie, żeby zapaliła światła i zawróciła, zanim ją spiszę – mówił mechanicznym głosem, zwracając metaliczne oczy okularów na Fincha.

To uczucie, jak zawsze, opanowało najpierw policzki, a potem cała skóra paliła zimnym ogniem.

– Może pan mówić ze mną – powiedziałam. – Jestem tutaj. A może uważa pan, że kobieta nie jest w stanie wykonać prostej czynności?

– Alice. – Finch położył dłoń na moim ramieniu. Strząsnęłam ją. Było za późno, by liczyć do dziesięciu.

– Niech pan nie traktuje mnie jak dziecka tylko dlatego, że jesteśmy na tym zadupiu, gdzie pan pracuje! Jak pan śmie traktować mnie jak jakąś pierdoloną kurę domową?!

Przez moment gliniarz patrzył na mnie, a mięsień w jego policzku drgał. Kiedy zdjął okulary, ukazały się brązowe, poirytowane oczy. Ludzkie.

– Tak zwracasz się do matki? To poważna sprawa, nie mam czasu na gadaninę. No już, światła i fora ze dwóra. – Wyprostował się i przeszedł parę kroków z opuszczonymi lampami.

Przez moment siedziałam sztywno, a adrenalina wciąż buzowała w moim ciele, aż Finch pochylił

się i włączył światła.

– Zawracaj – warknął. – Zawracaj, kurwa!

– Co się z tobą dzieje?

– Ze mną?

Poczucie własnego skurwysyństwa jest tak samo kiepskie, jak świadomość, że nas oszukali, ale bez tej moralnej satysfakcji. Zawróciłam gwałtownie i szybko, wydzierając trawę z pobocza.

– O co ci chodzi? – spytałam przez zaciśnięte zęby.

– Wiesz o co. Myślisz, że wszystko ci się należy?

– Mnie? I to mówi Ellery Djan i tak dalej? Mnie się niby wszystko należy?

– Nie chodzi o pieniądze! – wybuchnął. – Kłóciłaś się z policjantem, bo wiedziałas, że możesz. To szczyt arogancji. Popatrz na mnie. – Wskazał to, co oczywiste. Swoją skórę. – Jak myślisz, co by się stało, gdybym to ja się tak wydarł na gliniarza? A on nawet nie dał ci mandatu!

– Chciałaś, żeby dał mi mandat? – rzuciłam ślepo, nie zwracając uwagi na to, że chodziło mu o coś innego. – Może mam po niego wrócić?

Potrząsnął głową, patrząc przez okno.

Najbardziej gniewało mnie, kiedy ktoś nie chciał mi odpowiedzieć. Mój horyzont zaczęło zawęźać coś pulsującego i czarnego, aż w końcu miałam wrażenie, że jadę w tunelu.

– No, powiedz, co powinnam zrobić. Powiedz.

– Przestań – powiedział zmęczonym głosem. – Jedźmy do najbliższego hotelu. Jutro znajdziemy drogę.

Powinnam się zamknąć, ale tego nie zrobiłam.

– Wykluczone. To ty zaczęłaś tę całą rozmowę, więc ją skończmy.

– Daj spokój. Nie powinnaś obrażać tego policjanta, jasne? Mógł wywlec mnie z wozu, bo ty zachowywałaś się jak idiotka. Myślisz, że pieniądze coś tutaj znaczą? Myślisz, że zauważyłby, że jestem bogaty? Tylko udajesz, że nic nie rozumiesz.

Rozumiałam i to dobrze. Wstyd, który czułam, zamienił się w coś bardziej mrocznego. Zanim cokolwiek dotarło do mojego mózgu, szarpnęłam kierownicą i skręciłam w stronę drzew.

– Alice! – Finch rzucił się i chwycił kierownicę, ale trzymałam mocno.

Nasz świat zawęził się do pnia dębu, który wyłonił się przed nami. W końcu panika przedarła się przez wściekłość, znowu szarpnęłam kierownicą w lewo i wyjechaliśmy z powrotem na drogę. Przejechaliśmy po czymś, co wstrząsnęło całym wozem. Uderzyłam głową w dach i złość się we mnie wypaliła.

Jej miejsce zajął nieprzyjemny żal. Pozwoliłam się znieść na swój mroczny kontynent z samej głębi mojej osobowości, miejsce bez jakichkolwiek reguł, którego nie chciałam widzieć. Od ostatniej wizyty minęło sporo czasu, ale poczułam się tam jak u siebie w domu.

Finch siedział bez ruchu w fotelu obok. Czułam na sobie jego wzrok. Jechałam szybciej, jakbym w ten sposób mogła to wszystko zostawić za sobą.

– Co to. Kurwa. Było?

– Przepraszam – wydusiłam.

– Wszystko mi jedno. – Powtórzył niemal osłupiały: – Wszystko mi jedno! Co chciałaś... I co ja mam teraz myśleć? Jak chcesz mnie przekonać, że to się nie powtórzy?

Zacisnęłam ręce na kierownicy.

– Nie. Nie miałam zamiaru. Czasami... Źle sobie radzę z ludźmi. Głupieję. Głupio się zachowałam. Ale brak szacunku budzi we mnie wściekłość.

– We mnie też. Ale czasami trzeba schować swoją dumę do kieszeni.

– Przestań – rzuciłam, podnosząc rękę. – Mówię poważnie. Wiem, że to było okropne. Ale nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy, jeśli będziemy o tym gadać, więc może przejmiesz kierownicę.

Oparł się o szybę z rękami ciasno założonymi na piersi i milczał. Tak więc jechałam. Aż dojechałam na szutrowy podjazd pierwszego napotkanego motelu – Starlite Inn, stojącego nieco dalej na poboczu pod ścianą drzew. Finch spojrział na nie, ale nic nie powiedział.

W recepcji siedział facet, który wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać recepcjonista z ta-

niego motelu, położonego gdzieś w lesie na bezdrożach. Założyłam, że będzie tam książka, do której będę mogła wpisać jakieś śmieszne nazwisko, tak żeby Finch znów na mnie popatrzył, ale takie mają chyba tylko w starych filmach.

Finch wynajął jeden pokój i byłam mu za to wdzięczna. W tej chwili nie byłam pewna, czy nie zniknie. Nie wróci do Nowego Jorku, a po drodze nie skręci gdzieś nie tak i nie trafi do Uroczyska.

Taka przylepność zupełnie do mnie nie pasowała. Zawsze szczyliłam się tym, że nie potrzebuję przyjaciół, i wydawało mi się, iż znaczy to, że nie potrzebuję nikogo. Okazało się, że bardzo, wręcz potwornie potrzebowałam Elli. Była ona dosłownie wszystkim, co miałam.

Nasz pokój był w zmieszanej kolorze desperacji, a za wezgłowiem łóżek znajdowały się obrazy z widokiem, stanowiące test Rorschacha na depresję – jeśli widzisz wyblakłe pole kukurydzy w zakurzonej niebieskiej ramie, to wszystko jest w porządku, ale jeśli tylko jakieś dziwne wytwory fabryki, która wyzyskiwała robotników, wtedy trzeba uważać.

– Nie patrz na ten brzydki obraz – powiedział Finch. – To wygląda dziwnie. – Padł twarzą na jedno z łóżek, ale zaraz przekręcił się na plecy. – Ta poduszka śmierdzi tak, jak pościel kumpla, kiedy się zsiakał na obozie. Ale jestem zmęczony i wszystko mi jedno.

Przysiadłam na brzegu drugiego łóżka.

– Naprawdę mi przykro.

– Nie mów tak.

– Co? Dlaczego?

Zasłonił oczy ramieniem.

– Nieważne. A co tam widziałaś na drodze za tym gliniarzem? To nie był wypadek, co?

Łatwiej mi było z nim rozmawiać, kiedy miał zasłonięte oczy. Sama też się położyłam.

– Właśnie. I miałam takie... uroczyskowe uczucie. Widziałaś samochód z otwartymi wszystkimi drzwiami?

– Nic nie widziałem. Miałem przed sobą gliniarza i robiłem wszystko, żeby wyglądać jak najniewinniej.

– Co? Ty zawsze wyglądasz niewinnie.

– Tak? Potrafię nieźle namieszać. – Jego głos odpływał.

– Nie wierzę – odparłam cicho. – Wyglądasz na wyjątkowo porządnego faceta.

– To tylko pokazuje, że mnie mało znasz.

Coś w jego głosie mnie zaniepokoiło i zbyt długo myślałam nad odpowiedzią. Jego oddech stał się wolny i miarowy, co było zaraźliwe i sprawiało, że sama czułam, że moje członki są ciężkie niczym piasek. Z trudem uniosłam ramię, żeby zgasić światło.

Kiedy się udało, spojrzałam na sufit i się uśmiechnęłam – cały był pokryty fosforyzującymi gwiazdami. Oczy same mi się zamknęły. Odgłosy, które wydawał Ellery Finch przez sen, były niemal tak kojące, jak obecność drugiej osoby, do której mogłabym wyciągnąć rękę w ciemności.



## ◀ 18 ▶

Fincha dręczył jakiś koszmar.

Słyszałam, jak na sąsiednim łóżku wydaje ciche, żalodne dźwięki. Przez okno wpadało zakurzone żółte światło ulicznych lamp. Nie wiedziałam, która godzina, a telefon podłączyłam do ładowarki Fincha po drugiej stronie pokoju.

– Finch. Ellery.

Nie odpowiedział. Kiedy zapaliłam nocną lampkę, wzdrygnął się, ale nie obudził. Usiadłam po cichu i opuściłam nogi na podłogę. Zastygłam, spodziewając się, że otworzy oczy.

Nie otworzył. Miałam wrażenie, że cała jestem czymś powalana, jakbym pływała w brudzie innych ciał i tylko nie mogła tego dostrzec. Przekręciłam głowę i patrzyłam na Fincha.

Miał odrzuconą głowę, a jego oczy poruszały się pod powiekami. Zwykle kiedy patrzyłam na kogoś zbyt długo, zaczynałam go widzieć jako zbiór części. Kościste nosy. Gałki oczne w oczodołach. Wyprofilowane chrząstki uszu, dziwne i przeewoluowane palce czy makijaż wylewający się na skórę. I co, do diabła, ze spodniami i kolanami? I jak to się dzieje, że sobie chodzimy tu czy tam, jakby to wszystko było normalne?

Ale Finch pozostał w jednym zjednoczonym kawałku. Był chłopakiem leżącym z wyciągniętą szyją w łóżku. Usta układały się do słów, których nie słyszałam, a potem jęknął tak żałośnie, że za nim pomyślałam, usiadłam przy nim i położyłam dłoń na jego barku.

– Hej, śni ci się coś złego.

Z trudem wciągnął powietrze przez nos. Zamrugał, a potem spojrział na sufit i na mnie. Patrzyłam, jak sen ulatuje z jego oczu i znowu zaczyna patrzeć trzeźwo.

– Och! – powiedział.

W jego głosie były niewypłakane łzy i pomyślałam, że może wołałby, żebym nie patrzyła. Ale złapał mnie za rękę i przycisnął do swojej piersi.

Nie protestowałam. Równomierny rytm jego serca przypomniiał mi, że jest ono mięśniami. Naszym najważniejszym.

– Miałaś jakieś koszmary.

– Przepraszam. Przepraszam, Alice. – Wypowiedział moje imię tak, jak ktoś składający cenny klejnot na poduszce z mchów.

– Za co? To tylko sen.

– Nie, ja... – Spojrzał na mnie tak uważnie, że spuściłam oczy i popatrzyłam na nasze dłonie, unoszące się i opadające w rytm jego oddechu. – Wracajmy, Alice.

Uniosłam gwałtownie głowę. Miał wilgotne rzęsy i poznaczony liniami policzek. Mój umysł posłał strzałę do czasu, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy w mundurku w Whitechapel, aż do teraz, kiedy leżał w T-shircie i bokserkach w łóżku.

– Dokąd? – spytałam.

Uniosł głowę, aż w końcu zetknęliśmy się czołami.

– Są fajniejsze bajki – szepnął. – Jeśli Uroczysko jest prawdziwe, to może w ogóle wszystko. Moglibyśmy poszukać Nibylandii. Albo Narnii.

Nie płakałam od wieczora, kiedy Ella powiedziała, że się zaręcza, ale poczułam, że mam ochotę się rozplakać.

– Elli nie ma w Nibylandii – odszepnęłam. – Ani w Narnii.

– Może nie ma jej też w Hazel Wood.

Cofnęłam się, moja skóra była zimna tam, gdzie mnie dotykał.

– Możliwe. Ale właśnie to musimy sprawdzić.

– Nie musimy robić niczego, czego nie chcemy. Mamy wciąż... wciąż możemy zawrócić.

– Dlaczego tak mówisz? – Uderzyłam dłonią w materac i poczułam się idiotycznie, kiedy prawie nie wydał dźwięku. – Co ci się śniło?

Potrząsał głową.

– Śniłem o tym, że wszystko jest naprawdę.

– Bo jest. Oboje widzieliśmy Katherine-Dwukrotnie-Zabita.

– Nie, to wszystko.

– Wszystko?

Wciąż potrząsał głową, patrząc gdzieś za mnie.

– Nie masz czasami wrażenia, że twoje życie jest filmem? I że grasz w nim tylko rolę? Tracisz cały czas, patrząc na to, jak grasz, i myśląc, że nieźle ci wychodzi, aż nagle budzisz się i przypominasz sobie, że to nie żaden film. Wszyscy dookoła są, kurwa, prawdziwi – mówił coraz szybciej i szybciej, aż w końcu głos mu się załamał.

– To chyba fajnie być bogatym – rzuciłam z niemiłą sugestią, choć wiedziałam, że nie o to chodzi. Ja też tak czułam, z tym wyjątkiem, że nigdy mi się nie wydawało, żeby coś mi nieźle wychodziło.

– Wszystko, co robimy, pociąga za sobą konsekwencje – powiedział.

Zaskoczył mnie, gdyż był taki bezbronny i przestraszony w środku nocy, ale teraz zaczął mnie wkurzać.

– To nie jest zebranie narkomanów, Finch. Nie musisz mi tego mówić. Dla ciebie te konsekwencje kończą się wraz z dowiezieniem mnie do Hazel Wood. Nie mam pieniędzy, żeby zwrócić ci za benzynę, i sposobu, by cię przekonać, żebyś mi pomógł, pomijając to, że gotowa jestem cię zabić, jeśli zechcesz mnie zawieźć z powrotem do Nowego Jorku, kiedy jesteśmy tak blisko mojej mamy. Jasne?

Patrzyliśmy na siebie.

– Śniło mi się Uroczysko – powiedział.

– Tak, rozumiem. Ale nie ma to nic wspólnego z tym, co robimy. – To zabrzmiało jak kłamstwo, więc spróbowałam z innego końca: – To był sen, a nie prorocstwo.

– Jak daleko jesteś gotowa pójść, żeby ją znaleźć?

– Na kraj świata.

– Ale nie dalej? – Patrzył na mnie tak, jakby chciał, żebym go do czegoś przekonała.

Przycisnęłam mocno dłonie do oczu.

– Czujesz się tak, jakbyś grał w filmie? Cóż, ja też. Czuję się, jakbym grała w filmie, a w kinie spaliły się wszystkie krzesła. I nie ma scenariusza. A kamery nie działają i jesteśmy gdzieś w niewiedzanej części filmu na obrzeżach miasteczka. Finch, ona nie jest tylko jedyną osobą z mojej ro-

dziny, ale w ogóle jedyną bliską mi osobą.

Kiedy zauważyłam w nim przełom i akceptację, zrozumiałam, czego ode mnie chciał. Chciał wiedzieć, że nie mam nic do stracenia. Chciał wiedzieć, że być może gotowa jestem umrzeć, szukając Elli.

Umrzeć, jak umarł przyjaciel Ness.

Popatrzyłam na Fincha, na jego tak poręczną chłopięcość, i pomyślałam, że nie mogę pozwolić, by szedł tam ze mną. Nie w tę czarną dziurę, jaką było Hazel Wood. W którymś momencie w przeszłości, jakieś półtora dnia wcześniej dołączył do wątlej i smętnej grupy ludzi, której w przeszłości jedynym członkiem była Ella – grupy osób, które ja, Alice Crew, pragnęłam uchronić od śmierci.

Diabli z tymi, o których się nie troszczymy.

Obudziłam się parę godzin później z poczuciem ataku paniki. Oddychałam tak, jakbym przed chwilą wynurzyła się spod powierzchni wody. W uszach miałam jakieś zamierzające dźwięki. Co mogło mnie obudzić?

– Dzień dobry – rzucił Finch, który siedział już na łóżku, podpierając się rękami.

Zacisnęłam w pięść dłoń, którą trzymał przy piersi, przypominając sobie, jak wyglądał z wilgotnymi rzęsami w półmroku. Ale jego trauma gdzieś zniknęła i znowu ukazał się jako wcielenie dawnego Fincha.

– Dobry. Pomyślałam, że... Słyszałeś coś?

– Tak. Rozmawiamy już od pięciu minut.

– Co?!

– Mówiłaś przez sen, a ja odpowiadałem.

– Co mówiłam?

Uśmiechnął się. Było w tym coś przebiegłego.

– Nic takiego. Jakies nonsensy. Wiesz, związane ze snem.

– Finch, powiedz dokładnie, co mówiłam.

Nie był już tak rozbawiony, wyczuwając lód w moim głosie. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypomniał sobie, jak niemal uderzyłam wczoraj w drzewo.

– Poważnie, to były same głupoty. Mówiłaś o łowieniu ryb, tostach i tego rodzaju rzeczach. Nie panikuj.

– Nie znoszę, jak inni mi mówią, żebym nie panikowała.

Usiadł, dotykając nogami podłogi, i popatrzył na mnie poważnie.

– Przepraszam, masz rację. Powinienem cię obudzić. Ale to było miłe. Mówiłaś tak łagodnie... zupełnie inaczej niż zwykle. Ale...

– Ale powinieneś mnie obudzić – zakończyłam.

– Tak. – Wstał i się przeciągnął, a jego T-shirt podjechał wysoko nad bokserki. Popatrzyłam na sufit i na blade gwiazdy, aż przeszedł do łazienki. Dlaczego mu teraz nie wierzyłam? Co w jego głosie mówiło mi, że kłamie?

Wyszedł całkowicie ubrany, a ja z kolei weszłam do łazienki. Wzięłam prysznic i wciągnęłam ubrania na wciąż wilgotną skórę, co sprawiło, że czułam się tak, jakbym czegoś nie dokończyła. Za długo zwlekałam po ostatnim strzyżeniu i wilgotne włosy ocierały mi się o uszy. Zmarszczyłam brwi i poprawiłam je. Były gęste, w kolorze kukurydzy, poza tym falowały. Do mojego czternastego roku życia były tak długie, że mogłam na nich siadać. Takie Disneyowskie włosy, doskonałe dla każdej dziewczynki z potrzebą ich zaplatania. Ella dbała, żeby były krótkie, zanim nauczyłam się chodzić. A potem ja dbałam, żeby były długie, aż ten cholerny nauczyciel przypomniał mi, że stanowią zachętę. „Ładna z ciebie koteczka!”

Potem znienawidziłam długie włosy tak jak Ella. Kiedy je ścinałam, stawałam się niewidzialna – chłopcy już nie starali się strzelić w moje ciało paskiem mojego sportowego stanika. Dziewczyny nie pytały już, czy mogą dotknąć moich włosów, i nie chwytały ich mocno, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

– Jesteś gotowy? – spytałam, wracając do pokoju.

Finch przedał zieloną folię torebki z mieloną kawą, stojącej obok malutkiego ekspresu na szafce.

– I jak? – spytał i mi ją podsunął.

Wciągnęłam w nozdrza anemiczny zapach kawy Folgers i się cofnęłam.

– Moi szefowie chyba zemdleliby, gdyby zobaczyli, że coś takiego piję – zaczęłam i po raz pierwszy od zniknięcia Elli przyszło mi do głowy, że zupełnie olałam kawiarnię, czy też miałam olać, bo moja zmiana miała się zacząć za jakiś czas. Pomyślałam, że Lana będzie musiała sama obsłużyć najgorszych stałych klientów. Ciekawe, czy przyjdzie jej przynajmniej do głowy, żeby do mnie zadzwonić. I jakie to żałosne, że jedyne osoby, które poczują moją nieobecność w Nowym Jorku, płacą mi, żebym do nich przychodziła.

– Masz szefów? – spytał Finch i zmarszczył czoło jak nieznośny bogaty dzieciak, aż zaczęły mnie świerzbic ręce.

Zadzwoniłam na komórkę Christiny, jednocześnie pakując się i wkładając buty. Nie odebrała. Zadzwoniłam do Lany i rozmawiałam z nią, aż znaleźliśmy się na parkingu.

Słyszałam narastający zaśpiew jej głosu i ręka mi opadła. Zakończyłam rozmowę, nawet nie patrząc na ekran komórki.

– Więc dokąd...? – zaczął Finch, ale nie skończył.

Zaparkowany pod naszym pokojem wynajęty samochód był pełen wody. Tak jak akwarium. Woda była zamulona, nieprzezroczysta.

Zaśmiałam się krótko, nerwowo. Był to oczywisty znak, że Uroczysko cały czas nam towarzyszyło. Wydawało nam się, że jesteśmy tacy sprytni, ale jechaliśmy dokładnie tam, gdzie ono nam pozwalało.

Finch minął mnie z rękami przy głowie i popatrzył wprost w niebo.

– Mam nadzieję, że nie wyglądasz deszczu – rzuciłam.

Pomyślałam, że będzie wystraszony albo zaprezentuje podszyty agresją spokój, jak to on, czy nawet się wkurzy. Ale kiedy się do mnie obrócił, jego twarz wyrażała szacunek.

– To zrobiło Uroczysko.

– Tak.

– Nie możemy nigdy wrócić do Nowego Jorku.

– Wcale nie mieliśmy takiego zamiaru.

– Nie, gdybyśmy jednak zechcieli. A teraz... nie mamy wyboru.

– Co? Zawsze mamy. To jest nasz wybór. To nie fatum, Finch, a molestowanie ze strony cholernych sił nadprzyrodzonych.

Stałam najdalej, jak mogłam, i wychyliwszy się mocno do przodu, otworzyłam drzwi od strony pasażera. Woda chlusnęła i ochlapała moje tenisówki. Była słonawa i pełna zielonych i szarych drobin.

– To woda morska – zauważył Finch, kiedy na asfalt wypadła gruba srebrna ryba. Była szeroka, miała wąsy jak u suma i wylądowała na podbrzuszu. Jej boki poruszały się spokojnie przy oddychaniu. Patrząc na nią, poczułam litość – oto kolejna ofiara Uroczyska.

Ryba była tak spokojna, a jej pysk z wąsami wyglądał na tak starożytny, że zaczęłam się zastanawiać, czy też nie jest zaczarowana. Co by mi dała, gdybym wrzuciła ją z powrotem do morza? Jaką moc bym zyskała, gdybym ją zjadła?

Finch wyciągnął w moją stronę wiszący na jego palcu klucz.

– Zrób tę straszną kawę, a ja poszukam nowego wozu.

Przeprosiłam w myślach rybę i ruszyłam do motelu.

Okazało się, że nigdzie nie ma wypożyczalni aut, do której moglibyśmy się dostać bez auta, a dookoła żadnych taksówek. W końcu zdaliśmy się na łaskę recepcjonistki, która mogła być siostrą bliźniaczką recepcjonisty z nocnej zmiany.

– Możecie pojechać autobusem rybackim, zatrzymuje się niecałe dwa kilometry stąd. Zawiezie was do Nike, niedaleko Birch. – Udzieliła nam skomplikowanych wskazówek, jak dotrzeć do przystanku położonego ponad trzy kilometry stąd.

– Jak się pospieszycie, może zdążycie na dzisiejszy – dodała złowrogo.

Spanikowani popatrzyliśmy sobie z Finchem w oczy.

– Dzisiejszy? – zapytał. – Więc jest tylko jeden dzień?

Wzruszyła ramionami i znowu zaczęła przeglądać „Redbook”, zatrzymując się na stronach z cele-

brytami, którzy choć przekroczyli pięćdziesiątkę, byli szczęśliwi.

Uciekliśmy stamtąd, zostawiając za sobą zalany wóz. Znowu przydał się tak zasobny portfel Fincha – z finansowego punktu widzenia zniszczenie samochodu nie miało dla niego żadnego znaczenia. Przynajmniej wzięłam do pokoju torbę. Włożyłam do niej dłoń, aż wyczułam na dnie pióro, grzebień i kość. Nie wyjęłam jednak tych rzeczy.

Przyjemnie było iść razem i patrzeć przed siebie. Czułam nieznaną wcześniej żar, który przebiegał przeze mnie jak elektryczność, kiedy nasze oczy się spotykały. Jakby nasza wczorajsza rozmowa otwarła w nim ukryte wcześniej źródło światła i teraz zrobił się zbyt świetlisty, żeby na niego patrzeć.

Czy tak by to wyglądało? Gdyby Ella nie zaginęła, ja zostałabym w Whitechapel i zaczęlibyśmy się spotykać? Otarłam się ręką o jego dłoń i szybko cofnęłam. Wsadziłam ją do kieszeni spodni.

– Próbowałaś dziś dzwonić do mamy? – spytał, gdy znaleźliśmy się na poznaczonej koleinami drodze, która pachniała wilgotnymi liśćmi i przynętą. Jeśli wierzyć recepcjonistce, na końcu tej drogi powinniśmy znaleźć bar, przystanek autobusowy i stację benzynową.

– Nie. Pamiętasz, jej numer nie działa?

Przeszedł parę kroków i dopiero wtedy odpowiedział:

– Jasne, pamiętam. Przepraszam.

– Coś się stało?

Wpatrywał się w ścieżkę przed nami, ale wyglądało to tak, jakby patrzył w głąb swojej czaszki.

– Co? Nie. Posłuchaj, jeśli się spóźnimy, utkniemy w tym motelu na cały dzień. I noc. Pospieszmy się, bo nie wytrzymam kolejnej nocy na tej obsikanej poduszce.

– Dzwoniłeś do rodziców? – spytałam. – Nie mieli problemów z Katherine-Dwukrotnie-Zabita czy w ogóle?

– Nic im nie jest – odparł. – Katherine-Dwukrotnie-Zabita udławiłaby się moją macochą, gdyby coś próbowała jej zrobić. Nosi za dużo brylantów.

W jego głosie wyczuwało się gorycz, której nie potrafił zakamuflować żartem.

– Ale wiedzą, gdzie jesteś? Albo przynajmniej wymyśliłeś jakieś kłamstwo?

Obrócił się w moją stronę.

– Nie przejmuj się tym, dobra? Jeśli zauważą, że mnie nie ma, w co wątpię, to pomyślą, że zatrzymałem się gdzieś u znajomych. Albo zamknąłem się w bibliotece. Chociaż Anna może zauważyć. – Przez moment miał minę, jakby się tym przejął, a potem potrząsnął głową. – Wszystko jedno. Zajmę się tym, jeśli wrócę. Jak wrócę.

Zamknął usta i popatrzył na mnie dziko.

– Jeśli wrócisz?

– Kiedy. Kiedy wrócę.

– Powiedziałeś coś innego.

– Freudowska pomyłka, dobra? Nie chcę wracać, ale to zrobię. Są tam przecież moje wszystkie pierwsze wydania. I moja maszyna do pisania. I moje, sam nie wiem, swetry. No i... Boże, mój przyrodni brat. Jestem stereotypowym hipsterem, nie?

– Masz przyrodniego brata?

– Mam. Mieszka ze swoim ojcem. Ale widuję się z nim tylko dwa razy w roku. Jest jak piłkarz, który myśli. Już chcesz go skreślić, a wtedy ten otwiera usta, żeby powiedzieć coś mądrego. Prawdę mówiąc, to dosyć irytujące.

Rozmowa zaczęła wymykać mi się z rąk. Nie mogłam zapytać o jedyną rzecz, którą chciałam wiedzieć: dlaczego jest tu ze mną? Żeby mi pomóc czy przed czymś uciec? I czy to w ogóle miało znaczenie? Wynik był taki sam: bogaty Ellery Finch finansował moją wyprawę do Hazel Wood. Przed wyjazdem z Nowego Jorku sprawdziłam kartę, którą dostałam od Harolda, i oczywiście była zastrzeżona. Bez Fincha zapewne właśnie wydawałabym resztki moich oszczędności z kawiarni.

Finch być może wyczuł, że chcę mu zadać kolejne pytanie, bo zaczął biec.

– Przystanek! – krzyknął przez ramię.

Przyspieszyłam, ściskając torbę, która zaczęła się o mnie obijać. Oszukał mnie – nigdzie nie było widać przystanku – ale po paru minutach zobaczyłam chatkę, która okazała się barem. Za nim sta-



cja benzynowa i parking, na którym siedziało na rozkładanych krzesłach paru starych facetów z rozrzuconym wokół sprzętem rybackim i lodówkami turystycznymi.

Finch podszedł do nich i przez chwilę rozmawiał, potem pokazał mi wystawiony w górę kciuk i przybiegł z powrotem.

– Autobus będzie za godzinę i dowiezie nas do Nike. Zdaje się, że to dobre miejsce na ryby. Może gofra?

Bar wyglądał i pachniał jak czyjś stary, zakurzony salon. Ale gofry robili w nim dobre: koronkowe i maślane, z dużą ilością orzechów pekan, a potem, kiedy dołączyliśmy do staruszków, jeden z nich dał nam piwo. Finch wciąż był spięty, patrzył w przestrzeń i kołysał się na palcach, czekając na autobus. W końcu położyłam dłoń na jego ramieniu.

Podskoczył chyba na metr.

– Boże, ale masz zimną dłoń!

Cofnęłam rękę.

– Zimną dłoń i zimne serce.

– W to drugie nie wierzę.

– Zapewniam – rzuciłam. – Wyglądasz, jakbyś miał wyskoczyć ze skóry. Nic ci nie jest?

– Nie, tylko... Nie, wszystko w porządku. Przepraszam. – Rozejrzał się, a potem pochylił w moją stronę. – Wiesz, jesteśmy tak blisko. To z samochodem, to prawdziwe czary, co?

– Tak, chyba tak.

Na jego twarzy pojawił się ten świetlisty wyraz, a ja poczułam, że włoski na mojej szyi podniosły się nieufnie.

– Jak myślisz, co tam będzie? – spytał. – W Hazel Wood?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam szczerze.

Moja wizja tego miejsca przypominała mieszankę przeróżnych baśni. Ze zgrzytem otwiera się zardzewiała brama, a za nią wśród wrzosów stoi stary zamek. Gdzieś w środku leży Althea w szklanej trumnie, jak Śnieżka albo martwa narzeczona. Poczułam na ramionach gęsią skórkę i zaraz je rozmasowałam.

Nie widziałam tylko Fincha, który tam ze mną wchodzi. Niezależnie od tego, którą wersję historii przewijałam w swojej wyobraźni – czy było to otwieranie drzwi złotym kluczykiem, przełazenie przez mur czy przedzieranie się przez ciernie, zawsze byłam sama.

– Jak daleko chcesz ze mną pójść? – spytałam gwałtownie. – Aż na sam teren posiadłości? Bo wiesz, że nie musisz.

Popatrzył na mnie obojętnie, a w jego oczach czaiła się zdrada.

– Nie rób tak – rzekł cicho. – Po prostu powiedz, jeśli chcesz się mnie pozbyć.

– Pozbyć się? – powtórzyłam tak samo cicho. Krew zaczęła szumieć za moimi gałkami ocznymi.

– To nie jakiś skok, a poszukiwania zaginionej. Wszystko mi jedno, co tam jest, chcę odzyskać mamę. Całą i zdrową.

– Kłamiesz. – To słowo tak się zapętlilo w jego ustach, że wydało się niemal miłe. – Chcesz wiedzieć, co powiedziałaś dziś przez sen?

Chciałam, ale nie. Wyciągnęłam przed siebie głowę.

– Powiedziałaś: „Pióro, grzebień, kość”. Spytałem, co to znaczy, a ty powtórzyłaś: „Pióro, grzebień, kość”.

Zachłysnęłam się powietrzem, a Finch pochylił się w moją stronę.

– Zaraz, wiesz, co to znaczy?

– Nie. – To była tylko do połowy prawda. – Ale teraz wiem, że kłamałaś, kiedy stwierdziłaś, że nie powiedziałam nic ważnego.

– Może to ważne, a może nie, ale brzmi bardzo baśniowo. I musi coś znaczyć. To jakaś wskazówka, choćby po to, żeby dostać się do środka.

– Albo tylko sen. – Palce mnie świerzbily, żeby sięgnąć na dno torby i upewnić się, że wciąż mam te rzeczy. Pióro, grzebień, kość.

– Przez sen w łóżku, gdy w gruncie marzą o rzeczach prawdziwych<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> William Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. J. Paszkowski, Zie-lona Sowa, Kraków 2017.

– Nie cytuj mi tu Szekspira! Cała Whitechapel – warknęłam. – I nie cytuj mnie. A zwłaszcza tego, co mówię we śnie. – A potem dodałam, bo nie mogłam się powstrzymać: – A czy w książce jest coś na ten temat? Wiesz, pióra, grzebienia i kości?

– A jeśli, to czy ma to znaczenie? – spytał lekkim tonem, choć jego spojrzenie wcale takie nie było. – To znaczy, jeśli to tylko sen?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podjechał autobus. Był mniejszy, niż się spodziewałam, coś pomiędzy greyhoundem a volkswagenem transporterem. Na boku miał wypisane literami w kolorze khaki: Pike's Trailblazers. Kierowca najwyraźniej znał rybaków, a my nie zrobiliśmy na nim wrażenia.

– Nie macie sprzętu – zauważył. – Podróżujecie?

– Ile to będzie? – Spojrzałam na niego bezosobowo jak w nowojorskim metrze, ale to nie poskutkowało.

– Słyszeliście o zabójstwach przy tej drodze? Zabici to głównie młodzi podróżnicy. Mam nadzieję, że nie będziecie chodzić po zmroku.

– Ależ nie – zapewnił Finch i zerknął na mnie. – Ona... Mam rodzinę w tych stronach.

– W Nike?

– W Birch.

– Więc wiesz o wszystkim. – Kierowca skinął głową i przyjął pieniądze. – Wolę nie wozić tam idiotów z miasta. Ale skoro wiecie, na co uważać... – Oddał resztę Finchowi.

– Mamy uważać na morderców? – spytałam wciąż podenerwowana. – Właśnie na nich mamy uważać?

Kierowca zaśmiał się przez nos i pokazał gestem, żebyśmy przechodzili.

Powiedziano nam, że jazda zajmuje niecałą godzinę. Staruszkowie usiedli z tyłu, jak fajne dzieciaki z tych szkół, do których chodziłam, a my zajęliśmy miejsce z przodu. Finch zasnął niemal w tej samej chwili, kiedy usiedliśmy, albo przynajmniej udawał, że śpi. Kiedy w końcu upewniłam się, że nie udaje, wyciągnęłam z torby pióro, grzebień i kość. W świetle dnia wydawały się zwyczajne. Nawet kość nie wyglądała już jak palec. Włożyłam te rzeczy głęboko do kieszeni dzinsów i poczułam się lepiej, gdy tylko zniknęły z pola widzenia. Rozsiadłam się i patrzyłam na drzewa, które przewijały się jak gobelin.

Z radia w autobusie dobiegały takie piosenki country, które można śpiewać samemu, nawet jeśli się ich nie zna. Nuciałam pod nosem, opierając się głową o lepki winyl siedzenia. Zagrali wolną piosenkę w stylu lat pięćdziesiątych, a ja zaczęłam myśleć o nieżyjących królowych bali maturalnych. Piosenkarz śpiewał o kołysaniu się, pocałunkach i gwiazdach upiornym kobiecym głosem, ja zaś zaczęłam się zastanawiać, gdzie to wcześniej słyszałam.

Śpiewał: *Czekaj, aż się liście zaczerwienią*, a potem przeszedł do melorecytacji:

*I nicią świat ci zaszyją,  
Jeśli podróży swej nie skończysz,  
To bój się, kiedy wszędzie słońce.*

Te słowa podziały na mnie jak lód przyłożony do karku. To był dziwny dziecięcy wierszyk, który wyrecytowała Ness. Zamarłam, czekając na dalsze słowa, ale piosenka się skończyła. Nastąpiła przerwa z trzaskami, a potem z głośników niczym whisky wylała się piosenka Waylona Jenningsa. Kierowca poruszał w takt opaloną głową

„To właśnie tutaj” – pomyślałam. Tu jest Uroczysko. Albo gdzieś w pobliżu. Spojrzałam na Fincha. Poruszył lekko wargami i miałam ochotę go obudzić – czy może pogadać z nim, sprawdzić, czy będzie ze mną rozmawiał przez sen, tak jak ja z nim. Nie zrobiłam jednak ani jednego, ani drugiego. Recytowałam wierszyk w pamięci, aż się w niej wrył, i patrzyłam na drzewa, sama nie wiem dlaczego, bo widziałam tylko liście.



## • 19 •

Finch obudził się, kiedy dojechaliśmy do Birch, i sennie przeciągnął wierzchem dłoni po ustach.

– Gdzie jesteśmy? Jak długo spałem? – Wyrzał przez okno, kiedy autobus wjeżdżał właśnie na dużą betonową płytę, objeżdżając wielki jak szopa sklep ze sprzętem wędkarskim. – A, tutaj. – Powróciła do niego ta nieregularna energia, która opuszczała go falami, gdy zśliśmy z motelu.

Woniejący kwaśno starzy faceci przepychali się obok do wyjścia, śmiejąc się z jakiegoś kawału z brodą, którego nie usłyszeliśmy. Kierowca rzucił mi surowe spojrzenie, gdy wysiadaliśmy, a ja odpowiedziałam mu złym spojrzeniem, zastanawiając się, czy nie jest przypadkiem z Uroczyska. I czy nie zrobił czegoś z radiem. Nie, nie jest, zdecydowałam. Nie zrobił.

Finch trochę zwlekał.

– Jaki jest następny przystanek? – Usłyszałam, jak pyta kierowcę, kiedy wyszłam na chodnik. – Zawraca pan tutaj i jedzie dalej?

– Jasne. Ale nie możesz teraz stchórzyć, synu. – Kierowca wychylił się, żeby spojrzeć na mnie. – Nie spodobałoby się to twojej dziewczynie. Tylko nie zostawajcie w lesie po zmroku, dobra?

Finch odwrócił się z uniesionymi ramionami i nie patrzył na mnie, kiedy wychodził z autobusu.

– Co to było? – spytałam.

Spojrzał za mnie, tam, gdzie starsi faceci wchodzili do sklepu wędkarskiego. Chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko wzruszył ramionami.

Odwróciłam się. Jeśli miał jakieś egzystencjalne dylematy fana Althei, nawet nie chciałam o tym słyszeć. Wciąż musiałam myśleć o tym, jak się go pozbyć, zanim zbliżymy się za bardzo do Hazel Wood.

Poprzez drzewa z tyłu parkingu widać było migotanie wody. Zachciało mi się pić.

– Zanim pójdziemy do Birch, musimy chyba wcześniej poszukać sklepu spożywczego? – zaczęłam i nagle urwałam.

Finch z rozszerzonymi źrenicami i zaciśniętą szczęką stał zbyt blisko mnie. Zaraz też odskoczyłam.

– Cholera! – mruknęłam, czując, jak serce mi łomocze. – No co?

Uśmiechnął się do mnie. Uśmiechnął jak pies, który nie chce, by go kopnięto, ale gotów jest to przyjąć.

– Nawaliłem.

Adrenalina sprawiła, że coś mi zagrało w żołądku, a oczy zrobiły się suche.

– To znaczy?

– Musimy iść... Musimy się dostać na drogę. – Mówił za szybko, zbyt wysokim tonem i przeszedł na płytę, na której już nie było autobusu. – Może uda nam się złapać stopa. Musimy... gdyby udało się wrócić do miasta. Wyjaśnię wszystko po drodze. Powinienem to zrobić wczoraj wieczorem.

– Co chcesz wyjaśnić? – Stałam mocno i złapałam go za ramię. – Nie ruszymy się z miejsca, póki nie powiesz.

– Coś obiecałem – rzucił. – Ale nie chcę dotrzymać tej obietnicy.

– Przestań mnie straszyć, że nie zabierzesz mnie do Hazel Wood. Teraz znajdę to sama.

– Nie, nie tobie – odparł. – Chodzi o nich.

O nich. Poczułam się, jakby ktoś walnął mnie pałką w głowę.

– O czym. Kurwa. Mówisz? – Złapałam go za połę kurtki.

– Myślałem... myślałem, że tak będzie lepiej dla ciebie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Jest. Jeszcze nic nie rozumiesz. Oni mówili, żeby ci nic nie mówić...

– Nie mówić czego? I kto to powiedział?

– Nie mogę. – Rozejrzał się dookoła, zęby zaczęły mu dzwonić. – Pewnie teraz nas słyszą. Musimy iść.

– Po prostu powiedz! Bez zagadek, usprawiedliwień...

Wzruszył ramionami, ale ten gest był pełen odrazy.

– Chciałem, żeby moje życie było inne. Prawdziwe. I jest. Ale nie wydaje mi się, że było warto.

Nagle uderzyło mnie, że niezależnie od zasobów gotówki nie wzięłabym fana Althei Proserpine do Hazel Wood. Uderzyło mnie też to, jak mało znam Fincha.

Powstrzymałam wściekłość i nagły strach, starając się mówić rozsądnym tonem.

– Jeśli nie powiesz mi, co zrobiłeś, nie będę mogła ci pomóc.

– O nie – jęknął bezdennym, ponurym głosem. – Już tu są.

Spojrzał za mnie, a ja usłyszałam za sobą szum silnika na wolnym biegu. Obróciłam się i zauważyłam, że jest jaskrawo pomalowany i ktoś, jedna, nie... dwie osoby siedzą z przodu... zanim Finch chwycił mnie i pchnął za siebie. Zabolało mnie ramię.

– Uciekaj! – rzucił chrapliwie Finch. – Biegnij!

Zachwiałam się i zesłam z chodnika.

Żółte boki samochodu emanowały gorącem, jakby był on zwierzęciem. Była to taksówka, która jechała za mną koło Whitechapel. Siedział w niej ciemnowłosy chłopak, którego później widziałam w barze. Teraz odgarnął włosy z twarzy ręką w rękawiczce.

Pasażerka wysiadła z wozu i popatrzyła na mnie oczami jak latarnie. Była to Katherine-Dwukrotnie-Zabita. Nosila takie same czarne rękawiczki jak chłopak.

Zamarłam. Wiedziałam, że jeśli się ruszę, to zdradzi mnie drżenie kolan czy głosu.

– Przepraszam – powtarzał Finch. – Przepraszam. Powiedzieli, żebym zawiózł cię do Hazel Wood. To wszystko! A przecież sama chciałaś tam dotrzeć, poprosiłaś o pomoc...

– Nie kłam, że zrobiłeś to dla mnie. Od kiedy? Od kiedy dla nich pracujesz?

Chłopak obserwował nas z rozbawieniem. Katherine wyglądała tak, jakby w ogóle nas nie słyszała.

– Pracuję? Nie, to nie było...

– Od kiedy?

– Od antykwariatu – odparł cicho. – Rozmawialiśmy, jak byłaś nieprzytomna. Przytrzymali cię w tym stanie... trochę dłużej.

– Dzięki za przysługę, Finch – powiedział ciemnowłosy chłopak. – Jesteś gotowy na nagrodę?

– Nie – odparł Finch, a jego ciemna skóra poszarzała. – Nie chcę nagrody.

– Jakiej nagrody? – rzuciłam z pogardy.

– Tego, czego pragną wszystkie dzieci – odparł z drwiną. – Wstępu do krainy baśni.

„To mój błąd” – pomyślałam. „Nie powinnam ufać fanowi Althei”.

I wtedy wspomniałam Ellę, bo to ona doszukiwała się czegoś dobrego w każdym gównie. Może to wcale nie było najgorsze. Przecież chciałam znaleźć tych ludzi, czy kim tam byli.

Trudno mi było jednak tak myśleć, kiedy Katherine wpatrywała się we mnie swoimi oczami.

Odsunęłam Fincha na bok.

– Szukam mamy, Elli Proserpine. Wiem, że ją macie. Musicie ją oddać.

– To zabawne, ona myśli, że jesteśmy porywaczami matek – rzucił chłopak.

Katherine wciągnęła powietrze przez zęby jak starucha.

– Jesteś pewny, że to ona? Ta koteczka? – Wychyliła się w moją stronę z obnażonymi zębami, a ja wydałam stłumiony okrzyk.

Cofnęła się i zaśmiała.

– Widzisz, bojaźliwa jak kurczaczek.

Ale krzyknęłam nie dlatego, że próbowała mnie nastraszyć, a z powodu tej koteczki. Jakby znała to obleśne słowo, które przywarło do mojej pamięci.

Nagle poczułam się jak dziecko, które przedziera się przez las dorosłych kolan i słyszy rozmowy nad głową. Nic z tego nie miało sensu, ani też żadnego kontekstu. Wszyscy oni, nawet Finch, traktowali mnie jak dziecko – które trzeba chronić. Któremu nie wszystko się mówi.

Przez kilka taktów serca wszystko na zewnątrz wydawało mi się przyćmione i wolne. Przyglądałam się temu. Finchowi pochylonemu i tak zmęczonemu, że z trudem utrzymywał się na nogach. Chłopakowi, który trzymał dłonie w kieszeniach, ale miał żywą, wyczekującą minę. Katherine, ustawionej tak, jakby miała zamiar mnie ugryźć.

Wybrałam Katherine.

– Nie jestem koteczką! – rzuciłam w jej stronę.

I uderzyłam ją prosto w twarz.

Obie krzyknęłyśmy jednocześnie. Ręka mnie paliła, a ogień rozchodził się dalej. Miałam wrażenie, że całą mnie wypełnia benzyna, a ta śmierdząca Katherine była zapalką.

Chłopak zaklął, a Katherine cofnęła się, trzymając się za policzek. Patrzyłam na swoją rękę, starając się strząsnąć z niej pełną dalej płomień.

– Co mi zrobiłaś?

– Katherine, jesteś idiotką – warknął chłopak.

Potrząsnęła głową i nie patrzyła na niego, a włosy opadły jej na twarz.

– Co mi zrobiłaś?! – wrzasnęłam ponownie. Uniosłam rękę do oczu, by sprawdzić, czy się kurczy jak facet, którego zaatakowała na Manhattanie. Przerażenie sprawiło, że zapomniałam, co zrobił Finch, i zwróciłam się do niego: – Czy ona mnie zabiła, Finch? Czy umieram?

Chciał mnie objąć ramieniem, ale jęknął i się cofnął.

– Jesteś taka zimna – szepnął. Oczy miał smutne i bezdenne.

Staliśmy na środku parkingu, gdzie nic się nie ruszało. Nie jeździły samochody, rybacy nie wychodzili ze sklepu. Przestał wiać wiatr, a słońce znieruchomiało jak przyszpilony insekt.

– Wszystko psujemy, co? – powiedział chłopak. Udawał znudzenie, ale w jego głosie wyczuwało się wściekłość. Zatarł ręce i popatrzył na mnie i Fincha, jakbyśmy byli stekiem.

Złapałam dłoń Fincha, nie przejmując się jego okrzykiem bólu z powodu ognia moich palców, i zaczęliśmy biec.

Uciekaliśmy od drzew w stronę drogi. Pomyślałam, że wyskoczę przed pierwszy samochód, jaki się tam pojawi. Idiotyczne. Świat zaciął się jak magnetofon szpulowy, nie słyszałam nawet śpiewu ptaków.

– Alice! – Głos chłopaka z Uroczycka zabrzmiał jak dziki skowyt. Jak dźwięk, którego nie mógł wydać człowiek. Nie mogłam nic na to poradzić i się odwróciłam.

Wyrzucił ramiona w górę i... ziemia złożyła się jak wachlarz. A może to drzewa ruszyły, drząc nad płytą jak w horrorze; najpierw były daleko, a potem wokół nas.

Moja pierś była jak pusty miech, ale próbowałam biec dalej. Oddechy, które łapałam, były gorzkie jak nasiona klonu. Otaczały nas drzewa, a my biegliśmy po nierównym zielonym poszyciu. Ale

świat nie działał jak powinien i nagle okazało się, że biegniemy w stronę chłopaka i Katherine-Dwukrotnie-Zabitej, kryjącej twarz za blaknącymi włosami. Katherine trzymała nóż, a ja biegłam tak szybko, że mogłam tylko rzucić się do przodu. Zahamowałam z poślizgiem dopiero tuż przed nią. Finch upadł obok.

Nóż załśnił na poziomie moich oczu. Otworzyłam je szeroko, bo nagle najgorszą rzeczą wydała mi się nieświadoma śmierć. Ale Katherine nie uderzyła – wcisnęła nóż w moją dłoń, zaciskając na niej swoje palce w rękawicze. Ale ostrożnie, ostrożnie, żeby nie dotykać mnie zbyt długo. Nawet przez rękawiczkę wyczuwałam jak drży, czując moją skórę.

– Zabij się! – syknęła, zanim się cofnęła.

– Co?

Chłopak otworzył usta i dostrzegłam coś strasznego w jego oczach. Cienie zębatach, wyczekujących stworzeń, które wydawały się głodne.

– Zabij się, Alice – powtórzył, jakby to było zaklęcie. – Zabij się.

Zobaczyłam, jak czubek noża przecina mój nadgarstek i pozwala wypłynąć lśniącym potokiem ogniewi, który buzował pod moją skórą.

– Alice, nie, nie, proszę nie. – Finch niemal modlił się na ziemi.

– Czemu miałabym to zrobić? – spytałam głucho. To było prawdziwe pytanie. Chciałam wiedzieć.

– Albo ty, albo oboje – rzuciła Katherine. – Albo ty, albo oboje. Albo ty, albo oboje!

– Alice, oni nie mogą cię do niczego zmusić – wyjaśnił szorstkim i przygaszonym ze strachu głosem Finch. – Nie mogą cię nawet dotknąć!

– Zamknij się! – syknęła Katherine. Jej but załśnił i kopnęła Fincha jego ostrą krawędzią. Na policzku Fincha pojawiła się krew.

Finch padł z okrzykiem i zwinął się, chroniąc ranę. Katherine i chłopak stanęli po moich obu stronach, ale poza zasięgiem. Cali, poza twarzami, byli okryci.

Moja ręka wciąż bolała po uderzeniu, ale Katherine też poczuła ból. Dlaczego?

– Dlaczego nie możecie mnie dotknąć? – spytałam.

Katherine uśmiechnęła się szyderczo, tkwiąc na swoim miejscu. To chłopak był tym słabszym ogniewem. Popatrzył na jej twarz, a potem znowu na moją.

– Zaraz, boicie się mnie, prawda?

– Boimy?! – powtórzyła z furią niskim głosem. – Ciebie? Takiego nic? Jesteś prawie taka jak on.

– Wskazała Fincha. – W tej chwili nadajesz się tylko do tego, żeby utoczyć twojej krwi, żeby zrobić drzwi i tyle. No, zabij się albo zabijemy jego, a potem twoją matkę.

Drzwi? Ruszyłam w jej stronę z nożem wyciągniętym dziwnie, jakbym miała kroić chleb. Usunęła się lekko i kopnęła moją dłoń, tak że mocno zabolęła, a nóż przeleciał łukiem pod nogi chłopaka. Podniósł go i popatrzył na Katherine.

– Zabij baranka – powiedziała.

Zauważyłam straszne pomieszanie w oczach Fincha. Pojawił się w nich zwierzęcy strach, kiedy ciemnowłosy chłopak zmusił go, by klęknął. Jedną ręką odciągnął brodę Fincha, w drugiej miał nóż.

Nie miałam żadnej broni, tylko ciało, w którym przelewał się ogień Katherine, dlatego natarłam na twarz chłopaka gołymi rękami.

Odskoczył ode mnie z krzykiem, konwulsyjnie przeciągając ostrzem po gardle Fincha.

Strach zniknął, w oczach Fincha pojawił się ślepy szok.

Najpierw krwawa pręga, potem strużka krwi, a w końcu jej strumień.

– Oto nasza karta przetargowa – powiedziała Katherine. Jej głos dobiegał jakby z oddali. – Myślałaś, że to błąd?

Czas zwolnił. Finch był pustym kubkiem na chwilę przed zetknięciem z ziemią. Coś cennego upadło w ciemność pod kratą w metrze. Splątany kłęb nieskończonych możliwości, niezliczone nici przecięte jednym ruchem srebrnych nożyczek.

Już leżał.

Krzyknęłam i przeszłam na czworakach, by ścisnąć rękami jego otwarte gardło.

– To twoja wina, Alice – powiedziała Katherine. Był to niemal szept. Wzięła zakrwawiony nóż

i rzuciła obok mnie. – Zabij się.

Myślałam o tym przez chwilę. Naprawdę. Ale jasne, pytające oczy Fincha wciąż na mnie patrzyły. Nie umarł, ale umierał.

– Wszystko w porządku – powiedziałam idiotycznie.

Chłopak, który poderżnął mu gardło, chodził obok.

– Katherine?

Zabrzmiało to jak pytanie, a potem przykucnął, żeby podnieść Fincha i przerzucić go sobie przez ramię, tak jak to robią strażacy. Krzyknęłam i sięgnęłam po zwisającą rękę Fincha, ale chłopak go zabrał. Wziął nóż i machnął nim w powietrzu jak batutą. Powietrze w tym miejscu uniosło się i rozjaśniło, a potem oderwało, ukazując przepaść tak zieloną jak butelka green river.

Ciało Fincha było bezwładne, kiedy chłopak wszedł w jasnozielony zmierzch. Finch zniknął, a chłopak wraz z nim. Ostatnia kropla krwi upadła na ziemię, kiedy już nie było go widać.

Popatrzyłam na miejsce, gdzie umierał, i wrzasnęłam. Chwilę trwało, zanim dźwięk wydobył się z mojego gardła. Kiedy już się rozległ, Katherine pochyliła się nade mną, a ja krzyknęłam raz jeszcze, wyciągając ręce we krwi i próbując dotknąć jej twarzy.

Westchnęła sfrustrowana i cofnęła głowę. Coś skrzydlatego ruszyło w moją stronę – jej okrutny ptak narastał z pustki. Rzucił się w stronę moich oczu, a ja wyciągnęłam rękę. Poczułam szarpnięcie na krawędzi mojego... trudno to wyjaśnić. Na krawędzi mojego jestestwa. Jakby dusza napierała na ścianę mojego ciała, gotowa, by ją wyssano jak białko przez skorupkę. Słońce się zniżyło, jakby ktoś uderzył je kijem bejsbolowym.

Na koniec usłyszałam zgrzytliwy głos Katherine, tak bliski, że wydawał się pochodzić z wnętrza mojej głowy:

– Z własnej ręki umrzesz tego wieczoru.

A potem zapadłam się w bezwładne czarne morze.



## ☉ 20 ☉

Ella jechała przed siebie. Twarz miała pogrążoną w mroku, ręce jak białe pająki na kierownicy. Nuciała piosenkę, która początkowo wydawała się pozbawiona melodii, aż w końcu zaczęła się zapętleć, jak upiorne rondo.

– Mamo – mruknęłam.

Drgnęła.

– Myślałam, że śpisz.

– Co to za piosenka?

Długa przerwa.

– Rymowanka dla dzieci. Przyjaciółka nauczyła mnie jej, kiedy byłam mała.

Mama nie mówiła o swoim dzieciństwie, nigdy. Wstrzymałam oddech i dopiero po chwili odważyłam się zapytać:

– Byłaś wtedy mała tak jak ja?

– Bardzo mała. Miałam najwyżej sześć lat.

– To znaczy?

Staralam się ująć w słowa to, o co mi chodziło. Czy to, co miała wewnątrz, pasowało do tego, co na zewnątrz? Czy to, że życie uszło ze mnie tak jak woda, prawie bez znaku, jest normalne? Czy wcześniej też ściagał ją pech, czy też tylko po moim urodzeniu?

Nie mogłam o to zapytać, bo nie chciałam, żeby się rozpląkała. Chciała, żebym była szczęśliwa. Każde nowe miejsce było szansą, czystym śnieżnym polem, na które mogłam wybiec. Może wszyscy mieli takie poczucie, kiedy się przeprowadzali – że wszystko z tyłu zlewało się niczym obrazek namalowany akwarelami i blakło.

Przeniosłam wzrok z jej spiętej twarzy na mglistą, przecinaną naszymi światłami drogę.

– A książki? Lubiłaś książki?

Jej ramiona nieco opadły.

– Tak, lubiłam. Wszystko poza bajkami. – Westchnęła, brzmiąc jednocześnie staro i zdecydowanie zbyt młodo, by być matką. – Mamy przed sobą jeszcze parę godzin drogi, kochanie. Powinnas



się przespać.

Powieki mi opadły, jakby przytwierdziła je kamieniami. Zapadałam w sen i budziłam się lub też to było jakieś dziwne połączenie jednego i drugiego. Nie byłam w samochodzie z mamą, tylko w zupełnie innym miejscu, a ona była bardzo daleko. Mój umysł przebijał się do świadomości.

– Obudź się.

Słońce świeciło czerwono przez moje powieki. Otworzyłam je lekko i się skuliłam. Było zbyt jasne. Ktoś uderzył mnie w twarz ręką w rękawiczce raz, dwa razy, trzy... Po trzecim uderzeniu aż zadzwoniło mi w uszach i natychmiast otworzyłam oczy.

Znajdowałam się na tylnym siedzeniu samochodu. W nocy. Katherine-Dwukrotnie-Zabita siedziała w rozkroku nade mną, świecąc mi w oczy latarką. Zęby miała małe i mlecznoniebieskie, jak zęby dziecka.

Mogłam spróbować coś jej zrobić, ale zrezygnowałam. Śmierć Fincha była dla mnie prawdziwym ciężarem. Widziałam po kawałku jego śmierć, kiedy mrugałam i kiedy tego nie robiłam. Nieostrożny ruch nożem, żadne życia oczy. Nieubłagane schodzenie do śmierci.

Katherine jeszcze przez chwilę unosiła się nade mną, a jej oddech śmierdzał starymi różami.

– Żyłby – szepnęła do mojego ucha – gdybyś to zrobiła.

Cofnęła się niczym pająk, szarpiąc mnie ręką w rękawicy.

Posłuchałam jej bez słowa. Czułam każdy swój oddech i ból biodra, którym musiałam się udeżyć. W ustach miałam smak starej kawy, a powietrze miało kolczasty, zielony zapach. Głowa mnie bolała, jakbym miała kaca, a skóra mi się naelektryzowała. Byłam tutaj – obolała, ale żywa, a Finch wykrwawił się w Uroczysku.

– Co zrobicie z jego ciałem? – zapytałam głosem wprost z moich trzewi.

Katherine trzasnęła drzwiczkami, a ja cofnęłam się jak na odgłos wystrzału. Popatrzyła na moją twarz, jakby usiłowała ją sobie przypomnieć. Fragment puzzla, który do niczego nie pasował.

– Masz coś, czym powinnaś się bardziej przejmować – rzucił. – Jesteśmy na miejscu.

Rozejrzałam się dziko dookoła, szukając Hazel Wood, bramy, drogi. Czegokolwiek. Ale zobaczyłam tylko napierające na mnie drzewa i polanę tak małą, że zmieściłby się na niej jedynie samochód. Nie wiedziałam, skąd przyszliśmy, ani jak się wydostaliśmy z poprzedniego miejsca.

– To znaczy gdzie? – spytałam łamiącym się głosem. Znowu byłam spragniona, tym razem bardziej.

– Jesteś w Lesie-Połowy-Drogi – odparła Katherine. – I tu się będziesz błąkać. Aż będziesz wolała śmierć i ją wybierzesz.

Złapała mnie za ramię i wepchnęła w dzikie półkole, jakby to był kadryl. Postąpiłam niepewnie parę kroków i opadłam na kolana. Kiedy wstałam, ona już była w wozie. Rzuciłam się do drzwiczek, ale odrzuciło mnie, kiedy samochód pomknął w stronę ściany drzew, która otworzyła się przed nimi, a potem uprzejmie zamknęła niczym kurtyna.

Obróciłam się wolno dookoła na polanie w ciemnym lesie.

Właśnie wtedy weszłam do bajki.



## • 21 •

Polana, na której stałam, miała idealny kształt koła. Zauważyłam to, jak tylko zniknął samochód. Drzewa wokół były jakieś dziwne, ale potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, o co chodzi – nie szumiały razem z wiatrem, który sprawiał, że bolały mnie spierzchnięte usta, ale jedno po drugim. Przypatrzyłam się, jak poruszają koronami i potrząsają liśćmi, i pojęłam, że ze sobą rozmawiają.

Zaczęłam drzeć z żalu i gniewu – gniewu na zabójców Fincha i jego głupotę.

Ale Finch nie żył. Moje ciało nie nadążało za umysłem.

Ruszyłam na ślepo przez las, ocierając się o skarlłowaciały dereń. Jego kwiaty w kształcie serc otarły się językami o moją szyję. Zadrżałam i przyspieszyłam kroku, próbując uciec od myśli, która zaciskała się wokół mojej szyi jak pętla. A jeśli będę się tutaj błąkać jak Ness przez jedną noc, a potem odeślą mnie do domu siedem lat starszą?

Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam twarz Fincha. Ściany mego umysłu znaczyły jego krew. Splamiła ona moje dłonie i usztywniła rękawy mojej bluzy.

– W porządku – szepnęłam do siebie. – Wszystko w porządku.

Policzyłam do dziesięciu i spróbowałam kilku oddechów jogi. Czerwień spływała po koszuli Fincha. *Nie mogłam tego powstrzymać. Nie mogłam tego powstrzymać. Nie mogłam...* Powstrzymaj to. „Nie mogłam tego powstrzymać”. Wydałam odgłos, którego nie znałam, coś między śmiechem a wyciem, co zmusiło mnie do tego, by zamilknąć. Uderzyłam się w twarz tak, jak robiła to Ella, kiedy była zbyt zmęczona, żeby prowadzić.

– To koniec. Niczego nie można powstrzymać. Już w porządku. W porządku. – Bezsensowne słowa. Czy tak właśnie wyglądał początek szaleństwa? Czy rzeczywiście jestem w lesie, czy śpię na tylnym siedzeniu wozu porywaczy, który jedzie w jakieś jeszcze gorsze miejsce?

Drzewo uderzyło mnie w policzek gałęzią ze śmierdzącymi pąkami. Ból przywołał mnie do rzeczywistości i przez jakiś czas skupiałam się tylko na chronieniu twarzy przed gałęziami i przedzieraniu się przez zdradliwe ostępy. Powietrze między liśćmi było bliskie i gęste, jakby drzewa oddychały moją skórą.

*Żyłby, gdybyś to zrobiła* – szeptał Katherine dochodził z pustki powietrza. Uderzyłam go jak koma-

ra i przyspieszyłam, przyjmując ból obtartego kolana i dłoni oraz tajemny szept stworzeń, które zagłuszały wszystko poza tym.

W końcu wyrwałam się na brzeg strumienia. Chwytałam chłodne, wilgotne oddechy, opierając się o wierzbę, której gałęzie opadały wprost do wody parę metrów od moich stóp.

Zaczęłam się zastanawiać, co mi zostało. Torba już dawno przepadła w kurzu parkingu. Wciąż miałam na sobie tanie dzinsy i bluzę z Targetu, z rękawami naciągniętymi na dłonie. W kieszeni miałam kit kata i jak uświadomiłam sobie ze zdziwieniem: pióro, grzebień i kość.

Wydały mi się zimne i były wewnątrz rozedrgane jak metronom. Rozejrzałam się wokoło niepokojnie i wepchnęłam je do kieszeni.

A potem coś owinęło się wokół mojej nagiej skóry między dzinsami i bluzą i mną szarpnęło.

Upadłam i zaczęłam dyszeć w zimnym błocie. Zaczęłam się wyginać, aż w końcu, kiedy miałam nogi jak obwarzanki, zobaczyłam, co mnie trzyma.

Przez straszną, mrozącą krew w żyłach chwilę wydawało mi się, że to trup. Stworzenie miało przezroczystą skórę zwierzęcia z samych głębin oceanu. Miało ono kształt człowieka, choć trudno je było pomylić z jakąkolwiek osobą. Przywarło do mojej kostki i patrzyło na mnie z niecierpliwością psa, który czeka na jedzenie.

Strach sprawił, że moja racjonalność rozsypała się jak iskry. Zaczęłam wrzeszczeć i kopać, celując w twarz stwora. Ale on trzymał mnie w żelaznym uścisku.

Kiedy uderzyłam stopą w wodę i zanurzyłam ją aż do kostki, instynktownie cofnęłam wolną nogę od wody. Stwór uśmiechnął się i pociągnął trochę mocniej. Wyczułam pod palcami kamień i go rzuciłam. Chybiłam, ale znalazłam drugi. Uderzyłam i usłyszałam głuchy odgłos.

Ale nie w stwora. Kamień uderzył w wodę, która chwilę wcześniej płynęła czarna i spokojna. Stwór też rozejrzał się dookoła, jedną ręką wciąż ściskając moją nogę.

Od miejsca, gdzie zanurzyłam stopę, utworzył się szlak cienkiego, zielonego lodu, pełnego powietrznych baniek. Stwór popatrzył na mnie, a w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju inteligencji. Puścił mnie i cofnął się do błotnistej, otoczonej lodem wody. Wyrwałam stopę z lodu i rozejrzałam się, żeby zobaczyć, kto mnie uratował. Coś jakby zaszumiało w krzakach po drugiej stronie potoku. Nie byłam pewna.

– I tak nie możesz przejść – powiedział stwór, jakby miał kluchy w ustach, z trudnym do określenia akcentem. Teraz, kiedy nie próbował mnie zjeść, wyglądał bardziej żeńsko. Zabłocone włosy miał zaplecione w warkocze, usta niemal w ciup.

– Dlaczego?

– To moje przejście. Możesz tak chodzić po brzegu do śmierci. – Jego śmiech był ostry jak zęby.

– Albo przejdę po lodzie.

Stwór rozejrzał się wokół, widząc, że przybywa stopniałej wody. Niezależnie od tego, co ją zamroziło, czary przestawały działać.

– Możesz próbować.

– A gdybym coś ci dała?

Zamarł i wbił we mnie swoje rybnie oczy.

– Twoje włosy? Palce?

Pomyślałam o obrazkach z syrenami, które tak lubiłam oglądać w dzieciństwie: kobiety z wielkimi skrzydłami, wdrapujące się na tonące statki albo dziewczyny Waterhouse'a, rozczesujące włosy srebrnymi grzebieniami.

Wyjęłam grzebień z kieszeni dzinsów. Kiedy go znalazłam, był ze zwykłego czerwonego plastiku, zarówno w kawiarni, jak i pod wierzbą. Ale teraz połyskiwał jak macica perłowa. Przeciągnęłam palcem po nieznanym mi wycięciu na jego rękoności.

Rudzielec zostawił te rzeczy specjalnie, żebym je znalazła. Katherine chce, żebym zginęła w tym lesie, ale ktoś dał mi możliwość korzystania z bajkowych sztuczek. Pomyślałam o Elli i ostrzu w bukiccie. Ten las nie zabije mnie i nie doprowadzi do szaleństwa. Bo nie jestem Ness. Jestem córką Elli. Jestem wnuczką Althei Proserpine.

Uniosłam grzebień, by odbiły się w nim promienie księżyca.

– Dam ci go, jeśli pozwolisz mi przejść na drugą stronę. Całej i zdrowej. To znaczy, że nic mi nie

wyjesz i niczego mi nie odetniesz.

Bajki uczą nas, jak ważne jest, by powiedzieć dokładnie, o co nam chodzi. Stwór popatrzył najwyraźniej rozczerowany tak szczegółowym opisem, ale już sięgał po grzebień. Kiedy mu go podałam, wśliznął się do wody i zniknął.

Najpierw uklękałam na brzegu. Obmyłam ręce z krwi topniejącym lodem, myśląc o modlitwie, wierszu, rymowance, które nadawałyby się na tę okazję. Ale do głowy przychodził mi tylko cytat z Vonneguta. Nigdy nie spytałam go, kiedy i dlaczego go sobie wytatuował, a teraz straciłam już na to szanse.

„Wszystko było piękne i nic nie bolało”.

Wyszeptałam te słowa, zmywając krew, która wyglądała na czarną w świetle księżyca. Zamknęłam oczy, przywołałam jego twarz z pamięci i raz jeszcze wypowiedziałam te słowa. I po raz trzeci, bo Finch chciałby, żeby w bajce wszystko się zgadzało.

Potem wstałam i dotknęłam palcami lodu. Był już wiosenny i na wpół rozpuszczony. Brzeg był jednak tak blisko, że postanowiłam przebiec. Poślizgnęłam się i prawie się udało, ale moja noga przebiła się przez lód. Poczułam ból i zimno, a także uchwyt stwora, jakby chciał się ze mną droczyć, zanim wypchnął mnie na drugi brzeg, gdzie rozciągnęłam się jak długa.

Miałam ochotę podpełznąć do wody i obmyć błoto z ust, ale się nie odważyłam. Zaczęłam iść w górę potoku, aż rozboleły mnie łydki. Robiło się coraz bardziej stromo, aż w końcu musiałam się chwycić krzaków, żeby przejść dalej, złorzeczając, kiedy natrafiłam na kolczaste. Kiedy w końcu dotarłam na szczyt, znalazłam się nad najwyższymi drzewami. Popatrzyłam na cały las, który rozciągał się poniżej aż po horyzont. Strach, który powstrzymywałam do tej pory wysiłkiem i bezmyślną wędrówką, znowu usadowił się na moich barkach.

A potem zobaczyłam go. Czy też jego część w oddali: czarna, nieruchoma plama między rozkołysanymi wierzchołkami ciemnozielonych drzew. Pomyślałam, że to musi być dach. Że to musi być Hazel Wood. Wyczułam obok obecność Fincha, podziw i zdziwienie, jakie musiałyby odczuwać na ten widok.

Nagle do moich uszu dobiegły odgłosy cięcia – nie pasujący do miejsca przedszkolny dźwięk nożyczek. Obróciłam się i zobaczyłam dziewczynkę, która siedziała na czerwono-białym kocu w kratkę i cięła strony starego atlasu. Księżyc oświetlał koronę jej pochylonej głowy. Wahałam się przez chwilę, zastanawiając się, czy nie odejść po cichu, ale zostałam. Uroczysko wrzuciło mnie w jakąś opowieść. Może uda mi się z niej wyrwać, jeśli pozwolę jej wybrzmieć do końca.

Dziewczynka delikatnymi rączkami wydzieraa jedną po drugiej kartki z atlasu. Zielone mapy, poznaczone srebrnymi nićmi rzek, zamkami i miastami zaznaczonymi ceglastym tuszem. Mapy mórz i oceanów, pełne różnych stworzeń i wezbranych fal, zakotwiczone w czterech rogach przez dmące twarze, wyobrażające cztery wiatry. Wiatr wschodni wydawał się krzyczeć, kiedy dziewczynka cięła go na kawałki. Obróciła kartkę, a następna była żółta i lśniąca. Aż wciągnęłam powietrze, kiedy dostrzegłam przechodzącą tam małą karawanę, a nożyce przecięły ją na połowę.

– Dlaczego to robisz? – spytałam i podeszłam do skraju jej koca.

Patrzyła w atlas, ale wyczułam nadąsanie w jej głosie. Był on zabawny, trochę żabi, trochę chłopięcy.

– Babka nie lubi, jak rozmawiam z nieznajomymi.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jej babki, spodziewając się, że jakaś gorgona wychynie nagle zza zbocza. Dziewczynka przewróciła oczami. Miała wymizerowaną, pociągłą twarz, ale oczy piękne, w kolorze oceanów, z których robiła confetti.

– Jest tam – rzuciła, dżgając nożyczkami w stronę nieba.

Spojrzałam w górę, ale dostrzegłam tylko księżyc w stroju z małych chmurek. Przez chwilę widziałam w nim twarz. Nie męską, ale kobiecą. Piękną, daleką kobietę, która patrzyła na mnie krytycznie.

A potem twarz sama się wygładziła i księżyc był już tylko księżycem, doskonałym okręgiem w złotym kolorze zegarka Casio.

– Więc może się przedstawię i nie będę już obca – zaproponowałam. – Jestem Alice.

Przestała ciąć i spojrzała na mnie.

– Jesteś Alice?

Chyba jednak nie dostrzegła nic interesującego w mojej twarzy, bo wzruszyła ramionami i pochyliła głowę. Ciach, ciach, ciach. Wypisane zawijasami Queenswood odpadło od zamku z najeżonymi kolcami obwarowaniami.

– A ja jestem Hansa.

Hansa. Znałam to imię – było w spisie treści *Opowieści z Uroczyska*.

– Jesteś Hansa Podróżniczka – powiedziałam cicho, starając się nie zwracać uwagi księżycu. – Gdzie jesteście?

– Wydajesz się głupia, chociaż starsza ode mnie – powiedziała, nie złośliwie, tylko rzeczowo. – Nie wiesz, że jesteście w Lesie-Połowy-Drogi?

– A nie w Uroczysku?

– Do Uroczyska tamtędy. – Wskazała kierunek nieznaczącym gestem i położyła się na brzuchu. – Nie mogę dalej rozmawiać z nieznanymi.

– Dlaczego?

– Bo jestem zbyt ufna – rzuciła skromnie. Musiał jej to powiedzieć ktoś dorosły. – I zaprzyjaźniłam się ze złodziejką.

Złodziejką? Zapewne postacią z jej historii. Po raz kolejny żałowałam, że nie czytałam *Opowieści* i nie znam ich tak dokładnie jak Finch.

Nie, nie mogę myśleć o Finchu.

– Kim jest złodziejka? – spytałam, przygotowując się na kolejny epitet.

– Przyszła z tamtej strony.

– Ze świata? Stamtąd, skąd ja przychodzę?

– Naprawdę jesteś głupia. Przyszła ze świata, ale to było bardzo dawno temu. Już tu nie przychodzi. A teraz idź, proszę, jestem zajęta.

Przykucnęłam obok.

– Jeszcze jedno pytanie, Hanso, dobrze? Czy ta złodziejka to była Ness?

– Nie. Miała na imię Vanella.

Poczułam pustkę w sercu.

– Ella tu była? Kiedy?

– Mówiłam ci, że już tu nie przychodzi. Zaslaniaj mi światło – możesz mnie już zostawić?

– Moment. Proszę. Widziałas ją? Tę Ellę? Czy była tu ostatnio? Co ukradła?

– Mówiłam, że nie mogę z tobą rozmawiać – powiedziała skromnie Hansa i przewróciła kartkę w atlasie. – Idź już, zanim babka wpadnie w gniew.

– Błagam, Hanso. – Złapałam ją za ramię, nie za mocno, ale pewnie, ale ona jęknęła z bólu i cofnęła się przede mną jak krab.

– Babciu! – krzyknęła.

Nagle przed oczami miałam tylko biały ogień. Księżyc skoncentrował na mnie swe promienie, a ja krzyknęłam i uderzyłam swoją twarz, jakby jego promienie były muchami. Słyszałam jeszcze kłujący śmiech Hansy, kiedy wycofywałam się, potykając.

Promienie księżycu przestały mnie razić. Znalazłam się w ciemności, a przed oczami miałam gwiazdy. A potem zaczęłam się toczyć, trawa wznosiła mi się w ciało i pachniała przejmująco.

Wylądowałam u podnóża góry, zziębnięta i podrapana. Pragnęłam Elli tak bardzo, że nie mogłam się teraz poddać. Zielony zapach zgniecionej trawy uderzył mi do głowy i poczułam się tak samotna, jak to zwykle dzieje się w środku nocy, kiedy ci się wydaje, że jesteś ostatnim człowiekiem na ziemi.

Patrzyłam żałośnie w ciemność, kiedy wzgórze przede mną pękło jak jajko. Ze szczeliny wydobył się zapach przypominający bursztynowe perfumy Elli, który na pewno od razu owionąłby mnie całą, gdyby nie woń trawy. Nie czekając, aż to nastąpi, wstałam i pobiegłam w stronę krzaków, za którymi mogłam się schronić.

Linia światła stała się tak potwornie jasna, że zaczęłam się zastanawiać, czy we wzgórzu nie chowało się słońce, gotowe teraz stoczyć bitwę z księżycem. Ale światło powoli przygasało, rozszerzając się, aż w końcu mogłam na nie patrzeć przez palce.

Wzgórze wyglądało na pobite – leżało z otwartą piersią. W miejscu, gdzie się rozpadło, pojawiły się czarne cienie, które stały się ludźmi.

Albo czymś w rodzaju ludzi.

Na początku poruszali się ukradkowo i wychodzili na trawę, jakby zaraz miał się włączyć alarm. A potem jedna z tych postaci, dziewczyna w spodniach i kurtce, w których wyglądała na pilota, zrobiła salto na trawie. Ci, którzy jej towarzyszyli, trochę młodszy od Elli, zaśmiali się i przeszli do niej. Wcale nie wyglądali na postaci z wnętrza góry. Większość wyglądała tak, jakby ubrała ich jakaś organizacja charytatywna.

Wydawało się, że pilotka jest ich przywódczynią. Co rusz podnosiła głowę i węszyła w powietrzu. Coś było nie tak z jej oczami. Reszta podpełzła do niej, niby grupa włóczęgów do ogniska.

Dziewczyna w sukni z podwyższonym stanem, która opinała się na jej ciężowym brzuchu, roześlą koc na trawie. Wszyscy poza pilotką i mężczyzną w stroju pana Rochesterusa usiedli. Oni natomiast obeszlą dookoła siebie, skinęli głowami i położyli dłonie na swoich taliach.

Zrozumiałam, że to początek pojedynku na szable. Czy raczej na noże... Ostrza, które trzymali w dłoniach, były krótkie i tępe, zrobione ze lśniącego metalu. Poruszali się leniwie, robiąc uniki i dżgając, a pozostali śmiali się i klaskali, gdy wydarzyło się coś spektakularnego.

Jeśli przestanę patrzeć, stanie się coś strasznego.

Ta myśl pojawiła się zniemacka i odeszła. Patrzałam, ale i tak stało się coś strasznego. Ludzie na ziemi pili, rozmawiali i klaskali, a pilotka natarła ostro i ugodziła mężczyznę w szyję. Odkoczyła, zanim upadł, i cięła go dwukrotnie w pierś, znacząc jego koszulę ciemnym X.

Stała nad nim z uniesioną brodą i spuszczonej oczami. Aplauz nabierał siły, kiedy mężczyzna poruszał się z trudem na ziemi. Umierał i w końcu znieruchomiał.

Finch. Horror tego, co mu zrobiono, uderzył mnie i niemal wessał. Jęk, który wydobył się z moich płuc, był dla niego.

Pilotka uniosła głowę znad noża, który czyściła.

– Kto to? – spytała, wstając.

Jak mogłam jeszcze przed chwilą myśleć, że jest piękna? Oczy miała bez źrenic, w kształcie regularnych okręgów, a kiedy lizała usta, jej język wydawał się straszny.

– Kim jesteś? – spytała raz jeszcze. – Wyjdź tak, żebym mogła cię zobaczyć.

Wyszłam z krzaków.

– Jestem nikim. Tylko gościem.

– Z której strony?

– Ze... świata.

– Podejdź bliżej – rzuciła. – Tak, żebym mogła ci się przyjrzeć.

Bliżej znaczyło gorzej. Bliżej znaczyło, że będę mogła zobaczyć wyraźniej jej twarz. Przyćmiony blask jej oczu i kleistą czerwień ust. Mężczyzna na ziemi wydawał się z tej perspektywy mniej ludzki.

– Proszę, jakie masz wielkie oczy – powiedziała z uśmiechem.

Zamrugałam. Czyżby to był żart?

– Szukam Hazel Wood. – Z całych sił starałam się nie zwracać uwagi na ciało na ziemi. – Wiecie może, w którą stronę powinnam iść? – Może jeśli będę udawać, że wszystko jest normalne, to takim się stanie. Klasyczna taktyka przy potworach pod łóżkiem.

– Dotarłaś do Lasu-Połowy-Drogi, więc dalej też sobie poradzisz. A może i nie.

Jej głos był kojący, ale nie na tyle, żeby nie zaniepokoiło mnie to, że jej zwolennicy mnie otaczali. Koło zamknęła kobieta w ciąży, która głaskała się po brzuchu, jakby zjadła coś dużego.

– Idę już – powiedziałam.

– Idziesz? Niby gdzie? – spytał zaczesany gładko blondyn w roboczym kombinezonie.

– Jestem... Alice Proserpine. – Hansa wiedziała, kim jestem, więc może oni też będą wiedzieć. Może to, że jestem wnuczką Althei, coś tutaj znaczyło.

Miałam wrażenie, że mnie nie słyszą. Ich twarze z każdą chwilą robiły się mniej ludzkie. Wyglądali jak dzikie zwierzęta chodzące na tylnych łapach.

Westchnęłam, czując gwałtowny ból w udzie. Wsadziłam rękę do kieszeni i wyjęłam to, co mnie

kłuło.

To była kość. Kiedy na nią patrzyłam, rozrosła się do rozmiarów miecza i połyskiwała biało w świetle księżyca.

Może to był miecz – czy powinnam nim walczyć? Chwyciłam go niezręcznie, modląc się, by nie było to to, czego wymagała ta opowieść.

A potem kość zaczęła śpiewać.

*Mój ukochany mnie uwiódł,*

*Mój ukochany mnie zabił,*

*Pochował moje kości,*

*Swą ukochaną poślubił,*

*Jego ukochaną pochowałam*

*I teraz sam się błąka.*

Głos był wyraźnie kobiecy, pełen tak strasznej słodyczy, że myślałam, iż pęknie mi serce. Usłyszałam żalobny odgłos nad głową, a kiedy spojrzałam w górę, dostrzegłam smutek na twarzy księżyca.

Kość zaśpiewała swą piosenkę głośniejsz, a stworzenia wokoło się cofnęły. Kobieta w ciąży uciekła na czworakach między drzewa, a inni poszli w jej ślady. Pilotka popatrzyła na mnie z nienawiścią i opadła na kolana, kiedy kość zaśpiewała swoją piosenkę po raz trzeci.

Wszyscy poza pilotką u moich stóp uciekli do lasu. Kiedy piosenka zamarła, obróciła jasne oczy w górę. Sięgnęła po nóż.

Kość szarpała się w moich dłoniach. Nie wykonała jeszcze swojego zadania. Przez niekończącą się chwilę przycupnęłam z nią na krawędzi, a potem uniosłam nad głowę. Drzewa wokół mnie się poruszyły, księżyc spojrział ze swego gniazda z chmur. Zobaczyłam siebie jej oczami – daleką, nieznaną dziewczynę. Ta dziewczyna wiedziała, jak walczyć, by wydostać się z bajki. Ta dziewczyna uderzyła kością w pierś pilotki.

Potem znowu byłam sobą i poczułam wstrząs, kiedy kość przeszła przez nią jak szpadel przez ziemię. Nie było krwi, a tylko jej westchnienie i cisza. Ścisnął mi się żołądek, a w gardle miałam smak zepsutej baterii. Coś twardego opadło na ziemię między mną a martwą kobietą. Leżało tam, lśniąco i pachnąc ozonem. Łzy księżyca. Czułam się zbyt brudna, by ich dotknąć.

Kość skurczyła się tak szybko, że niemal ją upuściłam, i w końcu była wielkości mojego najmniejszego palca. Położyłam ją ostrożnie na piersi zabitej kobiety, która w coraz mniejszym stopniu wyglądała jak kobieta. Bardziej jak golem, który rozkrusza się i miesza z ziemią. Czy dzięki temu łatwiej było mi się pogodzić z tym, co zrobiłam? Sama nie wiem.

W lesie nikt na mnie nie czekał. Przyjaciele pilotki uciekli jak tchórze. Popatrzyłam na wzgórze, by zorientować się, gdzie jestem, a potem ruszyłam w stronę Hazel Wood.

Drzewa robiły się ciemniejsze, a powietrze zaczęło się rozjaśniać. Weszłam do sadu, kiedy dotarło do mnie, że zbliża się świt. Drzewa były małe, zasadzone w regularnych odstępach. Przypominały mi dwa miesiące, które spędziłam z Ellą, pracując w sadzie All U Can Pick.

Miałam taką podmiejską znajomość drzew – klon, brzoza, dzika jabłoń, dąb, wierzba są łatwe – ale przestało mnie interesować to, pod czym i po czym szłam przez ostatnie godziny, co mnie sma-gało, targało czy drapało.

Drzewa tutaj były inne. Gałęzie miały z czegoś miękkiego i połyskującego. Kiedy podeszłam, zauważyłam, że ich pnie, konary i liście były odlane z cienkiego, elastycznego metalu.

Srebrne drzewa. Wyglądały jak biżuteria z Etsy na sterydach. Szłam wolno pod ich gałęziami, zadowolona, że jeszcze nie ma słońca. W jego promieniach sad musiał być oślepiający. Srebrne drzewa nosiły też ślady złota i miedzi z czerwieniejącymi liśćmi, które wydawały dźwięki niczym obji-jące się o siebie kości. I wtedy przypomniałam sobie rymowankę:

*Czekaj, aż się liście zaczerwienią*

*I nicią świat ci zaszyją,*

*Jeśli podróży swej nie skończysz,*

*To bój się, kiedy wzejdzie słońce.*

Na wschodzie, jeśli wciąż był tam świat, pojawiła się na horyzoncie cienka jak obrączka

smuga wschodzącego słońca. Zaczęłam biec. Drzewa szumiały, kiedy je mijałam, i zrzucały swoje liście, by mi się zaplątywały we włosy. Poczułam, jak materiał moich tanich tenisówek obciera do krwi moje pięty.

Biegłam tak szybko, że niemal wpadłam do wąwozu, gdy dotarłam nad jego krawędź. Pod stopami miałam tak wielką przepaść, że przepływały przez nią chmury. Przede mną znajdowała się brama z kutego żelaza z leszczyną. Wstrzymałam oddech.

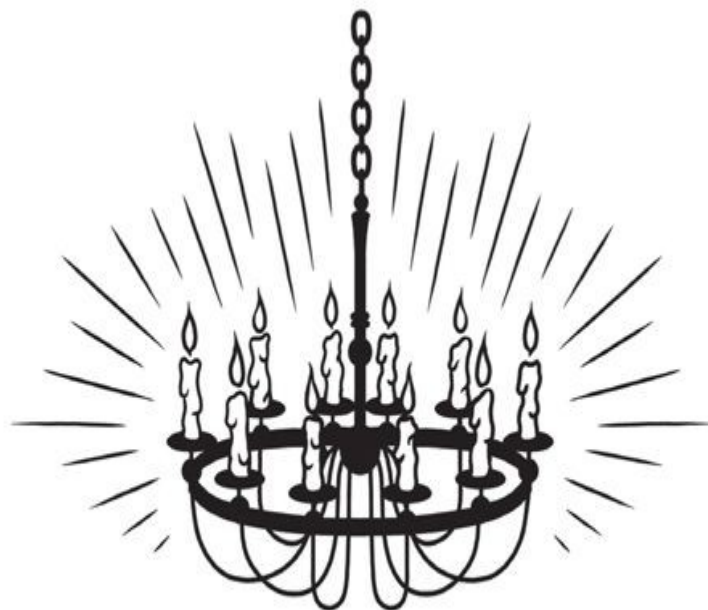
Między mną a bramą był tylko wąski pasek powietrza. Słońce powoli się wspinało na niebo i nabierało blasku. Poczułam gorąco na biodrze tam, gdzie w kieszeni znajdowało się pióro. Wyjęłam je i uniosłam do góry.

Było złote z zielonym obrzeżem i naznaczone nierównomiernie oczami. Zadrżało i wyprostowało się w mojej dłoni, i zaczęło oplatać swymi łaskoczącymi włóknami. Zareagowałam odrazą, kiedy poczułam, że z szybkością światła osnuwa mi całe ciało czymś w rodzaju swetra. Czułam łaskotanie pleców, a potem prawego ramienia. Zanim słońce pokazało się do połowy, miałam już skrzydła szerokie na moją wysokość. Rozwinęły się bez mojego udziału i uniosłam się parę centymetrów nad ziemię. Kiedy się przestraszyłam, wylądowałam na tyłku.

Metalowe drzewa obserwowały mnie teraz bezczelnie i szeptały swoim mechanicznym, przypominającym maszyny do pisania głosem jakieś rady, których nie rozumiałam. Wstałam i rozluźniłam ramiona. Pochyliłam się w jedną stronę i rozwinęło się moje lewe skrzydło. Zaraz po nim prawe, a ja westchnęłam, kiedy uniosłam się nad ziemię.

Popatrzyłam na bramę do Hazel Wood i pozwoliłam, by skrzydła uniosły mnie w przestrzeń. Lot nad przepaścią wydawał się nie mieć końca.





## • 22 •

Moje stopy uderzyły koślawo o ziemię. Obróciłam się, żeby spojrzeć na czerwonolistne drzewa i zobaczyć, czy dotarło do nich słońce, ale w przestrzeni pomiędzy podniosła się gęsta mgła.

Kolejna bajkowa lekcja: nie wolno oglądać się za siebie.

Sen, w którym żyłam przez ostatnie godziny, powoli się rozwiewał. Pamiętałam wszystko, co robiłam, ale wydawało się to płaskie niczym obrazki w książce. Rusałka, księżyc. Kość, która wbiła się tak łatwo w pierś pilotki. Czy mi się to naprawdę przydarzyło?

Nie chciałam pozwolić, żeby wspomnienia osaczyły mnie tak jak Ness w czterech ścianach, więc zdecydowałam, że nie. Historia, którą przeżyłam, była właśnie tym – historią.

Wiatr jakby się ze mną zgadzał, bo jednym silnym powiewem zwiął skrzydła z moich ramion. Zwinęły się one w skrzydlatą postać i odleciały. Miałam puste kieszenie – nie została mi ani jedna sztuczka. Może dlatego Hazel Wood mnie przyjęło. Pchnęłam bramę, a ta otworzyła się bez najmniejszego skrzypnięcia.

Znalazłam się w środku. Trawa była przycięta krótko, przypominała zielony aksamit i rozciągała się aż do schodów. Dom Althei zbudowano z białej cegły, miał wiele kolumn i ocienionych dachem okien. Obok znajdował się płaski basen, który wyglądał niczym przejrzysta niebieska broszka, obudowana lśniąco kamieniami. Wszystko było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam, łącznie z tym ekstatycznym poczuciem, że za chwilę zdarzy się coś cudownego.

Zmroziło mnie to aż do kości. Życie nigdy nie biegnie tak, jak nam się wydaje w dzieciństwie. Wszystko jest albo mniejsze, niż nam się wydawało, albo za duże. Wszystko dziwnie pachnie i jest jak cudza koszula.

Jednak ta wizja Hazel Wood była idealna. Była moja. Wyjęto ją ze mnie, z moich marzeń, które przeglądałam tak często, że były pomięte i naznaczone na brzegach jak strony „Vanity Fair”. Zamknęłam oczy i otworzyłam je wolno, spodziewając się, że teraz zobaczę ruinę – prawdę, która kryła się za fantazją. Ale moja wizja się utrzymała.

Powietrze pachniało ściętą trawą i chlorem, a wokół panowała zapierająca dech w piersi cisza najcieplejszego dnia lata. Przeszłam po wilgotnym od rosy perfekcyjnym boku trawnika obok geome-

trycznych rabatek i cicho szumiącej fontanny. Bardzo chciałam się z niej napić, ale trzeba być głupszym niż Persefona, żeby pić cokolwiek w krainie baśni.

Dom przybliżał się i stawał coraz bardziej wyrazisty. Był wspaniały, poczynając od trawnika aż po balustradę wokół wieżyczki poddasza, gdzie kiedyś chciałam mieć swój pokój.

Zawahałam się przed drzwiami wejściowymi. Nie dlatego, że obawiałam się, iż są zamknięte, tylko nie miałam pojęcia, co za nimi znajdę. Fotograf z „Vanity Fair” nie dostał pozwolenia na wejście do środka i dlatego wszystkie moje wyobrażenia krążyły wokół tego, co na zewnątrz – myślałam o przejażdżkach na kucyku czy piknikach. Nawet jak marzyłam o swoim pokoju, to zwykle o tym, że chodzę dookoła i oglądam posiadłość z zewnątrz. W dzieciństwie czytałam za dużo Wilkiego Collinsa.

Zatem to, co w środku, mogło być bliższe prawdy. Chociaż domyślałam się, że prawda jest tutaj pojęciem względnym. Sięgnęłam po gałkę od drzwi w kształcie główki wiatru, pociętej przez Hansę, i ją obróciłam.

Weszłam do przestronnego holu z łukami schodów po obu stronach. Między ich wałkami stały niezapalone świece, między nimi zaś znajdowała się fontanna z różowego kamienia, tak duża, że można było w niej pływać. Z jej środka patrzyły beznamiętnie trzy kamienne kobiety. Jedna miała w ręku klatkę dla ptaków, druga przezroczystą kostkę, a trzecia sztylet. Przez większe ode mnie okna wpadało pochyłe, niedzielno-popołudniowe światło w kolorze pyłu.

Wnętrze było tak wielkie, że potrzebowałam chwili, aby ogarnąć wszystko wzrokiem. Wtedy jednak dostrzegłam fragmenty czegoś ludzkiego w całym tym przepychu: lśniący, tani sweter na poręczy, niebieską łódeczkę pływającą w fontannie.

I jakąś melodię ledwie słyszalną poprzez plusk wody. Kiedy się w nią wsłuchałam, okazała się dziecięcą piosenką do melodii *Hickory Dickory Dock*.

Rozejrzałam się i dostrzegłam dziewczynkę, która mnie obserwowała, siedząc na zakręcie lewych schodów. Gdy nasze oczy się spotkały, dziecko zamilkło.

– Ella – powiedziałam, nie bardzo w to wierząc. Ale to była ona, moja matka. Widziałam ją wcześniej na rozkładówce pisma. Miała wtedy nie więcej niż pięć lat. Kiedy usłyszała swoje imię, wbiegła po schodach i znikła z pola widzenia.

Poszłam za nią, zdziwiona tym, że nie słychać odgłosów moich kroków na kamiennej posadzce czy marmurowych schodach. Było to bardzo dezorientujące, tak jak próby mówienia z zatkanymi uszami.

Ella skręciła w lewo i ja ruszyłam w tę stronę. Korytarz wydawał się tak długi, że musiała to być jakaś sztuczka – widziałam ten dom z zewnątrz, był duży, ale nie aż tak. Biegłam, próbując otwierać kolejne drzwi. Wydawało mi się, że za trzecimi usłyszałam chichot, ale nie brzmiał jak dziecięcy.

Kiedy otworzyłam siódme z kolei drzwi, zobaczyłam pokoik. Na biurku znajdującym się między dwoma oknami stała maszyna do pisania. Obok wypalony papieros na popielnicze z zielonego szkła. Na jego końcu znajdował się jeszcze popiół. Przez okno zobaczyłam inny dzień niż ten, który zostawiłam, wchodząc do domu – szare niebo napierało na pokrytą szronem trawę.

Podeszłam na palcach do maszyny, żeby zobaczyć, co było napisane na wystającej z niej kartce zwartą, nieregularną czcionką.

„Kiedy Alice się urodziła, jej oczy były czarne od jednego końca do drugiego, a położna wyszła pospiesznie i jej nie obmyła”.

Poczułam mrowienie na karku, jakby ktoś stał tuż za mną i wyciągał w moją stronę kościste palce. Wybiegłam z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi.

Korytarz się zmienił. Był teraz jaśniejszy, krótszy i kończył się zieloną oranżerią ze szklanym sufitem. Słońce lało się na znane mi i nieznanne drzewa, a także na parę takich, które, mogłam przysiąc, widziałam niedawno w lesie. Podeszłam tam wolno z wyciągniętymi ramionami. Powietrze było gęste, wilgotne i słodkie. Na trawniczku tak jasnym, że musiał być sztuczny, stało radio z chromowanym przodem w kolorze truskawkowego sorbetu.

Przykucnęłam i je włączyłam. Światło na zewnątrz przyciemniło się i usłyszałam muzykę. Była to ta sama piosenka, którą słyszałam w autobusie, zagrana szybciej, do tańca. Kiedy wyłączyłam ra-

dio, na zewnątrz się rozjaśniło i zaczęło świecić tak ostro, że bolały mnie oczy. Podniosłam do nich dłoń i zderzyłam się z czymś ciepłym i wielkim.

– Mój Boże – powiedział mężczyzna, gdyż to na niego wpadłam. – Czy nigdy nie dasz mi chwili spokoju?

Znowu była noc, mężczyzna skurczył się w kręgu sztucznego światła. Byliśmy w oświetlonym pomarańczowo, stylizowanym na średniowieczny pokoju bilardowym z sękatymi drewnianymi ścianami. Mężczyzna miał na sobie pognieciony smoking. Wyglądał jak księżę, w którym mogłaby się zakochać na parowcu Barbara Stanwyck, zanim skończyłaby ze stewardem granym przez Cary'ego Granta.

Mężczyzna upuścił mocno wypełnioną szklaneczkę, kiedy na niego wpadłam. Poczułam ostry zapach ginu. W drugiej ręce trzymał pistolet. Nie taki jak tamten Harolda – krótki i bez uroku, stworzony po to, żeby strzelać. Ten był długi i elegancki niczym chart. Mężczyzna trzymał go na ramieniu, jak chłopiec, który się bawi w wojsko.

– Widzi mnie pan? – spytałam.

Nie byłam pewna tutejszych zasad: Czy jestem duchem? Czy zginę, jeśli do mnie strzeli?

– I tylko ciebie. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Już doprowadziłaś – mówił figlarnie, ale oczy miał wilgotne i pełne rozpaczy.

– Kim pan jest? – spytałam, wyciągając dłoń do jego rękawa. – I kim pan sądzi, że ja jestem?

Cofnął się.

– Zostaw mnie, ty zmoro. Uwolnię się od ciebie, nawet jeśli ona nie może. Twój dotyk jest zimny jak lód, ale i tak wiem, że jesteś z piekła.

Przeszedł niepewnie przez płamę światła w kolorze whisky i zniknął w ciemności po drugiej stronie. W ciszy rozległ się jeden strzał.

Kiedy wybiegłam z pokoju, nastawiłam uszu. Chwiejąc się z powodu zawrotów głowy, przeszłam niepewnie przez szeroki, zrujnowany korytarz z porośniętą mchem terakotą. Przez potłuczone szyby wpęzał bluszcz i wszędzie czuć było zgniliznę. Kończył się on salonikiem z zaciekami na ścianach, gdzie przy połamanej sofie stały dwa rozkładane krzesła. Na stoliku między nimi leżał stos magazynów poświęconych modzie. Ze szczytu patrzyła pustym wzrokiem Christy Turlington – to była okładka „Vogue Paris” z listopada 1986 roku.

Za mną ktoś wystukał melodię *Shave and a Haircut* o framugę drzwi. To była Ella, ale wyglądała starszej. Miała może osiem lat. Uśmiechnęła się nieśmiało, nie pokazując zębów, a potem uciekła.

– Ella – powiedziałam, ale powietrze wessało to słowo. Kiedy przesunęłam rękę przed oczy, wygięła się, jakbym patrzyła na nią przez szkło ze skazą.

Ruszyłam niepewnie dalej, potknęłam się o próg i upadłam. Kolanami zaryłam w puszystym dywanie w kolorze starej kości słoniowej. Żeby się podnieść, złapałam brzeg jedwabnej narzuty z łóżka obok.

Było to łóżko z bajki, ze zwisającymi aż do ziemi postrzępionymi zasłonami. Przez najcieńsze miejsca widać było, że ktoś leży bez ruchu w pościeli. Otaczały je ciekące świece w świecznikach ze zmatowiałego złota, które wypełniały pomieszczenie słodkim jak narkotyk zapachem.

Nie chciałam widzieć, co leży na łóżku. Nie chciałam być w tym pokoju czy miejscu. Nic do siebie nie pasowało. To było jak album z wycinkami z różnych czasów, miejsc i wspomnień. Może Althei albo Elli. Czy Hazel Wood jest przynajmniej rzeczywiste? Czy kiedykolwiek istniał? Jeśli tak, to nie było domem, a kalejdoskopem. Podeszłam do okna z myślą o tym, by przez nie wyjść, ale nie byłam już na pierwszym piętrze – nagle znalazłam się w wieżycy. Trawa na powrót zrobiła się wściekle zielona.

To coś w łóżku wydało cichy odgłos, jęk czy westchnienie, tak że wszystkie włosy na mojej głowie i szyi się podniosły. Wybiegłam z pokoju...

I zatrzymałam się w obskurnej żółtej kuchence. Nad głową buczała żarówka, a zapach szczypioru i kawy sprawiał, że robiło mi się niedobrze. Przez brudne okno wpadało wiosenne światło i oświetlało pełen filiżanek kredens. Do wszystkiego przywarła grubą warstwą niczym kurz samotność. Na laminowanym blacie w kolorze mięty stał pusty kubek, leżał zalany wodą egzemplarz *Pani Bovary* i nożyczki. A także stosik wyciętych z gazet artykułów.

Ręka mi zadrżała, gdy dotknęłam tego na górze i rozsypałam stosik. „Społeczność z północy kraju wstrząśnięta. Drugi tydzień poszukiwań zaginionego biegacza. Czy to zaginięcie wiąże się z wcześniejszymi zabójstwami? Pięć ofiar i wciąż brak rozwiązania tajemnicy. Znalezione szczątki ofiar, ale pozostają pytania”.

A zatem Althea wiedziała. O tych, którym pozwoliła się wymknąć. I o tym, co oni tutaj robili.

Długi wrzask gdzieś z tyłu przeciął powietrze na dwoje. Obracając się, potrąciłam kubek, który rozbił się o podłogę. Niebieski emaliowany czajnik wrzeszczał i puszczał kłęby pary na kuchence, a za drzwiami usłyszałam skrzypiące odgłosy kroków.

Przez jedną pełną napięcia sekundę zastanawiałam się, czy nie pobiec do okna. Ale stałam w miejscu, czując pulsowanie mięśni w barkach. Kroki przybliżały się, przybliżały i w końcu umilkły przed drzwiami.

Cisza ciągnęła się, aż w końcu nie mogłam jej znieść – to był ciężki odgłos czekania i nasłuchiwania. Przesunęłam się na terakocie, położyłam rękę na gałce i szarpnęłam drzwiami, jakbym zdzierając plaster z rany.

I natrafiłam na ścianę rozmów, muzyki i ciał otulonych woskową mgiełką oraz zapachem perfum tak gęstym jak syrop.

Byłam w bardzo słabo oświetlonej sali balowej. Nad grupą tancerzy wisiał kandelabr aż ciężki od stopniałego wosku i poruszał się w takt migotliwej, atonalnej muzyki, którą mogliby puszczać na przyjęciu w piekle.

Tancerze zbili się w jedną grupę tak, że wyglądali jak tłum w metrze i poruszali się do taktu muzyki, która mogła przyprawić o ból głowy. Błyski świateł odbijały się w zębach, oczach, pocie i wosku, który spłynął na ich głowy i stwardniał.

Wydawało mi się, że w kłębówisku ciał dostrzegłam Elle, znowu starszą, ale jeszcze nie dorosłą. Uśmiechnęła się do partnera zbyt światowo i usunęła się z widoku. Przesunęłam się dalej, by do niej dotrzeć, ale tłum mnie nie puszczał.

Mężczyzna ze świeżym czarnym okiem tańczył sam, upojony czymś mocniejszym niż alkohol. Trzy kobiety z ciałami jak listki owinęły się wokół siebie i wyglądały tak, jakby w ogóle nie miały kości, ich brzegi stapiały się ze sobą i zespajały jak akwarele. Niemal potknęłam się o niewielką postać, która wydawała mi się dzieckiem, aż podniosła twarz do światła kandelabru. Wyraz jej oczu sprawił, że się cofnęłam.

A potem zobaczyłam coś, na widok czego zamarłam, czując, jak wypełnia mnie całe światło gwiazd.

Finch. Bez wątpienia, w samym środku tancerzy. Finch w białej koszuli, z barkami ciężkimi od cieni. Oczy miał jasne, usta delikatne i cały pochylał się w stronę swojej partnerki. Była ona niska i dzika, a jej włosy spływały do tyłu jak u Barbie.

Była mną, mną z długimi włosami, i patrzyła na Fincha z wyrazem, którego chyba nie zdołałaby wytrzymać moja twarz.

Nie wydawało się to iluzją czy snem. Czułam pot, rozlane wino, wosk, a także smak krwi, kiedy zagryzłam wargi. Wypowiedziałam imię, czy też próbowałam to zrobić, ale muzyka odpędzała wszelkie dźwięki.

A potem świece zamigotały jak stroboskop i tłum się zmienił, poruszył się, twarze ukazywały się i ginęły w mroku. Przyszło mi do głowy, że widzę setki różnych imprez złane w jedną, pełną ludzi zbyt dziwnych i ryzykownych, by być kimś innym niż Uroczyskiem. Ella zniknęła, ale pozostał Finch, zawsze w centrum, ze mną w ramionach.

Dom znowu igrał z moim umysłem, ukazywał rzeczy, o których śniłam, upchnięte gdzieś w jego zakamarkach, których mogłam pragnąć, i mieszał je ze wspomnieniami, które sączyły się ze ścian Hazel Wood. Zaczęłam ciężiej oddychać, kiedy druga ja pozwoliła Finchowi przeciągnąć ręką po jej gęstych włosach.

Uniosła swoją – moją – twarz do niego. Muzyka stała się drżąca i wolna, a ja aż wychyliłam się w stronę pary, kiedy coś w rodzaju zazdrości wbiło zęby w moje serce. Finch opuścił powieki, a jego włosy poruszały się, jakby był pod wodą. Nawet kiedy pochylała się do niego, widziałam lśnienie jej otwartych oczu, czujnych, zawsze czujnych. Pochyliłam się tak bardzo, że myślałam, że

upadnę, i czekałam na zetknięcie ich ust.

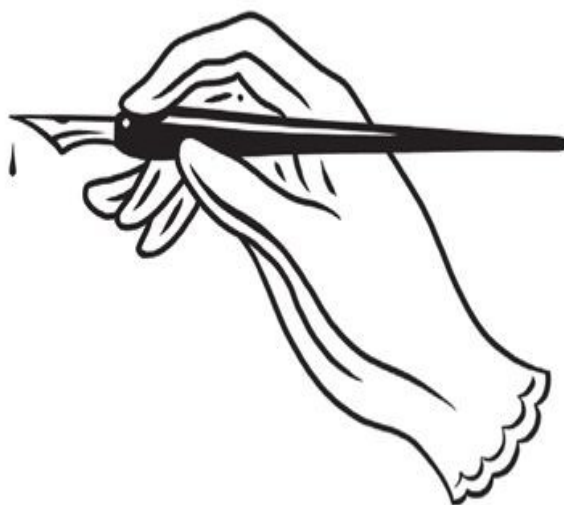
Kiedy to się stało, muzyka znieruchomiała. Ktoś w półmasce, z nogami zbyt długimi w stosunku do tułowia złapał mnie za ramię. Pocałunek skwierczał niczym proch w mojej piersi. Czułam się zbyt ogłuszona, żeby się cofnąć.

– Dołącz do tańca albo idź sobie, marzycielko – szepnął mój prześladowca i pchnął mnie mocno.

Dzięki temu oderwałam się od grupy, odepchnęła mnie jakaś elektryczna siła i wypadłam na długi, pusty korytarz. Elli nigdzie nie było. Nie było też Fincha i dziewczyny, którą mogłabym być i która nigdy nie istniała. Ale impreza przywarła do mnie swym mglistym zapachem. Wciąż czułam wosk na swoim ubraniu.

A potem daleko, daleko dostrzegłam zamknięte drzwi ze światłem sączącym się wokół framugi. Było ono ciepłe i dobre, jakby wszystko do tej pory było tylko snem, a teraz miałam przed sobą ciepłe ludzkie światło, które pozwala obudzić się z koszmaru. Światło w chacie, którą możemy napotkać w ciemnym lesie. Pobiełam tam, otworzyłam drzwi i weszłam do dziecięcej sypialni z nocną lampką.

I serce mi się ścisnęło, bo wiedziałam, że nie jest to bardziej rzeczywiste niż cała reszta. Nie mogło być, gdyż czekała tam na mnie moja babka. Siedziała na brzegu łóżka i paliła papierosa.



## • 23 •

Althea wyglądała dobrze. Wyglądała na prawdziwą. Miała na sobie rurki, prążkowaną koszulę z dekoltem w łódkę i, o dziwo, krótkie białe rękawiczki. Podobnie jak Hazel Wood, była wciele-  
niem moich wyobrażeń o niej: spokojne, niebieskie oczy, drobne kości. Przez znajdujące się za nią okno zobaczyłam śnieg i dziwne białe niebo, które spowijało wnętrze pokoju księżycowym bla-  
skiem. Pogłębiało to cienie. Lampka rzucała zuchwałę pomarańczowe koło na jedną ze ścian.

– Opowiedzieć ci historię? – spytała Althea.

Zamarłam. Zanim zdążyłam się odezwać, usłyszałam od strony łóżka pełen uporu głos:

– Nie.

Ella leżała w cieniu z rękami zarzuconymi za głowę i z jedną stopą na podłodze. Znowu była star-  
sza – wyglądała na piętnaście, może szesnaście lat. Za dużo na historyjki na dobranoc.

Althea wypuściła z ust delikatną mgiełkę niebieskiego dymu.

– Ależ tak.

– Naprawdę, naprawdę nie mam na nią ochoty.

Jednak Ella się nie poruszyła, wsunęła tylko ręce za głowę. Była teraz na tyle duża, że przypomi-  
nała sobie: ciemnowłosa, dzika, rozkojarzona. Musiałam bardzo uważać, żeby do niej nie popędzić,  
ale wiedziałam, że widzę coś prawdziwego. I że nie dzieje się to teraz.

– Dawno, dawno temu w zamku w środku lasu mieszkały piękna królowa i odważna księżniczka.

– Znam to.

– Więc przejdę nieco dalej. Dawno, dawno temu była sobie piękna królowa, która myślała, że sło-  
wa są silniejsze niż cokolwiek innego. Używała ich, by zdobyć miłość, pieniądze i prezenty. Uży-  
wała, by niosły ją przez świat. – Althea wypowiadała słowa z odległą, hipnotyczną precyzją, jak  
krupier, który wyklada karty. – I pewnego dnia, kiedy była bardzo, bardzo znudzona, użyła ich, by  
przekonać pewną arystokratkę, żeby zaprowadziła ją do innego, legendarnego i bardzo odległego  
królestwa.

– Uroczyśka. – W głosie Elli wyczuwało się ostrość, która sprawiała, że ta nazwa nie zabrzmiała  
obojętnie.

– Cii. To moja historia, nie twoja. Jak mówiłam, to drugie królestwo – Inne Królestwo – było dziwne, niebezpieczne i bardzo odległe. Królowa szybko zatęskniła za domem i zaczęła szukać drogi powrotnej. Podobno istniały drzwi, który mogły ją zaprowadzić tam, gdzie chciała, ale się przed nią ukryły. A wiesz, co robisz, kiedy nie możesz znaleźć drzwi? – Jej palce przesunęły się po włosach jak w rymowance o pajęczku. – Budujesz most.

Stałam jak wrośnięta w połowie drogi między drzwiami a łóżkiem. Głos Althei działał na mnie jak alkohol, rozluźniając członki, wyostrowając widzenie i pozostawiając piekący ból w piersi.

– W Innym Królestwie było wielu królów i królowych, wszyscy równie potężni. Ale królowa wyruszyła, by odnaleźć prawdziwą władczynię całego królestwa – osobę zwykłą, nie z rodziny królewskiej, ale znacznie ważniejszą. Opowiadaczkę historii. Mistrzynię słów. Kiedy ją odnalazła, przekonała ją, że łączy je wspólna dola – królowa też była mistrzynią słów – i ta opowiadaczka zdradziła jej, jak może się wydostać z tego miejsca.

– Ale opowiadaczka popełniła błąd, ufając królowej. Kiedy ta uciekła z Innego Królestwa, zabrała z niego coś – coś, co trzymało ściany świata i nie pozwalało spadać gwiazdom. Coś, co zaniósła do swego królestwa, i podzieliła się tym z poddanymi. Zabrała historie. Wszystkie historie Innego Królestwa. Opowiedziała je, a potem raz jeszcze i wkrótce opowiadano je w całym jej królestwie.

Głos Althei tracił swój senny rytm, jak ściereczka, w której wycierają się włoski. Jej oczy lśniły dziwnym białym światłem.

– Królowa czuła się bogata, bogatsza niż kiedykolwiek, aż w końcu dotarło do niej, co zrobiła – to, że przeniosła przez most największy skarb Innego Królestwa, związała mocno, bardzo mocno oba królestwa, aż w końcu stały się one niczym dwa wyrastające wspólnie wzgórze, a potem słońce i księżyc w czasie zaćmienia, a potem ręka i zbyt ciasno zaszyta rękawiczka.

„I nicia świat ci zaszyją” – słowa zadźwięczały w mojej głowie i przepadły.

Babka zniżyła głos do szeptu:

– Nikt jednak o tym nie wiedział, poza królową. Nikt nie zauważył, kiedy zaczęły się dziać straszne rzeczy. Kiedy królowa urządziła uroczystości, pojawiały się na nich przebrane demony, które kryły swe czerwone oczy za maskami. Jeśli zbyt długo była w zamku, wszystko i wszystkich wokół zarastała ciemność. Ludzie z Innego Królestwa przemykali się przez ukryte drzwi, by się z niej nabijać, że wydawało jej się, iż może uciec. Że kradzież może ujść jej płazem. A potem któreś nocy ktoś z Innego Królestwa zakradł się do zamku i zabił jej króla.

Mówiła teraz prosto, z nisko pochyloną głową. Zamrugałam i coś się jakby zacięło. Althea stała teraz, a łóżko na którym wcześniej siedziała, pogrążone było w jeszcze głębszym cieniu. Przez okno nie było już widać lśnienia księżycy na śniegu.

Althea ciągnęła:

– Królowa zrozumiała, że to nie królestwa się zmieniły, tylko ona sama. Nie musiała szukać drzwi – sama się nimi stała. I mostem. Miejscem, przez które mogły przejść demony. Dlatego uciekła z córką do zamku w lesie. Inne Królestwo ruszyło za nią i wraz z upływem czasu las wokół zamku stał się tak splątany, jak dąb, rozdarty między dwa królestwa.

– Ale córka królowej, księżniczka, wyrosła na silną dziewczynę. Rosła szybko, wciąż biegając od Innego Królestwa do tego, w którym się urodziła, gdyż nie pamiętała innego życia.

Zniknęła cała magia tej historii. Althea mówiła szybko i bezbarwnie. Pokój się zmieniał i ona też. Ramiona jej opadły, we włosach pojawiła się siwizna. Popatrzyła na mnie bez ostrzeżenia i wbiła we mnie wzrok. Zęby miała poplamione, jej oczy obracały się niby wiatraczki.

Elli nie było. Pokój pozostał taki sam, ale inny. Łóżko było wybruszone i postarzałe, wszystko pokrywał grubą warstwą kurz.

– Jesteś tutaj. – Szept Althei zawisł między nami. Wciąż na mnie patrzyła. – To ty? Naprawdę ty?

Była duchem. Albo majakiem. Nie było innego wyjścia. Głód w jej głosie powinien stanowić ostrzeżenie, ale zabrzmiał też w moim głosie.

– Tak, to ja. Alice. Twoja, twoja... – Nie mogłam powiedzieć: „wnuczka”.

– Szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa Althea – powiedziała niskim głosem, podchodząc bliżej, aż poczułam zapach jej potu i oddech woniejący gorzkimi migdałami. Zamarłam, moje serce łomotało jak zmarznięty deszcz, a ona wyszeptwała pozostałą część historii do mego ucha.

– Inne Królestwo nie skrzywdziło ukochanej córki królowej, gdyż była zbyt mądra. Mądra Księżniczka Vanella. – Wysyczała imię księżniczki – mojej matki. – Aż któregoś dnia księżniczka znalazła dziecko w Lesie-Połowy-Drogi, które pod drzewem zostawili rodzice i ich towarzysze polowania. Do jego kołyski wpadły płatki czereśni. A dziewczynka ścisnęła je, patrząc na księżniczkę swymi czarnymi, czarnymi oczami. Księżniczka natychmiast ją pokochała. I ukradła ją z jej bajki.

Moje serce wiedziało to, zanim zrozumiała to moja głowa. Pompowało małe krople adrenaliny, mówiąc mi: *Uciekaj, uciekaj, zanim usłyszysz coś, czego nie będziesz już mogła zapomnieć.* Nie uciekłam. Pozwoliłam, by opowiedziała mi tę historię do końca.

– Alice-Trzykrotko – rzuciła – wyrwano cię z twojej bajki jak płatek czereśni. Zrobiła to dziewczyna, która nie wiedziała, co czyni.

Mój umysł działał jak zimny komputer.

– Przyszłam tu, żeby znaleźć Ellę – powiedziałam głupio. – Moją matkę.

– Twoją porywaczkę. Ona nie ma dzieci.

Przez długą chwilę miałam pustkę w głowie. Widziałam tylko biel, nie mogąc nawet wyobrazić sobie twarzy Elli. Nie wiedziałam, że mam uniesioną rękę, aż Althea się cofnęła poza jej zasięg.

– No i popatrz – zaśmiała się szpetnie. – Wciąż z ciebie taka piekielnica.

Opuściłam rękę i objęłam się ramionami, kiedy Ella zaczęła do mnie powracać kawałek po kawałku. Kościste ręce i oddech w ciemności, i jej ostry profil, kiedy prowadziła. Nigdy nie przypominała mnie wyglądem, a ja nigdy nie zastanawiałam się dlaczego.

Wyobrażałam sobie gdzieś ojca, kogoś, kogo kochała przynajmniej przez jakiś czas. To też było nieprawdą.

– Nie wierzę ci – szepnęłam. Kolejne kłamstwo.

– Byłaś jej ulubioną historią. – Głos Althei trochę złagodniał. – Podobało jej się, że jesteś taka gniewna. Jakbyś niosła zemstę, ale... nie jak anioł.

– Jestem dziewczyną – powiedziałam. – Osobą.

– Jesteś jednym i drugim albo ani jednym, ani drugim. Jesteś historią, ale to nie czyni cię mniej prawdziwą.

Poczułam się tak, jakbym patrzyła na siebie z zewnątrz: na dziewczynę z zamazanymi brzegami, obejmującą siebie jak dziecko. Ten obraz wdrukował się w mój mózg; był jedną z tych chwil, gdy wychodzimy z siebie, wciąż będąc sobą. W tym dniu moja babka powiedziała mi, że moja matka wcale nią nie jest. Że jestem postacią z historii, którą ukradziono z innego miejsca.

– Uciekła od ciebie. – Patrzyłam, jak te słowa uderzają Altheę niczym otwarta dłoń. – Obie uciekłyśmy. Dorastałam w świecie. Pamiętam go – pamiętam, jak obcierałam kolana, czytałam książki z biblioteki, jadłam kiepskie rzeczy na stacjach benzynowych. Dni choroby, kiedy oglądałam kiepskie programy w telewizji. Pamiętałam życie, które toczyło się tak jak powinno, jazdę autobusami, poczucie samotności. Pamiętam to wszystko!

– Naprawdę?

Popatrzyłam na nią, a potem na moje ręce, szorstkie, popękane i mało bajkowe. Pomyślałam o tym, jak moje życie blakło za mną, niewielkie znaki na ziemi, które zanikały jak odciski stóp.

– Zwariowałaś – powiedziałam. – I w dodatku nie żyjesz. A ja chcę stąd zabrać Ellę.

– Zabrać? Od kogo? – Uśmiechnęła się do mnie kokieteryjnie, co było nikłym wspomnieniem po tym, czym kiedyś była ona sama i jej twarz. Bardzo się zestarzała od chwili, kiedy opowiadała córce swoją historię.

– Od Uroczyska? – odparłam niepewnie. – To ono ją porwało.

Althea potrząsnęła głową.

– Zapewniam cię, że Uroczysko tego nie zrobiło. Oni chcieli Alice-Trzykrotki, nie jej. – Machnęła ręką. – Ona była tylko... zmyłką.

Przynęta. Finch miał rację. Ella była przynętą.

– Więc gdzie teraz jest? Jeśli nie tu, to gdzie? – Podniosłam głos. – Wszystko mi jedno, czy jesteś duchem, czy wspomnieniem, czy, sama nie wiem... hologramem. Ale proszę, przecież to twoja córka. Błagam, powiedz, jak ją odzyskać.

– Myślisz, że jestem duchem?! Nawiedzam ten pałac pamięci, a on nawiedza mnie, ale nie jestem



duchem. – Chwyliła moją dłoń i przycisnęła do obwisłej, przypominającej ciasto na chleb skóry pod jej prążkowaną koszulką w miejscu, gdzie powinno być serce.

Poczułam pod palcami niewyraźne uderzenia.

Żyła.

– Ale... list...

– Dotarł do was? Nie byłam pewna, czy dotrze. List o śmierci był po to, żeby cię tutaj przywiozła.

– Zaśmiała się szorstko i smutno. – Ale nawet to nie wystarczyło. Więc czemu teraz? Dlaczego wróciłaś właśnie teraz?

Serce mi się ścisnęło. Po tym wszystkim dalej chciałam wierzyć, że to jej dzieło, że to ona za wszystkim stoi. Bo mogła... co? Kochać mnie? Pragnąć? Głupia Alice. Chciałam myśleć, że mam za sobą te wszystkie marzenia, ale jedno z nich stało właśnie przede mną, a ja się czułam jak pięcioletnie dziecko.

Ale Ella mnie kochała. Moja matka. Moja porywaczka. Złodziejka, jak nazwała ją Hansa.

Wciąż była moja, może nawet jeszcze bardziej teraz, gdy wiedziałam, że była to kwestia wyboru. Moja tęsknota przeorganizowała się we mnie. Czułam, że jest czymś nowym, dopiero wyklutym, jeszcze z wilgotnymi piórami, ale już zaciekłym. Zaciśnęłam usta z myślą, że to właśnie będzie ta lina ratunkowa, która wyciągnie mnie z ruchomych piasków tego gorącego zamkniętego pokoju z zapachem kurzu i nocą czającą się za oknem.

– Ella zniknęła – powiedziałam. – Zabrali ją gdzieś... Może w Nowym Jorku, nie wiem. A ta książka... twoja książka wciąż mnie prześladowała. To Katherine-Dwukrotnie-Zabita mnie... tu sprowadziła. – Okazało się, że nie mogę jej powiedzieć o Finchu. A gdyby on zobaczył taką Altheę, na pewno by się załamał.

– To jasne, że cię znalazła. Jesteś żywym, mówiącym mostem do Uroczyska. Niezależnie od tego, gdzie jesteś, znika ściana między dwoma światami. Oni mogą przez nią przejść. I niszczyć.

– Chciała mnie zabić. Kazała mi przeciąć sobie nadgarstki. Dlaczego?

– Aa! – Oczy się jej rozjaśniły. – Sprytna Katherine. Zapłaciłaby zbyt wysoką cenę, gdyby sama cię zabiła, ale gdybyś zrobiła to sama? Alice-Trzykrotka? Twoja krew wypaliłaby drzwi między światami, które nigdy by nie zniknęły. Mogłoby ciągle tam przechodzić.

Alice-Trzykrotka. To imię paliło i wznosiło się we mnie.

Althea popatrzyła na mnie z czymś w rodzaju szacunku.

– Więc przeszłaś przez las bez przewodnika. Życie tam nie pozbawiło cię siły. Musisz być trochę jak ona... jak Ella.

– Jestem – odparłam, chłonąc jej słowa.

Zaciągnęła się papierosem, o którym zupełnie zapomniałam.

– Ella zawsze litowała się nad zagubionymi jagniątkami... takimi jak ty w tym koszyku, z tymi okropnymi czarnymi oczami. Sama próbowałam cię zwrócić, zanim oni zabiją Ellę. – Oczy jej pociemniały. – Ella mnie zienawidziła i cię zabrała. Z daleka od nich, z daleka ode mnie. Jakbym ja też była jakimś potworem.

– Ale moje oczy nie są czarne. Są brązowe – powiedziałam głupio, ale z nadzieją. Jakby to była dziura, przez którą mogłam wrócić do prawdziwego życia.

– Zmieniły się po tym, jak opuściłaś Hazel Wood. Tyle wystarczyło Elli, by się upewnić, że dobrze zrobiła. Pisała o tym do mnie, jeszcze kiedy docierały tu jakieś listy. Jej zdaniem to Uroczysko z ciebie ulatywało. Jej celem stało się to, by cię uratować i dać ci prawdziwe życie. Czy się udało? Miałaś życie? – Jej głos przeszedł od pustki do nadziei, skarłatej i smutnej, ale jednak nadziei.

Przypomniałam sobie brak zakorzenienia, podróże, przekłete zdarzenia, które prześladowały nas po drodze. Czułam w plecach sprężyny każdego tapczanu czy łóżka, na którym spałyśmy, ciężki wzrok naszych gospodarzy, kiedy zostawałyśmy za długo, ból związany z tym, że musiałyśmy przez wiele dni spać w samochodzie, udawanie, że nie jesteśmy bezdomne.

Zobaczyłam Ellę. Chwytała mnie za barki i liczyła od stu, tak bym zapanowała nad gniewem. Zamki z koców, które robiła dla mnie w pokojach gościnnych i to, że sama spała bez poduszki, że bym zapomniiała, że jesteśmy dla innych ciężarem. Kurcze nóżki przy jej oczach, tak nieodpowiednie u kobiety, która tak naprawdę nigdy nie dorosła. Która wołała mnie ocalić, uciekać ze mną, niż żyć

własnym życiem.

– Tak, udało się – odparłam. – Miałam wspaniałe życie. Mam wspaniałe życie.

Althea odchyliła głowę i popatrzyła na mnie spod rzęs.

– A czy ona... Ella, czy wspominała o mnie?

Najpierw zapragnęłam ją zranić. Ale popatrzyłam na jej pobielające kłykcie i zaciśnięte na papierosie usta i nie mogłam.

– Cały czas.

– Kłamiesz – powiedziała cicho, a dym sączył się z jej ust. – Nie będę się tłumaczyć z mojego życia, ale mogę powiedzieć, że nie chciałam jej stracić. Myślała... zresztą sama nie wiem. Może, że jestem na usługach Uroczyska.

– A nie jesteś? Czy ten list nie był pułapką?

– Hmm. – Zgasiła papierosa o ramę łóżka, a niedopałek rzuciła na podłogę. – Niezbyt skuteczną.

– Po twojej śmierci... po tym liście Ella myślała, że to koniec. Że jesteśmy bezpieczne.

Althea spojrzała na mnie ponuro.

– Wiedziała, że jestem mostem. Nie domyślała się tylko, że ty też.

Te słowa uderzyły mnie z opóźnieniem. Więc to wszystko było z mojego powodu. Moja czarna energia sączyła się ze mnie niczym krew, a Uroczysko jak rekin wciąż było na jej tropie. Przez tyle lat uciekałyśmy i to właśnie przede mną!

– Więc zawsze mnie znajdują? – szepnęłam. – Niezależnie od tego, gdzie pójde?

– Oni są tobą. Wszyscy jesteście z tego samego materiału – mówiła niemal współczująco. – To ciężko, prawda, kiedy okazuje się, że jesteśmy kimś innym, niż nam się wydawało? – Wskazała siebie, a w jej głosie pojawiła się trucizna. – Nieustraszona poszukiwaczka przygód. – Wskazała mnie. – Prawdziwa dziewczyna.

Chciałam się sprzeczać, ale nie mogłam uwierzyć w świat na zewnątrz.

– Więc co się dzieje z takimi dziewczynami? – spytałam tępo. – Gdyby udało się z tym listem i Ella mnie tu przywiozła, co by ze mną było?

– W końcu jednak się udało, prawda? Tyle że z opóźnieniem. Stałaś spokojnie, kiedy te bestie okrążyły cię w Lesie-Połowy-Drogi, ale... przeżyłaś. I przyszedłaś tu do mnie z własnej woli, prawda?

Zaniepokoiło mnie jej wyostrome spojrzenie.

– Nie... nie wiem. Chciałam tu przyjść. Ale myślałam, że będzie inaczej.

– Zawsze tak myślimy, co, kiedy już dostaniemy, czego chcemy?

Następnie zdjęła rękawiczki i złapała moje dłonie. Paliło gorzej niż przy dotyku Katherine i aż jęknęłam, próbując się wyswobodzić.

– Właśnie to się dzieje – rzuciła, a jej słowa były po części klątwą, a po części błaganem. – Ona od dawna chciała cię tu sprowadzić, Alice-Trzykrotko. A dopóki będziesz po niewłaściwej stronie lasu, nie pozwoli mi umrzeć.

– Kto? – niemal nie słyszałam swego głosu w tym bólu. – Kto nie pozwoli ci umrzeć?

Zignorowała moje pytanie i popatrzyła w górę, jakby sufit był niebem i obserwował ją z niego jakiś mściwy bóg.

– Oddaję ci ją! – krzyknęła. – Pozwolisz mi teraz odejść?

Żar przeszedł z moich ramion na pierś i zaciskał się na mnie, aż wszystko wokół wybuchło i zobaczyłam gwiazdy. Wyczułam drżenie palców Althei, zobaczyłam żółte białka jej szeroko otwartych oczu i usta, które układały się do jakichś ostatnich słów, których nie słyszałam. Prośby, przeprosin. Obietnicy, kłamstwa.

A potem zaczęłam spadać i spadać jak Alicja Carolla przez przestrzeń lub wodę, lub chmury, lub atomy. Ból minął i poczułam się żywa, wrócił mi oddech, krew zagrała w ciele, nic mi nie doskwierało. Althea zniknęła, a ja leciałam przez rześkie powietrze. Kiedy upadłam oszołomiona wstrząsem, znajdowałam się w Uroczysku.



Znowu byłam w lesie. Ale przy nim Las-Połowy-Drogi wydawał się tylko marną makieta, a lasy na ziemi jedynie szkicami ślepca, który słyszał o drzewach, ale nigdy ich nie widział.

W Lesie-Połowy-Drogi zastanawiałam się, czy drzewa mnie słyszą i czy mogą mówić. Tutaj miałam wrażenie, że słyszę ich oddech. Wylądowałam, mając za sobą pień tak szeroki jak samochód wzdłuż. Jego korę pokrywały sęki, które wskazywały na jakąś trudną do zlokalizowania twarz. Drzewo zrzuciło cały deszcz nasion na mój podołek. Miały one kształt półksiężyca i były wielkości paznokcia małego palca. Połyskiwały pomarańczowo jak księżyc żniwiarzy.

Popatrzyłam na niebo, jakbym mogła tam zobaczyć twarz Althei, która obserwowała mnie przez rozdarcie w błękitcie. Potem wstałam i zaczęłam iść. Cóż innego mogłam zrobić? Byłam oszołomiona. Po trzykroć usunięta ze świata, w którym się wychowałam – a który nie był nawet mój.

Finch jest tutaj. Przypomniałam to sobie z uczuciem, jakbym nagle wyrwała się ze snu. Las-Połowy-Drogi chciał, żebym o tym zapomniała. A także zagracony dom Althei i ona sama, oszalała w żółtym pokoju. Ale Finch był tutaj. Żył i wykrwawił się w lesie pomiędzy, a teraz jego ciało stygło w świecie, którego pragnął.

Czy go pochowali? Może spalili? Co się w takim miejscu robi ze zmarłymi? Na myśl o nim zaciśnęłam aż do bólu palce. Włożyłam ręce do kieszeni i szłam przez świat, gdzie wszystko – wszystko – wydawało się żywe.

Olbrzymie słońce wisiało tuż nad horyzontem i nie świeciło aż tak jasno, żebym nie mogła dostrzec, że coś się dzieje na jego ognistej powierzchni, że są tam ślady historii tak odległej, że nigdy jej nie czytałam. Kwiaty zwijały się w kulki albo rozwijały krzykliwie, gdy przechodziłam, znacząc mój szlak zapachami – kardamonu, mrożonej herbaty. Szamponu Elli. Ten nowy świat był zbyt dziwny, zbyt rozświetlony. Na ten widok cały mój umysł eksplodował, puf, jak dmuchawiec. Wszystko miało w sobie objawieńczą świeżość, jak nowy dzień widziany oczami napędzonego kofeiną człowieka, który nie mógł całą noc zasnąć. Zaczęłam sobie coś przepowiadać w głowie, żeby utrzymać myśli w bezpiecznych granicach. Listę moich ulubionych płyt. Kolejne tytuły *Harry'ego Pottera*. Po kolei nazwy miast, w których mieszkaliśmy. Chicago. Madison. Memphis. Nacogdo-

ches. Taos.

To sprawiało, że mój umysł trzymał się cienkiej niebieskiej nitki rozsądku i sprzeciwu. Ale się zapadał. Wiedziałam, że Ella jest w miejscu, które zostawiłam za sobą. A ja znalazłam się w obcym świecie, otoczona drzewami, których czujne zainteresowanie moim marszem wahało się od odległej sympatii do wyraźniej niechęci, co przypominało mi psa, który wyczuwa zapach innego zwierzęcia na naszym ubraniu. Miałam na sobie świat. Ale, jeśli wierzyć Althei, pod spodem byłam Uroczyskiem.

Wierzyłam jej. Choćby dlatego, że moje ciało czuło się tu jak w domu. Powietrze było rześkie, niemal jesienne, ale wszystko wokół zieleniło się pięknie i kwitło. Złote światło przesycalo wszystko i sprawiało, że coś dziwnego działo się z cieniami – wszystkie przypominały czarne pieczętki. Mój własny cień sprawiał wrażenie, że nadaża za mną tylko po to, żeby sprawdzić, co zrobię dalej – podejrzewałam, że jeśli okaże się nudna, to mnie rzuci.

Przez godzinę przedzierałam się przez niskie gałęzie, które albo uprzejmie uginały się same, albo mnie odpychały. W końcu udało mi się szczęśliwie znaleźć ścieżkę.

Była aż nazbyt malownicza. Obok niej rosły jeżyny z owocami i kwiaty, które zrzucały duże fu-trzaste płatki wprost na ubity trakt. Były one żółte jak kaczuszki i pachniały tostami.

Przeszłam dwa kroki i się zatrzymałam.

Wcześniej śpiewały ptaki. Trele po trzy, cztery nuty, których nie rozpoznawałam. Wiatr wiał przez całą tę niezwykłą zieleń, trzaskały gałęzie, szumiały liście, nieznane zwierzęta cicho przemierzały swe szlaki. Tu jednak te hałasy się urwały i wszystko objęła skoncentrowana, niszcząca cisza. Powietrze zmieniało się tu na niemal niewidzialne gorąco, które sprawiło, że znowu zacisnęłam palce i poczułam swędzenie w nosie.

Zachciało mi się jeść. Byłam głodna, a moje ręce były tak zimne, że wyczuwałam ich chłód przez materiał dzinsów na moich udach.

Nie zauważyłam tej dziewczyny, aż znalazła się tak blisko, że prawie mogłam jej dotknąć. Zatrzymała się parę kroków przed ścieżką i mnie nie widziała. Mistrz wymalowałby jej profil jedną oszczędną linią, a włosy miała tak ciemne i gęste jak mój cień. Stała zupełnie nieruchomo z dłońmi przyciśniętymi do pnia drzewa. Jej usta poruszały się wściekle w ciszy, jakby czytała jakiś bardzo niepokojący list.

Powietrze wokół niej drżało i skupiało się jak gorąco nad asfaltem. Była ona tym, czego szukałam – gorącym ruchomym punktem w centrum tej nabrzmiałej ciszą wyspy. Patrzyłam na nią z uczuciem, którego nie potrafiłam nazwać: ze strachem, zdziwieniem, uznaniem.

Pień drzewa pękł na dwoje pod jej dłońmi. Wciągnęłam głęboko powietrze, kiedy kora stała się drzwiami, otwierającymi się do wewnątrz. Z miejsca, gdzie stałam tuż nad nią, widziałam górny stopień wiodących w dół srebrnych schodów i słyszałam odgłosy odległego przyjęcia. Zrobiłam krok do przodu, kiedy dziewczyna weszła na pierwszy stopień.

Czyjaś ręka zacisnęła się na moim barku i usłyszałam czyjś głos tuż przy uchu.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Lepiej, żebyś nie stawała między Historią a jej historią.

Odkoczyłam od stojącego obok mężczyzny. Miał trzydzieści parę lat, nosił okulary w drucianej oprawie, wyblakłe niemal do białości dzinsy i starą, brązową bomberkę.

W dodatku jadł baton hershey. Zobaczył, że się gapię na jedzenie, więc się cofnął i zasłonił go ręką.

– O nie! To mój ostatni. Co nie znaczy, że nie mogę kupić więcej. – Mówił z amerykańskim akcentem, ale z jakaś domieszką. Czymś nowym przy spółgłoskach.

Wepchnęłam ręce głębiej w kieszenie, wdychając chłodne, niczym nieskażone powietrze, które przyniósł.

– Zaczekaj – rzuciłam. – Jesteś ze świata?

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem westchnął.

– Nie, no. Dopiero tu dotarłaś? Nie, nie mam umiejętności orientacji. Zaraz, masz może jakieś jedzenie... coś pakowanego? – Przyjrzał mi się uważnie: bluza, dzinsy, nie ma torby. – Okej, widzę, że nie.

– Orientacji? – powtórzyłam, oglądając się na dziewczynę. Zniknęła. Na korze nie było nawet śla-

du. – I co tam mówiłeś o historii i historii?

– Boże, nic dziwnego, że niemal poszłaś za Drzewnicą do piekła. Jesteś zielona, nie? Jakbyś tu wpadła przez Lac de Gasfa, co?

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu, że jestem Alice-Trzykrotką z nadzieją, że da mi resztę batona, ale zdecydowałam, że nie.

– Więc tak się tutaj dostałeś? Przez jezioro w Tunezji? Czy jesteś jedyny?

– Ach. – Wepchnął do ust resztkę batona i patrzył na mnie przez jakiś czas, przeżuając. – No dobra, powiem ci podstawowe rzeczy. Zupełnie podstawowe, a potem będziesz musiała poszukać kogoś, kto się naprawdę w tym orientuje. Po pierwsze, nie jestem jedyny, jeśli przez „jedyny” masz na myśli idiotę, który był na tyle głupi, by pomyśleć, żeby wyblagać lub zakraść się do miejsca, gdzie nie ma gramofonów, bourbona czy czekolady. Jest tutaj mnóstwo uchodźców. Ze świata i z innych miejsc... Przynajmniej tak słyszałem. Po drugie, trzymaj się z daleka od Historii. Rozpoznasz je, gdy je zobaczysz. Jeśli ich kontury będą lśniły, a one poruszały się jak w transie, pachniały jak dym albo kwiaty albo wyglądały jak z ballad Nicka Cave’a, to omijaj je szerokim łukiem. Znałem filologa klasycznego z Cambridge, który dostał się tu przez studnię życzeń i próbował ratować Pannę-Ze-Skóry-Obdartą jeszcze przed obdarciem. Boże, to był fatalny pomysł.

– Co się stało?

– Nie zmuszaj mnie, żebym o tym mówił. Posłuchaj, chciałaś tu wejść? Bo wyglądasz jakby niekoniecznie.

Wyglądało na to, że zaczyna się mną interesować wbrew własnej woli.

– Nie chciałam. Ktoś mnie tu wepchnął – wyjaśniłam.

– Cóż, tyle... tyle mi wystarczy. Nie chcę się za bardzo angażować. – Zrobił wykrętną minę. – Nie chcę być skurwielem, ale wreszcie mam tutaj coś. W końcu. Dziewczynę, jest byłą Historią, więc to ma sens. No i poszedłem na spacer, żeby nie gapiła się, jak jem batona. Tutaj uważają, że pakowane jedzenie jest obrzydliwe.

Gadał i gadał, ale ja nie słyszałam niczego po byłej Historii.

– Co to znaczy była Historią? – przerwałam mu gwałtownie. – Czy to znaczy, że była w niej, em, postacią?

– No właśnie. – Spojrzał mi przez ramię. Zaczynałam go nudzić. – Posłuchaj, jak pójdziesz dalej tą ścieżką, to napotkasz staruszkę, która poprosi, żebyś w czymś jej pomogła: przyniosła jej wiadro wody, narąbała drewna czy co tam. Zrób tak i skorzystaj z życzenia, które będzie chciała spełnić, żeby znaleźć Janet. Rozumiesz? Nie proś, żeby cię przeniosła do domu albo zrobiła księżniczką czy co. I tak tego nie może zrobić, bo też jest byłą Historią. Powiedz, żeby cię skierowała do Janet, a ona już będzie wiedziała, o co ci chodzi.

– Staruszka, Janet, dobra – wymamrotałam. Mój umysł wciąż krążył wokół tego, co znaczy bycie byłą Historią. Może uda mi się uwolnić od Uroczyśka nawet tu, w nim samym.

– W tę stronę – powiedział, wskazując ścieżkę. – Droga może zająć pięć minut albo godzinę. Powodzenia.

– Dzięki – rzuciłam, wyciągając rękę.

Ścisnął ją, a potem wrzasnął i się cofnął, jakbym go ugryzła.

– Co? Co się stało? – spytałam.

Uniósł dłoń do ust, patrząc na mnie. Na moje ręce.

– Cholera – mruknął. – Ty jesteś Historią, co?

– Co? – Popatrzyłam na dłonie i aż westchnęłam.

Były zupełnie białe jak tania suknia ślubna, tak blade, że prawie niebieskie. Paznokcie zrobiły się przezroczyście jak kawałki lodu.

– Co, do licha! – Odskokczyłam, jakbym mogła od nich uciec.

– Pragnę przeprosić za moje zachowanie, o pani. – Mężczyzna zaczął się wycofywać. – Nie chciałem uczynić nic złego. Życzę szczęśliwej podróży.

– Zaczekaj! – krzyknęłam i uniosłam dłoń. Zamarł, jakbym mogła w niego trafić lodowym promieniem. Kto wie, czy tak właśnie nie było. – Potrzebuję rękawiczek.

Zawahał się, ale po chwili sięgnął do kieszeni kurtki, z której wyjął znoszone skórzane rękawicz-

ki. Zwinął je razem, rzucił i uciekł.

Złapałam je przy piersi. Były za duże i pachniały tanią czekoladą, ale poczułam się lepiej, gdy zniknęły w nich moje białe palce. Serce mi się ścisnęło, gdy przypomniałam sobie historię, którą Finch opowiedział w barze: Alice-Trzykrotka połknęła lód i stała się – stałam się – mroźnym zombie. Ognisty dotyk Katherine na parkingu, to zimno i okropne uczucie nie wynikały z niej, tylko ze mnie. Ale to jej dotyk, dotyk Uroczyska, obudził to wszystko.

Było tego za dużo i wydawało się to zbyt dziwaczne, żeby to objąć. Dlatego ruszyłam we wskazanym kierunku. Ścieżka wiodła obok chatki zbudowanej między dwoma wielkimi drzewami. Na pieńku przed nią siedział starzec, obserwując mnie z daleka. Coś trzymał przy uchu. Skinęłam mu głową, chowając dłonie w rękawiczkach do kieszeni.

To, co trzymał, zaskrzeczało i wydobyły się z tego kolejne bezsensowne słowa: „Zielona scena zmienia. Wyszukaj szybką sztuczkę. Tokio, alabaster, czerwień. Król, królowa, pokojowa”.

– Czy to... radio tranzystorowe?

Starzec chrząknął, pisząc coś na kartce. Miał w ręku długopis marki Bic.

– Z kim pan rozmawia? – spróbowałam raz jeszcze.

Nie wyglądało na to, że mi odpowie, więc się odwróciłam.

– Z każdym, kto zechce słuchać – rzucił za mną. – W tym świecie albo w innym.

– I udaje się?

Radio znowu zatrzeszczało i wydobyła się z niego kaskada kobiecych pomrukiwań. Brzmiało to jak ćwiczenia wokalne.

– Słyszałem dużo różnych rzeczy – westchnął. – Ale nie, bez powodzenia.

Skinęłam głową.

– Życzę szczęśliwej podróży – powiedziałam, bo wydawało mi się, że tak się tutaj pozdrawiają.

Starzec popatrzył na mnie dziwnie i wrócił do radia.

Światło zaczęło się zmieniać, powoli ciemniało, wraz z tym, jak wydłużały się ostre cienie. Kiedy ścieżka przeszła w nieco szerszą drogę niemal zderzyłam się z wysokim mężczyzną w czerni. Miał przystojną, zachłanną twarz, pokrytą od nosa po skronie rozgałęziającym się tatuażem i... śmierdział okropnie. Ale też znamo.

Na pewno był Historią. To aż od niego biło. Patrzyłam przez siebie, czując, jak adrenalina buzuje w moich palcach.

– Życzę szczęśliwej podróży – powiedział.

Skinęłam głową i usiłowałam prześliznąć się obok, ale on złapał mnie za rękę. Zanim zdołałam ją cofnąć, zdjął mi rękawiczkę. Żołądek mi się ścisnął, mróz zaczął piąć się po moich rękach. Nieziemskie biel objęła moje nadgarstki.

– Cześć, Historyjko – powiedział i się uśmiechnął. Miał cienkie i ostre jak igły zęby.

I wtedy rozpoznałam ten smród gnicia i ruiny z dzikim zielonym sercem. To był zapach z innego życia. Tak właśnie śmierdział apartament Harolda w dniu, kiedy porwano moją mamę – to on musiał ją stamtąd zabrać.

Król Wrzosów. Ta nazwa pojawiła się w mojej głowie jak odległy szept w telefonie. Uroczysko odsłaniało przede mną swe sekrety. Sekrety, które już znałam, bo sama byłam Uroczyskiem.

– Ty – powiedziałam.

– To bardzo dobry początek – zauważył. – Ja?

– Ty porwałeś Ellę Proserpine. Gdzie ona jest?

Nadał się jak dziecko i jednocześnie zmarszczył brwi.

– Ella, Ella, Ella. Nie przypominam sobie tego imienia.

Za każdym razem, gdy wymawiał jej imię, moje dłonie pulsowały ostrym mrozem.

– W Nowym Jorku, po drugiej stronie Lasu-Połowy-Drogi. Zabrałeś ją i zostawiłeś coś dla mnie. Kartkę z *Opowieści z Uroczyska*.

Spojrzał na mnie ostro.

– A tak, pamiętam. Ella Proserpine, złodziejka. A ty jesteś tą Historyjką, którą ukradła. – Przez chwilę sprawiał wrażenie strapionego. – Ale co robisz tutaj? Katherine miała plany, żeby... zatrzymać cię w Lesie-Połowy-Drogi.

– Pytałam o Ellę. Gdzie jest? Co jej zrobiłeś?

– Nie uważasz, że trudno zapamiętać to wszystko, co się dzieje tam gdzieś? – Pokazał nagle wszystkie swoje zęby. – Niezależnie od tego, co zrobiłem, zapewniam, że jej się spodobało. Świat to dobre miejsce do zabawy.

Podskoczyłam do niego i przystawiłam moją dłoń do jego szyi.

Wydał stłumiony okrzyk. Mróz zakwitł pod moją ręką i zaczął się piąć do jego gardła i niczym wąż wśliznął się do ust.

Chciałam zobaczyć, co będzie, jeśli nie cofnę ręki, i to pragnienie tak mnie wystraszyło, że opuściłam dłoń, ciężko oddychając. O, byłam zimna, zmrożona aż po łokcie. Przycisnęłam rękę do ciała jak złamane skrzydła.

– Co zrobiłeś z moją matką? – zapytałam wolno, żeby mieć pewność, że mnie słyszy.

Tatuaze, które zniknęły z jego policzków i stały się białe, teraz znowu zaczęły pulsować czernią. Wyszczrzył ostre zęby i pokręcił szyją.

– Nie mogę ci nic powiedzieć, niezależnie od tego, co zrobisz. Niewiele pamiętam z tego, co tam się działo. Ale ją pamiętam. – Zadrżał z rozkoszy. – Ella Proserpine. Jej krew śpiewa dla mnie. Krew jej ojca, jej krew – wszystko jedno. Nigdy nie zapominam tego dźwięku, jeśli tylko go usłyszę.

Jej ojciec... Ojciec Elli. Cała zadrżałam. Ojciec Elli zmarł w Greenwich Village jeszcze przed jej narodzeniem. Althea została wdową w ciąży. Najprawdopodobniej jej męża zabił jakiś narkoman.

A może coś gorszego? Może ktoś z umysłowością rekina i jego apetytem na krew dawnej ofiary, pulsującej w żyłach jej córki?

Ile naszego pecha brało się właśnie z niego? A ile z innych potworów Uroczyska, które dopadały nas jak cienie, kiedy zatrzymywałyśmy się na zbyt długo w jednym miejscu? Przypomniałam sobie stosik wycinków w ponurej żółtej kuchni Althei – informacje o różnych niewyjaśnionych przypadkach śmierci. Socjopaci z Uroczyska to nie był tylko pech, ale też przekleństwo tych wszystkich, którzy choćby zbliżyli się do Hazel Wood, będącego ścianą z wypaloną dziurą między dwoma światami, przez którą zakradały się do nas różne monstra.

– Zabiję cię, jeśli coś jej zrobiłeś – powiedziałam już opanowanym głosem. – Nie obchodzi mnie to, czy jesteś tu niepokonany, a może należysz do rodziny królewskiej. Zabiję cię i to tak, żeby bolało.

– Ona nie jest twoją matką – syknął. – I myślę, że byłabyś bardzo zadowolona, gdybym coś zrobił tej, która rzeczywiście nią jest.

A potem jego głowa uniosła się gwałtownie, jak u drapieznika, który nagle zwęszył ofiarę.

Popatrzyłam tam, gdzie on, i dostrzegłam zielony przesuwający się punkt w całej tej zieleni. Mijała nas dziewczyna w sukni koloru liści. Aż ścisnął mi się żołądek – dziewczyna stanęła na chwilę z wysuniętą brodą jak księżniczka, a na ramieniu miała zarzuconą niczym tobolek czyjaś głowę. Trzymała ją za jasne blond włosy.

– Niektórzy muszą się zająć swoimi historiami – mruknął Król Wrzosów. – Wybacz, że nie mogę ci dłużej towarzyszyć.

Popatrzył na mnie tak, że zapragnęłam się wykąpać w chloroksie i ruszył za dziewczyną.

Kiedy zniknął, podniosłam z ziemi rękawiczkę i włożyłam do kieszeni. Zaczęłam biec.

Uciekałam tak, jakby gonił mnie stwór z ostrymi zębami. Dopiero po pięciu minutach przedzierania się między drzewami pozbyłam się uczucia, że chwytają mnie czyjeś ręce i czuję na karku zgniły oddech.

Król Wrzosów. Dotknęłam go, ale on też mnie dotknął. Moje dłonie pulsowały, jakbym miała na nich coś toksycznego, co było na jego skórze.

Kiedy w końcu przestałam dyszeć i się pochylałam, dotarło do mnie, że zboczyłam ze ścieżki. Zanim zdołałam przekląć własną głupotę, uniosłam głowę i zobaczyłam staruszkę, siedzącą po turecku pod jabłonią.

Pomijając ptasio-czarne oczy, wyglądała jak jedna z tych staruszek z siatkami wypchanymi bulwiastymi korzeniami po zakupach w Chinatown, chodzących w różowych crocsach. Staruszka popatrzyła na moja białą dłoń.

– Witaj, dziecko.

– Dzień dobry, babciu – odparłam, wciąż łapiąc oddech. Przeczytałam tyle bajek, że wiedziałam, jak odpowiedzieć.

– Plecy mnie bolą ze starości, ale jestem głodna. Czy byłabyś tak dobra, żeby zerwać dla mnie jabłko?

Wydawała się na tyle dziarska, że mogłaby mnie prześcignąć, naprawdę, ale nie miałam zamiaru podawać w wątpliwość jej słów. Drzewo, pod którym siedziała zamrugało zielonymi jabłkami.

– Oczywiście, babciu – odparłam uprzejmie.

Drzewo wstrzymało oddech, gdy je okrążyłam, szukając jakiegoś podparcia dla stóp. Miało gładki pień, a jego gałęzie sięgały wysoko ponad moją głowę.

– Słabnę z głodu, córko – powiedziała miłym głosem staruszka.

Przewróciłam oczami, pewna, że mnie nie widzi, i położyłam dłoń na pniu.

Jabłoń zadrzała pod moim dotykiem i najpierw zwinęła gałęzie jak płatki, a potem je rozprostowała. Na ziemi spadł chyba z buszel jabłek. Kobieta rozłożyła wcześniej jedwabny, różowy parasol i nic się jej nie stało. Kiedy jedno uderzyło mnie w skroń, przykucnęłam jak w czasie nawałnicy, aż w końcu przestały spadać.

– Dziękuję, wnuczko – powiedziała staruszka sucho, kiedy podałam jej poobijane jabłko. Opuściła parasol i wstała. Na nogach miała nie crocsy, ale raczej coś w rodzaju różowych kapci, a jej dres stał się lśniąca suknią. Jej zmarszczki odpadły i twarz miała gładką jak kamea.

– Byłaś dla mnie miła, kiedy uważałaś mnie za zwykłą staruszkę – zaczęła jak kelnerka, która zachwala specjały tuż przed zamknięciem restauracji. – Dlatego spełnię jedno twoje życzenie. Tylko jedno, więc postaraj się mądrze wybrać.

Mimo ostrzeżeń faceta z hershey, przed oczami stanęły mi różne rzeczy, których mogłabym sobie zażyczyć. Przede wszystkim odpowiedzi na moje pytania. Czarodziejskiego lustra, żeby móc porozmawiać z Ellą. Siedmiomilowe buty. Żywego Fincha – choć nie sądziłam, żeby była aż tak potężna. Więc w końcu westchnęłam i posłuchałam rady.

– Proszę mnie skierować do Janet.

Mina jej zrzędała.

– Ha, to za łatwe. – Złapała mnie za ramię, okręciła i pchnęła. Poleciałam do przodu. Przez moment świat wokół mnie mrugał jak migawka. Upadłam nie na trawę, ale kocie łby.

Podróż po Hazel Wood mogła przyprawić o zawrót głowy. Ale tym razem było inaczej. To było porywające. Kiedy podniosłam głowę, okazało się, że stoję przed czerwonymi drzwiami ładnego domku. Las był za mną, zaczynało zmierzchać.





## • 25 •

Nareszcie widziałam niebo, którego nie zasłaniały mi drzewa. Twarz księżycy była tu bardziej wyraźna: przedstawiała piękną kobietę ze zmarszczkami wokół ust i oczu. Gwiazdy próbowały się tłoczyć wokół niej, ale ona trzymała je na dystans.

Drzwi się otworzyły, ukazując migotliwe ciepłe światło. Poczulałam też cywilizowany zapach pieczonego mięsa. Kobieta, która w nich stanęła, była po wiejsku silna i mogła mieć pięćdziesiąt parę lat. Jej jasny warkocz opadał aż do piersi. Popatrzyła na mnie z wyraźną niechęcią.

– Czy pani to Janet? – spytałam.

A ona w tym czasie ryknęła:

– Janet, to jakaś twoja przybłęda! – A potem dodała: – Proszę bardzo.

I cofnęła się od drzwi.

Weszłam do pomieszczenia z jedzeniem i tak ciepłego, że zachciało mi się płakać. Niemal wyciągnęłam ręce w stronę otwartego paleniska, które znajdowało się na końcu wielkiego pomieszczenia, ale przypomniałam sobie, kim jestem, i założyłam za plecami rękawiczkę.

– No proszę – powiedziała.

Serce mi podskoczyło, ale ona patrzyła na tatuaż nad kołnierzykiem – górną część tatuażu takiego samego jak u Elli.

– Ta nowa osoba ma kwiat Uroczyska na swojej skórze. – Mówiła z jeszcze bardziej wyraźnym obcym akcentem niż facet od hershey.

– Nie wiedziałam, że to kwiat Uroczyska. – Ale miało to sens. Zawsze fascynowała mnie ta obca roślina, która oplótła ramię mojej matki, i zupełnie nie pojmowałam jej przerażenia, kiedy wytatuaowałam sobie podobną. Teraz zrozumiałam: to było moje miejsce, to miejsce było mną. Mój tatuaż znaczył dla niej tyle, że musiała to we mnie widzieć.

– Niech przez chwilę odetchnie, Tam, przecież przed momentem tu dotarła – powiedziała kobieta, która weszła tylnymi drzwiami do pokoju. Miała na sobie ogrodniczki całe w łątach, a jej wilgotne, siwiejące włosy wisiały luźno.

– Jesteś Janet?

– Tak. A to moja Tam Lin, ale możesz mówić do niej Ingrid. – Wskazała blondynkę, która stała przy niej, jakby chciała ją bronić.

Skinęłam głową, by pokazać, że rozumiem, choć zastanawiałam się nad ich historią.

– Ktoś mi powiedział, że powinnam się z tobą spotkać jako uchodźczynie.

– Ten ktoś miał rację, jeśli rzeczywiście tak jest. Muszę powiedzieć, że ten tatuaż jest zaskakujący. Naprawdę dopiero się tu pojawiłaś? – mówiła dobrotliwie, ale jednocześnie przyglądała się mi uważnie. Zauważyła moje rękawiczki, tanie, lśniące dzinsy, a także resztki mojego porannego makijażu.

– Naprawdę.

Ingrid wymamrotała słowo, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, tonem, który mi się nie spodobał.

– Proszę. – Wyjęła z kredensu nieprzezroczystą butelkę z cienką szyjką, a także trzy kieliszki i postawiła to wszystko na drewnianym stole, który wcześniej był pniem. Otworzyła butelkę i wlała po odrobinie płynu do kieliszków. Na początku wyglądał jak mgła, ale szybko stał się czymś przezroczystym i bezbarwnym. – Bardziej spodobaś się Ingrid, jeśli napijemy się najpierw za naszą przyjaźń.

Janet lepiej radziła sobie z podstępami niż jej przyjaciółka. Uniosła kieliszek lekko, ale Ingrid chwyciła go tak, jakby to była bomba, i patrzyła uważnie, czy wypiję ze swojego.

Przestałam się bać bajkowego jedzenia, od kiedy Althea opowiedziała mi w ciemności swoją historię, ale nie znaczyło to, że mam ochotę na wypicie czegoś, co prawdopodobnie pędzono w wannie.

– Czy to trucizna? – spytałam.

Janet uśmiechnęła się.

– Kiepsko grasz, Tam. A teraz popatrz – zwróciła się do mnie. – Twoje zdrowie.

Wypiła spory łyk i zacisnęła usta.

Powąchałam swój kieliszek – zawartość była bez zapachu, i poszłam w jej ślady. Płyn smakował jak woda, ale później poczułam go jak alkohol. A potem dotarł do mnie jego smak.

– Apple Jolly Ranchers – powiedziałam zmieszana. – To były moje ulubione słodycze z dzieciństwa. Albo nie. Kwiaty. Cukierki fiołkowe. Nie, to smakuje jak karmel. – Zobaczyłam, jak Ella wysmaża cukier z masłem. – Nie, to raczej... Boże, to smakuje jak latte. – W dodatku to specjalne, które robiłam dla siebie w Salty Dog z miodem i syropem lawendowym. Poczułam się jak Violet Beauregarde, która mówiła o tym, czego próbowała, na chwilę przed tym, jak stała się monstrualną jagodą. – Co to takiego? – spytałam zdziwiona.

– Mniej więcej serum prawdy. – Janet uśmiechnęła się współczująco, widząc moją minę. – Mogłybyśmy ci uwierzyć i bez niego, ale tak wszyscy będą szczerzy.

– Ale też to piłyście.

– Nie mamy przed sobą zbyt wielu sekretów. Poza tym tak jest bardziej sprawiedliwie. Muszę powiedzieć, że wyglądasz okropnie. Może powinnaś dać też urosnąć tym swoim zmierzwionym włoskom. – Zamknęła sobie usta dłonią.

– To szybko działa – powiedziałam sucho.

– Ładna z ciebie dziewczyna – poprawiła się. – Ale przydałaby ci się kąpiel i trochę snu.

– Dużo snu – poprawiłam ją, a następnie zamknęłam usta, zanim zdołałam powiedzieć: „Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała litoterapii gdzieś w Ithaca. Czy wiesz, że twój dom pachnie ogniem i krwią?”.

– Skąd się tu wzięłaś i dlaczego? Możesz opowiedzieć w skrócie – wtrąciła szorstko Ingrid.

– To niesprawiedliwe – zauważyłam. – Ona nie wypiła tego płynu.

– Możesz narąbać trochę drewna, moja droga? – spytała Janet i nie było to do końca pytanie.

Ingrid popatrzyła na mnie z urazą.

– Powiedz najpierw, że nie masz zamiaru zrobić nam nic złego.

– Nie chcę zrobić wam nic złego.

– Mówienie o tym, czego chcesz, to unik. Powiedz, jakie są twoje intencje.

– Nie mam zamiaru zrobić wam nic złego. Ani też nikomu innemu. – Chwyciłam się za brzuch,

bo nagle przypomniał mi się Król Wrzosów i potwory, które zabiły Fincha i zostawiły mnie w lesie.  
– Dobrze, jest ktoś, komu chciałabym zrobić coś złego – przyznałam. – Ale nie tutaj.

Wydawało się, że to zadowoliło Ingrid, bo wzięła fartuch, który wyglądał na woskowany, i wyszła z domu.

– Troszczy się o ciebie – zauważyłam. – To chyba miłe.

Janet uniosła ramię, ale je opuściła.

– Długo błąkałam się tu sama. Potrzebowałam czasu, by znaleźć tu swoje miejsce. I jeszcze więcej, by stać się kimś, o kogo warto się troszczyć.

Usiadła na jednym z miękkich krzeseł koło paleniska, a ja na drugim.

– Boże, to krzesło czuć mokrym psem – rzuciłam i ugryzłam się w język.

Uśmiechnęła się blado.

– Czy przybyłaś tu dzisiaj czy nie?

– Dzisiaj.

– I jesteś tu pierwszy raz?

Zawahałam się.

– Nie pamiętam, żebym była tu wcześniej.

Uniosła brwi, co znaczyło, że zrozumiała dwuznaczność.

– Jak zapewne się domyśliłaś, mój dom jest stacją przejściową dla tych, którzy się tu pojawili. Ludzie przybywają tu z twego świata, który był kiedyś moim, w różny sposób, czasami przez przypadek, ale zwykle specjalnie. Ja natomiast ich witam, zagrzewam do dalszego działania i potem obserwuję ich ruchy. Ich liczba się zmniejsza, bo przecież ciągle mogą gdzieś wpaść albo coś może ich pożyć. Robię, co mogę. Pojawiają się też postaci z innych światów, ale to nie mój problem. Grupy uchodźców rzadko się mieszają, co wydaje się dziwne w tak małym miejscu, ale... wygląda na to, że masz pytanie.

– Jak duże jest to miejsce? – rzuciłam. – Gdzie są jego granice? Nazywa się Uroczysko. Co jest poza nim? Czym jest? Czy przybyłaś tu specjalnie? Czy można się stąd wydostać? I jak się zostaje była Historią?

Wyciągnęła rękę, żeby mnie uciszyć.

– Jest całkiem małe. Na tyle, na ile może być przy niepewnych, ciągle zmieniających się granicach. Jest to swego rodzaju królestwo, ale z dużą liczbą królów i królowych. Przybyłam tutaj, na swoje nieszczęście, specjalnie, no i oczywiście są możliwości powrotu. Postaci stają się byłymi Historiami, kiedy przestaje się opowiadać ich opowieści. Czasami to je zabija, czasami doprowadza do szaleństwa, a czasami świetnie się do tego dostosowują i zaczynają żyć z innymi. Takich postaci nie śledzę, choć lubię wiedzieć, kiedy żenią się lub wychodzą za mąż za osoby innej kategorii. Jeśli mają dzieci, te często wpadają w kłopoty albo historie, co jest w zasadzie tym samym. A teraz opowiedz mi swoją historię, tak krótko lub tak długo, jak zechcesz.

Ledwo otworzyłam usta, już mówiłam. Jej mikstura sprawiła, że słowa wylały się ze mnie jak woda. W trakcie trzymałam się tej nikłej nadziei, że skoro mam tak dużo do powiedzenia, to nie powiem jej tej jednej jedynej rzeczy, którą chciałam utrzymać w tajemnicy. Przynajmniej na razie, aż będę wiedziała, jak przyjmie to, że to Historia siedzi przy jej stole. Zwinęłam więc moje białe palce ukryte w rękawiczkach i opowiedziałam jej o Elli, Haroldzie, Nowym Jorku i tym, co się tam stało. Cofnęłam się i opowiedziałam o domniemanej śmierci Althei, mówiąc, że jest matką mojej matki, co było na tyle zbliżone do prawdy, że jakoś przeszło mi przez usta. A potem opowiedziałam o Finchu, nocy spędzonej w lesie, godzinach, a może dniach w Hazel Wood. Czułam tak wielką ulgę, że nie zauważyłam, iż jej twarz stała się niemal popielata.

– A potem spotkałam mężczyznę na ścieżce – dodałam i się zawahałam.

Janet chwyciła się poręczy swego krzesła i popatrzyła gdzieś w dal.

– Powiedziałaś, że jesteś wnuczką Althei. Althei Proserpine.

– Słyszałaś o niej? Może czytałaś książkę?

– Na szczęście nie. W Uroczysku nie ma ani jednego egzemplarza tej książki. Pewnie by cię wrzucili do Kobiet Nocy, gdybyś próbowała tu jakiś przemycić. Ale znałam ją tam... W świecie. Althea była... hm... – Janet zaczęła się bawić bransoletką z niebieskimi paciorkami. Jej palce poru-

szały się szybko, a paciorki błyskały w świetle ognia. – Przybyliśmy tu razem – wyznała w końcu.

– Zaraz, co takiego? – Wyglądała na starszą od Elli, ale nie tak starą jak Althea. A przecież była tu od... – Przybyłaś tu pięćdziesiąt lat temu? Razem z Altheą?

– Pięćdziesiąt, mówisz? Tam minęło już pięćdziesiąt lat? – Zaśmiała się nieco gorączkowo. – Zawsze myślałam, że... Chociaż w głębi serca pewnie wiedziałam, że nie... To by znaczyło, że moi rodzice prawie na pewno nie żyją, prawda? Pięćdziesiąt lat, to znaczy, że na świecie jest teraz nowy wiek?

Miałam olbrzymią chęć powiedzieć jej o Internecie, ale uznałam, że to nie ma znaczenia.

– Opowiedz o Althei – poprosiłam.

– Cóż, jakby to przyspieszyć? Może tak: zawarła ciemny pakt, w wyniku czego powstały dziury w zasłonie oddzielającej Uroczysko od świata.

– Brzmi to trochę dramatycznie – zauważyłam prawdomównie.

– Bo to było cholernie dramatyczne – odburknęła. – Ta egoistka nawet nie zaproponowała, że mnie stąd zabierze.

– Och – westchnęłam. – Była twoją... Byłyście razem?

– Możesz się nade mną nie użalać. – Janet machnęła ręką. – Nie przejmowała się mną, chodziło jej tylko o to, jak mogę jej pomóc. Dobrze się razem bawiłyśmy, ale to nie przetrwałoby lata.

– Tego lata, kiedy Althea znalazła drogę do Uroczyska?

– Jasne. Poznałyśmy się w barze w Budapeszcie. Ona była ładną amerykańską turystką, która uciekła od przyjaciół, a ja idiotką, która nie potrafiła oprzeć się mocnej dziewczynie. Opowiedziałam jej o moich badaniach, a ona zdecydowała przy tanim winie, że muszę z nią jechać. – Jej oczy błędziły gdzieś daleko, palcami skubała paciorki jak struny cytry.

– O twoich badaniach?

– Badaniach drzwi. Drzwi między różnymi światami. Miałam zajęcia na temat baśni na uniwersytecie, gdzie pracowali jako profesorowie moi rodzice. Mama też, jeszcze w czasach, gdy było to dosyć rzadkie... Ale teoria stała się aż nazbyt rzeczywista, kiedy znalazłam drzwi w jednej z ksiązek.

– Jak rozumiem, nie w sensie metaforycznym?

– Całkowicie realnym. Siła ksiązek w większości jest abstrakcyjna, ale niektóre mają też możliwości fizyczne. Były to zwykle bajkowe drzwi, dosyć rozczarowujące, jeśli wyobrażało się sobie jakieś leśne czy powietrzne postaci czy zjawy. Większą część czasu spędzałam pod ziemią. Ale któregoś dnia, kiedy stamtąd wyszłam, poczułam, że muszę szukać dalej. Dałam sobie spokój z doktoratem i zajęłam się badaniami w terenie, jeśli tak mogę powiedzieć. – Janet mówiła z tym samym dziwnym akcentem z Uroczyska co Ingrid, ale im więcej mówiła o przeszłości, tym bardziej stawał się on brytyjski.

– I to ty powiedziałaś Althei o drzwiach do Uroczyska – domyśliłam się.

– Tak. Tego rodzaju wiedza była dostępna, trzeba tylko było umieć ją zdobyć. Za wiedzę można kupić wiele, a ładna dwudziestosześcioletnia dziewczyna ma też inne możliwości zapłaty... – Zamknęła usta i zrobiła pruderyjną minę, sprawdzając, czy będę ją osądzać. Kiedy zobaczyła, że nie, ciągnęła: – Chciałam właśnie uczcić ważne odkrycie, kiedy spotkałam Altheę, a jej uroda i alkohol jeszcze rozwiązały mi usta. Och, jak dobrze, że poprosiłam Tam, żeby wyszła. Wcale by jej się to nie spodobało. – Spojrzała nerwowo w stronę drzwi. – Nic, w każdym razie powiedziałam jej... za dużo. Następnego ranka już tego żałowałam, ale nie mogłam jej zniechęcić do tej wyprawy. Poza tym... wydawało się, że świetnie się do tego nadaje. Miała duszę pielgrzyma i tak dalej. Jak w transie zaczęłyśmy snuć plany, robić zapasy, wybierać potrzebne, jak nam się wydawało, rzeczy: mgiełkę pudrową, książki, wodoodporne buty, bardzo drogi magiczny kompas, który jak się okazało, nie działał w żadnym ze światów. Zakochałyśmy się w sobie, a w każdym razie tak mi się wydawało, a ona nie miała żadnych wątpliwości, jeśli idzie o tę wyprawę. Wiem, że powinnam bardziej uważać. Latami oswajałam się z tym, że rozstanę się ze światem. Przecięłam dość brutalnie to, co mnie z nim łączyło. Ale ona zrobiła to spontanicznie. Bezmyślnie. Stało się to jasne, kiedy się tu dostałyśmy. I to boleśnie jasne.

Drzwi skrzypnęły i do środka dostało się chłodne, aromatyczne powietrze z zapachem tutejszych drzew. Janet umilkła i popatrzyła na Ingrid, a jej oczy miały bardzo niejednoznaczny wyraz.

Ingrid położyła całe naręczce dREW przed paleniskiem.

– Więc twoja uchodźczyni zostaje na noc? – spytała, dokładając do ognia.

– Oczywiście – odparła ostro Janet. – Ingrid, jesteś taka samolubna. Pomyślałaś o tym, że sama kiedyś byłam w podobnej sytuacji?

Ingrid potrząsnęła głową, ale nie odpowiedziała.

– To najpoważniejszy problem Uroczyska. – Janet ostentacyjnie zwróciła się tylko do mnie. – Boże, nikt nie ma tutaj za grosz poczucia humoru. Boga zresztą też nie mają. Może trzeba Go mieć, żeby mieć też poczucie humoru? Poczucie, że jest się na czyjejś łasce, żeby móc z tego kpić. – Zaśmiała się demonstracyjnie.

– Jesteś zmęczona – stwierdziła Ingrid obrócona do niej plecami.

– Dla niej to za dużo prawdy – powiedziała do mnie Janet.

Poczułam się tak, jak kiedy moja mama wypijała za dużo sherry i wsiadła na Harolda. To było dwa tygodnie po ślubie i zaczęła ją uwierać maska dobrej żony.

– Powiedziałaś, że Althea zawarła... ciemny pakt, żeby się stąd wydostać – powiedziałam, starając się sprowadzić rozmowę na interesujący mnie temat. – Jaki konkretnie?

Ingrid obróciła się na kolanach i popatrzyła z uniesionymi w górę brwiami.

– Dlaczego o niej mówisz? Skąd w ogóle ten temat?

– Alice jest wnuczką Althei – odparła władczo Janet. – I to ona zaczęła o niej mówić, nie ja.

– Co za zbieg okoliczności. Na pewno nie spodobał ci się ten temat. – Ale Ingrid powiedziała to bez żalu. Podeszła do Janet i położyła dłonie na jej barkach.

– Jaki pakt? – powtórzyłam.

– Co? Żebyś mogła zrobić to samo?

– Nie, żebyś mogła... – Skrzywiłam się i złapałam za brzuch. Kiedy próbowałam kłamać, mikstura wylała się w nim jak wąż z kwasu siarkowego.

– Powiedz jej – wtrąciła się Ingrid. – Co się stało, to się nie odstanie, a w końcu i tak dowie się wszystkiego, tylko w jakiejś przeinaczonej wersji. Wszyscy prędzej czy później dowiadują się o Bajarce.

– Wolałabym, żeby dowiedziała się później – mruknęła Janet. Otarła się policzkiem o rękę Ingrid i westchnęła. – Althei było tu bardzo źle. Nie mieliśmy kogoś takiego jak ja i w ogóle w tamtym czasie docierało tu mało uchodźców. Musiałyśmy bardzo uważać. Najpierw skończyła jej się whiskey, potem papierosy i w końcu książki, a biedna Althea była od tych trzech rzeczy uzależniona. Wyobraź sobie znudzone dziecko na wakacjach, ale takich, które trwają wiecznie. Aż wreszcie nuda sprawiła, że zrobiła coś bardzo głupiego.

– To znaczy?

– Zaczęła śledzić Historie. Nie wiem, jak jej się przy tym udało zachować życie, ale najwyraźniej jakoś. Rozmawiała z mniej ważnymi postaciami, tak żeby dowiedzieć się o rzeczach, których nie mogła sama zobaczyć: z nianiami, środkowymi siostrami. Komunikowała się ze zmarłymi królami i zamordowanymi żonami, wszystkimi tymi cieniami, nawiedzającymi obrzeża świata i tak bardzo pragnącymi mówić. A potem wracała do mnie i opowiadała: „Jestem dziennikarką” – mówiła. „To moja praca”. – Janet zaśmiała się szyderczo. – Jakby była reporterką wojenną, a nie pisała o modzie i tym, co włożyć, żeby złapać męża.

Coś we mnie pękło, kiedy usłyszałam te słowa – wieki temu Finch też powiedział o Althei, że pisała tak, jakby to były reportaże z pola walki. Szkoda, że nie mogłam powiedzieć mu, że miał rację.

– Oczywiście w końcu dotarła do źródeł historii – ciągnęła Janet. – Do Bajarki.

Słyszałam szacunek i emfazę, z jakimi wymawiała to słowo. Mówiła, że nie mają tu żadnego boga, ale może Bajarka była kimś w tym rodzaju.

– Kim ona jest?

– Sama nazwa na to wskazuje, prawda? Ale równie dobrze można by ją tu nazwać Twórczynią Świata. Bo właśnie jest kimś takim. Historie są tworzywem Uroczyska. Althea przekonała Bajarkę, żeby zrobiła dla niej historię, która mogłaby być mostem. A potem po prostu... – Janet przebierała palcami w powietrzu – ...przeszła po nim na drugą stronę.

– Przeszła? Po czym? Po słowach? Przecież to nie ma sensu.

Ingrid popatrzyła na mnie dziwnie, ale Janet nawet się uśmiechnęła.

– Sens – powtórzyła. – Ostatni bastion osaczonego uchodźcy.

– Więc wróciła. Świetnie. Ale dlaczego z tego powodu powstały... jak to mówiłaś? Dziury między światami?

O dziwo odpowiedziała Ingrid:

– To się zaczęło tuż przed tym, jak poznałam Janet. Ludzie ze świata wślizgiwali się tutaj, a ci z Uroczyńska przechodzili do świata. Na początku myślałyśmy, że to się zaczynają nowe historie. Czasami się to zdarza: królowie porywają jakieś dziewczyny, matki mordują synów. Potem zaczęliśmy się zastanawiać, czy jakieś drzwi nie otwierają się na inne światy czy piekła. – Mówiła z tutejszym urywanym, zniewalającym akcentem, który sprawiał, że zaczynałam myśleć o ukrytych kształtach gór lodowych i zimnym, białym słońcu. – Ale zaczęły się pojawiać plotki na temat miejsca, przez które można stąd wyjść, a potem wrócić. Odkrył je książę, czwarty z siedmiu synów króla. Jego rodzice i bracia byli Historiami, ale on nie. Przez jakiś czas pilnował go wraz ze swoimi ludźmi, ale w końcu zabił ich wszystkich Król Wrzosów. Właśnie wtedy sytuacja znacznie się pogorszyła.

– Dlaczego?

– Historie zaczęły korzystać z tych drzwi. Lubiły wywoływać awantury w świecie.

– A dlaczego to wina Althei?

– *Opowieści z Uroczyńska* – wtrąciła z goryczą Janet. – Wzięła to, co tworzy ten świat, i włożyła do książki, którą wydrukowano i rozesłano po całym świecie. Ludzie czytali historie, myśleli o nich, opowiadali je, a nawet o nich śnili. Utkwiły one w ich głowach. Zaczęły powstawać nowe mosty – kruche i niepewne. Większość umożliwiała przejście tylko w jedną stronę, a znajdowali je ci, którzy uwielbiali książkę. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego drzwi Króla Wrzosów są tak trwałe, ale teraz wiem, że ze względu na to, że wychodzą na Hazel Wood Althei.

– Próbowała nad tym zapanować – zauważyłam, nie bardzo wiedząc, dlaczego jej bronię. – Wydawało jej się, że jak się zamknie w jednym miejscu i odetnie od świata, to nie przejdą dalej.

– Gdyby jej naprawdę na tym zależało, to by się zabiła – powiedziała bez ogródek Janet. – Pojawiają się tu uchodźcy, którzy mają dziesięć lat, dziewczynki z obsesją na punkcie bajek, które muszą teraz między nimi żyć.

– A czy Bajarka nie może czegoś z tym zrobić? Odesłać ich do domu?

– Myślisz, że znowu podejmą ryzyko? Jest zbyt zajęta, starając się naprawić szkody. Wysłała do świata tylko te osoby, które dla niej pracują i próbują naprawić to, co zepsuła Althea. Dzięki temu część zagubionych trafia z powrotem do domu – mają odnajdować kolejne egzemplarze książki Althei i je niszczyć. Ale niezależnie od własnych chęci, Althea stała się taką pomniejszą Bajarką. Moim zdaniem nie ma pojęcia, jak zapanować nad bałaganem. Można zniszczyć wszystkie egzemplarze tej głupiej książki, a ona i tak pozostanie mostem.

– Wydaje mi się, że chciała – zniżyłam głos. – To znaczy, zabić się. Dlatego chciała, żebym wróciła. Bo jak byłam w świecie, nie mogła... – Urwałam, przypominając sobie to, czego im nie powiedziałam. Miałam już te słowa na języku i zaczęły mi palić wewnątrz, kiedy je połknęłam.

– Chciała, żebyś wróciła? Jak to wróciła? – Janet popatrzyła na mnie ostro jak terier.

– Ona... – Złapałam się za żołądek. – To nie twoja sprawa!

– Właśnie że moja. Odpowiedz, a ból przejdzie. Kim jesteś?

Przestało mnie palić w żołądku, jak tylko zdjęłam rękawiczki i położyłam je na kolanach. Moje dłonie wyglądały trupio, ale wyginały się upiornie i były żywe. Ingrid zaczęła tak ciężko dyszeć, że było to zabawne. Janet tylko patrzyła na mnie tak, jakbym stanowiła melanz wszystkich możliwych niespodzianek.

– Mój Boże, nie jesteś żadną wnuczką, tylko córką marnotrawną. Nic dziwnego, że cię tu wepchnęła.

– Wiesz, kim jestem?

– Wszyscy to wiedzą. Jesteś prawie tak zła jak Althea. Wciąż rozrywasz dziury, które ktoś próbuje zaszyć. To przez ciebie bestie przechodzą do świata. Nie żeby mogły tam długo wytrzymać. To się udaje tylko tobie. – Widziałam niepokój w jej oczach i niemal wyczuwałam pracę jej mózgu.

Nagle zobaczyłam ją, gdy miała dwadzieścia sześć lat i była piękna, pochopna i wciąż wypytywała o drzwi. – Alice-Trzykrotko. Jak to możliwe?

– Ja nic nie zrobiłam. Moja... Ella, córka Althei, zabrała mnie z Lasu-Połowy-Drogi, kiedy byłam malutka. A potem ze mną uciekała. Dużo jeździłyśmy... Złe rzeczy działy się, kiedy zostawałyśmy dłużej w jednym miejscu. Dlaczego powiedziałaś, że rozrywam dziury?

– Tak, słyszałam o Elli Proserpine, jeszcze zanim cię zabrała. Biedactwo, dorastała dziko w Lesie-Połowy-Drogi, pomiędzy światami. Pewnie zupełnie zwariowała... – Oczy jej się rozszerzyły, kiedy zobaczyła wyraz mojej twarzy. – Och, jaka ze mnie idiotka. Po tylu latach musi być dla ciebie kimś w rodzaju matki.

– Ella jest moją matką. – Myślałam o niej teraz z bólem: jej drobnej, zawsze wychudzonej sylwetce, delikatnej twarzy, kruczoczarnych włosach odziedziczonych po nieżyjącym ojcu. O jej życiu podzielonym na trzy oddzielne kawałki, z których dwa trudno było poznać. Zepsuta układanka, jaką stało się Hazel Wood. Potworne obrzeża Uroczyska. I ucieczka, która sama w sobie była pułapką, oraz ciągłe życie w drodze.

– Tak, oczywiście. Musiała nią być. By cię zabrać i by cię tam trzymać. Zdziwiająca! – Janet patrzyła gdzieś w dal. – Czy znasz swoją historię, Alice-Trzykrotko?

– Częściowo.

– Czy zdarzały ci się przeskokki? W sensie wieku.

Ella trzymała zdjęcia w ognioodpornym metalowym pudełku w skrytce samochodu. Moja kamienna twarz w wieku dwóch lat, poważna, gdy miałam osiem, z wilczym spojrzeniem, gdy miałam czternaście. Ja w oceanie, na rowerze. Z palcami w wodzie z cukrem, jak sięgam po motyla.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, rosłam normalnie.

Janet zaczęła obgryzać paznokieć, wyglądając jak dziesięcioletka.

– Więc przeciągnęła cię do innego zegara i tam utrzymała. Może tak to działało. – Wyprostowała się i uniosła palce tuż nad moją dłoń. – Tam, przyniesz nam wody. Czy mogę dotknąć twoją dłoń, Alice?

Skinęłam głową, a ona delikatnie położyła palce na moich. Skrzywiła się i cofnęła rękę. Kiedy Ingrid przyniosła wodę w płytkiej, glinianej misce, Janet powiedziała, żebym zanurzyła w niej palce.

Posłuchałam jej. Nic się nie stało.

– Opowiedz mi jeszcze o Althei – poprosiła Janet. – Mówiłaś, że jej nie znałaś?

– Zupełnie. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam.

– Hm, a ten chłopak, o którym mówiłaś. Finch, tak?

Pauza.

– Co z nim?

– Zabili go przy tobie? – spytała chłodno. – A ty nic nie zrobiłaś. Mogłaś ich powstrzymać?

Mikstura wciąż działała. Słowa wypłynęły ze mnie, zanim się spostrzegłam.

– Mogłam. Jestem w końcu Alice-Trzykrotka. Chyba mogłam.

Słowa zalśniły w powietrzu jak komary. Uniosłam do ust mokrą dłoń.

– Przepraszam – powiedziała Janet i miała taką minę, jakby rzeczywiście było jej przykro. – A nazwa serum prawdy nie jest chyba najlepsza. Mówisz raczej to, co wydaje ci się, że wiesz... a co niekoniecznie jest prawdą.

Jej współczucie otoczyło mnie niczym dym.

– Nie próbuj mnie pocieszać. I nie mów do mnie jak do dziecka. – Głos mi stwardniał, w wodzie, gdzie trzymałam drugą rękę, pojawiły się wstążki mrozu, a woda zaczęła twardnieć.

– Cholera! – wyszarpnęłam rękę i zaczęłam wycierać z niej kawałki lodu.

Ingrid patrzyła na mnie wielkimi oczami, jakbym była domową świętą. Taką, powiedzmy, patronką zimnych drinków.

– Cholera! – powtórzyłam. – I jak mam brać prysznic?

– Obawiam się, że masz przed sobą większe problemy. – Janet przyjrzała mi się swoimi odległymi oczami. – Podciągnij rękawy, Alice.

Zaczęłam z wahaniem, a potem szybko zerwałam z siebie bluzę, czując, jak zalewa mnie przera-

zenie. Miałam ramiona białe aż do barków. Wyglądały jak członki manekina, jak stwory z głębin, jak coś, co nie jest moje.

Pomyślałam o Królu Wrzosów, który jęknął, kiedy przeszło przez niego moje zimno. Co się stanie, kiedy dotrze dalej? Do mojego gardła? Do płuc? Mój oddech stał się szybki i płytki.

Janet przeszła za mnie i położyła dłoń na moim karku, tam, gdzie skóra wciąż była skórą.

– Nie panikuj. To tylko przyspiesza ten proces.

– Bajarka będzie wiedziała, co zrobić – powiedziała Ingrid. Z rewerencją pochylała ramiona i obawiałam się, że zaraz przede mną klęknie.

– Możliwe. Pójdiesz do niej rano, Alice.

– To znaczy gdzie?

– Trudno powiedzieć. Ale jeśli zechce z tobą rozmawiać, to ją spotkasz.

Wyobraziłam sobie straszne baśniowe monstrum.

– Ale czy ona jest człowiekiem?

Janet zamachała rękami.

– Też trudno powiedzieć.

– Przepraszam, że to na was sprowadziłam – zwróciłam się do Ingrid. Strach przegnał gniew i znowu stałam się łagodna.

– Wszystko w porządku – pocieszyła mnie Janet. – To znaczy, że twój umysł wciąż do ciebie należy. – Znowu mnie pogładziła, a potem cofnęła się i dodała energicznie: – Dosyć historii na dzisiaj. I dosyć Historii. Teraz najlepiej będzie, jeśli coś zjesz, a potem się prześpisz. I umyj się, bo strasznie cuchniesz.

Nie sądziłam, żeby powiedziała to z powodu serum. To była po prostu prawda.





## • 26 •

Ellery Finch pojawił się tej nocy w moich snach, najpierw żywy, potem martwy. Usilnie próbował coś mi powiedzieć. Kiedy otworzył usta, z jego języka spłynęły pióropusze czerwieni. Katherine-Dwukrotnie-Zabita szepnęła mi coś do ucha, a zielone poszycie Uroczyska uniosło się, żeby mnie powitać. Walnęłam w nie, budząc się na wysłużonym śpiworze przy ogniu.

Zaraz też usiadłam prosto i zdjęłam koszulkę. Biel przesunęła się jeszcze w stronę barku, ale nie sięgnęła szyi. Wciąż mogłam ją ukryć. Wstałam ostrożnie, jakby zbyt szybkie ruchy mogły spowodować przerzut mrozu na pierś. „Pewnie niedługo tak będzie, i to niezależnie od tego, jak szybko będę się ruszać” – pomyślałam. Kiedy przytknęłam dwa palce do mostka, odniosłam wrażenie, że moje serce zamarza.

Z pokoju obok dobiegały mnie odgłosy krzątania i przyciszonej rozmowy oraz śmiechów Janet i Ingrid. Ingrid weszła żywo, kiedy mnie zobaczyła, i podała mi kubek czegoś, co wyglądało jak kawa, ale pachniało i smakowało jak kasza gryczana. Obserwowała mnie przy tym tak, jakbym mogła zamrozić jej serce albo wypluć brylanty.

Instrukcje Janet dotyczące Bajarki były frustrująco nieprecyzyjne.

– Pokaż, że tu jesteś, a Bajarka sama cię znajdzie – powiedziała. – Zresztą bardzo możliwe, że już o tobie wie.

Jej niepewne zaimki świadczyły moim zdaniem o tym, że znajduję się w najgorszym koszmarze Rona Weasleya.

– To znaczy, że mam chodzić i krzyczeć: „Jestem Alice! Wróciłam”?

– Nie wyglupiaj się. – Ingrid aż drgnęła, słysząc ton Janet, i popatrzyła na mnie z obawą, jakbym mogła się obrazić. – Pozwól sobie po prostu... poczuć się tu jak w domu. Nieważne, gdzie przeżyłaś życie, ale jesteś stąd. Przestań myśleć, że jesteś turystką.

Dała mi czystą tunikę zamiast podartej, obrzydliwej bluzy, ale nie chciałam się rozstać z dzinsami. Kiedy je włożyłam, poczułam się bardziej ludzka. Ludzka ze świata. Kiedy w końcu wyszłam z ich chaty, ściskając Janet na pożegnanie, co bardzo zaniepokoiło Ingrid, obie stały w drzwiach, jakby wyprawiały mnie do szkoły.

Poszłam w stronę drzew, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą i coś szepcząc w świeżym rannym świetle. Kiedy podeszłam bliżej, szept na moment przybrał kształt słów:

„Nie tędy”.

Od razu się zatrzymałam. Poczułam ulgę w członkach, uczucie, którego musi doświadczać drzewo na wiosnę, kiedy zaczynają w nim krążyć soki. Kiedy zamrugałam, dostrzegłam w pniach twarze: zabawne, pomarszczone, piękne. Znowu mrugnęłam i to minęło, ale pozostało uczucie. Odwróciłam się tyłem do drzew, jakbym słuchała jakiegoś wewnętrznego kompasu, i podeszłam do chaty, a potem ją minęłam.

Nie wiem, jaka była powierzchnia działki, ale przejście jej zajęło mi przynajmniej dziesięć minut. Były tam porozrzucane grządki, sad, budynki gospodarskie i długie pastwiska, gdzie kozy skubały trawę albo obserwowały mnie swoimi podłużnymi oczami. Odniosłam wrażenie, że gdyby chciały, mogłyby ze mną porozmawiać, ale nie miały nic do powiedzenia.

Posiadłość kończyło niskie białe ogrodzenie, a za nim rozciągała się piaszkowa droga. Przeskoczyłam przez płotek i skręciłam w lewo. Minęła mnie dziewczyna na rowerze w dzinsach z uciętymi nogawkami. Kiedy obróciłam się, żeby za nią popatrzeć, zauważyłam, że ona też patrzy przez ramię.

Droga biegła między kępami zieleni. Próbowалам się skupić, z mieszanym powodzeniem, na tym, co mnie tutaj sprowadziło. Medytacje zawsze mi kiepsko wychodziły, niezależnie od tego, jak często Ella mnie do nich zmuszała. Wyczułam w powietrzu sól i niemal podążyłam w jej kierunku – gdzieś w pobliżu znajdowało się bajkowe morze. Ale Uroczyisko, które pulsowało w moim ciele, powiedziało mi, że nie tam powinnam iść.

W którymś momencie zobaczyłam przez drzewa kobietę, która wyglądała jak lunatyczka – była piękna i miała na sobie suknię ślubną w kolorze krwi. Jej ocienione rzęsami oczy popatrzyły na mnie z zainteresowaniem i leciutko skinęła mi głową. Sprawilo to, że poczułam się idiotycznie zadowolona. „To tak, jakby jeden kierowca priusa pozdrowiał drugiego” – pomyślałam, ale to było coś więcej. Coś zmieniło się od wczoraj – nie byłam zagubiona. A potem nagle poczułam, że nie mam nic pod stopami i wpadłam w jamę pełną trawy i poznaczoną kremoworóżowymi kwiatami. Wydawało mi się, że widziałam je już gdzieś wcześniej. A kiedy natknęłam się na ubranego na biało chłopca, który spał mocno zwinięty w kłębek przy srebrnym lustrze, poczułam, że właśnie jego się tutaj spodziewałam. Powietrze wokół niego było nabrzmiące magią i drgało, jakby znajdowało się nad rozgrzaną drogą. Obeszłam go dokoła i przelazłam na drugą stronę dziury.

Minęłam kilka chat, zużyty namiot khaki i szałas zrobiony z kwitnących gałęzi. W środku znajdowało się dwoje długowłosych dzieci nieokreślonej płci, które pełnymi beznadziei oczami patrzyły, jak przechodzę. Przyspieszyłam, bo przyszło mi do głowy, że to Historie, ale kiedy straciłam je z oczu, nie byłam już tego tak pewna. Kiedy zobaczyłam tawernę w stylu Tudorów na działce pokrytej bujną trawą, nie wiedziałam, czy zatrzymałam się z powodu ciekawości czy też instynktu.

Słońce wskazywało, że nie ma jeszcze nawet południa, ale pełno tam było klientów. Gdy weszłam do środka, mniej niż połowa głów zwróciła się w moją stronę.

Był to bez wątpienia bar dla uchodźców. Klienci wyglądali na wędrowców z europejskiego hotelu połączonych z obsadą z czasów średniowiecza. Widziałam buty converse i plecaki, wieśniacze stroje i dzinsy. Dziewczyna w podobnej do mojej tunice trzymała starodawny telefon z klapką i pocierała go kciukiem, jakby był jakimś amuletem.

Barman był wielki, nosił afrykańskie *dashiki* i miał imponującą brązową brodę. Kiedy dobiłam do baru, gwizdał piosenkę Beatlesów.

– Cześć – przywitał się. – Co będzie? – Mówił z francuskim akcentem z niewielką domieszką uroczyskowego.

– A co macie?

Popatrzył na mnie głodnym wzrokiem.

– Jesteś nowa, prawda? – Mówił głośno i wyczułam zainteresowanie na sali. – Mam specjalnie dla ciebie kawę, prawdziwą kawę, ale tylko jeśli możesz zapłacić.

Automatycznie włożyłam ręce do kieszeni. Były puste.

– Nie chodzi o pieniądze – dodał. – O informacje.

– O czym? – spytałam ostrożnie.

Uniósł ciemne brwi i pochylił się nad barem. Wyglądał na Historię, ale powietrze wokół niego było lekkie i można nim było oddychać, no i czuć było od niego jedynie chmiel i pot.

– O świecie, oczywiście. Naszym świecie.

Na dłoniach miałam rękawiczki, rękawy tuniki ściągnięte mocno na przedramiona.

– Co chcecie wiedzieć?

– Po pierwsze, z którego jesteś roku. A potem dostaniesz coś do picia za darmo za każdą piosenkę napisaną po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, którą będziesz umiała zaśpiewać od początku do końca. A posiłek za darmo, jeśli pozwolisz ją nagrać.

– Zostaw ją – odezwała się barmanka, która do tej pory kuciała za barem. – Ogłaszam nową zasadę: za pierwszym razem nie spoufalamy się z nowymi.

Uśmiechnęła się do mnie. Miała blond włosy i nosiła najprawdziwszą ludową sukienkę bawarską, eksponującą je biust. Wyglądała jak dziewczyna z St. Pauli.

– Pierwszy drink jest na koszt firmy – powiedziała.

– Ale nie kawa – zaprotestował brodac. – Ta jest tylko na wymianę.

– Dobra. Więc herbata? – Obróciła się i zaczęła nalewać, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Herbata była słabiutka i miała kolor *mountain dew*. Czuć od niej było sosnowymi igłami, ale miała zaskakująco łagodny smak.

– Dziękuję – powiedziałam, próbując oderwać oczy od jej podniesionego biustu.

Barman jednak nawet się nie wysilał. Patrzył nań, kiedy kobieta uwijała się przy barze i zaczęła zbierać kubki i naczynia z chwiejnych stołów, a potem rzucił pod nosem:

– Ale poważnie. Który tam jest teraz rok?

Powiedziałam mu, a wtedy kąciki ust mu opadły.

– Och! – westchnął odważnie. – Cóż. Może wzięłaś ze sobą jakieś książki?

Barmanka usłyszała go i przewróciła oczami, a potem zniknęła za drzwiami przy barze.

Opowiedziałam mu więc *Harry'ego Pottera*. I *Złoty kompas*. Nagrodził mnie za to hojnie trzema kufkami masłowatego piwa, które smakowało jak kiwi, i zaśpiewałam nieudolnie do jego magnetofonu *Smells Like Teen Spirit*, *Landslide*, *Billy Jean*. Urządzenie wyglądało tak, jakby używał go sam Alexander Graham Bell i było prymitywnym połączeniem jakichś rurek, przewodów z rachityczną rączką, piszącą po metalowej płytce.

Barman zauważył moje spojrzenie.

– Nie wiem, jak to działa – wyznał, pokazując mi puste wnętrze urządzenia. – Nie powinno.

Wokół nas zgromadził się spory tłumek – między innymi kobieta o czekoladowej karnacji z senną miną, jakby się przed chwilą obudziła, co do której od razu wyczułam, że jest byłą Historią. Towarzyszył jej mniej więcej piętnastoletni chłopak w hipsterskich plastikowych okularach. Starszy mężczyzna w przedpotopowym garniturze pił jedną za drugą zieloną herbatę i słuchał uważnie mojego śpiewu, co jakiś czas ukazując zęby w kolorze pergaminu. Byli tam też dwaj boski faceci, którzy wyglądali, jakby tu wpadli z corocznego Burning Mana, i których się trochę obawiałam. Wydawało się, że są bliźniaczym wcieleniem spokoju, ale białka oczu mieli nabiegłe krwią. Były tu inne rośliny, ale czymś, co rosło w pobliżu, można się było nieźle nakoksować.

Ludzie wchodzili i wychodzili, a barman – który miał na imię Alain i wbrew temu, co sądziłam, był Szwajcarem – podał mi placek z potrawką, przyprawioną czymś, co podrażniło mi gardło. Cienie zaczęły się wydłużać, aż w końcu Alain westchnął i wziął z podłogi skórzaną torbę.

– Idę – oznajmił. – Wracasz na noc do Janet?

Wyjaśniłam mu, skąd przyszłam, ale nie powiedziałam, czego szukam. Wydawało się, że wszyscy tu znają Janet.

Wzruszyłam niezobowiązująco ramionami i przeciągnęłam się, szukając w sobie tego, co mnie tu sprowadziło. To poczucie obudziło się, zamroczone alkoholem, rozmową i kontaktem z ludźmi. Wciąż miałam na dłoniach rękawiczki i niemal zapomniałam, że nie należę do tego grona. Jeśli nie znajdę sposobu, by stać się byłą Historią, to nie będzie moje Uroczysko. Nie moje towarzystwo.

Gdybym znalazła na to sposób.

Mogłabym tu zostać. Ta myśl wyemanowała z części mojego mózgu podłączonej do Uroczyska,

jakby to ono tworzyło moją strukturę. Była w niej odrobina strachu, ale pod spodem coś jeszcze: kapitulacja. Po tym jak uciekałam, wciąż uciekałam. Medytując, licząc, uporczywie trzymając się ręki Elli, usilnie starając się utrzymać na powierzchni oceanu gniewu.

„Mogłabym tak zrobić” – pomyślałam. „Gdybym przestała wierzyć, że Ella czeka tam na mnie”.

Ale jeśli pozwolę sobie w to uwierzyć, utonę na dobre.

Po wyjściu Alaina, barmanka poustawiała na stołach grube świece, jakby to była jakaś knajpa na Brooklynie, gdzie szykują kolację. Ale w trakcie odkryłam, że jest w tym coś więcej. Coś działa się wokół jej rąk, światło zaczęło wyczyniać jakieś sztuczki. Kiedy przechodziła od stolika do stolika, stawiając świece, poruszała palcami, tworząc skomplikowane wzory, jakby śpiewała, tkła czy grała w kocią kołyskę. Ludzie przy stolikach wstawali jeden po drugim i wychodzili bez słowa – zabierali swoje rzeczy, zostawiali pieniądze, a potem wychodzili w mrok.

Kiedy wyszła ostatnia osoba, westchnęła, wyjęła zasuwkę z włosów, a kiedy opadły jej na ramiona, zaczęła masować głowę. Miała włosy księżniczki, takie jak moje, gdybym pozwoliła im wyrosnąć.

Usiadła na stołku obok i postukała palcem w moją rękawiczkę.

– Puk, puk, Alice-Trzykrotko.

Mówiła niskim, gardłowym głosem i chociaż dotknęła moich rąk przez rękawiczkę, poczułam linię bladego ognia od barków aż po końce palców.

Zdjęłam rękawiczki i rozprostowałam dłonie tak, że zatrzeszczały kości.

– Szukałam cię – powiedziałam.

Zaśmiała się.

– Ja ciebie dłużej.

Dopiero teraz, kiedy nie kryła się za maską barmanki, mogłam ją zobaczyć. Poczułam zbitą energię, tak dziką, że niemal zniekształcała przestrzeń wokół niej. Jej oczy były zbyt blisko, zbyt skupione, dwa niebieskie spodki, które wchłaniały światło. Nie pozwoliłam sobie na to, by spojrzeć w bok.

– Co zrobiłaś, że wszyscy wyszli? Czy to były czary?

– Nie, nic tak nieprzewidywalnego, po prostu... zmieniałam nieco opowieść. Zmieniłam moment na taki, kiedy powinni odejść.

– Więc panujesz tu nad wszystkim? Nie tylko nad Historiami?

Bajarka podciągnęła się na łokciach i wzięła sobie szklanekę czegoś musującego zza kontuaru.

– Nie muszę tu nad nikim panować, a najmniej nad Historiami. Kiedy tylko wprawię je w ruch, działają jak precyzyjny mechanizm. Samoistna maszyna. – Popatrzyła na mnie oschle. – Cóż. Zwykle. Ja przede wszystkim nie pozwalałam na łączenie się wątków i światów, tak by historie mogły się rozwijać. Ale ty – skierowała na mnie palec jak pistolet, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy mają tu broń – jesteś skazą w tym mechanizmie. Chyba nie powinnam mieć nadziei, że wróciłaś, aby dokończyć swoją historię?

Teraz zrozumiałam, o kim Althea mówiła „ona”. Ta, która nie pozwalała jej umrzeć, która ją stąd wypuściła, a potem tego żałowała. Na pewno nie powtórzy tego błędu.

– A czy mogę? To znaczy, skończyć moją historię? Jeśli to wszystko, co mam zrobić przed odejściem stąd, to bardzo chętnie. – Nie wiedziałam, co obiecuję, albo co to może znaczyć, ale brzmiało to ostatecznie. Więc może mogłam na tym ubić interes?

Popatrzyła na mnie badawczo, starała się mnie ocenić swoimi wodniście niebieskimi oczami, pod którymi czułam się jak kawałek materiału albo filiżanka. To trwało chwilę, a potem pojawiło się w nich współczucie.

Nie ufaj jej. Ta myśl była całkiem wyraźna.

– Kiedy kończysz historię, ta zaczyna się na nowo – wyjaśniła cierpliwie. – Aż przestanę ją opowiadać. A kiedy opowiadam historie, tworzą one energię, dzięki której istnieje ten świat. Dzięki nim nasze gwiazdy trwają na firmamencie. Dzięki nim rośnie nasza trawa.

– Czy jesteś Historią? Byłą Historią?

– Nie jestem stąd. Też jestem stamtąd – dodała, zanim zdołałam zadać kolejne pytanie.

Jakiegoś trzeciego świata. Myśl o tym, że dryfujemy w całym oceanie światów, nie dawała mi

spokoju. Wszystkie one razem, ale oddzielnie w bezmiernej pustce, jak ziarna soczewicy w popiele. Ta wizja wydała mi się tak samotna, że poczułam ból w piersi.

– Pozwolisz mi odejść do domu? – szepnęłam.

– Och, Alice! – Żal w jej głosie brzmiał prawdziwie. – Popatrz na siebie, na swoje ręce. Mróz dotrze wkrótce do twego umysłu, wiesz? Do twego serca. Król, królowa – oni tak długo czekali na twój powrót. Mówią tu, że zastoina jest gorsza od historii. – Zaśmiała się, jakby powiedziała coś zabawnego.

– Więc historie trwają, aż przestajesz je opowiadać – rzuciłam gwałtownie. – Czy możesz podjąć decyzję odnośnie do mnie? Przestać mnie opowiadać? Dać mi odejść...

– Co sprawia, że wydają ci się miła? – Wypiła połowę swojego piwa i pochyliła się w moją stronę. – Kiedyś byłam dla kobiety, w pewnym sensie też bajarki. Mam słabość do osób, które są do mnie podobne. No i popatrz, co się porobiło. Reguły są po to, by ich przestrzegać. Ale. Ale. – Wyciągnęła w górę palec. – Nie możesz skończyć swojej historii, ale możesz ją zmienić. W sensie technicznym jest to możliwe. Możesz wybrać inne zakończenie albo zdestabilizować ją od wewnątrz. Jeśli nie zamkniesz pętli, nie zakończysz w odpowiedni sposób, historia może cię uwolnić. Teoretycznie.

– Poradzę sobie – rzuciłam szybko. – Właśnie tak zrobię. Czy wtedy będę mogła pójść do domu?

Oparła brodę na ręce z oczami utkwionymi we mnie, jakbym była jakimś doświadczeniem, na które miała się zdecydować.

– Nie wiadomo do końca, ale... możliwe, że tak. Jeśli właśnie takie zakończenie wybierzesz.

– Jak mam to zrobić? Jak zacząć?

– Tak jak się to zaczyna. Dawno, dawno temu... Właśnie od tego zaczynasz.

Coś mnie uderzyło – Finch nie skończył mojej historii.

– A jeśli nie wiem, jak się kończy moja historia. Znaczący, *Alice-Trzykrotka*.

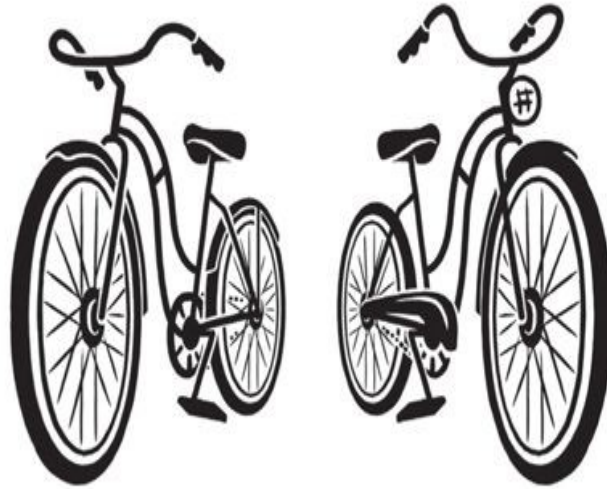
– Może w ten sposób masz większe szanse. Choć bardziej prawdopodobne, że zakończenie samo siebie znajdzie, a wtedy zaczniesz od początku. Ale nawet gdyby ci się udało je zmienić i wyrwać stąd, to pamiętaj – czas działa inaczej, niż ci się wydaje. Nie ma gwarancji, że rozpoznasz świat, do którego usiłujesz wrócić.

Wyobraziłam sobie samochodoptery, roboty w roli polityków i grób Elli gdzieś na zapomnianym cmentarzu. Będę wtedy reliktem świata znanego tylko z książek.

– Ale jest szansa, że wrócę do swoich czasów, prawda? – spytałam żałośnie. – Choćby niewielka?

Bajarka spojrzała na mnie tak, jakby doskonale wiedziała, jak skończy się moja historia – i to na więcej niż jeden sposób – ale była na tyle ciekawa, że chciała sama zobaczyć, jak się potoczy. Dopła piwo, łykając je niczym pyton, i wstała.

– Chodź ze mną.



## • 27 •

Poszłam, zostawiwszy na kontuarze moje rękawiczki. Nie musiałam patrzeć, żeby wiedzieć, że mróz się rozprzestrzenił. Czułam już zimne mrowienie na szyi.

Bajarka zaprowadziła mnie za bar i przeszliśmy przez drzwi wahadłowe. Gdybym pomyślała, spodziewałabym się czegoś w rodzaju zaplecza w Salty Dog, z pudełkami, fartuchami, stołem z masą rzeczy.

Ale wyszliśmy prosto na wybrukowaną ulicę. Była pusta, oświetlona światłem księżyca wciskającym się między dachy. Po drugiej stronie zobaczyłam wystawę oświetloną ciepłym światłem świec, które sprawiało, że zabawki na niej wydawały się same migotać. Były tam lalki i instrumenty, a także niebieskie, lśniące jezioro na blaszanym pudełku, poznaczone starannymi łukami przez ołowianych łyżwiarzy. Maski, koła, karnawałowa lalka w starych koronkach i z twarzą z polerowanego drewna. A w środku stał zamek, który wyglądał jak weselny tort. Dostrzegłam ruch w jego maleńkich okienkach. Zrobiłam krok w jego stronę, ale Bajarka powstrzymała mnie dłonią.

– Nie podniecaj się za bardzo. To nie twoja historia.

Kiedy się obróciłam, dostrzegłam ruch w ciemności za tą wystawą – kształt zbyt długi i szczupły jak na człowieka. Cofnęłam się, idąc za Bajarką.

Przy ścianie tawerny stały dwa rowery. Bajarka wsiadła na jeden, a ja wzięłam drugi – oldskulową bestię, ciężką jak hipopotam, w dodatku z niedopompowanymi kołami.

– Bądź cicho – dotarł do mnie szept Bajarki. – I się nie wtrącaj.

Dobrze, że mnie ostrzegła. Jechaliśmy przez uśpioną, ale mimo to pełną życia wioskę.

Przejechaliśmy obok domu, który za bardzo pochylał się na drogę, jakby przerósł działkę, na której stał. Pod jego okapem poruszały się jak dym trzy kobiety i wyciągały paznokcie, żeby zastukać nimi w okna. Jedna z nich spojrzała na mnie oczami jak blade marmurowe kulki i nacisnęłam mocniej na pedały. Parę przecznic dalej, na skraju dachu, leżała niewielka postać w koszuli nocnej i wyciągała ramiona do księżyca, jedną nogę zwieszając w pustce. Patrzyłam na nią przez chwilę i zastanawiałam się, czy to nie Hansa.

Na skraju wioski stał największy i najładniejszy budynek, a na jego tyłach znajdował się długi,

oświetlony ogród. W nim to chodził chłopiec, który podnosił głowę i mówił sam do siebie. Dostrzegalam tam najmniejsze drgnienie i mogłam niemal zgadnąć, do kogo lub czego mówi, aż w końcu wjechałyśmy w mrok.

Droga za wioską błyszczała czerwonym piaskiem. Światło księżyca oświetlało ją pod różnym kątem tak, że miałam w oczach czerwone błyski.

– Nie zjeżdżaj z drogi, niezależnie od tego, co zobaczysz w lesie – poleciła Bajarka.

Głos jej się zmienił. Nadal siedziała na niebieskim rowerze, ale mówiła chrapliwym, niskim głosem, a jej sylwetka nabrzmiała.

Uśmiechnęła się do mnie i zobaczyłam białe zęby i surową, nieznaną twarz.

– Lepiej nie jechać przez las, kiedy wyglądasz jak barmanka. To za duża pokusa dla co głupszych z Historii.

Obserwowałam ją teraz, czekając na kolejne metamorfozy, ale las mnie rozpraszał. Drzewa obudziły się, kiedy wyczuły Bajarkę. Uderzały konarami i ich żywiczny oddech wypełnił powietrze. Dotarł do moich nozdrzy i do mej głębi i spowodował, że zaczęłam się zastanawiać, po co jadę za tą obcą osobą przez bajkowy las.

„Dla Elli” – musiałam sobie przypomnieć. „Żeby skończyć moją historię”.

Jednak Ella nie mogła już być bardziej ode mnie odległa.

Wjechałyśmy na brukowaną białymi kamieniami, węższą drogę, która wiła się jak naszyjnik między buzującymi koronami drzew. Na moim ubraniu pojawiły się plamy potu, a liście, które na mnie spadały, natychmiast stawały się białe. Żaden nie spadł na Bajarkę.

W tej burzy drzew wśród nocy nagle dobiegły nas uderzenia metronomu. Wypełniły one moją pierś niczym bicie serca i zburzyły rytm oddechu.

– Co to?

Bajarka zahamowała, a ja zatrzymałam się przy niej i popatrzyłam z boku na jej twarz. Tylko oczy były takie same, twarz stała się ciężka i tępa.

– Nie patrz na mnie, tylko na drogę.

Po drodze z białych kamieni, na tyle szerokiej, że ledwo się mieścił, nadszedł kondukt. Przed nim i za nim jechali na wielkich czarnych koniach wojskowi. Między nimi dwa konie niosące lektykę. Aż się skrzywiłam, widząc, że uginają się pod jej ciężarem, a potem odetchnęłam ciężko, gdy zobaczyłam, co jest w środku.

Kobieta tak ładna, że wydawało się to nieprawdopodobne. Głowę miała ogoloną i żadnej biżuterii, nic nie mogło chronić przed widokiem jej twarzy. Popatrzyłam na nią pod jednym kątem, potem drugim, widząc, jak się zmienia niczym hologram. Łód sięgnął swymi palcami mego gardła.

Nie mogłam oddychać, a tykanie metronomu doprowadzało mnie do szaleństwa. Pochodziło ono od kobiety w lektyce. Kobieta w ślubnej bieli tykała jak zegar. Jej piękna naga głowa rozbrzmiewała kilkunastoma szybkimi uderzeniami, a oczy miała wbite w moje.

Bajarka weszła między nas i położyła ciepłe dłonie na moim gardle. Łód ustąpił pod tym dotykiem i znowu mogłam oddychać.

– Jeszcze nie teraz, Alice-Trzykrotko – szepnęła.

– Nie teraz? – powtórzyłam. – Co to znaczy: jeszcze nie teraz?

– Tyle, że jedyne wyjście to przejść wszystko. Przez las, przez historię, przez ból. Myślałaś, że dostaniesz to, o co ci chodzi za darmo?

Cofnęłam się skarcona.

– A czy możesz przynajmniej powiedzieć, dokąd jedziemy?

– Powiedziałam ci: do „Dawno, dawno temu”.

Przeszłam na luźne białe kamienie, wlokąc za sobą ciężar roweru.

– Co to w ogóle... I dlaczego na rowerach? Czy konie nie byłyby szybsze?

– Konie są nieprzewidywalne – odparła Bajarka. – Nawet dla mnie. Mają tendencję do tego, żeby gdzieś w połowie drogi zamieniać się w Historie. – Obróciła się i wyciągnęła palec w moją stronę, poirytowana, z twarzą tak ludzką jak wcześniej. – Nigdy nie ufaj koniowi z Uroczyska. Nigdy.

Jechałyśmy dalej. Najpierw zaczęły mnie boleć nogi, potem zdrętwiały, a potem znowu zaczęły boleć, gdy jechaliśmy przez ten cichy las, który wydawał się nie mieć końca. Raz zobaczyłam twarz

kogoś, kto obserwował mnie spomiędzy gałęzi. Pojawiła się tylko na chwilę i miała tak wrażliwe i smutne oczy, że potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że tak naprawdę nie jest to twarz, ale pysk niedźwiedzia, który stał na tylnych łapach i obserwował drogę.

W najciemniejszej części nocy, kiedy z księżycą zostało tylko pasemko, zasłona z drzew po naszej prawej stronie opadła, ukazując jezioro. Woda była płaska jak poziomica i gęsta jak rtęć i przypominała paciorek w oprawie brzegów. Miejscami coś zalśniło pod jego powierzchnią – jakieś zielone lub fioletowe iskry, wyraźny łuk bąbelków, którym mogły być białe spódnice albo dryfujące pływki. Białe dłonie, naciskające od wewnątrz na coś w rodzaju lodu. Zimno we mnie zaczęło przechodzić w dół, przesączało się na uda i sprawiało, że żołądek mi się ścisnął, a oczy wychodziły z orbit przy kolejnych obrotach pedałów. W końcu minęłyśmy wodę i znowu zaczęły się pokryte lśniącymi czarnymi kwiatami drzewa.

Tuż przed świtem usłyszałam wśród nich trzask ognia i poczułam zapach dymu. Potem dobiegła nas muzyka – dzika i smutna, która wymykała mi się jak blaknący sen za każdym razem, kiedy próbowałam ogarnąć ją umysłem. Zwolniłam, by się w nią wsłuchać i sprawdzić, gdzie jest ten instrument.

Nie instrument, głos. Donośny, z dużą, świeżą skalą, który uciszył nawet drzewa. Odchyliłam głowę, żeby popatrzeć na niebo.

A potem wtrąciła się Bajarka, przewracając oczami, śpiewając na cały głos *Yellow Submarine* i waląc mnie po plecach.

– Pedałuj! – wołała między słowami piosenki. – Bądź choć trochę dumna ze swojego pochodzenia! Nie jesteś jakąś głupią uchodźczynią, ale Alice-Trzykrotką!

Jechałam za nią, a gniew pulsował mi tępo w głowie. Kiedy zostawiłyśmy to miejsce za sobą, muzyka wyparowała z mojego ciała jak podwyższony poziom cukru, a ja byłam cała roztrzęsiona.

Na koniec nocy las skończył się zniecka, a biała droga zamieniła się z wąskiego łańcucha w szeroką białą wstęgę. Księżyc zniknął z nieba i pokazało się słońce – przez moment jeszcze się mierzyły, ale zwyciężyło to jaśniejsze i niebo wybuchło fajerwerkami światła. Ten widok nappełnił mnie radością.

Do chwili, gdy Bajarka skierowała nas w stronę zamku.

Dom.

Słowo to wypłynęło z tego zaniedbanego miejsca w moim wnętrzu, które znało imię Króla Wrzósów i rozpoznawało kontury tej krainy tak, jak rozpoznawałam własne ciało w ciemności.

Wyglądał jak porzucona zabawka. Prowadziła do niego wijąca się droga, która wyrastała z tej z tymi samymi białymi kamieniami. Wieńczył go bezładny gąszcz wieżyczek z matowymi szybami i wyszukanymi zdobieniami. W środku znajdowała się wąska baszta z mordownikami. Zamek okrywał całun mgły, który kłębił się i dusił sam w sobie.

Postawiłam stopy mocno na drodze, czując, jak mi się ścisną gardło.

– Nie pójdę tam.

Bajarka zaśmiała się, a ja się cofnęłam przestraszona. Znowu się przepoczwarzyła. Twarz miała okrągłą, włosy krótsze od moich. Była ubrana jak rycerz.

– A jednak – zaczęła z dłonią na rękojeści miecza – nie można stąd wyjść, najpierw tu nie wchodzić. Dawno, dawno temu, Alice-Trzykrotko.

Jej ostatnim słowem towarzyszył pogłos i jakieś zniekształcenia. Jakby włożyła maskę, żeby ukryć swoje prawdziwe uczucia.

„Nie ufaj jej” – pomyślałam. Ale serce mi zwalniało i trudno było przekuć tę myśl w czyn. Mgła unosiła się i wirowała niczym para nad herbatą. Wokół mnie urosły cienie i poczułam, że zaraz rozboli mnie głowa, gdy tak szłyśmy w stronę szpiczastego kształtu. Prowadziłyśmy rowery, a ja nie pamiętałam, kiedy przestałam pedałować. Mój umysł wydawał się zadziwiająco czysty.

Tylne koło roweru Bajarki pokasływało jak motocykl. Pochyliłam się, żeby wydobyć kartę, która uwięzła między jego szprychami.

Zobaczyłam twarz Katherine-Dwukrotnie-Zabitej w lustrzanym odbiciu, jakby była karcianą damą. U góry wyglądała, jakby była świeżo po posiłku, na dole była wychudzona, a we włosach miała białe pasmo jak skunks.



Bajarka złapała kartę i ją przedarła.

– Uchodźcy – mruknęła. – I oni uważają to za zabawne.

Widok dzikiej twarzy Katherine sprawił, że znowu stałam się sobą. Widziałam pomarańczową poświatę wschodu słońca na białym kamieniu, przerośnięte krzywizny ogrodów na tyłach zamku. Moje dłonie, wystające z rękawów tuniki jak lodowe kończyny stracha na wróble.

– Ella – szepnęłam. – Mama.

Bajarka przechyliła głowę.

– Nic poza tobą nie może wejść do tej historii. W tej chwili masz wszędzie na sobie ślady dawnego życia, natychmiast je wyczują. – Posłała mi uśmiech, który miał mnie oczarować, a który sprawił, że uniosłam ramiona w geście obronnym. – I będą zazdrośni. Najłatwiej to skończyć, zaczynając, ale to nie jest dobry początek, prawda?

Jej protekcyjny ton sprawił, że niemal się załamałam. Najłatwiej to skończyć – jakby wierzyła, że potrafię. Nic podobnego. Nigdy. Właśnie dlatego mnie tutaj przyprowadziła.

Była strażniczką, która znowu chciała mnie wtrącić do więzienia, a ja jej na to pozwalałam. I to opierając się na idiotycznym założeniu, że gdzieś tam w środku jest klucz.

Zamek stał się większy, a ja poczułam na ten widok zawroty głowy i strach. Jego kształty się wyostrzyły, ale wszystko poza tym było płaskie: zapach zieleni, pyłków i deszczu, mglisty smak poranka. Świergot ptaków i wiatr brzmiały metalicznie, jakbym słyszała je przez zepsute głośniki, a potem urwały się, kiedy weszliśmy na podwórzec zamku.

Powąchałam powietrze i sprawdziłam je językiem – było bez smaku. Zamek był martwy.

– Nie martwy – powiedziała Bajarka. – Po prostu zatrzymany w miejscu. Brakuje w nim trybiku.

Aż drgnęłam.

– Jak to...

Zniecierpliwiona potrząsnęła głową.

– Im szybciej to się zacznie, tym szybciej skończy.

Dopiero zauważyłam, że mechaniczna narzeczona w lektyce miała oczy takie jak Bajarka. Jeśli to ona wszystko tu stworzyła czy niektórych z nas na swój obraz? Mogła mieć dowolną twarz, ale nie udawało jej się zmienić tych oczu.

Zamrugłam i zauważyłam, jak moja ręka otwiera drzwi do Hazel Wood. Potem tu, teraz, pcha wysoką, kamienną bramę zamku.



Najpierw usłyszałam muzykę. Nerwową zbitkę dwóch nut, powtarzaną w nieskończoność. Weszliśmy do holu tak wysokiego i obszernego, że wyglądał jak sala gimnastyczna ze złożonymi kątami, których geometria rozmazywała się pod masą czegoś, co musiało być ptasimi gniazdami. Przy stole w kształcie litery U siedzieli ciasno ludzie. Jedli, pili, szeptali coś do siebie i nadziewali na sztucze porcje mięsa. Źródło tej okropnej muzyki znajdowało się w samym centrum – to tam stał mężczyzna z ciemnymi lokami, w zielonkawym stroju, który trzymał skrzypce. Piłował je dziko, poruszając się nerwowo, jakby to było bolesne.

Zamarłam, kiedy Bajarka dźgnęła mnie w plecy swymi kościstymi palcami.

– Jesteśmy najstraszniejsze w tym zamku.

Więc ruszyłam do przodu jakby przez wodę, spodziewając się, że skrzypek lada chwila odwróci się i przestanie grać tę okropną melodię. Nie zrobił tego jednak. Nikt przy stole nie zwrócił na nas uwagi. Ani na Bajarkę w zbroi, ani na mnie w dzinsach. Dotarło do mnie, że coś jest nie w porządku z ich ruchami, a potem w jednej strasznej chwili pojęłam dlaczego.

Wszyscy utknęli w czasie. Bez wyjątku. Poruszali się jak motyle nadziane na szpilkę, powtarzając ostatni ruch wolności.

Grajek męczył instrument tymi samymi nutami. Kobieta z ciężkim przybraniem głowy unosiła nóż do ust, a następnie go opuszczała i tak dalej. Mężczyzna, który zaśmiał się gwałtownie, odchylił głowę, a jego gardło musiało już być potwornie podrażnione. Okrążyłam wolno skrzypka, aż mogłam zobaczyć jego oczy. Głowę miał pochyloną nad instrumentem, jego włosy nas odgradzały, ale widziałam, jak wychodziły z orbit, i dostrzegłam ich ciemnoniebieskie cierpienie.

To była moja wina. To dlatego, że odeszłam. Uwolniłam się od spojrzenia grajka z uczuciem, jakby odrywano gazę od rany. Teraz widziałam wszystkich w całym pomieszczeniu, ich spojrzenia przebiegały po mnie jak światła szperaczy. Wiele ruchomych punktów, pełnych nieszczęścia i strachu, a także próśb, a właściciele tych oczu jedli, rozmawiali, śmiali się – między dwiema nutami narastał pomruk jak w domu wariatów.

Poczułam, że zapadam się w siebie, a Bajarka podtrzymała mnie z wyrazem rozbawienia na twa-

rzy.

– Daj im spokój – mruknęła. – Wytrzymali bez ciebie siedemnaście lat, więc mogą poczekać jeszcze parę minut.

Siedemnaście lat. Siedemnaście lat w tym zakleszczeniu. W końcu poczułam ulgę, że czas płynie tutaj inaczej. Może te lata zbiegły im szybciej, jakby to był sen.

Odsunęłam się od niej.

– Mogłaś im pomóc – syknęłam. – Mogłaś sprawić, żeby... żeby przynajmniej zasnęli.

– Nikt nie może naprawić zepsutej maszyny, jeśli nie ma do niej części – odparła i poprowadziła korytarzem, w którym skórę drażniły szuwały. Gdzieś tam szemrały w nich jakieś drobiazgi, które poruszały się w ograniczony sposób.

Na ścianach wisiały tam tapiserie, drażniące mój umysł jak nieprzeczytane opowieści. Dziewczyna na pomoście przy brzegu podziemnego jeziora, pusta łódź, która czekała na wodzie. Kobieta z twarzą jakby rżniętą w szkło, tańcząca z mężczyzną, którego oczu nie było widać. Dziewczyna, którą rozpoznałam, stojąca na dziobie statku.

W zaciemionym kącie stał mężczyzna, od zawsze rozpinający swój pas. W gorącej jak piekło kuchni trzy kobiety o rumianych twarzach tworzyły nieprzyjemny hałas, złożony z brzęku łyżki, uderzenia ciasta i zgrzytu noża na oselce.

Na środku komnaty pełnej instrumentów jakieś dziecko dotykało strun harfy pod czujnym okiem kobiety, która bez końca popijała herbatę z filiżanki. W następnym ciemnym korytarzu przy ścianie stała służąca, a jej twarz znaczyły dawne lzy.

W środku zamku znajdował się podwórzec w kształcie koła, gdzie śnieg padał na drgające postaci: ramię ze śnieżką odchyłało się do tyłu, ktoś padał na lód. Słysząc było nawet okrzyki radości tych, których śnieżki dosięgły akurat celu, a potem znowu i znowu, jakby to było rżenie zarzynanych zwierząt.

Wiedziałam, że idę w określone miejsce i prowadzi mnie nie tylko Bajarka, ale też kompas, który miałam ukryty w piersi. To on kazał mi kierować kroki do serca zamku, wijących się, kamiennych schodów.

– Jesteśmy prawie na miejscu – szepnęła Bajarka.

„Nie można stąd wyjść, najpierw tu nie wchodzić”. Weszłam na schody. Szłyśmy wyżej i wyżej między tapiseriami i ludźmi, którzy utknęli między jednym a drugim ruchem. Chłopczykiem, który płakał, bo kot, który teraz się cofał gwałtownie, ugryzł go w palec. Mężczyzną i kobietą objętymi długo na pustym półpiętrze.

Schody stały się wąskie jak spirala muszelki, aż weszłyśmy do pokoju, który powoli odłonił się przed naszymi oczami. Pasek zimnego kominka, kobiece nogi z gęsią skórą tam, gdzie uniosła się jej suknia. Ściana, która wyglądała na zimną i surową mimo tapiserii, łóżko, gdzie leżała druga kobieta z włosami ułożonymi tak, jakby były jej płaszczem.

Panował tu półmrok. Czuć było zapach zgaszonej zapalniczki, oddechy kobiet. Tej na łóżku z pobladałą twarzą, brzuchem wezbranym jak ocean i zaciśniętymi pięściami. Jej oddech uwiązał w staccato: znajdowała się w środku skurczu porodowego. Akuszerka o tępej twarzy pochylała się nad nią, wydając dźwięk, który miał uspokoić rodzącą.

Moje nogi były zbyt ciężkie, żeby przejść dalej. Wiedziałam, że gdybym podniosła nogawki dzinśów, okazałyby się, że są blade.

– Kiedy się stąd wyrwano, wszystko cofnęło się do punktu wyjściowego – powiedziała Bajarka. – I zastygło w oczekiwaniu. – Prześlizgnęła się wzrokiem po obu kobietach, jakby były meblami. Prześlizgnęły się po mnie. Odetchnęła wolno i głęboko, a jej twarz zamieniała się w coś, co zapomniałam z każdym mrugnięciem oczami.

Podwinęła rękawy – znowu miała ubranie, a nie zbroję – i otworzyła usta.

– Dlaczego mnie stworzyłaś? – spytałam, zanim zdołała wydobyć głos. Czułam się jak skazaniec stojący pod szubienicą z pętlą na szyi, pytający o naturę Boga. – Dlaczego właśnie tak? Czy naprawdę mogę zakończyć swoją historię? Czy kiedykolwiek miałaś zamiar pozwolić mi odejść?

– Pozwolić ci odejść? – Jej głos przypominał posmarowaną miodem brzytwę. – Niby dokąd? Tu masz swój cel – początek swojej historii. Po to powstałaś.

– Więc kłamałaś? Tak naprawdę nie mogę niczego zmienić?

Uśmiechnęła się do mnie, uśmiechnęła czule, tak że strach zdjął mnie od stóp do głów.

– Nie będziesz tego chciała, Alice. Nie rozumiesz tego jeszcze? Historie są doskonałe. Same dla siebie są światami. Stworzyłam dla ciebie cały świat i robisz w nim coś wyjątkowego – zaczynasz żyć i żyć, i żyć. I wszystko wyjdzie tak, jak powinno, choćby nie wiem co. Tak to urządziłam.

– Ale co to za życie? – szepnęłam.

Coś przebiegło po jej twarzy, delikatny wyraz pobbłażania.

– I tak już przeżyłaś więcej niż większość z nich. Płoniesz tak jasno, Alice-Trzykrotko. Tyle gniewu, tyle lodu. Ta Historia nie czekała na byle kogo.

– Ale ja też umrę. Bo tym się kończy moja historia, prawda?

– Tym się przejmujesz? Umieranie nie jest takie straszne. Robiłaś to już wcześniej.

Podeszłam do schodów. Nie odeszłabym za daleko – moje nogi przypominały kłody, a oddech to były białe chmurki. Ale chciałam, by Ella mogła być dumna z ostatniej rzeczy, jaką zrobiłam jako wolna osoba. Ella, która kupiła mi siedemnaście lat wolności, tak żebym mogła ją teraz zastawić w tej grze.

Miałam rację – nie uszłam daleko. Ledwie się obróciłam, a Bajarka pociągnęła mnie z powrotem. Dotknęła mojego policzka, a lód ruszył na spotkanie jej dłoni. Cała drżałam, drżały również jej dłonie.

To nie powinno boleć. Jeśli byłam tylko materiałem na bajkę, lód, który zamknął mi gardło, nie powinien palić jak ogień, ból bezdechu nie powinien się wydawać nieskończony, a strach, który pojawił się w kropelkach na mojej skórze nie powinien cuchnąć zaszczytym zwierzęciem. Ból był tak wielki, że wyparł rozsądek. Nie mogłam nawet skomleć.

Bajarka powiedziała mi do ucha:

– Kiedy Alice się urodziła, jej oczy były czarne od jednego końca do drugiego.

Ośleplam. Moje ciało złożyło się jak teleskop i straciłam świadomość swoich kończyn i głowy, aż nagle stwierdziłam, że jestem bezcielesna, że jestem tylko straszny wrzaskiem zimna, ciemności i skoncentrowanej wściekłości, która powinna mnie spalić na popiół.

Doświadczalam implozji, nie miałam czym krzyczeć, umysł stopił mi się jak plastik, a moja ostatnia myśl dotyczyła socjopatycznych oczu Bajarki, które wryły się w zimne szkło mojej gasnącej świadomości. A potem stałam się niczym w ciemności.



## • 29 •

Ciemność była wielka i chwiejna. Rozchodziła się od moich brzegów. Wszystko było echem i pulsem, dryfowaniem i rozciąganiem, snem i czuwaniem i odległym głodem. Coś czekało w moim sercu kolibra – potencjał. Odległa wściekłość. Ssałam ją jak słodzoną wodę. A potem świst i szarpnięcie całej mojej istoty; aksamitna ciemność otworzyła się. Na zewnątrz czekało zimno, strach i lodowato białe światło.

Najpierw zobaczyłam twarz: czerwone policzki i wodniste niebieskie oczy. Nie matki. Żyłam pod jej sercem, lekka i niespokojna zbyt długo, by nie wiedzieć, że to nie jej twarz. Ich spojrzenie przesunęło się po mnie i ta osoba zauważyła strach i coś jeszcze – satysfakcję. Choć nie miałam jeszcze na to słów. Dwie szorstkie dłonie wzięły mnie i obróciły.

Druga twarz, którą zobaczyłam, pasowała do bicia serca, do którego tuliłam przez dziewięć miesięcy policzek, kiedy to rozciągałam się, rozwijałam i rosłam od wewnątrz. Szerokie usta, wilgotne powrozy jasnych włosów. Płonące, brązowe oczy, przypominające mokre futro. Kobieta wykręciła ręce w zakrwawionej pościeli. Popatrzyła na mnie i się odwróciła. Moja matka.

Ale to słowo poruszyło jeszcze jakąś strunę w moim chłonnym, powstającym niemowlęcym mózgu. Matka. Zobaczyłam kogoś jeszcze, jakąś dziewczynę z niesfornymi ciemnymi włosami i długimi palcami. Splotła je z moimi i mówiła wprost w moją pulsującą gniewem skroń: „Licz do dziesięciu, Alice”.

Wypustki historii wyrosły obok i oplotły mnie jak wrzośce, które niszczą wieże. I zapomniałam.

Później było już łatwo pozwolić historii, by mi się przydarzyła. Byłam królową. Mieszkałam w zamku. Miałam oczy tak ciemne, że wysysały światło. Moje rodzeństwo się mnie bało i uciekało jak zające na dźwięk mojej srebrnej piłki. Mój ojciec miał gęste rude włosy i tubalny głos, którego bały się służące. Moja matka była łagodną wróżką przy odległym końcu stołu i albo trącała struny lutni, albo dziergała coś nikomu niepotrzebnego.

Rosłam. Rosłam skokowo. Starszy brat, który się ze mną drażnił, gdy miałam tylko siedem lat, miał za swoje, kiedy następnego dnia się obudziłam i byłam o niego o głowę wyższa. Moje kości wydłużyły się w ciągu nocy. Było to rozdzierające. Jakby gwiazdy wniknęły do moich stawów

i tam eksplodowały.

Ale wszystko poza tym było tak dobre, tak swobodne. Nigdy nie wiedziałam, ile musiałam się namęczyć, by trzymać ciemność w szachu – coś mi chodziło po głowie, że już to robiłam, tyle że w innych okolicznościach. Żyłam, rosłam. Gdy zbyt usilnie myślałam, w polu mojego widzenia zaczynało migotać coś srebrnego i błoniastego. Kiedy przestawałam myśleć, omamy znikają.

Pojawiały się też inne sygnały, że moje życie może być czymś więcej. Że gdzieś obok jest jakaś tajemnica, gotowa dotrzeć do jej wnętrza. Czasami w nocy słyszałam deszcz kamieni bijących w moje okno, jakby ktoś bębnił palcami w szybę. Czasami widziałam niemal znajomą twarz w miejscach, gdzie nic nie powinno się znajdować – w lesie albo patrzącą z zamarzniętego podwórka. Jeśli wypatrywałam zbyt długo, błyszczące iskry wybuchały i zaczynała mnie boleć głowa, więc starałam się tego nie robić.

Czułam się dobrze, gdy byłam okrutna. Pozwalałam, by działało to na mnie jak ciepła, ciemna kąpiel. Matka nigdy mnie nie karała, kazała to robić służącym. Za wszystkie razy odpłacałam tym samym jej dzieciom. Matka nie traktowała mnie jak własnej córki, ale jak kukułcze jajo. Wydaje mi się, że chyba nawet wierzyła, że nie jestem jej dzieckiem. Nie znosiła tego, że mamy takie same bezsensowne włosy.

Lód zafascynował mnie, jak tylko go spróbowałam. To była śmietana z miodem i syropem lawendowym, która zamarzła po bankiecie wydanym, by uczcić jedno z krwawych zwycięstw mego ojca. Kiedy lód przesunął się do mego żołądka, zapalił w nim niewielki ogień. Po tym zdarzeniu często wychodziłam w zimie, by ssać sople czy jeść śnieg. W lecie chowałam się w zaciemnionych miejscach i tkwiłam w bezruchu. Wówczas moje rodzeństwo czuło się bezpieczniej.

Nie było jednak bezpieczne w zimie. Wtedy się na nich odgrywałam: wrzucałam jakieś okropne rzeczy do ich łóżek i ośmieszałam ich na balach. Po tym, jak młodszy brat stłukł moje lustro, zaprowadziłam go mroźnym wieczorem do lasu, mówiąc, że szukamy króla jeleni. Zostawiłam go na polanie i sama wróciłam do domu. Wiele godzin później brata odprowadził do domu jakiś nieznajomy, który go znalazł w lesie. Malec nie odważył się powiedzieć, co zrobiłam.

Kiedy pewnego ranka zesłam na śniadanie w ciele kobiety, na drżących jak u fauna nogach, ojciec po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. Przyjrzał się memu ciału, a potem znowu uniósł wzrok. Uśmiechnął się tak, że się przestraszyłam.

Zaraz potem moja matka stwierdziła, że czas wydać mnie za męża. Nie zrobiła tego, by mnie ocalić, ale żeby się mu przeciwstawić. Zrobiła to z miną osoby, która zabiera zabawkę zniechęconemu dziecku.

Było mi wszystko jedno, skąd przyjdzie bezpieczeństwo. Wiedziałam już wtedy, że król nie jest moim ojcem. Niecały rok przed moim urodzeniem w pałacu gościła grupa mężczyzn. Mieszkali oni w jaskiniach lodowych na obrzeżach Uroczyńska, a ich władczynią była wojownicza królowa. Krążyły plotki, że król miał z nią krótki romans, a matka zemściła się na nim, zdradzając go z mężczyzną, który dał mi moje lodowe oczy.

Kiedy ogłoszono, że para królewska chce mnie wydać za męża, wiedziałam, że będę mogła się zabrać. Królewna może dawać zadania kandydatom do jej ręki, nawet taka o czarnym sercu jak ja. Był właśnie środek lata, kiedy oznajmiłam ojcu, że wyjdę za tego, który przyniesie mi jedwabną sakiewkę pełną lodu z odległych jaskiń. Nie wynikało to z sentymentu, ale ciekawości.

Nie, to było coś jeszcze – instynkt. Nie po raz pierwszy w życiu poczułam wpływ jakiejś niewidzialnej siły, jakąś dłoń, która nie należała do mnie. Miałam to uczucie, gdy wrzuciłam wózek zabawkę braciszka do ognia. To, jak go ostrożnie ciągnął, za bardzo przypominało mi mnie samą.

Pojawili się pierwsi zalotnicy. Dawali mi lód, ale nie z jaskiń. Wystarczyło nań spojrzeć, dotknąć go czy spróbować, by zrozumieć, że wykopano go z trocin w stodole, przyniesiono z nad strumienia albo z lodowca na szczycie góry. Lato stało się zimą, ale nikt nie wykonał zadania.

Bracia, którym w końcu się to udało, byli wysocy i mieli włosy w lisim kolorze. Ale na tym kończyły się podobieństwa. Starszy miał szeroką klatkę piersiową i był twardy jak kamień. Patrzył niechętnie dokoła swoimi brązowymi oczami. Miał brudną twarz, kiedy przedstawiał się ojcu. Młodszy stał za nim i patrzył w ziemię. Był szczupły i opierał się na jednej nodze. Wyglądał na kogoś, kogo mogłabym złamać.

Przyjechali na przedwiośnie. Inni klękali, żeby podać mi swój dar, ale teraz starszy z braci rzucił mi tylko sakiewkę. Jeszcze zanim ją otworzyłam, wiedziałam, że będę musiała go poślubić.

Lód był piękny. Jeszcze igrały w nim zielone ogniki, które podobno gnieździły się w niebie nad jaskiniami. Poza tym pocięli go w delikatną kostkę. Spojrzałam na ciężkie łapska pierwszego z braci, a potem wąskie palce drugiego. To on zajmował się cięciem tego lodu. Wciąż trzymał spuszczoną głowę, jakby się siebie wstydził. Nie widziałam jego twarzy.

Pierwszy brat powiedział głośno, o co im chodzi – nie potrzebowali żony, tylko służącej. Po mi-nach rodziców widziałam, że nie dbają o to kto, byle tylko wszystko odbyło się według ustalonych zasad. Nie mogli mnie ocalić. Nie chcieli.

Więc połknęłam lód.

Pozostawił on płonący ślad w moim przełyku i objął żołądek niczym niebieski płomień. Zwinął się tam, posyłając swoje wici do moich nóg i ramion. Wymroził resztki życia z mojego obumarłego serca i opóźnił pracę umysłu. Myślałam szybko, ale teraz została mi dosłownie chwila, by poczuć strach, zanim moje myśli obróciły się w zimny miód.

Usłyszałam odległy jęk matki i pełen przerażenia okrzyk ojca. Patrzyłam na wszystko przez kraty z zamrożonych łez: na kłótnię braci i to, jak starszy zarzucił mnie sobie na ramię jak worek. Moja najmłodsza siostra zatopiła jeszcze zęby w mojej dłoni, zanim mnie wynieśli, a potem odskoczyła, kaszląc.

Bracia przywiązali mnie do konia, który stanowił mój posąg. Nie widziałam nic poza zasloną moich włosów i marznących na biało obłoków wydychanego powietrza.

Ktoś śledził nas od zamkowego podwórka – błotnistą drogą, potem lasem. Ktoś, kto sprawiał, że pulsowała mi głowa, a przed oczami zapalały się iskry. Słyszałam odgłosy kroków, które były jak echo kroków braci. Byłam zamrożona, przeznaczona do życia jako służąca, ale i tak największym strachem napełniał mnie ten, kto nas śledził.

Kiedy bracia zatrzymali się, żeby rozbić obóz, zostawili mnie związaną ciasno, wyprostowaną na koniu. Usłyszałam śmiech starszego z nich i trzask ognia jakby z głębi studni. Dużo później rozwiązali mi ręce, zdjęli mnie z konia i położyli pod drzewem.

Kiedy zasnęli, przesunął się lód, który spoczywał niby zamrożony węgiel w moim brzuchu. Powoli zaczęłam odmarzać. Najpierw oczy i usta, potem zaczęło się mrowienie w palcach i zaczęłam drzeć. Kiedy znowu poczułam się silna, uwolniłam się z więzów i podeszłam do starszego brata. Był teraz nawet brzydszy, bo twarz wykrzywiły mu okrutne sny. Pochyliłam się nad nim i przystawiłam usta do jego ust. Dmuchałam do jego wnętrza moim mrozem i nienawiścią. Zatrząsał się tylko i wydał ostatni, zepsuty oddech, a jego serce zamarzło, zanim zorientował się, co się dzieje.

Podeszłam do konia i przez chwilę nasłuchiwałam, czy kogoś nie ma obok. Słuchałam nawet w mroźnym półśnie, choć wiedziałam, że nie mogłabym się już bronić.

Mijały godziny, powietrze posrebrzało, a okrzyk młodszego brata rozdarł powietrze.

Chodził po ziemi, która powoli tajała. Jakaś wewnętrzna ruchoma część mnie kazała przygotować się na kopniak, który jednak nie nastąpił.

Młodszy brat przykucnął tylko i chuchnął ciepłym powietrzem na moje powieki.

Odtajały na chwilę, ale zaraz zamarły. Mnie jednak udało się unieść gałki oczne w oczodołach. Po raz pierwszy w czasie tej podróży patrzyłam na ludzką twarz. Na brudne rude włosy.

– Hej, Alice – szepnął.

Patrzyłam i patrzyłam, czując, że coraz bardziej mi kogoś przypomina. Moje słowa przypominały syk, a palec ledwo się poruszył w przestrzeni nad piersią.

– Spróbuj – szepnął tak cicho, że słowo przypominało oddech. – Przypomnij sobie.

Widziałam go dwukrotnie, zanim jeszcze przyjechał z bratem, ale nie pamiętałam kiedy i jak. Nie był nikim z rodziny ani służącym, ani rycerzem. „Kim on jest?” – pomyślałam. Widziałam zakurzone, niebieski bok powozu, leżące na ziemi koło.

Coś tu się nie zgadzało.

Zobaczyłam zardzewiałego starego buicka i koło hula-hoop, którym kręciłam zaciekle, kiedy zatrzymał się obok.

– Cześć – powiedział.

Zignorowałam go, zdenerwowana, bo upadło mi koło.

– Jestem przyjacielem twojej babki – wyjaśnił. – Tej pisarki, Althei Proserpine. Bardzo chce cię poznać. Pojedziesz do niej ze mną?

Uniosłam gwałtownie głowę.

– A czy ma konie?

– I to dużo. W dodatku basen. Bardzo na ciebie czeka, Alice.

Pozwoliłam, by koło opadło, i wsiadłam do samochodu. Stuknęłam o siebie obcasami moich kowbojskich butów jak Dorotka na szczęście i ruszyliśmy.

To wspomnienie przebiło się przez delikatną sieć, która utrzymywała w całości mój świat. Drżałam i tajałam na trawie, ociekając wodą z głową pełną wizji. Kobieta w białym kombinezonie z oparzeniami po petach. Jej ciche przekleństwa, kiedy prowadzi mnie do morza świateł stopu na drodze przed nami. „Śpij dalej, Alice”.

Jej imię? Jak się nazywała? Wspomnienia kotłowały się we mnie – bożonarodzeniowe światełka na białej ścianie, to, jak zabierała swoje nogi spod moich wczesnym rankiem. Zapach ziaren kawy, taniego makaronu, przypalonej szalwii. Cierpki trzask mojej kostki, kiedy spadłam z dzikiej jabłonki, a ona nie zdążyła mnie złapać. To poczucie, że mam ją obok w świecie, niewidzialne światło, które pozwalało nam siebie odnajdywać.

– Ella – wydusiłam z zamrożonego gardła.

Mężczyzna nie usłyszał i pochylił ucho.

– Pamiętasz mnie?

– Niebieski buick.

Uśmiechnął się.

– Już ją zmieniamy – szepnął. – Już prawie udało się ją przerwać. Musisz do mnie dołączyć, żeby mi pomóc.

– Dlaczego...

– Bo nie jestem kartką w książce – powiedział, biorąc w dłonie moją głowę.

A potem wrzasnął jak królik, a resztki lodu wygotowały się z mojej krwi.

Upadł na mnie i przycisnął do ziemi. Wciąż byłam słaba i wydobyć się spod niego zajęło mi więcej czasu, niż powinno. Zauważyłam toporek w jego plecach. Tuż za nim stał jego brat, przygarbiony i zmarznięty, patrzący na mnie martwymi oczami. Powietrze wokół mieniło się srebrnymi iskrami, tak jasnymi, że musiałam zacisnąć powieki. Ale nawet przez nie widziałam jasne rozbłyski – lśniąca tapiserię z pojedynczych wątków. Małe, jeszcze jaśniejsze iskry przebiegały jak pajęczki wokół utworzonej przez nas dziury – dziury w kształcie rudego brata, który próbował zmienić naszą historię. Z trudem otworzyłam powieki i zobaczyłam, że czyjeś niewidzialne palce łączą i zszywają wątki.

Kilka drobnych pajęczków światła skoczyło w moją stronę. Pisnęłam i się cofnęłam, ale zimno spowalniało moje ruchy. Jedna z iskier dosięgła mojej skroni i wżarła się w nią jak drobina żaru z ogniska. Najpierw poczułam ją na skórze, a potem w ciele – zagnieździła się tam i zaczęła zmieniać mój mózg.

– Ella – westchnęłam, mając ją przed oczami. Jej orzechowe oczy, długie jasne włosy... nie! Nie, to nie była ona, tylko druga matka. Ta, która była na tyle okrutna, że pozwoliła, bym rosła jak dzikie wino.

W moją stronę skoczyło więcej iskier, a rudzielec poruszył się niezdarnie na ziemi. Jego brat upadł. Znowu był martwy po tym, jak zrobił to, czego wymagała od niego historia.

– Bajarka – szepnęłam.

Przypomniałam sobie ją samą i to, jak szłam za nią niczym bezpański pies w samym pokręconym sercu Uroczyska. Do historii, z której chciałam się wyrwać dawno, dawno temu. Bo nie była ona życiem, a właśnie historią.

Kiedy już było za późno, powiedziała mi, że nie ma z niej wyjścia. Ale nie powiedziała, że to dlatego, że historia może walczyć o siebie. Pajęczkowe iskry wciąż pracowały w powietrzu, scalając wątki. Wyjęły toporek z pleców młodszego brata, wpiły się w mój mózg, postawiły go na nogi i zagoiły ranę.



Zrozumiałam, że nie mógł umrzeć. Do chwili, kiedy nie przyjdzie na to czas w historii. I to ja miałam go zabić, podobnie jak zabiłam jego brata, bo w tej historii to ja byłam potworem.

Ale czy naprawdę taka jestem? Przerazenie sprawiło, że stężała mi skóra. Iskry odbijały się od niej jak od kowadła. Trzymałam się tego niepewnego uczucia strachu i wściekłości. Nie mogłam pozwolić, by tak właśnie zakończyła się moja historia.

Rudzielec wstał, ale z trudem. Miał dzikie oczy. Pochylił się i zwymiotował rozwodnioną żółcią.

– Musimy jechać – powiedział. – Zanim...

Zanim to samo zdarzy się po raz kolejny. Stałam między nim a ciałem jego brata. Jeśli jestem potworem, to przynajmniej usłużnym.

– Wsiadaj na konia – rzuciłam.

Przygalopował spieniony, jakby był na novocainie.

Złapałam toporek, który leżał obok zabitego. Wątki załśniły życiem, gniewny matriks, który zacisnął się wokół mojej dłoni i zaczął ją kasać – ból był najpierw irydujący, a potem nie do zniesienia.

– Wsiadaj na konia – powiedziałam, odwracając się od mojej skwierczącej skóry. – Szybko!

Rudzielec wdrapał się na mojego posażnego konia, wciąż ciężko oddychając. Jego brat poruszył się, a potem wstał chwiejnie. Jego ruchy były na tyle ludzkie, że różnica wydawała się przerażająca.

Zacisnęłam płonące dłonie na rękojeści toporka. Trup popatrzył na mnie oczami, które przypominały zamrożone niezapominajki, i rzucił się w moją stronę.

Poczułam pot i lód, a także coś cuchnącego i nieokreślonego, zanim zamachnęłam się dziko. Toporek wbił się w jego bark z nieprzyjemnym dźwiękiem deptanego błota.

Starszy brat popatrzył na toporek, a potem na mnie. Przysięgłabym, że się uśmiechnął do mnie swoimi małymi, szarymi zębami, a potem zacisnął dłonie na moim gardle.

Czy w historii naprawdę można umrzeć?

Może nie.

Ale umiera się w zbudowanym dla niej świecie, pełnym okrutnych królowych, ciemnokich królewien i mężczyzn z wielkimi łapskami, stworzonymi do duszenia. Przynajmniej przez jakiś czas. Moja wizja otworzyła się i zamknęła jak skrzydła motyla, a głowa poleciała mi do przodu. Trup znowu się zaśmiał, aż się wygięłam w łuk i przystawiłam usta do jego warg.

Chuchnęłam. Tym razem nie był to lód. Coś przeciwnego – gorączka i wściekłość związane z tym, że oderwano mnie od Elli. Że uwięziono mnie tutaj. A jakaś daleka Bajarka, która sama nie miała nic do stracenia, zmusiła mnie do tego, żebym została morderczynią. Słuchałam jej, bo dziewczyna, która nic nie robi w bajce, zwykle kończy w grobie albo gorzej, a taka, która coś robi, może przynajmniej liczyć na nagrodę.

Moją nagrodą było właśnie to: smak metalu i potu na wargach przypominających zimne larwy. Trup rozluźnił uścisk. Jego ręce opadły. Wydał przerażający dźwięk rżącego motoru, a potem upadł na ziemię. Pochyliłam głowę na bok i wyciągnęłam toporek z jego piersi.

Kiedy się obróciłam, czułam się tak, jakbym miała na sobie dwudziestotonową, pokrytą lodem zbroję. Szłam drżąca w stronę konia. Spłoszył się na mój widok, czy raczej na widok iskier, które jak insekty krążyły wokół mnie. Rudowłosy brat pochylił się i szepnął mi coś miłego do ucha.

W tym momencie wyraźnie było widać osnowę tego świata, która lśniąc, krążyła nitkami wokół nas. Uniosłam toporek i cięłam nici między mną a koniem, ale nic się nie zmieniło.

– Cholerrra! – wrzasnęłam.

Padłam na kolana i zaczęłam się czołgać. Otoczony lśniącym, rozedrganym pierwotnym kodem świata koń zrobił to, co sama chciałam zrobić – cofnął się przerażony i uciekł.

Rudzielec zsiadł z łomotem i zaczął lamentować, aż zabrakło mu tchu. Iskry zaskwierczały i zblały. Znowu był tylko on. Ja. Trup na ziemi. Poczułam coś w żołądku – znowu zbierał się tam lód.

Powietrze przed nami zaczęło śnieżyć jak zepsuty telewizor i... znowu pojawił się koń. Pusta przestrzeń, a potem znowu wypełniał ją koń. Taki sam, ale tym razem z klapkami na oczach.

– Nie, to niemożliwe – powiedział złamanym głosem młodszy brat.

To było możliwe. To się działo.

„Ella Ella Ellaellaellalala” – powtarzałam to imię, aż w końcu stało się w mojej głowie jedną bolesną sylabą. Co mogło znaczyć? Kiedy przestałam o nim intensywnie myśleć, zniknął jasny ból,

który czułam za oczami.

„Nie ma stąd wyjścia. Nie od wewnątrz”.

Zimno rozprzestrzeniało się we mnie jak kudzu. Jego palce przesunęły się do mojego gardła i wkrótce miały dotrzeć do moich czarnych oczu. Lśniące powietrze zbladło do szarości. Nie pamiętałam, dlaczego mężczyzna obok płakał.

Opadłam na ziemię, spodziewając się, że ktoś zaciśnie sznur wokół moich nadgarstków.

I nagle powietrze wokół rozjarzyło się jak choinka. Zbliżały się do nas dwie postacie, które sprawiały, że osnowa świata tak zajaśniała.

Młody mężczyzna i starsza kobieta. Na... rowerach. Jechali na rowerach: czerwonym i zielonym.

– Łap jej stopy! – krzyknął chłopak. Mówił łamiącym się, obcym głosem, jakby miał zadziory w gardle. Miał ciemną skórę i burzę ciemnych włosów, a także płonące jasno, skoncentrowane oczy drapieźnika.

Nagle wspomnienie przebiło się przez potworny chłód.

To on wciąż za mną chodził. Nie tylko dzisiaj, ale przez całe życie. Na dworze, w lesie. Na zamkowym podwórku, zanim go stamtąd wywleczono. To przez niego bolała mnie głowa, a przed oczami zaczynały płonąć iskry.

Doskoczył do mnie i złapał za nadgarstek. Jego dotyk sprawił, że obudziły się moje zmysły. Walczyłam instynktownie z nim, a także z kobietą z siwymi włosami w niebieskiej tunice, która próbowała trzymać moje stopy.

– Alice. Cholera, Alice. – Chłopak zrobił unik, kiedy wyswobodziłam rękę i rzuciłam się na niego z pazurami.

Wtedy go poznałam. Zesztywniałam tak nagle, że mnie puścili.

– Finch.

– Tak. Nie mamy czasu na pogaduszki, musisz się z tego wyrwać.

Miałam mu coś do powiedzenia. Niemal go pamiętałam – był dla mnie kimś ważnym. Zobaczyłam krew i drzewa, i niebo pełne gwiazd.

– Ale... przecież nie żyjesz. Prawda?

Kiedy pochylił się, żeby mnie lepiej słyszeć, zobaczyłam rozmazaną bliznę na jego gardle, coś w rodzaju śladu po sznurze.

– Niedokładnie. Czy możesz... możesz stanąć? Tak będzie nam wygodniej. Ale oczywiście będę cię włókł, jeśli nie znajdę innego wyjścia. Kiedy zapomnisz, kim jestem.

– To mnie nie puszcza, Finch.

– Sprawdziliśmy to i powinno – odezwała się kobieta surowym głosem.

Popatrzyłam na nią wielkimi oczami.

– Janet?

Uśmiechnęła się lekko i wskazała głową rudego brata, który przykucnął w milczeniu.

– Przyjaciel czy wróg?

– Chyba przyjaciel. Tak, na pewno.

Janet pomogła mu wstać, ale on wciąż nie mówił. Lśniące żyły świata zaczęły znikać – nie były już tak bliskie i oślepiające, ale tliły się gdzieś w oddali.

– Co tu robisz? – spytałam.

– Zająłam się badaniami terenowymi – oznajmiła triumfalnie Janet. – Rozmawiałam z byłymi Historiami i okazuje się, że wszystkie wyrwały się z opowieści na dwa sposoby: albo uwolniła je Bajarka, albo jakieś zdarzenie. A te zdarzenia zawsze wiązały się z uchodźcami, którzy pojawiali się gdzieś w nieodpowiednim czasie. Z tego, co udało się ustalić. – Urwała i spojrzała na mnie i Fincha. – Ale przecież wcale o to nie pytałyście.

– Twoje oczy są czarne od końca do końca – powiedział Finch. Głos miał pokrętny i szorstki.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Dotknął mojej brody i syknął.

– Boże, jesteś... jesteś jak lód. No jasne. Ale nie mamy na to czasu. Siadaj na rower.

Był teraz inny niż w moich mglistych wspomnieniach. Szerszy w barach. Miał krótsze włosy, a na ramionach blizny – srebrne znaki i ślady po przypiekaniu, a także wyraźne zmiany tkanki. Najlepiej pamiętałam jego oczy, które teraz wydawały się bardzo zmęczone.

Uniosłam spódnicę i wsiadłam na rower Janet, a rudy brat wsiadł na rower Fincha. Kiedy ruszyli z dwiema Historiami na ramie, obejrzałam się jeszcze za siebie. Koń, który powinien tam być, zniknął nagle w powodzi iskier.

Jechaliśmy w stronę płonących światła. Nastawiłam się na oderwanie od swojej galaktyki czy też potworny ból związany z jazdą w ogniu.

Ale jego ściana blakła wraz z tym, jak się do niej zbliżaliśmy. Wciąż była przed nami, poza naszym zasięgiem i wciąż tylko groziła tym, że nas osłepi. Janet sapała, pedałując przez wiosenne błoto. Przejechaliśmy obok kępy drzew, rzędu dzikich krzaków i drzewa, które przypominało wierzbę płaczącą w załazku. Minęliśmy je raz jeszcze: drzewa, krzaki, wierzbę. I znowu, aż w końcu zrozumiałam, że wpadliśmy w drzewną pętlę.

Dostawaliśmy szansę, by zawrócić. Co minutę na kwitnącej wierzbowej gałęzi pojawiał się ten sam ptak z niebieską piersią i śpiewał tę samą złożoną z czterech nut piosenkę, która była reprimendą.

– Janet! – zawołał ostrzegawczo Finch.

– Widzę.

– Stop! – wrzasnęłam.

Janet się zatrzymała.

Zesliznęłam się z roweru, przeszłam parę niepewnych kroków i obróciłam się w ich stronę.

– Nie idźcie za mną.

Sama podeszłam do lśniącej ściany. Ciągnęła się bez końca, niczym sieć zwieszona z chłodnego słońca Uroczyśka. Pozostała na swoim miejscu, więc mogłam dosięgnąć. Szłam, aż nie mogłam utrzymać otwartych oczu, a potem stałam skąpana w jej świetle.

Co by zrobiła Althea? Kobieta, która zbudowała most między dwoma światami, a potem je zeknęła, jak rękę i rękawiczkę?

Myślałam o niej, jak stała w ciemności z córką, wiele lat i światów temu, i jak opowiadała historię. Pomyślałam o napisanych przez nią słowach, które spływały z wielu języków na wielu kontywentach, tworząc szczeliny w ścianie świata.

– Dawno, dawno temu – szepnęłam – była dziewczynka, której udało się uciec.

Światło widziane przez powieki nieco przyciemniało. Może.

– Dawno, dawno temu była dziewczynka, która zmieniła swój los – powiedziałam głośnie. Nizałam te słowa jak koraliki na sznurek. Jakbym opowiadała historię albo budowała most. Mogłam wspinać się wciąż wyżej i wyżej, jak pajaczek z dziecięcego wierszyka.

– Wyrosła jako uchodźczyni, gdyż żyła w innym miejscu. – Wyciągnęłam palce, czując, jak ich lód styka się ze skwierczeniem ściany. – Pamiętała swoją prawdziwą matkę, którą zostawiła w świecie złożonym z atomów, cząsteczek i przyczyn. Nie historii. Dlatego wyrwała dziurę w tym świecie, by wrócić do domu.

– I żyła długo i szczęśliwie w miejscu tak bardzo odległym od Uroczyśka – ciągnęłam. Błagałam: – A mróz opuścił ją i odnalazła swoją prawdziwą matkę w świecie, w którym ją zostawiła.

Wolno, bardzo wolno otworzyłam oczy.

W ścianie przede mną była dziura. Powietrze wokół niej lśniło jak ostatnie ślady po fajerwerkach. Była akurat mojej wielkości. Wystawiłam rękę do tyłu i machnęłam.

Szprychy dwóch zardzewiałych rowerów przybliżyły się, ale dziura pozostała. Trzymałam wyciągniętą rękę, aż zacisnęły się na niej ciepłe i pewne palce Fincha. Pochyliłam głowę i przeprowadziłam go przez dziurę, którą sama zrobiłam. Za nami przeszli Janet i brat z bajki.

Kiedy wyszłam poza granice historii, poczułam to w zębach, pępku i korzonkach włosów. Rudzielec jęknął i oparł się ciężko o Janet. Finch objął mnie i jego ciepło zneutralizowało mój chłód.

Staliśmy na obrzeżu płytkiej doliny wypełnionej do kolan mgłą.

Wciągnęłam do płuc powietrze pachnące deszczem i grillem. Nieopodal przez mgłę sięgającą jej prawie do szyi szła dziewczynka. A obok niej mężczyzna w białej koszulce, który nagle wziął ją na barana. Dziewczynka miała na nogach wysłużone rolki.

Cała byłam pokurczona i półsenna. Słońce świeciło mocno. Byłam głodna. Nos mnie swędział, jakbym się nabawiła jakiejś alergii, i cuchnęłam. Finch też. Był to kwaśny, ludzki zapach, który na-

pełniał mnie tęsknotą. Rudzielec pokuśtykał przed siebie z szeroko otwartymi oczami. Oglądał się za siebie na drzewa, a potem popatrzył na swoje ręce.

Opadłam na trawę i zaczęłam płakać. Mogłabym przysiąc, że z moich oczu spływała lśniąca czern.

– Uratowałeś mnie – powiedziałam, kiedy odzyskałam głos.

– Próbowałem – odparł Finch. – Ale chyba w końcu zrobiłaś to sama.

Potrząsnęłam głową, wciąż mając przed oczami konia, który nagle się zmaterializował.

– Nie, to było zbyt... Wiele lat żyłam w tym czymś. Tej historii. – Nagle ujrzałam ją samą niczym karuzelę. Zimną królową, niezainteresowanego mną króla, moje własne ciemne sprawki. – Ciekawe, jak długo?

– Nie mam pojęcia – odparł cicho Finch. – Czas tu płynie inaczej, więc nikt go nie śledzi.

– Jak to się stało, że jesteś żywy?

– Ten stwór, który podciął mi gardło, musiał wrócić do własnej historii i porzucił mnie blisko wioski uchodźców. Miałem umrzeć, ale mnie odratowali. Trochę to trwało.

– A Janet?

– Szybko doszliśmy do tego, że mamy wspólną znajomą – wtrąciła. – A potem dowiedzieliśmy się, co się z tobą stało, i zdecydowaliśmy się, cóż... trochę ci pomóc. To był jego pomysł. – Popatrzyła na Fincha, a jej matczyna duma sprawiła, że serce zabiło mi mocniej.

– Byłeś przy mnie – rzuciłam. – Byłeś cały czas. Gdzieś na Obrzeżach, żebym nie zauważyła.

Finch zaśmiał się.

– Do licha, Alice! I tak wiedziałem, że mnie w końcu dostrzeżesz. – Jego śmiech zmienił się na głębszy, męski. Poczułam się przy nim onieśmielona.

– Hej!

Zauważył nas mężczyzna w białej koszulce i teraz machał do nas z morza mgły. Zaniósł córkę do jednej z chat na zboczu doliny, a potem podbiegł do nas. Ale nie za blisko.

– Życzę szczęśliwej podróży – powiedział ostrożnie.

– Masz wodę? – spytała bezceremonialnie Janet. – Na pewno im się przyda. – Wskazała mnie i rudego brata.

Mężczyzna spojrział na nas przyjaźnie i się uśmiechnął.

– Ja też jestem byłą Historią – powiedział.

– Skąd... – zaczęłam.

– Ubrania. I zapach. Jakby palonych włosów i wiecie... – Szczypnął powietrze palcami. – Ten magiczny zapach.

Był przystojny. Dwadzieścia lat temu mógł być księciem. Albo krętaczem. W Uroczysku nie było miłych historii.

Przyniósł nam wiadro wody, a ja piłam i piłam, aż miałam brzuch jak balon. Rudowłosy towarzyszył mi w milczeniu. Cmokał ustami i pozwalał, by woda ciekła mu po brodzie.

– Czuję jej smak – powiedział. – Jest słodka i... pylista. Tak jak kamień. Czujesz?

Wiedziałam, o co mu chodzi. Wszystko, co jadłam lub piłam w historii, blade przy elektryzującym smaku tej wody.

– Tak, czuję – powtórzył.

Popatrzył na swoje palce, przeciągnął nimi przez powietrze, jakby chciał coś zrobić.

– Popatrzcie, to wszystko ja. To moje. – Spojrział na mnie ostro, nagle przestraszony. – To już koniec, prawda? Żadnych więcej historii? Żadnego umierania?

Kątem oka widziałam Janet, kręcącą się tuż za moimi plecami, gotową, by zadawać kolejne pytania. Zignorowałam i ją, i Fincha. Popatrzyłam na mężczyznę, który poszedł za mną aż do innego świata i dał rzeczy, które pozwoliły mi przejść przez Las-Połowy-Drogi.

Oczy miał orzechowe, a na policzkach duże piegi. Te szczegóły przyprawiły o zawrót głowy. Czy Bajarka stworzyła go właśnie takim? Czy zdecydowała, że lewe oko będzie miał nieco ciemniejsze? Czy zaplanowała, że tak bardzo będzie lubił miód?

– Dlaczego mnie zabrałeś? – spytałam, starając się, by zabrzmiało to łagodnie.

Uśmiechnął się lekko, patrząc nieobecny wzrokiem.

– To dla niej. Dla złodziejki.

– Złodziejki? Chodzi ci o... Ellę?

Wylał sobie na głowę kubek wody i wystawił twarz do słońca.

– Zanim ukradła cię, chciała ukraść mnie.

Och! Moja matka spędziła u Althei czternaście lat. Ale nie była sama, bo miała obok Las-Półowy-Drogi.

– Ale jeśli ją kochałeś, to dlaczego... dlaczego chciałeś mnie zabrać?

– Chciałem jej pomóc. Tobie też. No i sobie. Nigdy nie byłabyś wolna w tamtym świecie. Musieliśmy wyjść z tej historii. I chyba miałem rację. Nie czułaś się tam wolna, prawda?

Skinęłam głowę. Czułam się ogłuszona i pusta, patrząc na tego mężczyznę, którego mogła kiedyś pokochać moja matka. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiałem, ile musiała dla mnie poświęcić. Nie poznaję sekretów jej innego życia.

– I co dalej? – spytałam szorstko. – Pójdiesz przez las, żeby ją odszukać?

Uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam, że musiało go to sporo kosztować. Wyglądał na tyle młodo, że mógł uchodzić za studenta. Poczułam ukłucie w moim głupim stęsknionym sercu na myśl, że kiedyś wydawało mi się, że może jest moim ojcem.

– Od czasu, kiedy ją kochałem, minęło zbyt wiele cykli mojego życia – odparł. – Zbyt wiele razy umarłem. To nic nie... Pozostało tylko echo.

Pozostało tylko echo. Czy tak samo będzie ze mną? W pewnych chwilach nawet sprzed historii – chwilach dzikich i nienawistnych – miałam poczucie, że mam Uroczysko we krwi i być może powinnam tutaj zostać. Być może w tamtym świecie nie ma już Elli... Może należę do Uroczyska, gdzie moje kości rosną w nocy, oczy są jak dwie sadzawki, a komórki ciała tworzy ten sam dziwny budulec co drzewa, wodę i ziemię.

Czułam jednak mrowienie skóry. Gdzieś daleko w innym czasie mijały kolejne dni mojej matki. Musiałam do niej wrócić. Niezależnie od tego, czy minęło siedem, czy siedemdziesiąt lat. Musiałam do niej dotrzeć. Musiałam pokazać, że jestem już była Historią, a nie po prostu ukradzioną.

Odwróciłam się od rudego brata.

– Jak mogę dojść do granicy?

Przystojny nieznajomy wycofał się grzecznie w czasie naszej rozmowy, udając, że nas nie słyszy. Teraz jego twarz zamknęła się jak pięść i wskazał szerokim gestem ziemię za doliną.

– Nie wiem, co tam na ciebie czeka – powiedział. – Ale tak czy tak, życzę ci szczęśliwej podróży.

Obróciłam się do Fincha.

– Już czas. Chodźmy do domu.

Popatrzył na mnie przepraszająco. Janet dotknęła delikatnie rękawa rudego brata i odprowadziła go na bok.

– Alice – bąknął Finch.

Nagle zaświtało mi coś, czego powinnam już się domyślić.

– Chcesz zostać, prawda?

Westchnął, wziął mnie za ramię i ruszyliśmy we mgłę. Najpierw wiała się wokół naszych kolan, potem wokół bioder i wyżej. Była łagodna i plastyczna, a jej dotyk przypominał dotyk wilgotnych płatków na mojej skórze.

Niezależnie do tego, ile czasu minęło w tym czy tamtym świecie, Finch się zmienił. Dorósł. Na obrzeżach mojej historii, w tym brutalnym świecie fantazji. Ale przecież nie było to całe jego życie. Musiał mieć kontakt z innymi uchodźcami. Wyobraziłam go sobie w ich barze, jak zakochuje się w jakiejś dziewczynie ze świata. W moich myślach miała uśmiech bez śladu cienia i doskonale dżinsy.

Czułam się coraz bardziej człowiekiem.

– Tak, zostaję – odpowiedział po paru minutach na moje pytanie.

– Dlaczego?

– Bo zawsze tego chciałem. Oczywiście nie w taki sposób, jak to się stało. To nie powinno tak być. Nie z powodu tych krwawych pieniędzy. – Jego głos zabrzmiał niepewnie, co mnie pocieszyło.

– Rozumiem. A nie wydaje ci się, że już to odkupiłeś?

– Mam nadzieję – odrzekł z powagą. – Ale nie o to chodziło. Chciałem zobaczyć coś od samego początku. I cały czas żyłem tutaj, w tym świecie. Wcale nie jest taki zły. Na pewno piękny. Dziwny. I większy niż myślisz. Jest tu cały ocean. I lodowe jaskinie, ee... ale to akurat wiesz. Słyszałem, że w górach są jeziora głębokie na trzysta metrów z krystalicznie czystą wodą.

– Bajkowe głupoty.

– Tak. – Zaśmiał się. – Bajkowe głupoty.

– I jest dziewczyna?

Uśmiechnął się. Tak miło, że niemal umarłam ze wstydu.

– Możliwe. Ale możesz mi wierzyć, nie zostawiłbym świata dla dziewczyny.

– Zostawiłbyś. – Pokręciłam głową. Stał się mężczyzną, który zrobiłby jeszcze więcej dla ukochanej osoby.

Nawet dla mnie zrobił tak wiele...

– I co teraz?

– Poszukaj Bajarki. Łatwo ją znajdziesz, bo musi się tu gdzieś kręcić, naprawiać cały bałagan po historii. Pewnie cię szuka.

Chciałam powiedzieć, że sama się czuję jak jeden wielki bałagan. Nie zrobiłam tego jednak. Nie chciałam się uzalać nad sobą przy Finchu. Miałam wrażenie, że stał się na to zbyt dojrzały.

Dołączyliśmy do rudzielca i Janet, która wypytywała go o przerwana historię i o to, jak mnie porwał.

– Sam nauczyłeś się prowadzić i to cię nie zabiło, więc poradzisz sobie z historią – pocieszyła go.

– Komu potrzebna taka historia?

Kiwał głową, roztrzęsiony i niepewny. Rozumiałam go – życie bez mapy mogło być trudne.

Janet popatrzyła na nas twardo.

– Idziesz do swojego świata?

– Pójdiesz ze mną? – rzuciłam pod wpływem impulsu, wiedząc, że odmówi.

Mimo to bolało, gdy to zrobiła, choć starała się być delikatna. Musiałam sama odbyć tę podróż.

Uściskałam Janet i potrzęsłam dłonią rudego brata. A potem stanęłam przed Finchem. Objął mnie, a ostatnia paląca drobina lodu we mnie rozpuściła się i znikła.

Byłam głodna i tak zmęczona, że ziemia wydawała się poruszać jak fale pod moimi stopami. Ale nie ufałam sobie na tyle, by zdecydować się na odpoczynek. Wsiadłam na czerwony rower Janet i ruszyłam na skraj świata.



## 30

Ziemia za doliną była nierówna, usłana kamieniami, na które wpadały koła mojego roweru. Niebo pocętkowane, niebieskie, słońce dziwne. Przez jakiś czas jechałam wzdłuż strumienia, który płynął bezdźwięcznie. Minęłam kamieniołom i przejechałam przez niewiele szerszy od samochodu most, rozpościerający się nad przepaścią, której dna nie mogłam dojrzeć. Ziemia i niebo wydawały się tu niedokończone, jakby były tylko szkicem jakiegoś niecierpliwego artysty. Powietrze było gęste, wypełniała je cisza. Przejechałam przez tunel z jodeł, które poruszały nade mną gałęziami i pachniały niezwykle, jak deszcz na gorącym chodniku. Dalej rozpościerała się droga gruntowa z niekończącymi się równinami po obu stronach. Daleko, daleko na horyzoncie zobaczyłam lśniąca linię. Ocean? Powąchałam, ale nie wyczułam soli.

Jechałam, aż woda w moim żołądku przestała chlupać, i znowu zachciało mi się pić. Kiedy podjechałam na tyle blisko, by dostrzec wodę, okazało się, że jest to pustynia z lśniącymi ziarenkami piasku. Na jej skraju siedziała Bajarka, która wyglądała tak jak za pierwszym razem. Miała na sobie strój lalki i legginsy i siedziała obok leżącego roweru. Piła coś z plastikowego termosu. Podniosła wzrok, dopiero kiedy przed nią stanęłam.

Przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

– Przerwałaś swoją historię. Teraz nie jest warta opowiadania.

– To nie była moja historia, tylko twoja – odpowiedziałam.

– Mam nadzieję, że nie szukasz zemsty?

Ta myśl sprawiła, że poczułam się potwornie zmęczona, prawie bez siły. Potrząsnęłam głową.

– To dobrze. – Wstała i otrzepała piach z legginsów. – Nie mogę ci powiedzieć, co zastaniesz po powrocie – westchnęła. – Tam czas...

– ...płynie inaczej. Tak, wiem.

Zsiadłam z roweru. Nogi miałam jak z waty, prawie się pode mną uginały.

Czy jest jakiś dobry sposób na pożegnanie z moją stworzycielką? Z kobietą, która znowu wtrąciła mnie do mojej smutnej, niekończącej się historii, jakbym była muchą? Uśmiechnęła się na widok mojego zmieszania i zaszalowała jak dziewczynka z jakiegoś starego filmu.

Zrozumiałam, że pożegnanie nie jest potrzebne. Odwróciłam się, wiedząc, że jej oczy będą ostatnią rzeczą, jaką zapamiętam z tego świata, kiedy wszystkie inne wspomnienia stracą swoje kolory.

Weszłam na lśniący piasek tuż nad granicą Uroczyska.

Piasek był jak rozżarzone węgle. Najpierw parzył mi stopy, potem ciało, sprawiając większy ból niż iskry. Nabrałam tchu, żeby krzyczeć, ale ból już mijał. Lśniący piasek był najpierw biały, potem bułany, później trawiasty, aż w końcu stał się trawą. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam zarosnięty trawnik, biegnący aż do zapadniętego domu. Hazel Wood.

Nagle z tej części mnie, która była zbyt zmęczona, by czuć, dosięgło mnie przerażenie. Ilu lat trzeba było, by dom tak bardzo zapadł się w siebie? Z daleka wydawał się malowniczy, ale gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, jak bardzo jest zniszczony. Ten wielki dom wyrósł z ziemi i teraz ziemia próbowała go odzyskać. W połamanych oknach rozpleniło się dzikie wino, trawa wpełzła na schody. Basen wyglądał jak sadzawka z żabami, ale jeszcze gorzej śmierdział.

Kiedy weszłam na pierwsze stopnie, uniosłam rąbek mojej sukni, odsłaniając resztki pantofelków. Podeszłam do drzwi i zastukałam.

Czekałam długo, ale nikt nie otworzył. Drzwi były zamknięte na klucz i chociaż mogłam wejść do środka przez okno, nie miało to sensu. Zapętlony czas Hazel Wood w końcu dobiegł kresu. Jeśli Althea miała szczęście, to już nie żyła.

Nie jej powinnam szukać.

Brama Hazel Wood wychodziła teraz na normalny las. Żadnych przepaści, zagajników czy lśniących drzew. Ruszyłam boso na drogę, czując każdy kamyk, żołądź czy śmieć. Kilka pierwszych aut zwolniło, a kierowcy patrzyli na moją zniszczoną suknię i potargane włosy, opadające niemal do ud. Żaden jednak się nie zatrzymał. Z marek mijających nas samochodów starałam się określić, ile czasu mogło minąć. Przynajmniej nie były to poduszkowce czy coś takiego.

W końcu wyprzedził mnie minivan, który zatrzymał się i cofnął. Prowadziła go staruszka w kapturze od deszczu narzuconym na siwe włosy. Otworzyła szybę po stronie pasażera i popatrzyła na mnie.

– Dlaczego nosisz tak piękną suknię w lesie?

Odwykłam od rozmów z ludźmi. Nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Spróbowałam się uśmiechnąć, by zapewnić ją, że nie ma się czego bać. Zapewne wyglądało to okropnie. Przecież do niedawna byłam prawdziwym baśniowym monstrum.

Pociągnęła nosem.

– Nie musisz na mnie warczeć. Albo zgubiłaś się w czasie balu kostiumowego, albo twoja historia jest znacznie ciekawsza.

– Nie mam historii – odparłam głosem jak zgrzyt nieoliwionych zawiasów.

– Dobrze. Podwieźć cię czy nie?

Skinęłam głową i obeszłam wielką brzydką bryłę, żeby dostać się na miejsce pasażera. Światelka na desce rozdzielczej mrugały jak oczy insektów, a powietrze w środku pachniało nieprawdopodobnie. „Zapach nowego wozu” – przypomniałam sobie. „Trzymaj się, Alice” – powiedziałam w duchu.

– Dziękuję – wymamrotałam jakieś pięć minut później.

– Boże, strasznie cuchniesz – powiedziała. – Czy cię porwano? Udało ci się uciec? Zabrać cię na policję?

– Który rok mamy? – Nie wytrzymałam.

Oczy jej się powiększyły.

– Biedactwo. Naprawdę nie wiesz?

Powiedziała, a ja zamknęłam oczy, słysząc jej słowa. Dwa lata. Od czasu, kiedy poszłam do Hazel Wood, minęły dwa lata. Było lepiej i gorzej, niż mogło być – zadrzałam z powodu ulgi i przerażenia. Kiedy już zaczęłam się trząść, nie mogłam przestać. Owładnęła mną panika, a ja się jej poddałam.

Kiedy byłam mała, próbowałam chodzić po jednej z równoległych metalowych rur, jakby to była lina, ale poślizgnęłam się i spadłam, najpierw na brzuch. Zabrakło mi tchu i mogłam tylko zawodzić tak potwornie, że wystraszyłam inne dzieci.



Teraz wydawałam podobne dźwięki. Nie mogłam ani oddychać, ani przestać. Kobieta obok spanikowała na widok tego, co się ze mną dzieje. Pochyliła się do okna i do kogoś zadzwoniła. Minęła cała wieczność, zanim samochód zatrzymał się z piskiem opon na parkingu przed barem. Czekala tam karetka.

Kiedy sanitariusze otworzyli drzwiczki i mnie chwycili, ucichłam. Cofnęli się, a potem znowu mnie złapali i pomogli stanąć na ziemi.

– Możesz powiedzieć, jak się nazywasz? – zapytał łagodnie jeden z nich, który wyglądał jak chudsza wersja Harolda.

– Ella Proserpine – rzuciłam zrozpaczona.

– Dobrze, Ella. Możesz ze mną pójść? Postaraj się nie ścisnąć tak kolan.

– Nie, Ella to moja mama. Jestem Alice – powiedziałam. – Alice Crewe. Alice Proserpine. Alice-Trzykrotka.

Sanitariusze wymienili spojrzenia nad moją głową i niemal przenieśli mnie do karetki.

W drodze jakoś udało mi się zasnąć. Kiedy się obudziłam, miałam na sobie czystą niebieską szpitalną piżamę. Aż się cofnęłam z powodu strasznego zapachu, dobudziłam się i dopiero zrozumiałam, że smród pochodzi ode mnie. Byłam przekonana, że minęły kolejne dwa lata.

Wciągnęłam powietrze, bo krzyk narastał we mnie coraz bardziej, a potem zobaczyłam ją na szpitalnym krześle. Głowę zwiesiła na pierś, w ciemnych włosach pojawiły się kolejne siwe pasma. Miała na sobie czarną bluzę z kapturem, czarne dżinsy i popękane czerwone buty kowbojskie, które nosiła od zawsze.

Moja matka. Ella Proserpine.



Usiadłam na łóżku, przeczekałam zawroty głowy i postawiłam stopy na podłodze. Poczułam, jak moje mięśnie nachodzą jeden na drugi w dziwny, popieprzony sposób, ale chłodne linoleum złagodziło pulsowanie.

– Ella – szepnęłam. – Mamo.

Podniosła gwałtownie głowę i wciągnęła powietrze przez nos. Uśmiechnęła się na mój widok, a potem westchnęła głęboko, a z jej oczu polały się łzy. Wstała i objęła mnie tak mocno, że aż zaczęło boleć.

Kiedy już się wyplakałyśmy i napatrzyły na swoje twarze, a ja przeliczyłam jej kurcze stopki przy oczach oraz siwe włosy i uznałam, że jakoś sobie daruję stratę tych dwóch lat, Ella rzuciła:

– Wiesz już, prawda? – Wpatrywała się nerwowo w moją twarz.

– Co takiego?

– Kim jestem i co zrobiłam. I że nie jestem tak naprawdę...

– Jesteś – powiedziałam tak, jakbym składała przysięgę. I powtarzałam to, aż mi uwierzyła.

Długo po tym zdarzeniu, kiedy już lekarze mnie zbadali, a Ella przegoniła policjanta, który chciał mnie przesłuchać, a ja niczym głodny pies wchłonęłam wszystko, co mi dali na obiad i jeszcze połowę zawartości automatu z korytarza, Ella opowiedziała mi swoją historię.

Uroczysko zabrało ją od Harolda i umieściło w pustej obskurnej kawalerce na Bronksie. Nie było tam telefonu, schodów przeciwpożarowych czy sąsiadów; nie dało się też otworzyć drzwi czy okien. Po trzech dniach była już potwornie wygłodzona i z krzykiem spróbowała po raz tysięczny otworzyć drzwi.

Tym razem ustąpiły. Nikt ich nie pilnował, nikt nie zatrzymywał, gdy schodziła z trzeciego piętra po schodach i wyszła drżąca na chodnik. Wróciła do Harolda, ale strażnik wezwał policję. Przyjaciółka z pracy dała jej jakieś ubranie i trochę pieniędzy – anulowano jej karty kredytowe, a na koncie sprzed Harolda prawie nie miała środków. Sprzedała swoją biżuterię i podobnie jak my z Finchem wynajęła samochód i ruszyła do Hazel Wood.

Ale Las-Połowy-Drogi nie chciał jej wypuścić. Na początku mieszkała w motelu, a potem znalazła

sobie mieszkanie, a jakże, nad salonem fryzjerskim w Birch. Pracowała w barze, a w wolnych dniach chodziła po lesie i szukała przejścia. Minęły miesiące beznadziei, kiedy w ogóle nie miała szczęścia, aż w końcu pojawiłam się ja sama i podałam sanitariuszom jej nazwisko.

Nigdy nie widziała choćby śladu Uroczyska w lesie czy koło niego. Jej pech minął wraz z tym, jak zniknęłam – choć oczywiście nie ujęła tego w ten sposób. Ale widziałam, że żałowała tego, iż jest odcięta od Lasu-Połowy-Drogi.

– Może jestem już za stara – powiedziała. – Może tak to z nim jest.

– To nie Piotruś Pan – odparłam twardo. – To wolność.

Popatrzyła mi w oczy i się uśmiechnęła.

– Nie ma już w tobie lodu – zauważyła. – Nawet tej odrobiny, którą widziałam tam gdzieś na dnie, ty moja młoda gniewna.

Nigdy nie dała mi odczuć, że jej tego brakuje, ale widziałam, że tak. Przynajmniej trochę. Nie wpadałam już tak łatwo w gniew, byłam bardziej rozważna. Nie żyłam już tak, by każdy dzień wypalił się jak lont i popadł w zapomnienie.

Wymyśliłyśmy historię z amnezją dla policji. Przez jakiś czas pokazywano mnie w wiadomościach i teraz policja hrabstwa obiecała, że powiadomi mnie, jak ustali, co się dokładnie wydarzyło.

Byłam już w domu od paru tygodni, kiedy Ella opowiedziała mi pozostałą część swojej historii. Nie udało jej się odnaleźć Uroczyska, ale trafiła do Hazel Wood. Nie do tego z marzeń, w którym byłam za pierwszym razem, ale zapadniętego, z potłuczonymi oknami, pełnego kotów i gówna. Weszła do środka i odnalazła Altheę w jej gabinecie. Nie żyła od paru dni.

Ręce tylko trochę jej się trzęsły, kiedy mówiła:

– Kiedy pierwszy raz wydawało mi się, że nie żyje, pomyślałam, że nasz pech się skończył. Myślałam, że to ona nasłała na ciebie Uroczysko. Nie sądziłam...

Że to ja. Że to przeze mnie. Że czarna magia ciągnęła się za mną niczym ryba złapana na haczyk.

– W każdym razie wiele zrozumiałam – ciągnęła. – Po pierwsze, że nie ma co wierzyć w listy. I że nie ma sensu uciekać przed swoim dziedzictwem.

Okazało się, że Hazel Wood należy do nas, tak jak kiedyś chciałam. Ella sprzedała je jakiejś kobiecie, która szukała spokojnego miejsca do pisania, a nam kupiła dwupoziomowe mieszkanie na Brooklynie.

Znowu zatrudniła się jako kelnerka, a ja zajmowałam się układaniem żywności w spółdzielni spożywczej, a w pozostałym czasie udawałam, że chcę wrócić do szkoły. W papierach miałam dziewiętnaście lat, a Ella nie chciała mnie do niczego zmuszać.

Jednak nadmiar wolnego czasu sprawiał, że robiłam się niespokojna. Chodziłam godzinami od Brooklynu po Manhattan i z powrotem albo na Coney Island. Zaczęłam ponownie czytać książki, które uwielbiałam, gdy byłam młodsza – wszystkie te tanie wydania zbierane z zakurzonych antykwariatów, stoisk czy bibliotek, a potem porzucane niczym liście.

Kiedy przeczytałam *Boy*, *Snow*, *Bird*, przypomniało mi się Iowa City i to, jak mieszkaliśmy z Ellą w ciasnym domu z prefabrykatów niedaleko domu studenckiego. *Ruchomy zamek Hauru* to była przerobiona szopa w Madison, gdzie koczowałyśmy same jak palec przez trzy miesiące po strasznym pobycie w Chicago. Kiedy czytałam słowa, czułam, jak wspomnienia odsłaniają się w mojej głowie niczym napisy na zaparowanej szybie. Pewnego mroźnego lutowego dnia wniosła dwie szafki na prom na Long Island i czytałam *Wise Child* w czasie rejsu. Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie czerwone kwiaty przy motelu w Los Angeles, gdzie mieszkaliśmy, gdy miałam dziesięć lat. A potem otworzyłam je i wysunęłam język, by złapać nań nowojorskie płatki śniegu. Były niedobre i zapiaszczone jak kwaśny deszcz.

Chodziłam spać w swoim pokoju, ale rano budziłam się obok Elli, czując we włosach jej dłoń. Ścięłam całą ich szopę po wyjściu ze szpitala i teraz odrastały cieńsze i ciemniejsze, bardziej podobne do jej włosów.

– Cii – szeptała tak jak zawsze. – Już po wszystkim.

Widziałam raz Audrey na High Line. Zmieniła styl: używała samoopalacza, wyprostowała włosy i bardzo precyzyjnie na czerwono pomalowała usta. Miała na sobie płaszcz z kołnierzem z *Piotrusia Pana*. Spodobało mi się. Wyglądała jak Amy Winehouse przebrana za Jackie O.

Usiadłyśmy w słońcu na leżakach na pokładzie i zapaliłyśmy wspólnie francuskiego papierosa z paczki, która wyglądała popartowo. Ponieważ Audrey była sobą, nie zapytała od razu o Ellę, o mnie i co się w ogóle z nami działo od czasów, kiedy jej ojciec z pistoletem w dłoni wygonił mnie ze swojego mieszkania w noc, gdzie kręciły się typy gorsze od przestępców.

Uwielbiam ją za to.

Uśmiechnęła się, kiedy zakaszlałam, dusząc się tym importowanym dymkiem, i patrzyła na mnie zza okularów Fendi.

– Już nie jesteś taka twarda, co?

Uczepiłam się tej informacji na temat swojego wyglądu sprzed dwóch lat.

– Byłam twarda? Wtedy, jak razem mieszkałyśmy?

– Wręcz przerażająca. Przecież wiesz. Wyglądałaś jak nawiedzona chińska laleczka. – Popatrzyła na mnie znad okularów oczami jak Izyda. – Teraz wydajesz się trochę... Czy ja wiem? Zagubiona?

– A jak się miewa Harold? – zmieniłam temat.

– Doskonale. Znowu zakochany. Jak zwykle. A jak tam Ella?

Zamyśliłam się, pozwalając, by papieros żarzył się między moimi palcami. Jak miewa się Ella?

– Pozbierana – odparłam w końcu. – Załatwiła te wszystkie... straszne sprawy. Mamy to już za sobą.

– To dobrze. – W głosie Audrey zabrzmiała ostateczna nuta.

Wyjęła papierosa z mojej dłoni i zaciągnęła się raz jeszcze, a potem zdusiła go i włożyła do kieszeni. Uściskała mnie, ale bez przytulania, i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać i przeszłam się koło apartamentowca, w którym mieszkał Ellery Finch, patrząc w jego okna. Oczywiście zniknął w tym samym czasie co ja, ale ojciec musiał go uznać za zbiega. O ile zdołałam ustalić, nie było o nim nawet informacji w gazetach. Być może wynajęli prywatnego detektywa. A może rzeczywiście niewiele ich obchodził, tak jak mu się wydawało. Wątpiłam w to jednak. Trudno mi było sobie wyobrazić, by ktoś taki jak Finch mógł kogoś nie obchodzić.

Czasami mi się śnił. W tych snach robiliśmy razem rzeczy, których nigdy nie udało nam się zrobić w życiu: chodziliśmy po parkach, trzymaliśmy się za ręce w księgarniach. Kiedyś obudziłam się ze snu, w którym brodziliśmy po kolana w wodzie. Stwierdziłam, że myśląc o nim, nie mam już przed oczami tego, jak leży ledwie żywy w lesie. Ten obraz powtarzał mi się w głowie, aż się wypalił.

I pewnie by to trwało wiecznie – ożywiałabym wspomnienia za pomocą książek i snułabym się po Nowym Jorku jak ogłuszona, ale po roku wpadłam na Janet i Ingrid. Siedziały z mrożoną herbatą przed kawiarnią w East Village.

Nagle patrzyłam tylko na nie i szłam tak szybko, że jakaś kobieta przejechała mi wózkami po piętach. Usunęłam jej się z drogi, przepaszając, ale oczy wciąż miałam wbite w twarz Janet. Podeszłam do niej, wyciągając ramiona jak zombie, jakby mogła przede mną uciec.

Wyglądała na zadowoloną z tego spotkania, ale tylko umiarkowanie. Jakby to była miła niespodzianka, a nie nagłe trzęsienie ziemi.

– Wyglądasz znacznie lepiej bez tego szronu – powiedziała, ściskając moje dłonie.

Ingrid skinęła chłodno głową zza swojej szklanki.

– Jak wam się... Skąd...?

– Cii. Usiądź. Zjesz coś? – Ingrid mówiła teraz z wyraźniejszym brytyjskim akcentem, a mniej przypominającym ten z Uroczyska.

Ingrid niechętnie podała mi oleisty kawałek ciasta, zawinięty w pergamin. Jego kawałki ześlizgiwały się jak mokry piasek w dół mojego przełyku, ale zrobiło mi się lepiej.

– Jak wam się udało tu dostać? – spytałam, gdy już odzyskałam mowę.

Janet sięgnęła wyżej dekoltu i wyciągnęła płaską torebkę na sznurku w rodzaju tych, jakie noszą starsze panie, gdy wyjeżdżają na wakacje do dużych miast. Nie wyjęła z niej jednak czeków czy pieniędzy, ale płaską książeczkę.

Była zielona ze złotymi literami na okładce. Na górze było napisane: PASZPORT, a pod spodem: UROCZYSKO. Pomiędzy nimi znajdował się rysunek kwiatu takiego, jak miałam na ramieniu. Wzięłam go ostrożnie, jakby mógł wyparować, i otworzyłam. Wewnątrz było mnóstwo pieczętek,

niektóre z datami, które miały sens, a inne z takimi, które nie miały. Głównie wyobrażały one drzwi, ale na jednej pieczęcie widniał statek, na innej pociąg, na jeszcze innej – stylizowany but. Nie znałam tych miejsc, ich nazwy były tak dziwne, że zapomniałam je, zanim zdołałam zrozumieć.

Uśmiechnęłam się szerzej niż w ciągu ostatnich tygodni.

– Kolejne drzwi. To ty je znalazłaś.

– Nie sama – odparła skromnie Janet. – Pod koniec grupy uchodźców się zmieszały. Niektórzy znali pewne nowe sztuczki, poza tym dużo zależy od właściwych papierów.

– Pod koniec? Koniec czego?

Wyjęła mi paszport z dłoni i włożyła z powrotem do woreczka, który wetknęła pod ubranie.

– Cóż, w Uroczysku nie bardzo się teraz układa. Obawiam się, że trochę przez nas. Jedna prze-rwana historia pociąga za sobą drugą – nie byłaś jedyną skazaną księżniczką, która marzyła o lep-szym zakończeniu.

– Zaraz. Byłam skazana? Na śmierć? Nigdy nie poznałam zakończenia mojej historii.

– I tak chyba jest dobrze, nie sądzisz? Lepiej nie tworzyć samosprawdzających się przepowiedni. W każdym razie, Uroczysko nie jest już takie samo bez Historii. Wszystko się rozmywa.

– Kiedyś niemal wypadłam przez przetarte miejsce – dodała Ingrid.

– Właśnie – potwierdziła Janet. – Zapadła się aż po kolana, a pod sobą miała tylko ciemne niebo i gwiazdy. Ta cholerna historia próbowała usunąć ją z tamtego świata. Ale w końcu nam się udało, więc wszystko jest w porządku.

Ingrid zrobiła minę, jakby nie wszystko było w porządku.

– Finch! Czy Finch wrócił z wami?

Janet zamyśliła się z czułością.

– Nie. Ma przed sobą badanie innych światów. Nie zawsze rodzimy się we właściwym, prawda?

Sama nie wiedziałabym, jak bardzo chcę go jeszcze zobaczyć, gdyby nie okazało się, że jest to niemożliwe.

– Nie mam pojęcia, kim jestem bez tego wszystkiego? – wyrzuciłam z siebie, jakby to był wsty-dliwy sekret.

– Bez Uroczyska? W sumie wróciłaś na krótko...

– Bez lodu.

– Aa, cóż... Nie jesteś pierwsza byłą Historią, która tak czuje. Pewnie masz wrażenie, jakby wy-ssano cię do połowy przez słomkę?

Tak. Właśnie tak było!

– I co mam robić? – spytałam w desperacji.

Dotknęła mojego policzka, a potem napisała mi coś na serwetce. Adres, data, godzina.

W ten sposób dostałam się do gabinetu parapsychologicznego przy Trzydziestej Szóstej Ulicy. Medium jeszcze nie było, zaczynała pracę w południe, a dopiero dochodziła dziesiąta. Była niedzie-la, ale poczekalnia już wypełniła się do połowy klientami o wyjątkowych twarzach. Mieli okrutne albo piękne i delikatne rysy. Przynajmniej paru z nas miało piekielne oczy Mansona, czerwone usta, pogryzione aż do krwi. Mniej więcej dwie trzecie klientów miało nikotynowe plastry, a niemal wszyscy tusz w skórze. Tatuaze pamięci, fragmenty flory z Uroczyska lub zarysy sztyletu, łyzy albo kielicha. Lub drzwi.

Wszyscy też mieliśmy jakąś pustkę w oczach. Coś, co domagało się, by to napełnić. Byli tam też zwykli ludzie, którzy mieszkali w Uroczysku zbyt długo i teraz nie wiedzieli, co począć, ale więk-szość stanowiły byłe Historie. Kiedy ich świat – nasz świat – się rozpadł, przyszły tutaj.

Uchodźcy z Uroczyska zbierali się w gabinecie co tydzień, żeby rozmawiać. Pić kawę. Pogodzić się z tym, co się stało. Dla wielu z nich był to ostatni przystanek przed więzieniem albo domem wa-riatów. Ci najbardziej niebezpieczni, jak Król Wrzosów, już zniknęli. Wtopili się w tłum. Zaszyli gdzieś, gdzie mogli zrobić najwięcej złego, albo zginęli. Kiedy ginie świat, to ze skamleniem. Czu-łam się tam obco, zresztą tak jak wszyscy. Brałam udział w tylu chybionych przyjęciach, że dosko-nale znałam to uczucie. Każdy z nas był osobną wyspą, a zebrano nas w jakiś nieprawdopodobny archipelag.

Układałam płatki, orzeszki pecan i lucumę w proszku na półkach w spółdzielni i starałam się nie

przechodzić w nocy do Elli. Czytałam książki, które pozwalały zasypać wyrwy i przepaści mojej pamięci, i pozwalałam, by Ella wczesywała mi hennę we włosy. W niedzielę piłam kiepską kawę i słuchałam opowieści uchodźców, a te zaczęły mnie powoli wypełniać. Moje wspomnienia stały się gęstsze. Budowałam z nich rusztowanie, na którym miało zawisnąć prawdziwe życie.

Zawarłam pakt z dziewczyną, której wspomnienia były tak krwawe, że nie rozumiałam, jak nie stała się socjopatką: miałyśmy razem pójść do szkoły. Ona po raz pierwszy, a ja kolejny. W tym czasie grupa znalazła już odpowiedniego fałszerza dokumentów dla tych wszystkich, którzy ich potrzebowali. Moja przyjaciółka została Beatą Bay, co jej odradzałam, bo wydawało mi się zbyt bajkowe. Ja pozostałam Alice Proserpine i tylko przesunęłam o dwa lata datę urodzenia. Chciałam, by w papierach było, że mam siedemnaście lat.

Drzwi do Uroczyska zamknęły się, a ono samo zgasło. Nie było już we mnie lodu. Świat Bajarki uwolnił też Fincha. W nocy, gdy nie mogłam spać, wyobrażałam sobie, jak podróżuje po rozgwieżdżonych niebach i przechodzi przez zakurzone drzwi, dziwne światy, które mógł badać jak pojedyncze ziarna kawy.

Czasami po takich niespokojnych nocach budzę się wcześniej rano. Mam zawroty głowy od tych wszystkich dręczących mnie obrazów. Sprawdzam, jak wyglądam. Wkładam ciemne okulary i jeszcze przed przebudzeniem Elli wychodzę na spacer. Piję gorącą herbatę, płynę promem i chucham mocno w dłoń. Kiedy wracam do domu, oczy mam brązowe i bez skazy, można nawet powiedzieć, że wyglądają prawie, prawie jak oczy mojej matki. Elli Proserpine.

## *Podziękowania*

Pragnę przede wszystkim podziękować mojej wspaniałej agentce Faye Bender, która cierpliwie pomagała mi zrozumieć tajniki powstawania książki, a następnie jak czarodziejka tchnęła w nią życie. Moi przyjaciele i rodzina mieli już dość mojego powtarzania „Uwielbiam Faye”, dlatego teraz kieruję te słowa do potomności: „Uwielbiam Faye”.

Dziękuję Sarah Dotts Barley, którą pokochała moja książka, za to, że sprawiła, iż proces wydawniczy odbywał się tak gładko, szybko i był tak miły i ekscytujący. Trudno mi sobie wyobrazić lepszą doradczynię i propagatorkę mojej książki i lepsze wydawnictwo niż Flatiron/Macmillan. Dziękuję też Amy Einhorn, Liz Keenan, Emily Walters, Patricii Cave, Nancy Trypuc, Robertowi Allenowi i zespołowi, który przygotował wersję audio: Annie Gorovoy, Keithowi Hayesowi, Lenie Shekhter i Molly Fonseca. A za wspaniałą okładkę, ilustracje i wyklejki, Jimowi Tierneyowi.

Dziękuję Mary Pender-Coplan, wspaniałej agentce filmowej, a także tym, którzy rozpropagowali tę książkę po świecie: Lorze Fountain (i Léo Torchinskiemu), Iai Atterholm, Sebastianowi Ritscherowi, Nicole Meillaud i Annelie Geissler z Mohrbooks; Grayowi Tanowi i Clare Chi z Grayhawk Agency i Lucy Fisher, Lucasowi Wiesendangerowi i Charliemu Morrisonowi z Red Wagon Entertainment.

Pragnę też złożyć podziękowania moim rodzicom, Steve’owi i Diane Albert, za szczęśliwe, bezpieczne dzieciństwo i za to, że mogłam się zagubić w fikcyjnych światach, na czym cierpiało moje życie towarzyskie, wzrok i reputacja w bibliotece Cook Memorial. Kocham was bardzo.

Dziękuję Bryanowi, towarzyszkowi dziecięcych psot. I Amy, towarzyszcze zabaw w dzieciństwie, a teraz najlepszej przyjaciółce na zawsze.

Dziękuję moim pierwszym czytelniczkom, a także doskonałym pisarkom: Jeanmarie Anayi, Natalie Zutter i Jennifer Kaweki. Dziękuję Emmie Chastain, której doskonałe, przenikliwe piarstwo nie przestaje mnie inspirować, za jej zachęty do pracy. Jednej z autorek najzabawniejszych książek jakie znam, Molly Schoemann-McCann, za to, że przeczytała pierwszych dziesięć stron *Hazel Wood* i powiedziała, że muszę to skończyć. Wielkiemu miłośnikowi książek fantasy, Joelowi Cunninghamowi, za jego pracę i wsparcie.

Znawczyniom quidditcha: Tarze Sonin, Annie Stone, Sarah Jane Abbott, Kamilli Benko i Ellie Campisano za informacje, wsparcie, pisanie i towarzystwo, które sprawia, że sama staję się bardziej twórcza. Kim Graff i Philowi Stamperowi za wyznaczanie terminów, dzięki którym musiałam przyspieszyć pracę.

Dziękuję Dahlii Adler z zespołu B&N Teen za zaangażowanie i wspieranie literatury młodzieżowej i za wskazywanie ciekawych pozycji.

Moim drogim czytelnikom Dylanowi Stasa i Mariah Barker (czyli Gryffindorowi i Hufflepuff) za ciekawe uwagi i za to, że polubili odniesienia do Harry’ego Pottera.

I w końcu dziękuję mojemu wspaniałemu, ukochanemu mężowi Michaelowi, który daje mi tyle radości.